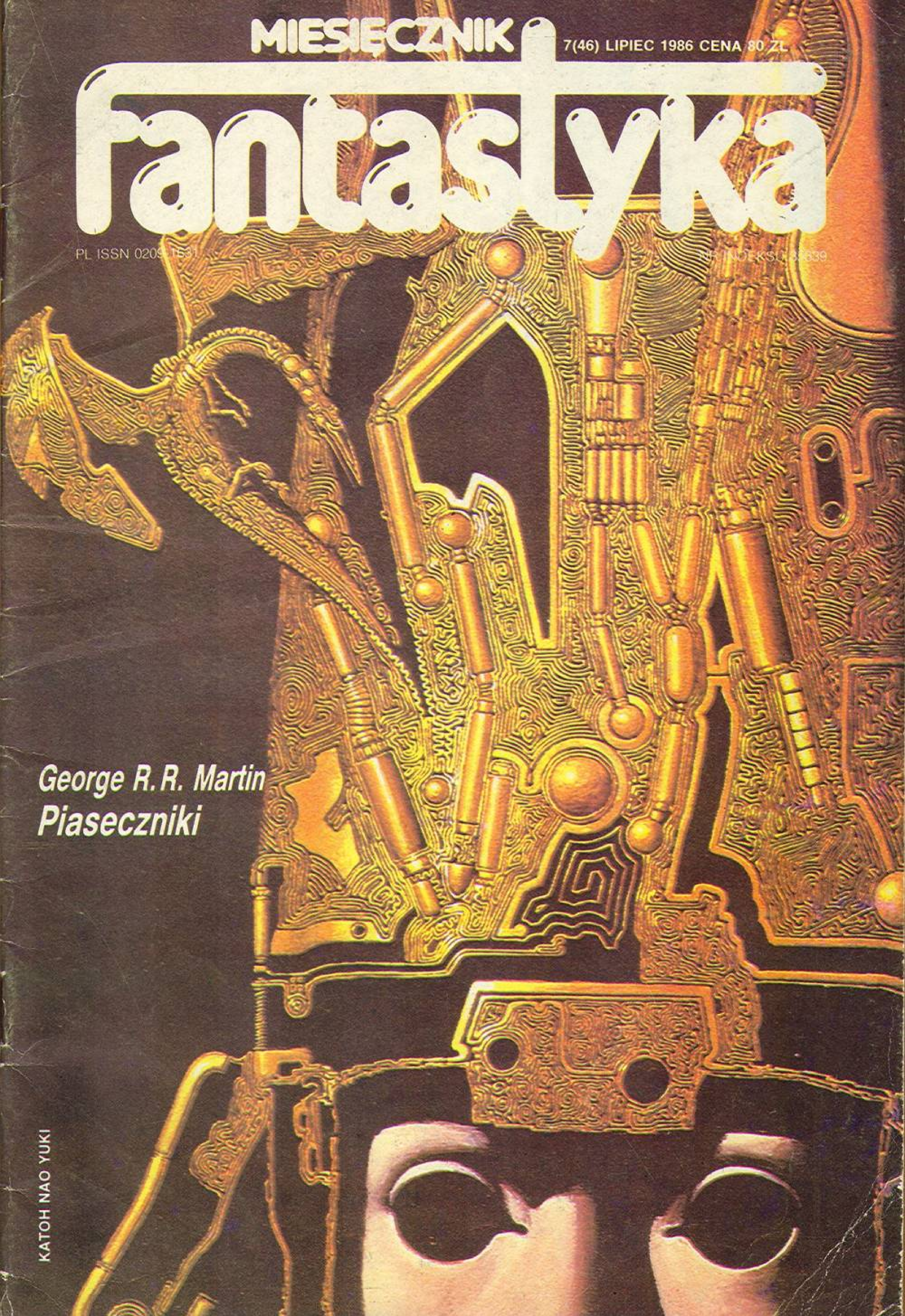
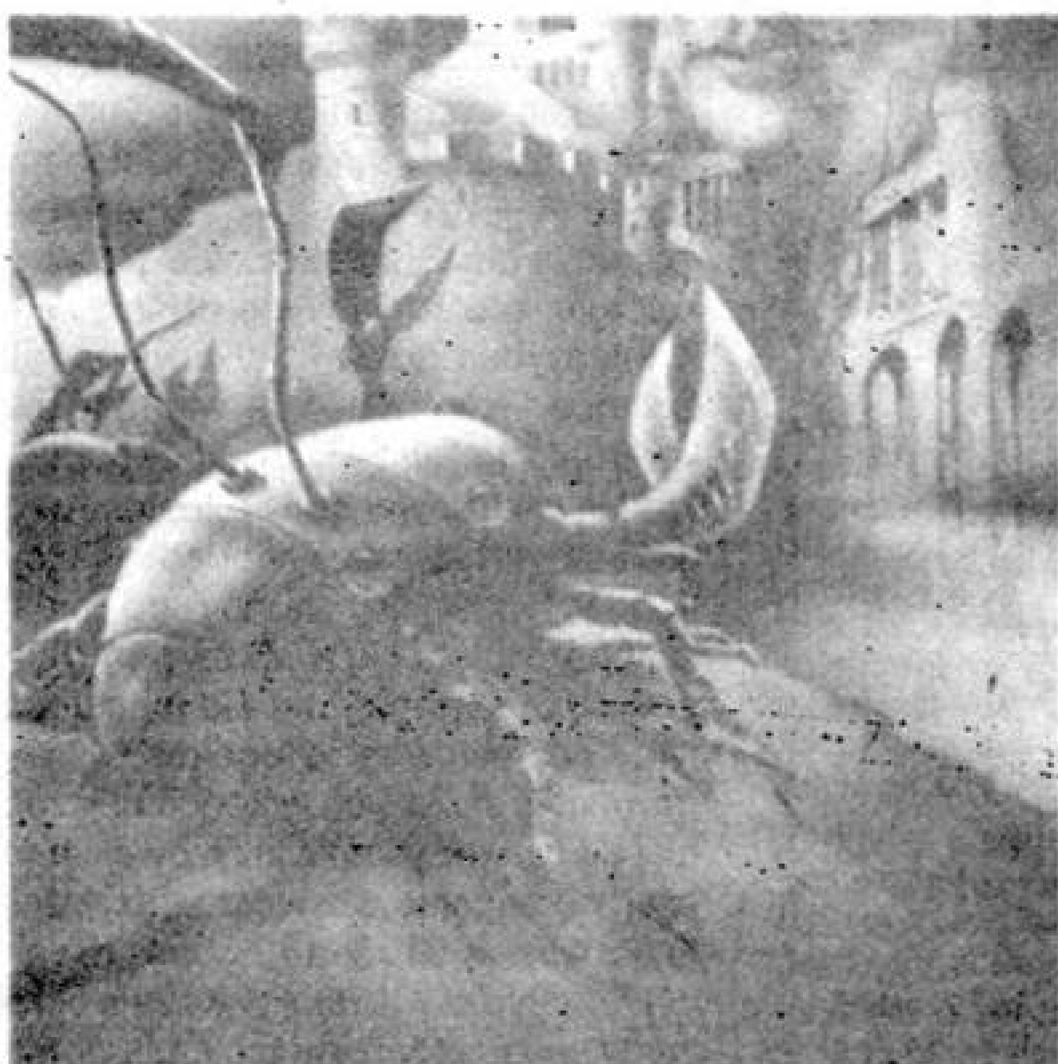

MIESIĘCZNIK
7(46) LIPIEC 1986 CENA 80 ZŁ
Fantastyka
PL ISSN 0209-1631
NR INDEKSU 35639
George R.R. Martin
Piaseczniki
KATOH NAO YUKI



ZYGFRYD CUKIERMANN



Jerzy Kurczak

4

George R.R. Martin (autor znany już naszym Czytelnikom, por.: „Fantastyka" nr 1–2/82 oraz 7/83) potwierdzą swą pisarską klasę – tym razem opowiadaniem, w którym nie ma nic z łagodności i swoistego romantyzmu, tak charakterystycznego dla wielu jego utworów. Miłośnicy horroru powinni być usatysfakcjonowani: „Piaseczniki" trzymają w napięciu do samego końca!

...3...2...1...



Bardzo jestem ciekawy jak rozejdzie się ta nasza międzynarodowa „Encyklopedia Science Fiction", którą przygotowali przedstawiciele wielu krajów w dość dużym trudzie i mozole, aby prawdopodobnie już w następnym roku pojawiła się na półkach księgarń. Ilustrowana, wielojęzyczna, pełna nazwisk pisarzy i tytułów książek. Nakładem węgierskiego wydawnictwa Móra, w którym pracuje jej główny inicjator, redaktor zarazem takiego samego miesięcznika jak „Fantastyka" – Péter Kuczka.

Siedzimy z nim razem w Budapeszcie w zacisznym kawiarnianym zakątku, jakich tu nie brakuje, i wspominamy początki tego pomysłu już przeistaczanego w książkową rzeczywistość. Grupie maniaków fantastyki marzyło się w okresie powstawania naszego miesięcznika, że każda nacja przygotuje swoją narodową część encyklopedii SF, że części te zbierze do kupy specjalnie utworzona redakcja i – rzecz będzie gotowa. Gatunek jest modny i niektórzy twierdzą, stary jak... każda literatura. Ma własne tradycje, historię, nurty, trendy, geniuszy i fanatycznych zwolenników. Ci zaś fanatycy nieustannie zadają pytania, jak to było z fantazjowaniem na przestrzeni dziejów. Więc powinno się udać. Właśnie, powinno, ale... teraz, kiedy już wszystko przygotowane, kiedy nadeszły teksty, kiedy wiadomo, że każda z nacji przedstawi swoją fantastykę na około 100 stronicach tekstu, zadajemy sobie wiele pytań. Na przykład: dlaczego pomysł zrodził się i dojrzał właśnie tutaj, w środku prawie Europy? Czy to tylko zwykły przypadek? A może te miejsca są szczególnie naznaczone fantastyką? Niedaleko przecież powstał Golem, niedaleko stąd żył Faust. A czterysta kilometrów od Budy działał słynny nasz pan Twardowski, który duszę diabłu zaprzedał. Mnóstwo czarodziejstwa było na tych ziemiach środkowoeuropejskich.

I w dodatku nie tępiono go, w każdym razie nie tak drastycznie, jak gdzie indziej. Może to *genius loci* sprawia, że po dziś dzień fantastyka, dla której zainteresowanie już trochę w wielu krajach przygasło, w krajach takich jak: Węgry, Polska, Czechosłowacja, święci swoje szczytowe triumfy. Toż „Galaktika", redagowana przez Kuczkę, rozchodzi się podobnie jak książki SF w wielkich nakładach, nakładach kilkudziesięciotysięcznych, nieznanych dla tego gatunku literatury na Zachodzie. W takich na przykład Włoszech, które nie mają swego pana Twardowskiego, Fausta, czy Golema – nakład książki piętnastotysięczny to cecha bestselleru i dobrze się trzeba namachać i nareklamować, aby go w ogóle sprzedać. Podobnie w RFN, we Francji, Szwajcarii czy Holandii. A 90 tysięcy węgierskiej „Galaktiki" rozchodzi się migiem. Nasi zaś Czytelnicy pomstują przecież ciągle na nikłość 150-tysięcznego (!) nakładu „Fantastyki" i 100-tysięcznych (!) wydań książek SF.

Tak, *genius loci*. Oczywiście można się nań powoływać, pół żartem, pół serio recytować, jak to właśnie robimy podczas tej rozmowy, którą relacjonuję, różne stare legendy, ale współczesny czytelnik w gruncie rzeczy nie interesuje się tradycjami. Nie obchodzi go skąd się fantastyczność bierze, pragnie jedynie czytać rzeczy pasjonujące, przemierzać najprzedziwniejsze światy, poznawać najwymyślniejsze stwory. Żądają fanowie od twórców fantazji idealnej, powiedziałbym bezwzględnej i to – proszę państwa – dzieje się w epoce wielkich sukcesów telekomunikacji wszelkiego rodzaju, pozwalającej na poznawanie wielości prawdziwych, dalekich światów i podróżowania po autentycznych, acz nieznanych czytelnikowi, krainach tej jego starej i jedynej jak dotąd ojczyzny – Ziemi. Jest to jedno z najdziwniejszych zjawisk. Science fiction stała się najpopularniejsza w czasach największych sukcesów techniki podróżowania, poznawania. Największych w dotychczasowej historii ludzkości.

Można rzecz jasna próbować dociec czemu się tak właśnie stało, nikt jednakże nie był i nie jest w stanie rozszyfrować dogłębnie przyczyn różnych ludzkich maniactw i szaleństw. Nasza pamięć zdaje się być niewierna rzeczywistości, przekształca ją, karykaturuje, zapładnia wyobraźnią.

Międzynarodowa „Encyklopedia Science Fiction" będzie więc niejako konfrontacją wszelkich sposobów i źródeł fantazjowania. Nie jestem wrogiem edytorstwa encyklopedii i leksykonów, widać to choćby po moim zaangażowaniu się w sprawy encyklopedii SF. Zastanawiam się jednak zawsze nad celowością tego rodzaju wydawnictw, służących w końcu najczęściej do rozwiązywania krzyżówek, a raczej pomagających w rozwiązywaniu krzyżówkowych zadań. Bywają też encyklopedyczne dzieła, zawsze dobrze wydawane, ozdobami bibliotek domowych, rodzajem kulturalnego mebla, czy może raczej obrazu. W zbieractwie encyklopedii tkwi także spora doza snobizmu. Dlatego przez naszą rozmowę przebijał lęk, żeby przeznaczenie przygotowywanej międzynarodowej encyklopedii SF nie okazało się identyczne z przeznaczeniami innych leksykonów. A przecież tu chodzi o rzecz bardzo specjalistyczną, wąską, jednostronną. I właśnie na tej wąskości tematu naszego dzieła, czy dziełka, opieramy, my, skromni twórcy „wszystkiego o fantastyczności", nasze nadzieje. Liczymy na to, że gatunkowa „specyficzność", „czystość" encyklopedii SF, skłoni nie tylko do jej kupna i postawienia na półce, lecz także do sięgnięcia do tradycji fantastyki. Do pełniejszego zrozumienia istoty gatunku, jego źródeł, a także jego trendów. Tak jest, przede wszystkim pełniejszej świadomości, moim zdaniem, potrzeba czytelnikom tej literatury i obserwatorom widowisk filmowych na niej opartych.

Oczywiście nie tu i teraz miejsce na prorokowanie, co z tej większej świadomości istoty gatunku wyniknie: jego rozwój czy może koniec – to już przecież inne zupełnie zagadnienie.

Orbitujcie więc z rosnącą chęcią nabycia encyklopedii. Kiedy – doniesiemy.

10 - 9 - 8 - 7 - 6 - 5 - 4 - 3 - 2 - 1 - 0

Adam Hollanek

MIESIĘCZNIK LITERACKI **Fantastyka**

00-640 WARSZAWA, ul. Mokotowska 5/6
Telefony: 25-34-75 (red. nacz., sekretariat, działy: techn., graf., literatury polskiej), 25-50-51 (z-ca red. nacz., sekretariat, działy: zagr., krytyki).

Redakcja: Adam Hollanek (red. nacz.), Andrzej Brzezicki (kier. działu graf.), Leszek Bugajski, Anna Gładka, Lech Jęczmyk (kier. działu zagr.), Sławomir Kędzierski (z-ca sekr. red.), Zbigniew Latala (fotoreporter), Maciej Makowski (kier. działu techn.), Dorota Malinowska, Wiktor Malski, Andrzej Niewiadowski (kier. działu krytyki), Maciej Parowski (kier. działu literatury polskiej), Jacek Rodek (z-ca red. nacz.), Krzysztof Szolginia (sekr. red.), Darosław J. Toruń, Marek Zalejski, Rafał A. Ziemkiewicz.

Redakcja nie zwraca materiałów nie zamówionych, w publikowanych tekstach zastrzega sobie prawo dokonywania skrótów

Wydawca: Krajowe Wydawnictwo Czasopism RSW „Prasa-Książka-Ruch", ul. Noakowskiego 14, 00-666 Warszawa, tel. centr. 25-72-91 do 93. Ogłoszenia przyjmuje Biuro Reklam i Propagandy tel. 25-35-36.

Skład: Zakłady Wklęsłodrukowe RSW „Prasa-Książka-Ruch", Warszawa, ul. Okopowa 58/72. Oddano do składu 28 kwietnia 1986 r.

Druk i oprawa: Prasowe Zakłady Graficzne RSW „Prasa-Książka-Ruch", Łódź, ul. Armii Czerwonej 28.

N. 150 000 egz. Zam. 1492/86, P-32

NR INDEKSU 35839

PL ISSN 0208-1631

Czytelnicy i „Fantastyka"

LĄDOWANIE XLI

Diabelska gra

Chyba jesteście złośliwcami. Gracie z czytelnikami w diabelską grę. Najpierw piszecie o okładkach, że będą, że na pewno uda się je każdemu dostać, kupić w kiosku, potem jest długo, długo nic. Tylko rozwija się dyskusja na łamach. Jedni chwalą metodę dodrukowywania osobno okładek, inni ją przeklinają, bo się boją, że z kupowania ich osobno wyjdą nici. A co naprawdę? Naprawdę nagle, ni stąd, ni zowąd, bez żadnej zapowiedzi okładki się tu i ówdzie pokazują i już ich nie ma. Możesz błagać, latać po całym mieście i nic.

Z kim i po co ta ciuciubabka?

Józef Dąbiński z Poznania

Mieszkam w Rabce, a raczej koło Rabki, ale często przyjeżdżam tam, żeby nabyć „Fantastykę". Za długo ona tu w kioskach nie leży, ale zawsze z kilka dni. To samo z afiszami czy posterami. Są, można je otrzymać bez większych kłopotów. Czy muszą być jednak aż takie ciemne? Niby ładne, ale jakieś takie mało ruchliwe, za mało fantastyczne. Obiecywaliście serie zwierząt kosmicznych, statków przestrzennych, a także, i to by się pewno najbardziej podobało, księżniczek kosmicznych. No i nie ma. A przecież te księżniczki toście obiecali zaraz na początku istnienia „Fantastyki", kiedy się Wam jeszcze ani śniło o osobnych okładkach. Nie rozumiem czemu w niektórych częściach kraju okładki są nie do zdobycia. Na pewno ta dystrybucja.

Jerzy Kral

Istotnie, przedziwne rzeczy wyrabiają się z możliwościami otrzymywania w kioskach naszych okładek. W małych miastach i na wsi okładek brakuje. Jeden za drugim płyną do nas listy z pretensjami. Chciałem napisać niesłusznymi, bo my się rozdziałem nie zajmujemy, ale pomyślałem sobie, że przecież tu chodzi o to, żeby n a s i Czytelnicy mogli się zaopatrzyć w n a s z e okładki, do proponowanych im przez n a s powieści. I nie możemy nad tym problemem przejść do porządku czy raczej nieporządku dziennego. Więc: po pierwsze, postaramy się o serię księżniczek kosmicznych, a po drugie – ogłosimy p r e n u m e r a t ę i wtedy na okładki trafią ci, którzy ich potrzebują do składania kompletnych powieści. Myślę, że uda się to zrobić w najbliższym czasie. Spróbujemy.

Biada wam, bez fantasy

Czy myślicie panowie Redaktorzy, że gusty Czytelników zawsze pozostają jednakowe, że Wasza „Fantastyka" będzie się niezmiennie podobać w tej postaci i z tymi tekstami, których dotychczas dostarczacie? Nic z tego, biada Wam, jeśli nie pójdziecie za modą, za tym, co opanowuje cały świat. Bez czystej, wspaniałej fantasy, w której wszystko jest możliwe, która zamiast świata opanowanego przez naukę proponuje świat zupełnie inny, w którym nie obowiązują twarde prawa natury. Czy nie rozumiecie tego? Dlatego, że się niektórym przyziemnym typom nie podobały Wasze numery z fantasy, musicie już pomijać tę cudowną dziedzinę fantastyki? Jeżeli nikt w Polsce fantasy nie pisze to dawajcie zagraniczną, może się wreszcie czegoś nasi pisarze nauczą... Pamiętajcie – fantasy! Cześć.

Januariusz Przechcic z Gdańska

Po kiego diabła robicie ankiety, skoro „Fantastyka" z numeru na numer się pogarsza. Znów wszyscy będą za fantasy i space opera, a wy (daję głowę) będziecie dawać Führnanna czy Bilenkina. (...) Najlepszą powieścią dotychczas była Simaka „Czas jest najprostszą rzeczą", najgorszą Harrisona „Filmowy Wehikuł Czasu". (...) Prawie rok czekam na „Gwiezdny taniec" – Hugo, ale jej nie widać. Próbuję jednak wziąć udział w ankiecie, może tym razem się poprawi – może będziemy chcieli political fiction, a wy dacie fantasy, tak teraz modne na świecie!

Czytelnik z Rybnika

Ciągle coś nowego. Raz żądania political fiction, czy social fiction. To znowu fantasy. A gdy wydrukowaliśmy fantasy, to nie kilku niezadowolonych, lecz spora grupa robiła fochy, tak że można było mieć pewność, iż nieśmiertelna jest prawdziwa lemowska fantastyka – naukowa! Mogę jednak zapowiedzieć, że wkrótce zaprezentujemy utwór o charakterze fantasy znanego już pisarza polskiego – Zbigniewa Prostaka. Będzie to sporych rozmiarów opowiadanie. I może odtąd uda się częściej dawać zarówno krajową, jak i zagraniczną fantasy. Na „Stardance" mamy już zezwolenie autorskie. Wkrótce start.

Co się dzieje z filmem

Filmów fantastycznych coraz więcej. Są nawet nieudane widowiska w telewizji, a wy uparcie dajecie tylko recenzje książek i ogólne, bardzo trudne (i rzadkie), jak wy to nazywacie – „eseje filmowe". A tymczasem film i wideo podbijają świat. Zostaniecie w tyle, uważajcie! Koniecznie trzeba, abyście śledzili co w dziedzinie sztuki filmowej, a także w sztuce wideofilmów, obecnie się dzieje. Wiadomo, że jeśli idzie o wideo, żadnych krajowych nowości nie można oczekiwać. W prasie pisano, że kilkaset tysięcy liczy już widownia wideo, ale cóż to dla naszej telewizji, która lubi tylko widownię wielomilionową. Nie bądźcie naśladowcami telewizji. Nie lekceważcie tych „marnych" setek tysięcy. „Fantastyka" była awangardowa od samego początku, więc myślę, że i teraz, jak to mówią w sporcie, „pójdzie za ciosem".

Robert Roztocki z Warszawy

Wasze pismo jest bardzo potrzebne. Zapełnia lukę na rynku księgarskim. (...) Forma pisma bardzo dobra – wszystkiego po trochu. Nie należy rezygnować z niczego, tylko zachować odpowiednie proporcje! Wasze pismo, cenione na świecie, powinno stanowić sztywną całość. Brak papieru na książki i czasopisma w Polsce to jeszcze nie powód, żeby wycinać z numeru powieść i ją składać, niszcząc przy okazji resztę. Wróćcie do listy bestsellerów, wybierajcie powieść roku, a może autora roku? Film i wideo także ważne.

Grzegorz Goldmann z Żernicy

Nikt mnie ani nikogo w redakcji nie potrzebuje przekonywać do filmów z dużego ekranu i tych z małego – telewizji czy wideo. Oceny poszczególnych obrazów – zarówno tych w kinach, jak i tego, co krąży po domach i klubach w postaci wideofilmów – są istotnie ważne. Redakcja od dawna zajmuje się i interesuje tymi sprawami. I nie zrezygnuje z omówień bardziej teoretycznych. Jednakże idąc za głosami Czytelników postara się dawać także przegląd (krótki) i oceny filmów wielkoekranowych i wideo. Nie miejsce tu na jakieś wstępy do tych ocen, trzeba jednak od razu powiedzieć, że: po pierwsze, to co z wideofilmów krąży po domach jest tylko cząstką i to niewielką, produkcji światowej; po drugie, bywają to na ogół rzeczy nie najlepsze artystycznie, często wręcz kicze; po trzecie, kopie tego co krąży są podłe. Napisano na ten temat mnóstwo. I niestety, nikt właściwie u nas nie traktuje tych spraw poważnie, z wyjątkiem... setek tysięcy chcących oglądać wartościowe obrazy.

Redaktor



Zbigniew Latała

Konkurs na słuchowisko

Program IV Polskiego Radia ogłasza konkurs otwarty na słuchowiska fantastyczno-naukowe i popularnonaukowe.

Tematyka słuchowiska jest dowolna, może obejmować różne dziedziny nauk przyrodniczych, technicznych i humanistycznych. Prace mogą także dotyczyć biografii ludzi nauki i kultury.

Teksty słuchowisk muszą być oryginalne i nie publikowane w PR i TV, wydawnictwach czy czasopismach. Czas trwania słuchowiska 30 minut, tj. około 15 stron maszynopisu.

Prace powinny być opatrzone godłem. Imię i nazwisko autora wraz z adresem należy podać osobno w zaklejonej kopercie, również opatrzonej godłem.

Przewidziane są trzy nagrody (25 000, 20 000, 15 000 zł) oraz trzy wyróżnienia (po 7000 zł). Jury zastrzega sobie prawo innego podziału nagród nie zmniejszając sumy globalnej.

Termin wysyłania prac upływa 20 września 1986 r., a ogłoszenie wyników nastąpi w połowie listopada br. w Programie IV PR i w tygodniu „Antena". Ponadto laureaci zostaną powiadomieni korespondencyjnie o przyznanych im nagrodach.

Teksty słuchowisk w pięciu egzemplarzach maszynopisu należy przesłać pod adresem: Polskie Radio, Program IV, 00-950 Warszawa, skrytka pocztowa 46 (maszynopisy nie będą zwracane).

Ciekawsze prace zostaną zakupione w celu wykorzystania ich w programie Polskiego Radia. Będą one honorowane według stawek obowiązujących w Polskim Radiu. ■

PIASECZNIKI

George R. R. Martin

(Sandkings)



Jerzy Kurczak

Simon Kress mieszkał samotnie w obracającym się w ruinę dworze wśród suchych, skalistych wzgórz, 50 kilometrów od miasta. Nie miał więc sąsiadów, których mógłby, niespodziewanie zmuszony przez interesy do wyjazdu, obarczyć swoimi zwierzętami. Z sokołem-padlinożercą nie było kłopotu – zagnieździł się w nieużywanej dzwonnicy i zwykle sam zdobywał sobie pożywienie. Pełzacza Kress wygnał na zewnątrz i pozostawił własnemu losowi – mały potworek będzie się obżerał skalnikami, ślimakami i ptakami. Największy problem stanowiło akwarium, wypełnione najprawdziwszymi ziemskimi piraniami. W końcu Kress po prostu wrzucił tam udziec wołowy. Jeżeli zostałby zatrzymany dłużej, niż się spodziewał, piranie mogły pożerać się wzajemnie. Robiły to już przedtem. To go bawiło.

Niestety, tym razem zatrzymano go znacznie dłużej niż oczekiwał. Gdy wreszcie wrócił, wszystkie ryby były martwe. Martwy był również sokół-padlinożerca. Pożarł go pełzacz, wspiąwszy się na dzwonnicę. Simon Kress się zirytował.

Następnego dnia poleciał ślizgaczem do Asgardu – podróż długości około dwustu kilometrów. Asgard był największym miastem Balduru, szczycił się również posiadaniem najstarszego i największego kosmoportu. Kress lubił imponować przyjaciołom zwierzętami, które były niezwykłe, interesujące i drogie, a Asgard był miejscem, gdzie można je było kupić.

Jednak tym razem nie miał szczęścia. Właściciel „Ksenopieszczoszków" zwinął interes, w „t'Etherane – Sprzedaż Zwierząt Domowych" usiłowano mu wcisnąć jeszcze jednego sokoła-padlinożercę, a „Tajemnicze Wody" nie miały do zaoferowania nic bardziej egzotycznego niż rekiny świetliste, piranie i kałamarnice pająkowate. Kress już je wszystkie kiedyś miał – teraz chciał czegoś nowego.

Zmrok zastał go spacerującego po Tęczowym Bulwarze, w poszukiwaniu Miejsc, których dotychczas nie odwiedzał. Bulwar, leżący w bezpośrednim sąsiedztwie portu kosmicznego, obrzeżony był szeregami sklepów należących do firm importowych. Wielkie magazyny wabiły długimi, imponującymi wystawami, z towarami spoczywającymi na filcowych poduszkach na tle ciemnych, dodających tajemniczości wnętrzu zasłon. Pomiędzy nimi tłoczyły się kantorki ze starzyną – wąskie, obskurne sklepiki, których okna wystawowe były zawalone wszelkiego rodzaju pozabaldurskimi rupieciami.

Potem, już bardzo blisko portu, natknął się na sklep, który był inny. Kress nigdy przedtem tu nie był. Sklep zajmował niewielki, parterowy budynek, wciśnięty między euforia-bar a burdel-świątynię Sióstr Tajemnicy. Im bliżej końca, tym bardziej podejrzany stawał się Tęczowy Bulwar. Sklep był niezwykły. Frapujący.

Wystawy wypełniała mgła, raz bladoczerwona, raz szara, jak prawdziwa, to znów połyskująca i złota. Kłębiła się, wirowała i delikatnie jaśniała od wewnątrz. Kress przelotnie dostrzegał na wystawie jakieś rzeczy – maszyny, dzieła sztuki, inne przedmioty, których nie potrafił rozpoznać, gdyż niczemu nie mógł się dokładnie przyjrzeć. Mgła krążyła wokół nich zmysłowo, ukazując fragment to jednej, to następnej rzeczy, potem znów osnuwając wszystko. To było intrygujące.

Gdy tak patrzył, mgła zaczęła formować się w litery. Tylko jedno słowo naraz. Kress stał i czytał:

WO I SHADE. IMPORT. ARTEFAKTY. SZTUKA. ZWIERZĘTA. I INNE.

Litery się zatrzymały. Poprzez mgłę Kress dostrzegł jakiś ruch. To mu wystarczyło. To oraz słowo „zwierzęta" w reklamie. Przerzucił spacerową pelerynę przez ramię i wszedł do sklepu.

Wewnątrz poczuł się zdezorientowany. Pomieszczenie wyglądało na ogromne, znacznie większe, niż mógłby sądzić po stosunkowo umiarkowanej wielkości ścianie frontowej. Było rozjaśnione przyćmionym światłem, ciche i spokojne. Sufit stanowiła panorama gwiezdna, z mgławicami spiralnymi, bardzo ciemna i realistyczna, bardzo piękna. Delikatne podświetlenie konturów podkreślało walory wyłożonych w nich przedmiotów. Snująca się nisko mgła wyścielała podłogę niby dywan. Miejscami sięgała Kressowi niemal do kolan, przy każdym kroku wirując wokół nóg.

– Czym mogę panu służyć?

Kobieta zdała się wyłonić prosto z mgły. Wysoka, chuda i blada, ubrana w praktyczny, szary kombinezon i dziwną, małą czapeczkę, przesuniętą mocno na tył głowy.

– Pani jest Wo czy Shade? – spytał Kress. – Czy może tylko ekspedientką?

– Jala Wo, do usług – odpowiedziała. – Shade nie widuje się z klientami. Nie zatrudniamy ekspedientów.

– Macie całkiem spory sklep. Dziwne, że nigdy przedtem o was nie słyszałem.

– Tutaj, na Baldurze, otworzyliśmy filię dopiero niedawno. Mamy jednak sklepy na innych planetach. Co mogę panu sprzedać? Może dzieło sztuki? Wygląda pan na kolekcjonera. Posiadamy wspaniałe rzeźby w krysztale z Nor T' alush.

– Nie – powiedział Simon Kress. – Mam już wszystkie rzeźby w krysztale, które chcę mieć. Przyszedłem tu rozejrzeć się za jakąś maskotką.

– Żywą?

– Tak.

– Obcą?

– Oczywiście.

– Mamy do sprzedania przedrzeźniacza. Ze Światów Celii. Milutka mała małpka. Nie tylko nauczy się mówić, ale po pewnym czasie będzie naśladować pański głos, jego modulację, również pańskie gesty, nawet mimikę twarzy.

– Milutka – powiedział Kress. – I pospolita. Takie cechy nie są mi potrzebne. Ja chcę czegoś egzotycznego. Naprawdę niezwykłego. I nie milutkiego. Nie cierpię milutkich zwierząt. Mam w tej chwili pełzacza. Importowanego z Cotho, za niemałe pieniądze. Od czasu do czasu karmię go zbędnym kocim pomiotem. Oto co myślę na temat stworzeń m i l u t k i c h . Czy wyraziłem się dostatecznie jasno?

Wo uśmiechnęła się zagadkowo.

– Czy miał pan kiedyś zwierzę – spytała – które by panu oddawało boską cześć?

Kress skrzywił się.

– Och, od czasu do czasu. Ja nie potrzebuję uwielbienia, tylko rozrywki.

– Nie zrozumiał mnie pan – powiedziała, ciągle z tym dziwnym uśmiechem na ustach. – Mam na myśli boską cześć zupełnie dosłownie.

– O czym pani mówi?

– Sądzę, że mam coś akurat dla pana. Proszę iść za mną.

Poprowadziła go pomiędzy świetlistymi konturami, potem wzdłuż długiego, zasnutego mgłą przejścia pod fałszywymi gwiazdozbiorami. Przez ścianę z mgły weszli do innej części sklepu i zatrzymali się przed dużym, plastykowym pojemnikiem. Akwarium – pomyślał Kress.

Wo przywołała go gestem ręki. Podszedł bliżej i zobaczył, że się mylił. To było terrarium. Wewnątrz znajdowała się miniaturowa pustynia o powierzchni około dwóch metrów kwadratowych. W słabym, czerwonym świetle jasny piasek połyskiwał niezdecydowanym szkarłatem. Skały: bazalt, kwarc, granit. W każdym rogu pojemnika stał zamek.

Kress zamrugał, popatrzył uważniej, zrobił poprawkę – stały tylko trzy zamki. Czwarty obsunął się, był potrzaskaną, żałosną ruiną. Pozostałe trzy, wzniesione z kamienia i piasku, były nieforemne, ale nietknięte. Na ich blankach, w zaokrąglonych portykach roiły się maleńkie stworzenia. Kress przycisnął twarz do plastyku.

– Owady? – spytał.

– Nie. Ta forma życia jest znacznie bardziej skomplikowana. Również inteligentniejsza. O wiele mądrzejsza od pańskiego pełzacza. To piaseczniki, tak się nazywają.

– Insekty – powiedział Kress, odsuwając się od pojemnika.– Nie obchodzi mnie jak bardzo są skomplikowane. – Zrobił niezadowoloną minę. – I niech pani łaskawie nie próbuje mnie ogłupiać bajkami o ich inteligencji. Są zbyt małe, by posiadać cokolwiek ponad najprostsze zawiązki mózgowe.

– Dzielą jedną, wspólną dla całego rojowiska świadomość – powiedziała Wo. – Dla jednego zamku, w ich przypadku. W tym pojemniku są w rzeczywistości tylko trzy organizmy. Czwarty zmarł. Widzi pan, jego zamek jest zrujnowany.

Kress spojrzał na pojemnik.

– Wspólna świadomość, tak? Interesujące. – Znowu się skrzywił. – Mimo wszystko to nic innego jak tylko przesadzonych rozmiarów ferma mrówcza. Miałem nadzieję na coś lepszego.

– One toczą wojny.

– Wojny? Hmmm. – Kress znowu przyjrzał się pojemnikowi.

– Proszę zwrócić uwagę na kolory – powiedziała Wo, wskazując stworzenia na najbliższym zamku. Jedno z nich wspinało się na ścianę pojemnika. Kress obejrzał je dokładnie. W dalszym ciągu widział w nim tylko owada. Maleńkiego, długości paznokcia, sześcionożnego, z sześcioma mikroskopijnymi oczkami osadzonymi wokół tułowia. Groźnie wyglądające szczypce rozwierały się i zaciskały, a para długich, delikatnych czułków kreśliła w powietrzu skomplikowane wzory. Czułki, szczypce, oczy i odnóża były smolistoczarne, jednak dominującym kolorem był ciemnopomarańczowy, barwa pancerza.

– To jest owad – powtórzył Kress.

– To nie jest owad – upierała się łagodnie Wo. – Gdy piasecznik osiąga większe rozmiary pancerny egzoszkielet jest zrzucany. J e ż e l i osiąga większe rozmiary. W pojemniku tej wielkości jest to niemożliwe. – Wzięła Kressa pod łokieć i poprowadziła wokół pojemnika ku następnemu zamkowi. – Proszę tutaj spojrzeć na kolory.

Spojrzał. Były inne. Te piaseczniki miały pancerz jasnoczerwony; czułki, szczypce, oczy i odnóża były żółte. Kress odszukał wzrokiem trzeci zamek. Jego mieszkańcy byli biali, z czerwonymi dodatkami.

– Hmmm – powiedział.

– Toczą wojny, jak już wspomniałam – powiedziała Wo. – Zawierają nawet rozejmy i sojusze. To właśnie dzięki sojuszowi został zniszczony czwarty w tym pojemniku zamek. Czarne stawały się zbyt liczne, więc pozostałe połączyły siły, by je unicestwić.

Kress był ciągle sceptyczny.

– Zabawne, bez wątpienia. Ale owady również toczą wojny.

– Owady się nie modlą – powiedziała Wo.

– Co?

Wo uśmiechnęła się i wskazała na zamek. Kress przypatrzył mu się uważnie. W ścianie najwyższej wieży była wyrzeźbiona twarz. Rozpoznał ją. To była twarz Jali Wo.

– Jak...?

– Wyświetliłam wewnątrz pojemnika mój hologram i utrzy-

mywałam go tam przez kilka dni. Oblicze boga, rozumie pan? Piaseczniki mają zalążkowe zdolności psioniczne. Telepatia o niewielkim zasięgu. Karmię je, zawsze jestem w pobliżu, a one mnie wyczuwają i czczą, dekorując swe budowle moją twarzą. Jest na wszystkich zamkach, widzi pan? – Rzeczywiście była.

Twarz Jali Wo na ścianach zamków była pogodna i spokojna. I pełna życia. Kress zachwycił się artyzmem tych rzeźb.

– Jak one to robią?

– Przednie odnóża spełniają jednocześnie funkcję rąk. Mają nawet coś w rodzaju palców – trzy małe, giętkie wyrostki. Poza tym piaseczniki bardzo dobrze współpracują, zarówno w walce, jak i w pracy. Proszę pamiętać, że wszystkie osobniki tego samego koloru mają wspólną świadomość.

– Proszę mi coś więcej o nich opowiedzieć – powiedział Kress.

Wo uśmiechnęła się.

– Mamka żyje wewnątrz zamku. Mamka to moje dla niej określenie. Ta istota jest jednocześnie żołądkiem i rodzicielką. Ma wielkość pańskiej pięści i jest niezdolna do ruchu. Osobniki ruchome to robotnicy i wojownicy. Władcą jest mamka, królowa. Właściwie ten podział na płci jest trochę mylący. Każdy zamek, rozpatrywany jako całość, jest jednym, hermafrodycznym osobnikiem.

– Co one jedzą?

– Ruchomi jedzą papkę – wstępnie przetrawione pożywienie, dostępne wewnątrz zamku. Dostają je od mamki, która uprzednio kilka dni nad nim pracuje. Ich żołądki nie zniosłyby niczego innego, tak więc jeżeli mamka umiera, one wszystkie wkrótce również giną. A mamka... mamce jest wszystko jedno, co je. Nie będzie to dla pana specjalnie kosztowne. Resztki ze stołu zupełnie wystarczą.

– A żywe pożywienie?

Wo wzruszyła ramionami.

– Tak, mamki zjadają ruchomych z innych zamków.

– Jestem zaintrygowany – przyznał Kress. – Gdyby tylko nie były takie małe.

– Pańskie mogą być większe. Te piaseczniki są małe, gdyż ten pojemnik jest niewielki. Dostosowują swój rozmiar do dostępnej przestrzeni. Gdybym je przeniosła do czegoś większego, zaczęłyby rosnąć.

– Hmmm. Akwarium, w którym trzymałem piranie jest dwukrotnie większe. Można by je oczyścić, wypełnić piaskiem...

– Firma Wo i Shade wszystkim się zajmie. Będziemy to sobie poczytywali za przyjemność.

– Oczywiście spodziewam się – powiedział Kress – iż otrzymam cztery nietknięte zamki.

– Oczywiście – powiedziała Wo.

Zaczęli się targować o cenę.

Trzy dni później Jala Wo, wraz z uśpionymi piasecznikami oraz robotnikami, którzy mieli się zająć ich osadzeniem w pojemniku, pojawiła się w posiadłości Simona Kressa. Jej asystenci byli obcymi, należącymi do zupełnie nieznanej Kressowi rasy – przysadzistymi, szerokimi dwunogami o czterech ramionach i wyłupiastych, wielożrenicowych oczach. Ich skóra była gruba i szorstka, poznaczona na całym ciele dziwnymi, pofałdowanymi, najeżonymi wyrostkami plamami. Ale byli bardzo silni i dobrze pracowali. Wo wydawała im polecenia w śpiewnym jezyku, którego Kress nigdy dotychczas nie słyszał.

Wszystkie prace zostały ukończone w ciągu jednego dnia. Akwarium po piraniach przeniesiono na środek bardzo obszernego salonu, wyskrobano do czysta i do dwóch trzecich wysokości wypełniono piaskiem i odłamkami skał. Ze wszystkich stron, dla wygody oglądającego, ustawiono kanapy. Następnie zainstalowano oświetlenie – specjalny system, nie tylko zapewniający piasecznikom ich ulubione czerwone światło, ale także dający możliwość wyświetlania we wnętrzu pojemnika hologramów. Na szczycie zamontowano mocną pokrywę ze służącym do karmienia otworem.

– Tędy będzie pan mógł je karmić bez konieczności zdejmowania pokrywy – wyjaśniła Jala Wo. – To wyeliminuje ryzyko ucieczki któregoś z nich.

W pokrywę wmontowane było również urządzenie klimatyzacyjne, mające utrzymywać wewnątrz pojemnika odpowiednią wilgotność.

– Powietrze powinno być suche, ale nie za suche – powiedziała Wo.

Po ukończeniu montażu jeden z czteroręcznych robotników wszedł do pojemnika i wykopał w każdym rogu głęboką dziurę. Jego kolega wręczył mu uśpione mamki, wyjmując je, jedną po drugiej, z mroźnego wnętrza kasety, w której zostały przyniesione. Nie było w nich nic szczególnego. Kress uznał, że najbardziej przypominają pożyłkowany, na wpół zepsuty puc surowego mięsa. Z ustami.

Robotnik zakopał je, po jednej w każdym rogu pojemnika. Potem pokrywa została ostatecznie umocowana i robotnicy wyszli.

– Ciepło wyrwie mamki z uśpienia – powiedziała Wo. – Za kilka dni ruchomi zaczną się wykluwać i wychodzić na powierzchnię. Proszę im nie żałować pożywienia. Będą potrzebowali dużo siły, zanim się przyzwyczają do życia. Sądzę, że zamki powinny zacząć rosnąć za jakieś trzy tygodnie.

– A moja twarz? Kiedy zaczną rzeźbić moją twarz?

– Proszę włączyć hologram po upływie około miesiąca. I być cierpliwym. Jeżeli będzie pan miał jakieś wątpliwości, proszę do nas dzwonić. Firma Wo i Shade jest na pańskie usługi. – Ukłoniła się i wyszła.

Kress podszedł z powrotem do pojemnika i pstryknął przełącznikiem. Pustynia była cicha i spokojna. Niecierpliwie zabębnił palcami w plastyk, potem wzruszył ramionami.

Czwartego dnia Kressowi wydało się, iż dostrzega ruch w głębi piasku, jakieś delikatne, podziemne przesunięcia.

Piątego dnia zobaczył pierwszego piasecznika, samotnego białego.

Szóstego dnia naliczył ich już tuzin, białych, czerwonych i czarnych. Pomarańczone się spóźniały. Wrzucił przez otwór w pokrywie na pół przegniłe resztki swoich posiłków. Piaseczniki od razu je wyczuły, ruszyły w ich stronę i zaczęły odciągać do swoich rogów. Nie walczyły. Kress był nieco rozczarowany, ale zdecydował, że da im trochę czasu.

Pomarańczowe piaseczniki pojawiły się ósmego dnia. Do tego czasu inne już zaczęły znosić małe kamyki i budować niezgrabne fortyfikacje. Ciągle nie walczyły. Były jeszcze maleńkie, dwukrotnie mniejsze, niż te, które Kress widział w sklepie Wo. Pomyślał jednak, że rosną bardzo szybko.

Zamki zaczęły wyrastać w połowie drugiego tygodnia. Zorganizowane bataliony przyciągały do swych rogów ciężkie bryły piaskowca i granitu, inne szczypcami i kończynami przepychały tam piasek. Kress kupił parę powiększających gogli, dzięki którym mógł obserwować ich pracę na terenie całego pojemnika. Krążył i krążył wzdłuż wysokich, plastykowych ścian i patrzył. To było fascynujące. Zamki były nieco zbyt bezbarwne i jednolite w stosunku do tego, czego by sobie życzył, ale znalazł na to radę. Następnego dnia wrzucił wraz z pożywieniem trochę obsydianu i okruchy barwionego szkła. W ciągu kilku godzin piaseczniki wkomponowały to w mury.

Jako pierwszy został ukończony zamek czarnych, niedługo potem stanęły fortece białych i czerwonych. Pomarańczowe były ostatnie, jak zwykle. Kress zabierał swoje posiłki do salonu i jadł, siedząc na kanapie, by móc bez przerwy prowadzić obserwację. Lada godzina spodziewał się wybuchu pierwszej wojny.

Był rozczarowany. Mijały dni, zamki wyrastały coraz wyżej, były coraz rozleglejsze. Kress oddalał się od pojemnika jedynie po to, by załatwić potrzeby fizjologiczne i odpowiedzieć na pilne, dotyczące interesów telefony. Jednak wojna nie wybuchała. Rozdrażnienie Kressa rosło coraz bardziej.

W końcu przestał je karmić.

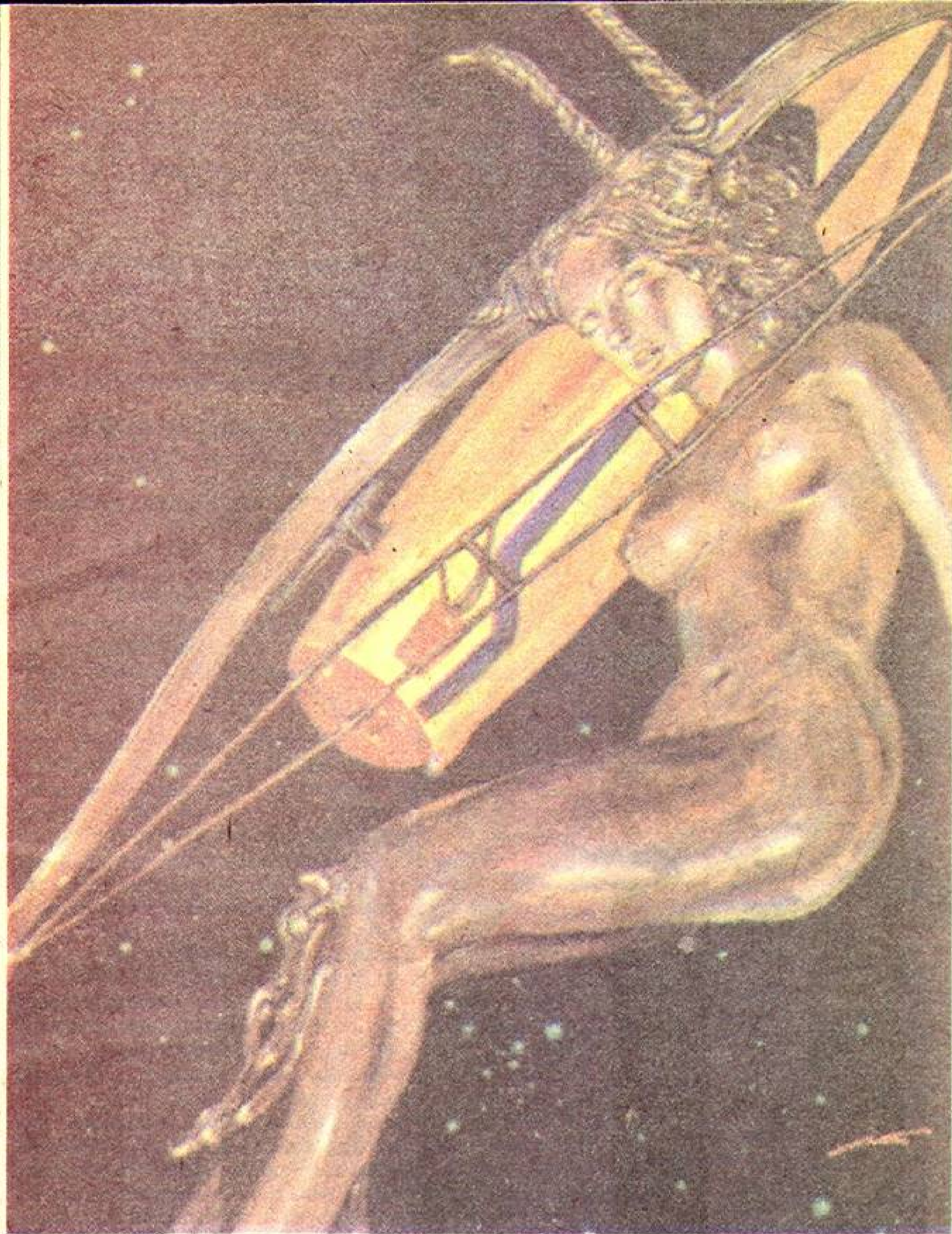
Dwa dni po tym, jak pożywienie przestało spadać z ich pustynnego nieba cztery czarne piaseczniki otoczyły i zaciągnęły do swej mamki jednego pomarańczowego. Najpierw go okaleczyły, odcinając szczypce, czułki i kończyny, potem przez główną bramę wniosły do swego miniaturowego zamczyska. Już stamtąd nie wyszedł. Godzinę później ponad czterdzieści pomarańczowych przemaszerowało przez pustynię i zaatakowało róg czarnych. Były bardzo nieliczne w porównaniu z wysypującymi się z głębi zamku obrońcami. Walka zakończyła się ich rzezią. Zabici i zdychający stali się pożywieniem dla mamki.

Kress, uszczęśliwiony, gratulował sobie pomysłowości.

Gdy następnego dnia wrzucił resztki swego obiadu natychmiast między trzema rogami rozgorzała o nie walka. Białe odniosły wielkie zwycięstwo.

Od tego dnia wojny wybuchały jedna po drugiej.

Niemal miesiąc po dostarczeniu piaseczników przez Jalę Wo Kress włączył projektor holograficzny i jego twarz zmaterializowała się wewnątrz pojemnika. Obracała się powoli wokół osi, by wszystkie cztery zamki były równo obdzielone jego spojrzeniem. Tę swoją podobiznę Kress uważał za raczej udaną – wiernie odtwarzała jego szelmowski uśmiech, szerokie usta, pełne policzki. Błękitne oczy błyszczały, siwe włosy były starannie ułożone w modne półkola, brwi cienkie i zakreślone w wyrafinowany sposób.



Na. KATOH NAO YUKI

Czy naprawdę po japońsku?

Od ubiegłego stulecia plastyka japońska – japońskie malarstwo i grafika uciekają od tradycji, europeizują się. Zanika delikatna kolorystyka, precyzja rysunku przestaje się rzucać w oczy, gromadzi się w obrazach coraz więcej motywów cywilizacyjnych. Głównymi elementami dawności w grafice jest już tylko pismo, które na szczęście nie może i nie potrafi zatracić swej intymnej obrazkowości.

Dla mnie, nie znającego tego pisma (ani mowy japońskiej), będzie ono zawsze tajemniczym, trudnym do odszyfrowania, właściwie całkiem niemożliwym do zinterpretowania obrazkiem. Wątpię, czy te moje odczucia są właściwym tropem autentycznej japońszczyzny, natomiast jestem przekonany, że w takich bardzo powierzchownych formach wkroczyła w okresie fin de siecle'u japońszczyzna do sztuki europejskiej. Czyli uciekła do Europy?

Gdy dzisiaj przeglądam reprodukcje malarstwa i grafiki science fiction w jakichś albumach czy czasopismach, myślę sobie – jak to jest właściwie – przecież wybitni filmowcy japońscy z Kurosawą na czele triumfalnie przedstawiają w swych dziełach scenerię i obyczaj japoński. Czy istnieje rozbrat między sztuką filmową, tą, która nas w japońskim wydaniu interesuje, a tą, którą oni uprawiają na co dzień? A może za mało do nas sztuki japońskiej w ogóle dociera? Szkoda.

Jak cudownie pasowałyby tradycje sztuki japońskiej do współczesnej science fiction, ale nie, większość grafiki fantastycznej, którą pragniemy tu dzisiaj Państwu zademonstrować, ma charakter międzynarodowy, SF lubi niestety gubić ciągi tradycyjne, mylić kroki historii. Przypatrzmy się jednak temu, co robi w naszej dzisiejszej „Galerii" Japończyk Katoh Nao Yuki urodzony w 1952 r. w Osace. Już w szkole zaczął się interesować science fiction. Toteż w 1970 r. jest absolwentem Chiyodas Design Institute – czyli szkoły artystycznego projektowania. W rok później zostaje członkiem stowarzyszenia Centrum Sztuki SF. Kariery dużych talentów zaczynają się wcześnie i konsekwentnie się rozwijają. Ale debiut, prawdziwy debiut twórcy, przeżywa artysta Kato Nao w 1974 r., kiedy to debiutuje na łamach magazynu fantastyki i bierze udział w założeniu studia artystycznego Nee. W tymże roku zdobywa też pierwszą nagrodę wydawnictwa Hayakawa; następna przyjdzie dopiero po pięciu latach podczas 18 japońskiego meetingu SF. W 1981 r. wykonuje pierwszy swój album. Albumy zaś to główne etapy w życiu twórczym nowoczesnych artystów. Należy do sekcji japońskiej World SF. Z albumu owego, pierwszego albumu Kato Nao, reprodukujemy obrazy do naszej „Galerii" (album wydała oficyna Kabushiki Kaisha Asahi Sonorama).

Bardzo ciekawi jesteśmy opinii Czytelników o walorach sztuki SF zaprezentowanej przez dalekowschodniego artystę, twórcę z Japonii. W jakim stopniu to, co robi różni się od tego, co powstaje u nas; czy widać różnice, na czym polegają? *(A.H)*

Wkrótce piaseczniki wzięły się do pracy. W czasie, w którym jego oblicze promieniowało z nieba, Kress karmił je niezwykle obficie. Wojny ustały. Wszelka aktywność została skierowana ku tworzeniu ołtarzy.

Twarze Kressa wyłoniły się z murów zamków.

Z początku wszystkie cztery rzeźby, wydawały się być takie same. Jednak wraz z postępem pracy, Kress zaczął zauważać subtelne różnice w technice i wykonaniu. Czerwone piaseczniki były najbardziej twórcze – użyły maleńkich odłamków łupka dla oddania siwizny jego włosów. Idol białych wydawał mu się młody i czupurny, zaś twarz wyrzeźbiona przez czarne, jakkolwiek doskonale, linia po linii, wierna, uderzyła go dobrocią i mądrością. Pomarańczowe piaseczniki jak zwykle były ostatnie i najgorsze. Wojny nie były dla nich pomyślne i ich zamek, w porównaniu z innymi, wyglądał dość nędznie. Podobizna, którą rzeźbiły była toporna i pozbawiona życia i zanosiło się na to, że zamierzają ją taką zostawić. Kress poczuł się głęboko urażony, gdy zauważył, że przestały nad nią pracować, nic jednak nie mógł na to poradzić.

Gdy wszystkie piaseczniki ukończyły swe rzeźby, wyłączył holograf i zdecydował, że nadszedł czas, by urządzić przyjęcie. Jego przyjaciele będą zbulwersowani. Pomyślał, że mógłby nawet zainscenizować dla nich wojnę. Mrucząc radośnie pod nosem zabrał się do układania listy gości.

Przyjęcie było ogromnym sukcesem.

Kress zaprosił trzydzieści osób: garstkę bliskich, dzielących jego upodobania przyjaciół, kilka byłych kochanek oraz kolekcję konkurentów w interesach i rywali politycznych, którzy nie mogli sobie pozwolić na zignorowanie jego zaproszenia. Wiedział, że niektórzy z nich będą pognębieni czy nawet obrażeni jego piasecznikami. Liczył na to. Uważał przyjęcie za nieudane, jeżeli chociaż jeden z gości nie wyszedł z niego wściekły.

Pod wpływem chwili dodał do listy nazwisko Jali Wo.

– Jeśli pani chce, niech pani przyprowadzi ze sobą Shade'a – powiedział, przekazując jej zaproszenie.

Fakt, iż Wo je przyjęła nieco go zaskoczył.

– Shade nie będzie obecny – dodała. – Nie bierze udziału w imprezach towarzyskich. Ja natomiast chętnie sprawdzę na miejscu jak się sprawują pańskie piaseczniki.

Zamówił bardzo wystawne potrawy. Gdy wreszcie zamarły ostatnie rozmowy, a większość gości była do mdłości opita winem i objedzona przysmakami, zaszokował wszystkich osobiście zbierając do wielkiej miski resztki ze stołu.

– Chodźcie wszyscy – powiedział. – Chciałbym was przedstawić moim najnowszym ulubieńcom.

Niosąc miskę przed sobą, poprowadził ich do salonu.

Piaseczniki spełniły jego najbardziej wypieszczone nadzieje. Głodził je przez ostatnie dwa dni i teraz były w bardzo bojowym nastroju. Na oczach stłoczonych wokół pojemnika gości, przewidująco wyposażonych przez Kressa w powiększające gogle, stoczyły o wrzucone jedzenie wspaniałą walkę. Po jej zakończeniu Kress naliczył prawie sześćdziesiąt trupów. Czerwone i białe, które ostatnio zawarły rozejm, zdobyły większą część łupu.

– Kress, jesteś obrzydliwy – powiedziała Cath m'Lane. Żyła z nim przez pewien czas dwa lata wcześniej, aż jej ckliwy sentymentalizm niemal doprowadził go do obłędu. – To była głupota z mojej strony, że znowu tu przyszłam. Myślałam, że może się zmieniłeś, chcesz przeprosić. – Nigdy mu nie wybaczyła jego zachowania po tym, jak pełzacz zjadł jej niezwykle milutkiego pieska. – N i g d y więcej mnie nie zapraszaj, Simon.

Wymaszerowała, odprowadzona przez swego aktualnego kochanka i wybuchy chóralnego śmiechu.

Pozostali goście mieli mnóstwo pytań.

– Gdzieś zdobył te stworzenia? – chcieli wiedzieć.

– W firmie Wo i Shade, Import – odpowiedział, uprzejmym gestem wskazując Jalę Wo, która przez większość wieczoru trzymała się na uboczu i milczała.

– Dlaczego udekorowały mury zamków twymi podobiznami?

– Ponieważ jestem dla nich źródłem wszelkiego dobra. Przecież mnie znacie od tej strony, prawda? – Wzbudziło to szereg zduszonych chichotów.

– Czy będą znowu walczyć?

– Oczywiście, ale nie dzisiaj. Nie martwcie się. Będą następne przyjęcia.

Jad Rakkis, ksenobiolog-amator, zaczął mówić o innych społecznych owadach i wojnach, jakie one toczą.

– Te piaseczniki są zabawne, ale nie ma w nich nic szczególnego. Powinniście poczytać na przykład o ziemskich czerwonych mrówkach.

– Piaseczniki nie są owadami – powiedziała ostro Jala Wo, ale Rakkis był na fali i nikt nie zwrócił na jej słowa najmniejszej uwagi. Kress uśmiechnął się do niej i wzruszył ramionami.

Malada Blane zaproponowała, aby przy okazji następnej wojny robić zakłady. Wszyscy temu przyklasnęli i rozpoczęli ożywioną, niemal godzinną dyskusję na temat zasad i stawek. W końcu goście zaczęli się rozchodzić.

Jala Wo była ostatnia.

– Tak więc – powiedział Kress, gdy zostali sami – wygląda na to, że moje piaseczniki są przebojem.

– Rozwijają się całkiem dobrze. Już teraz są większe niż moje.

– Tak, z wyjątkiem pomarańczowych.

– Zauważyłam. Wydają się stosunkowo nieliczne i ich zamek jest w opłakanym stanie.

– No cóż, ktoś musi przegrywać – powiedział Kress. – Pomarańczowe najpóźniej się wykluły i urządziły. Teraz to się na nich odbija.

– Przepraszam– powiedziała Wo – mogę zapytać, czy wystarczająco pan karmi swoje piaseczniki?

Kress wzruszył ramionami.

– Poszczą czasami. Dzięki temu są bardziej zawzięte.

Zmarszczyła brwi.

– Nie ma potrzeby ich głodzić. Niech im pan pozwoli walczyć w ich własnym czasie i z własnych powodów. Walka leży w ich naturze i będzie pan świadkiem niezwykle subtelnych i złożonych konfliktów. Ciągłe, wywoływane głodem wojny są poniżające i pozbawione finezji.

Kress odpłacił jej równie wyraźnym niezadowoleniem.

– Jest pani w moim domu, Wo, i tutaj ja decyduję, co jest poniżające. Karmiłem piaseczniki tak, jak pani radziła i nie chciały walczyć.

– Musi się pan uzbroić w cierpliwość.

– Nie – odpowiedział Kress. – Przecież jestem ich panem i bogiem. Dlaczego miałbym czekać, aż nabiorą na coś ochoty? Nie walczyły dostatecznie często, by mnie zadowolić. Skorygowałem to.

– Rozumiem. Przedyskutuję tę sprawę z Shade'em.

– To nie jest pani zmartwienie. Ani jego.

– Wobec tego nie pozostaje nic innego, jak życzyć panu dobrej nocy – powiedziała Wo z rezygnacją. Potem jednak, nakładając płaszcz, obarzyła go pełnym dezaprobaty spojrzeniem.

– Niech pan obserwuje swoje twarze – ostrzegła. – Niech pan uważnie obserwuje swoje twarze.

Po jej wyjściu Kress, zaintrygowany, podszedł do pojemnika i przyjrzał się zamkom. Jego podobizny tkwiły na swoich miejscach, jak zawsze. Może tylko... – szybko nałożył powiększające gogle. Nawet wtedy różnica była trudna do uchwycenia. Wydało mu się, że wyraz wyrzeźbionych twarzy zmienił się nieco, że uśmiech został lekko wykrzywiony, tak, iż pojawił się w nim cień podłości. Była to bardzo subtelna zmiana, jeżeli w ogóle cokolwiek się zmieniło. W końcu Kress doszedł do wniosku, iż wrażenie powstało pod wpływem słów Jali Wo i postanowił więcej nie zapraszać jej na swe przyjęcia.

W ciągu następnych kilku miesięcy Kress wraz z garstką najbliższych znajomych spotykali się co tydzień na, jak lubili to nazywać, „grach wojennych". Teraz, gdy minęła już początkowa fascynacja piasecznikami, Kress więcej czasu poświęcał na interesy i obowiązki towarzyskie – kosztem obserwacji pojemnika. Jednak w dalszym ciągu lubił urządzać dla przyjaciół jedną czy dwie wojny. Utrzymywał swych kombatantów w ciągłej gotowości, na krawędzi głodu. Wyraźnie się to odbiło na pomarańczowych, których liczba tak znacznie się zmniejszyła, że Kress zaczął się zastanawiać czy ich mamka jeszcze żyje. Ale inne miały się całkiem nieźle.

Czasami w nocy, gdy nie mógł zasnąć, zabierał butelkę wina do ciemnego, oświetlonego jedynie czerwoną poświatą znad pustyni salonu. Pił i godzinami w samotności wpatrywał się w pojemnik. Zwykle gdzieś toczyła się walka, a jeżeli nawet nie, to z łatwością ją wywoływał, wrzucając do środka trochę jedzenia.

Podczas cotygodniowych spotkań zaczęli, jak to sugerowała Malada Blane, robić zakłady. Kress wygrał sporo, stawiając na białe, które stały się najsilniejszą i najbardziej liczną kolonią w pojemniku. Posiadały także największy zamek. Pewnego razu Kress odsunął pokrywę i wrzucił jedzenie nie, jak zwykle, na środek pola bitewnego, ale w pobliże ich zamku. W ten sposób pozostałe piaseczniki, chcąc mieć w ogóle cokolwiek do jedzenia, musiały ten zamek zaatakować. Próbowały. Białe broniły się wspaniale. Kress wygrał od Jada Rakkisa sto standartów.

Rakkis tracił na tych zakładach spore sumy niemal co tydzień. Rościł sobie pretensje do rozległej wiedzy o piasecznikach, utrzymując iż od czasu pierwszego przyjęcia dużo na ich temat prze-

czytał. Kress podejrzewał, że były to tylko puste przechwałki, bo kiedy przychodziło do zakładów zwykle nie dopisywało mu szczęście. Kress również usiłował dowiedzieć się czegoś o piasecznikach. W chwili nagłej ciekawości połączył się z miejscową biblioteką i starał się ustalić z jakiego świata piaseczniki pochodzą. Jednak takiego hasła w katalogu w ogóle nie było. Planował zadzwonić do Wo i spytać ją o to, ale pojawiły się inne sprawy i kwestia pochodzenia piaseczników umknęła mu z pamięci.

W końcu Rakkis, po miesiącu, w czasie którego jego straty sięgnęły tysiąca standartów, zjawił się na spotkaniu, niosąc pod pachą małe plastykowe pudełko. W środku znajdowało się przypominające pająka stworzenie, pokryte delikatnym, złotym włosem.

– Pająk piaskowy – oznajmił. – Z Cathaday. Dziś po południu dostałem go od t'Etherane. Zwykle usuwają im worki jadowe, ale ten jest nietknięty. Przyjmujesz zakład, Simon? Chcę odzyskać moje pieniądze. Stawiam tysiąc standartów, że mój pająk piaskowy poradzi sobie z twoimi piasecznikami.

Kress przyjrzał się zamkniętemu w plastykowym więzieniu zwierzęciu. Piaseczniki urosły i były, jak to słusznie Wo powiedziała, dwukrotnie większe niż jej własne – jednak przy tym stworzeniu wyglądały jak karły. Poza tym ono posiadało jad, a piaseczniki nie. Było ich jednak strasznie dużo. Ponadto ich wojny wewnętrzne ostatnio zaczęły już być nieco nużące. Odmiana, jaką niosło ze sobą to wyzwanie zaintrygowała Kressa.

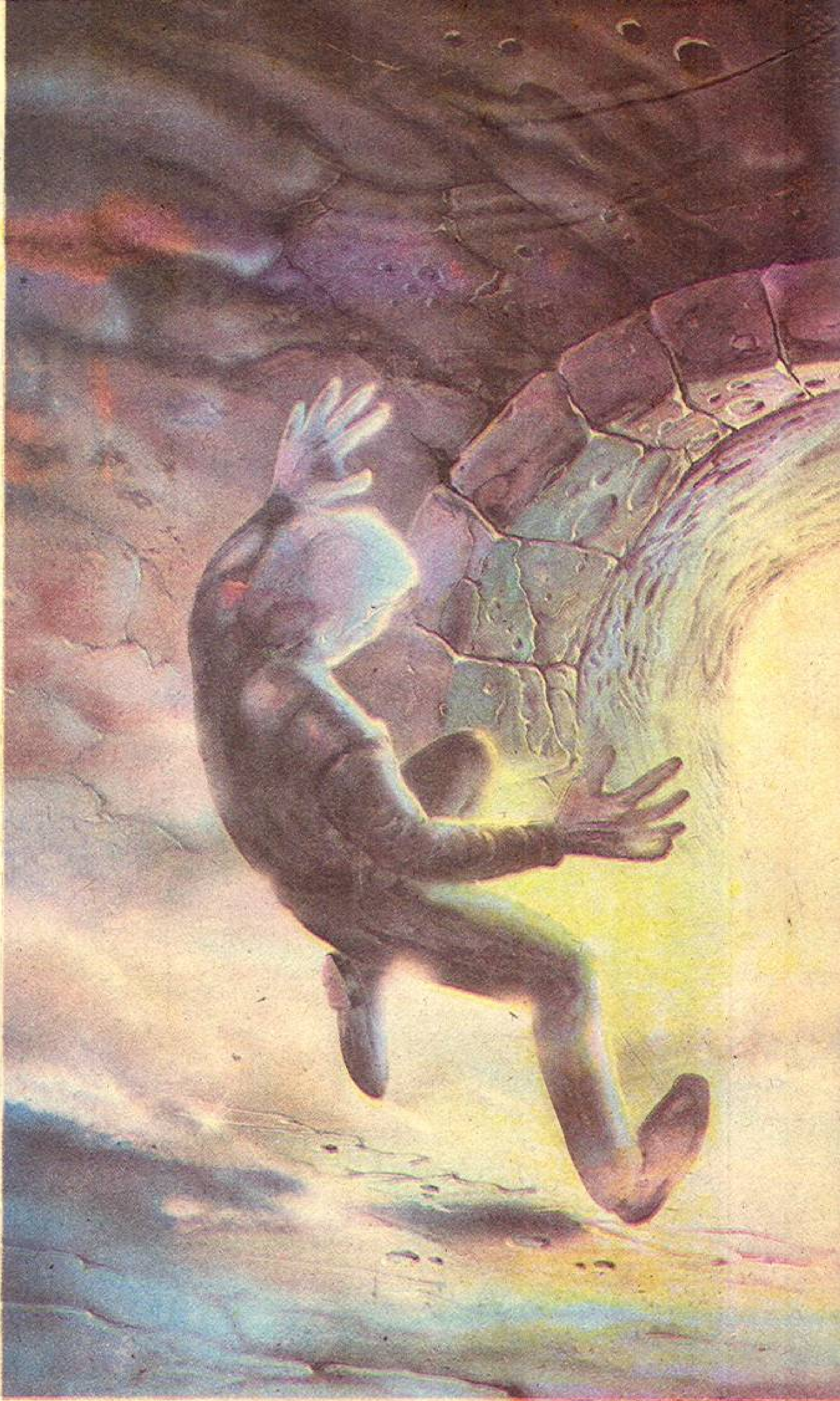
– W porządku – powiedział. – Jesteś głupcem, Jad. Oddziały piaseczników będą napływały tak długo, aż ten twój ohydny stwór będzie martwy.

– To ty jesteś głupcem, Simon – odpowiedział Rakkis z uśmiechem. – Cathadayski pająk piaskowy żywi się głównie stworzeniami, które żyją zagrzebane w jakichś norach czy szczelinach i – tylko patrz uważnie – pójdzie prosto do tych zamków i pożre mamki.

Pośród ogólnego śmiechu Kress stracił nagle humor. Tego nie wziął pod uwagę.

– Zaczynajmy już wreszcie – powiedział z irytacją. Uzupełnił sobie szklankę do pełna.

Pająk był zbyt duży, by mógł się zmieścić w otworze żywieniowym. Dwóch z gości pomogło Rakkisowi odsunąć pokrywę i Malada Blane wręczyła mu jego pudełko. Wytrząsnął pająka do pojemnika. Potworek wylądował na miniaturowej wydmie tuż przed zamkiem czerwonych. Stracił orientację i stał przez chwilę nieruchomo, tylko jego żuchwy pracowały bez przerwy, a odnóża podrygiwały wyzywająco.



Jerzy Kurczak

– No, dalej – ponaglił go Rakkis. Wszyscy zebrali się ciasnym kręgiem wokół pojemnika. Kress odszukał i nałożył swoje gogle. Jeżeli miał stracić tysiąc standartów, chciał przynajmniej dobrze widzieć co się dzieje.

Piaseczniki zauważyły intruza. W całym zamku w jednej chwili zamarł wszelki ruch. Małe czerwone stworzenia stały zmrożone, patrząc.

Pająk ruszył w stronę obiecującej, zacienionej bramy. Z górującej nad wszystkim wieży obojętnie patrzyło na niego oblicze Simona Kressa.

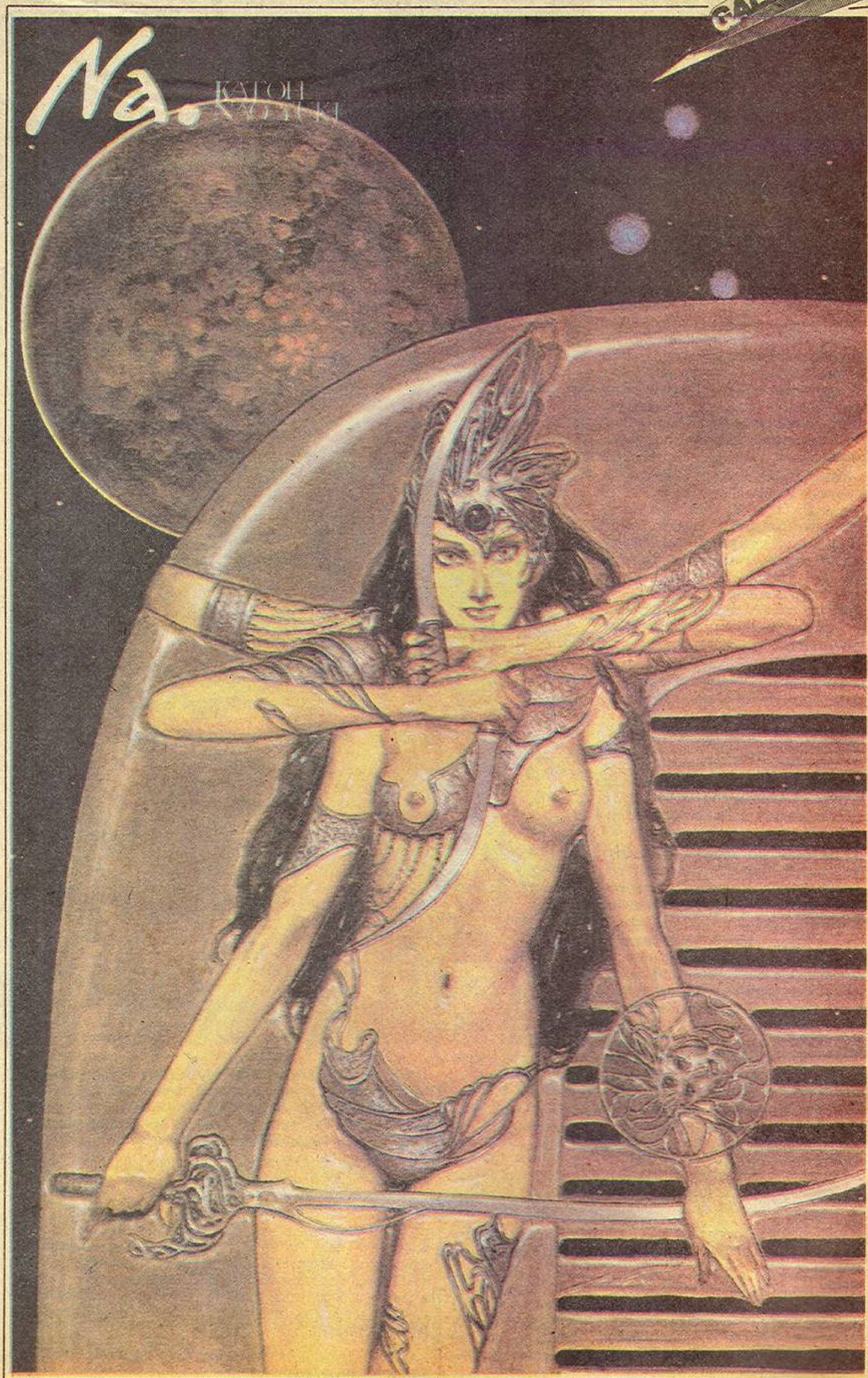
Natychmiast wybuchła burza aktywności. Najbliższe piaseczniki uformowały się w dwa kliny i poprzez piasek runęły ku pająkowi. Coraz więcej wojowników wysypywało się z wnętrza zamku i tworzyło potrójny szereg, strzegący zejścia ku podziemnej komnacie, w której żyła mamka. Z pustyni w pośpiechu nadciągali wezwani do walki zwiadowcy.

Bitwa została przyjęta.

Szarżujące piaseczniki dosięgnęły pająka. Szczypce uchwyciły odnóża, wbiły się w tułów, zacisnęły. Czerwoni wojownicy wbiegali po złotych nogach na plecy napastnika. Kąsali i darli. Jeden z nich dotarł do oka i rozciął je cieniutkimi żółtymi czułkami. Kress uśmiechnął się i wskazał to Rakkisowi.

Jednak piaseczniki były m a ł e i nie miały jadu. I pająk się nie zatrzymywał. Jego nogi strzepywały atakujących, rozrzucając ich na wszystkie strony. Ociekające trucizną szczęki odnajdowały innych, wypuszczając połamane, sztywniejące zwłoki. Już przeszło tuzin piaseczników leżało martwych. Pająk posuwał się wciąż dalej i dalej. Przeszedł prosto przez potrójną linię strażników przed zamkiem. Szeregi zamknęły się wokół niego, pokryły go, rzucając się do desperackiej walki. Kress zauważył, że któryś z oddziałów odciął jedną z jego nóg. Część obrońców wchodziła na wieże zamku i skakała, lądując na drgającym, falującym kłębowisku poniżej.

Pająk, zupełnie niewidoczny pod masą rojącej się czerwieni, wpełzł jednak w ciemność bramy i zniknął.


Na.
KATOH
NAOYUKI

Jad Rakkis odetchnął głęboko. Był wyraźnie blady.

– Cudownie – powiedział czyjś głos. Malada Blane jakoś dziwnie, z głębi gardła zachichotała.

– Patrz! – powiedziała Idi Noreddian, pociągając Kressa za rękaw.

Byli tak zajęci tym, co się działo w rogu czerwonych, że nie zwracali najmniejszej uwagi na pozostałą część pojemnika. Jednak teraz zamek był spokojny, piaski puste, usłane tylko trupami piaseczników i teraz zobaczyli.

W pobliżu zamku czerwonych zostały podciągnięte trzy armie. Stały zupełnie nieruchomo, w idealnym porządku, szereg za szeregiem. Pomarańczowa, biała, czarna. Czekały, by zobaczyć kto wyjdzie z ciemności.

Simon Kress się uśmiechnął.

– Kordon sanitarny – powiedział. – Spójrz, z łaski swojej, na pozostałe zamki, Jad.

Rakkis spojrzał i zaklął. Oddziały piaseczników piaskiem i kamieniami zalepiały bramy. Jeżeli pająkowi uda się jakoś wyjść cało z bitwy z czekającymi armiami, nie będzie miał łatwego dostępu do wnętrza tych zamków.

– Powinienem był przynieść cztery pająki – powiedział Rakkis. – Jednak mimo wszystko wygrałem. Mój pająk jest teraz tam, na dole i zżera twoją pieprzoną mamkę.

Kress nie odpowiedział. Czekał. W ciemnościach coś się poruszyło.

Nagle czerwone piaseczniki zaczęły wylewać się z bramy szerokim strumieniem. Szybko wdrapywały się na mury zamku i rozpoczynały naprawę dokonanych przez pająka zniszczeń. Czekające armie rozsypały się i wycofały do swych rogów.

– Jad – powiedział Kress – myślę, że jesteś trochę zaskoczony tym, kto zżera kogo.

Tydzień później Rakkis przyniósł cztery cienkie srebrne węże. Piaseczniki rozprawiły się z nimi bez większych trudności.

Potem próbował z dużym czarnym ptakiem, który zjadł ponad trzydzieści białych piaseczników i miotając się niemal doszczętnie zniszczył ich zamek. Jednak w końcu jego skrzydła się zmęczyły, a piaseczniki, ilekroć wylądował, atakowały go dużymi siłami.

Następnym ich przeciwnikiem były owady – opancerzone żuki, niewiele różniące się od nich samych. Jednak głupie, okropnie głupie. Połączone siły pomarańczowych i czarnych złamały i rozproszyły ich szyk i wyrżnęły jednego po drugim.

Rakkis zaczął dawać Kressowi weksle.

Mniej więcej w tym czasie Kress znów spotkał Cath m'Lane. Stało się to podczas kolacji, którą spożywał w swojej ulubionej restauracji w Asgardzie. Zatrzymał się na chwilę przy jej stoliku, opowiedział o swych grach wojennych i zaprosił ją, by się do nich przyłączyła. Poczerwieniała, potem odzyskała nad sobą kontrolę i stała się lodowata.

– Ktoś wreszcie musi cię powstrzymać, Simon – powiedziała. – Myślę, że to będę ja.

Kress wzruszył ramionami, zajął się znakomitym jedzeniem i nie myślał więcej o jej groźbie. Aż do chwili, gdy, tydzień później, u jego drzwi stanęła niewysoka, tęga kobieta i pokazała mu odznakę policyjną.

– Wpłynęło do nas zażalenie – powiedziała. – Czy ma pan terrarium z niebezpiecznymi owadami, Kress?

– To nie są owady – odpowiedział, gotując się wewnętrznie. – Proszę, pokażę pani.

Gdy zobaczyła piaseczniki, potrząsnęła głową.

– Nie da rady, to nie przejdzie. Co pan w ogóle wie o tych stworzeniach? Czy wie pan z jakiego świata pochodzą? Czy zostały zatwierdzone przez radę ekologiczną? Czy ma pan na nie pozwolenie? Doniesiono nam, że one są mięsożerne, prawdopodobnie niebezpieczne. Zawiadomiono nas również, iż są obdarzone ograniczoną świadomością. A w ogóle skąd pan je wziął?

– Kupiłem u Wo i Shade'a – odpowiedział Kress.

– Nigdy o nich nie słyszałam. Prawdopodobnie przemycili je, wiedząc, że nasi ekolodzy nigdy by ich nie zatwierdzili. Nie, Kress, to nie przejdzie. Mam zamiar skonfiskować ten pojemnik i dać go do zniszczenia. I może się pan również spodziewać kary pieniężnej.

Kress zaproponował jej sto standartów w zamian za zapomnienie o nim i jego piasecznikach.

Kobieta prychnęła.

– Teraz będę musiała do zarzutów przeciwko panu dodać próbę przekupstwa.

Nie dawała się przekonać aż do chwili, w której podniósł ofertę do dwóch tysięcy standartów.

– Wie pan, to nie będzie łatwe – powiedziała. – Trzeba na nowo wypełnić formularze, wymazać zapisy. Poza tym sporo czasu zajmie wydobycie od ekologów fałszywego zezwolenia. Nie wspominając już o wnoszącym zażalenie. Co będzie, jeśli ona znowu zadzwoni?

– Ją proszę zostawić mnie – powiedział Kress. – Proszę ją zostawić mnie.

Pomyślał o tym wszystkim przez chwilę. Jeszcze tego wieczora wykonał kilka telefonów.

Przede wszystkim zadzwonił do „t'Etherane – Sprzedaż Zwierząt Domowych".

– Chciałbym kupić psa – powiedział. – Szczeniaka.

Tłusty handlarz popatrzył na niego osłupiałym wzrokiem.

– Szczeniaka? To zupełnie do ciebie niepodobne, Simon. Ale zajrzyj do nas. Mamy wspaniały wybór.

– Chcę szczeniaka ściśle określonego rodzaju – powiedział Kress. – Zapisuj, przedyktuję ci jak on ma wyglądać.

Następnie wypukał numer Idi Noreddian.

– Idi – powiedział – chcę, żebyś zjawiła się dziś u mnie ze sprzętem holowizyjnym. Mam ochotę zarejestrować pewną walkę. Jako prezent dla jednej z moich przyjaciółek.

Tej nocy, po zrobieniu nagrania, Kress nie kładł się do późna. Wchłonął w swym sensorium nowy, kontrowersyjny spektakl dramatyczny, przygotował sobie niewielką przekąskę, wypalił jedno czy dwa cygara i uporał się z butelką wina. Czując się bardzo z siebie zadowolony, przeszedł ze szklanką w ręku do salonu.

Światła były wygaszone. Cienie, zrodzone z czerwonej poświaty znad terrarium, płonęły chorobliwym, gorączkowym blaskiem. Podszedł, by spojrzeć na swe królestwo, ciekaw, jak czarne radziły sobie z naprawą zamku. Szczeniak obrócił go w ruinę.

Odbudowa postępowała całkiem sprawnie. Gdy Kress przez powiększające gogle przyglądał się pracy, jego wzrok zahaczył o twarz na wieży. Zdumiała go.

Odsunął się, zamrugał, pociągnął potężny łyk wina i znów spojrzał.

Twarz, którą widział była wciąż jego twarzą. Ale zupełnie nieprawdziwą, wykrzywioną. Policzki były spasione jak u wieprza, uśmiech zmienił się w złośliwy grymas. Wyglądał nieprawdopodobnie podle.

Zaniepokojony, zaczął okrążać pojemnik, by przyjrzeć się innym zamkom. Każda z twarzy była nieco różna, ale wszystkie miały zdecydowanie tę samą wymowę.

Pomarańczowe pominęły wszelkie szczegóły, ale i tak rezultatem było oblicze potwora – pełne brutalności usta, bezduszne oczy.

Czerwone obdarzyły go satanicznym, krzywym uśmieszkiem. W kącikach ust czaiło się coś dziwnego i nieprzyjemnego.

Białe, jego faworyci, wyrzeźbiły okrutnego boga-półgłówka.

Z wściekłością cisnął szklanką z winem o ścianę.

– Jak śmiałyście – wysyczał resztką oddechu. – Przez tydzień nie dostaniecie nic do żarcia! Ja was nauczę.

Przyszedł mu do głowy pomysł. Wybiegł z salonu, aby po chwili wrócić z zabytkowym żelaznym mieczem blisko metrowej długości, o wciąż jeszcze ostrym sztychu. Uśmiechnął się, stanął tuż przy ścianie pojemnika i odsunął pokrywę znad jednego rogu. Sięgnął w dół i dźgnął stojący w tym rogu zamek białych. Potem zaczął machać mieczem tam i z powrotem, rozwalając mury, krużganki, wieże. Gramolące się piaseczniki zostały zasypane piaskiem i kamieniami. Drobnym ruchem nadgarstka unicestwił bezczelną, uwłaczającą karykaturę, w którą piaseczniki zmieniły jego twarz. Potem zawiesił miecz nad ciemną, prowadzącą ku komnacie mamki jamą i opuścił go z całą siłą. Usłyszał miękkie mlaśnięcie i poczuł opór. Białe piaseczniki zadrżały i upadły. Usatysfakcjonowany, wyciągnął miecz z powrotem.

Patrzył przez chwilę na swe dzieło, zastanawiając się czy zabił mamkę. Ostrze miecza było wilgotne i śliskie. Jednak po chwili białe piaseczniki znów zaczęły się poruszać. Chwiejnie i powoli, ale jednak się ruszały.

Przygotował się do zasunięcia pokrywy nad tym rogiem i przejścia do następnego zamku, gdy poczuł, że po jego ręce coś pełźnie.

Wrzasnął, wypuścił miecz i gwałtownie przeciągnął drugą ręką po skórze. Piasecznik spadł na dywan. Zmiażdżył go obcasem, depcząc wściekle jeszcze długo po tym, jak stał się on tylko bezkształtną masą. Trzęsąc się z obrzydzenia pośpiesznie zamknął i zabezpieczył pokrywę. Wybiegł, by wziąć prysznic i dokładnie się obejrzał. Ubranie, które miał na sobie, starannie wygotował.

Jakiś czas później, po kilku szklankach wina, wrócił do salonu. Był trochę zawstydzony przerażeniem, jakie ten piasecznik w

nim wzbudził. Ale na ponowne otwieranie pojemnika nie miał najmniejszej ochoty. Od tej chwili pokrywa będzie stale zamknięta. Musiał jednak jakoś ukarać pozostałe zamki.

Postanowił poszukać pomysłu w następnej szklance wina. Gdy ją skończył, spłynęło na niego natchnienie. Uśmiechnął się, podszedł do pojemnika i wprowadził kilka poprawek w systemie regulującym wilgotność powietrza.

Zanim usnął na kanapie, ściskając w dłoni nową szklankę wina, zamki kruszyły się, rozmywały pod strugami deszczu.

Obudziło go gniewne walenie do drzwi wejściowych.

Usiadł, wciąż podpity, z czaszką trzeszczącą od bólu. Kac po winie jest zawsze najgorszy, pomyślał. Wstał i chwiejnym krokiem poszedł do przedpokoju.

Przed drzwiami stała Cath m'Lane.

– Ty bydlaku – powiedziała. Twarz miała zapuchniętą i poznaczoną śladami łez. – Płakałam przez całą noc. Ale nigdy więcej, Simon, nigdy więcej.

– Spokojnie – szepnął, trzymając się za głowę. – Mam kaca.

Klnąc odepchnęła go na bok i weszła do domu. Zza rogu wylazł pełzacz, jakby chcąc się dowiedzieć co to za hałasy. Splunęła na niego i wbiegła do salonu. Kress bezskutecznie usiłował ją dogonić.

– Stań na chwilę – powiedział Kress. – Dokąd ... nie możesz...

Zatrzymał się nagle, skamieniały z przerażenia. Cath w lewym ręku trzymała ciężki młotek.

– Nie – powiedział.

Poszła prosto ku terrarium.

– Bardzo lubisz te urocze stworzonka, prawda Simon? To możesz sobie z nimi mieszkać!

– Cath! – wrzasnął.

Chwyciwszy młotek w obie dłonie, skierowała go z całą siłą na ścianę pojemnika. Odgłos uderzenia niemal rozsadził Kressowi czaszkę. Jednak plastyk wytrzymał.

Znowu się zamierzyła. Tym razem rozległ się trzask i na ścianie pojawiła się sieć cienkich linii.

Kress rzucił się na nią, gdy podnosiła młotek do trzeciego uderzenia. Mocując się, upadli na podłogę i kilkakrotnie się przetoczyli. Cath wypuściła młotek i złapała Kressa za gardło, usiłując dusić. Wywinął się i ukąsił ją do krwi w ramię.

W końcu stanęli niepewnie na nogi, dysząc ciężko.

– Powinieneś się teraz zobaczyć, Simon – powiedziała ponuro. – Krew kapie ci z ust. Wyglądasz jak jeden z tych twoich ulubieńców. Jak ci się podoba ten smak?

– Wynoś się – powiedział. Zauważył miecz, leżący na podłodze, tam, gdzie go wczoraj rzucił. Podniósł go pośpiesznie. – Wynoś się – powtórzył, wywijając nim dla dodania wagi słowom. – Nie próbuj podchodzić do pojemnika.

Zaśmiała się.

– Nie odważysz się – powiedziała i schyliła się, by podnieść młotek.

Kress wrzasnął i pchnął. Zanim w pełni uświadomił sobie, co się stało, żelazne ostrze gładko przeszło przez pierś Cath. Spojrzała na niego zaskoczona, potem opuściła wzrok ku mieczowi. Kress odskoczył.

– Nie chciałem... – zaskomlił. – Ja chciałem tylko...

Krwawiła, umierała, ale jakimś cudem utrzymywała się na nogach.

– Ty potworze – zdołała wycharczeć pełnymi krwi ustami. Okręciła się i ostatkiem sił rzuciła na pojemnik. Nadwerężona ściana pękła i Cath m'Lane runęła, przysypana lawiną piasku, błota i odłamków plastyku.

Kress histerycznie, cieniutko zapiszczał i wskoczył na kanapę.

Z rumowiska na środku podłogi zaczęły wygrzebywać się piaseczniki. Przechodziły po ciele Cath. Kilka z nich ruszyło na zwiad w poprzek dywanu. Za nimi poszły inne.

Kress patrzył, jak formuje się kolumna – żywy, falujący prostokąt. Idące w jej środku piaseczniki coś niosły, coś śliskiego i bezkształtnego, kawał pulsującego, surowego mięsa wielkości ludzkiej głowy. Kolumna ruszyła naprzód, oddalając się od pojemnika.

Kress nie wytrzymał i uciekł.

Aż do późnego popołudnia nie mógł zebrać dość odwagi, by wrócić.

Uciekając pobiegł do ślizgacza i niemal chory ze strachu, poleciał do najbliższego miasta, leżącego w odległości około 50 kilometrów. Tam, wreszcie bezpieczny, wszedł do jakiejś małej restauracyjki, wypił kilka filiżanek kawy zagryzając tabletkami na kaca, zamówił dość obfite śniadanie i stopniowo odzyskał równowagę.

To był straszliwy poranek, ale dramatyzowanie tego, co zaszło, niczego nie załatwiało. Zamówił jeszcze jedną kawę i z chłodnym racjonalizmem rozważył swoją sytuację.

Cath m'Lane zginęła z jego ręki. Czy mógł o tym zameldować, broniąc się, że było to niezamierzone i przypadkowe? Raczej nie. Ostatecznie przebił ją na wylot, a poza tym tej policjantce powiedział, żeby osobę, która wniosła zażalenie zostawiła jemu. Musi pozbyć się wszelkich obciążających dowodów. Miał nadzieję, że m'Lane nie powiedziała nikomu, dokąd się tego ranka wybiera. Najprawdopodobniej nie powiedziała. Jego podarunek mógł do niej dotrzeć nie wcześniej niż późnym wieczorem. Stwierdziła, że całą noc płakała. Była sama, gdy się u niego zjawiła. Bardzo dobrze; ma jedno ciało i jeden ślizgacz, których się będzie musiał pozbyć.

Pozostawały jeszcze piaseczniki. One mogą sprawić nieco większe trudności. Bez wątpienia do tej pory wszystkie już zdążyły uciec. Wyobraził je sobie w całym domu, w jego łóżku, w ubraniach, rojące się w jego jedzeniu i dostał gęsiej skórki. Wysiłkiem woli opanował paraliżującą odrazę. Przypomniał sobie, że ich zabicie nie powinno być takie trudne. Nie musi przecież ścigać każdego z osobna. Tylko cztery mamki, to wszystko. Powinno się udać. Mamki były duże, widział przecież. Odnajdzie je i zabije.

Zanim poleciał z powrotem do domu odwiedził kilka sklepów. Kupił mocny, okrywający całe ciało kombinezon, kilka torebek używanej przy usuwaniu skalników trucizny w tabletkach oraz kanister z rozpylaczem, zawierający nielegalnie silny pestycyd. Kupił również magnetyczne urządzenia holownicze.

Po wylądowaniu metodycznie zabrał się do rzeczy. Przede wszystkim holem magnetycznym podczepił do swego ślizgacza ślizgacz Cath. Przy jego przeszukiwaniu po raz pierwszy tego dnia uśmiechnęło się do niego szczęście. Na przednim siedzeniu leżał kryształ, zawierający zrobiony przez Idi Noreddian holograficzny zapis walki szczeniaka z piasecznikami. Ten kryształ był jednym z powodów do zmartwienia.

Gdy ślizgacze były gotowe, włożył kombinezon i wszedł do domu po ciało Cath.

Nie było go.

Starannie ponakłuwał szybko wysychający piasek, jednak nie mogło być wątpliwości – ciało zniknęło. Czyżby Cath jeszcze żyła i zdołała odczołgać się gdzieś w bok? Wątpliwe, jednak postanowił przeszukać dom. Pobieżna inspekcja nic nie dała – nie znalazł ciała, nie znalazł również piaseczników. Nie miał czasu na bardziej dokładne poszukiwania, gdyż tuż przed drzwiami tkwił obciążający go ślizgacz. Postanowił spróbować jeszcze raz później.

Około siedemdziesiąt kilometrów na północ od jego posiadłości leżało pasmo aktywnych wulkanów. Poleciał tam, holując ślizgacz Cath. Nad największym z dymiących stożków wyłączył magnesy, a potem przyglądał się, jak ślizgacz znika w jeziorze lawy.

Zmierzchało już, gdy wrócił do domu. To mu pozwalało na zrobienie przerwy. Rozważał przez chwilę możliwość powrotu do miasta i spędzenia tam nocy, jednak szybko z tego pomysłu zrezygnował. Miał przed sobą sporo pracy. Jeszcze nie był bezpieczny.

Rozrzucił wokół domu trujące tabletki. Nikt nie będzie tego uważał za podejrzane. Kress zawsze miał problemy ze skalnikami. Gdy się z tym uporał, odbezpieczył kanister z pestycydem i wrócił do domu.

Przeszedł cały budynek, pokój po pokoju, wszędzie włączając światła. Zatrzymał się w salonie, by wrzucić piasek i okruchy plastyku z powrotem do rozbitego pojemnika. Tak jak się obawiał, wszystkie piaseczniki uciekły. Zamki były skurczone i wykoślawione, rozmyte potopem, który na nie spuścił. To, co z nich zostało wysychając szybko się rozpadało.

Zmarszczył brwi i szukał dalej, z kanistrem przytroczonym do ramion.

Na ciało Cath m'Lane natknął się na dnie swej najgłębszej piwnicy.

Leżało rozciągnięte u stóp stromych schodów, z kończynami

George R.R. MARTIN

Amerykański pisarz urodzony w roku 1948, debiutował w roku 1971. W ciągu kilku zaledwie lat zajął miejsce w gronie najwyżej cenionych autorów SF. Najbardziej odpowiada mu forma dużego opowiadania-noweli, w której może wprowadzić rozbudowane tło. Słynne opowiadania Martina to: „A Song for Lya" („Pieśń dla Lyanny", „Fantastyka" nr 1–2/82), „The Storms of Windhaven" (współautor: Lisa Tuttle, 1975; „Planeta Burz", „Fantastyka" nr 7/83) oraz prezentowane tutaj „Piaseczniki" („Sandkings") wyróżniające się swoim okrucieństwem spośród romantycznych, często sentymentalnych opowiadań tego autora.

L.J.

powykręcanymi jakby od upadku. Jego skóra roiła się od białych piaseczników. Gdy Kress przyglądał się tej scenie, ciało drgnęło, przesuwając się po zarośniętej brudem podłodze.

Zaśmiał się i przekręcił regulator natężenia światła do maksimum. W przeciwległym rogu, między dwoma stojakami na wino, przycupnął niewielki, ziemny zamek z ciemną dziurą u podstawy. Na ścianie piwnicy Kress zauważył niewyraźny zarys swojej twarzy.

Ciało znów drgnęło, przesuwając się kilka centymetrów w stronę zamku. Kress nagle wyobraził sobie czekającą niecierpliwie, głodną białą mamkę. Byłaby może w stanie zmieścić w swej gębie stopę Cath, ale przecież nic więcej. To było zbyt absurdalne. Znów się zaśmiał i z palcem na zaworze, zamykającym wylot węża, zaczął schodzić w dół. Piaseczniki – setki, poruszające się jak jeden – opuściły ciało i sformowały linie obronne, pole bieli między nim a mamką.

Nagle Kressowi przyszła do głowy inna myśl. Uśmiechnął się i opuścił uzbrojone w wąż ramię.

– Cath zawsze była trudna do strawienia – powiedział, zachwycony swoim dowcipem. – Szczególnie dla kogoś o waszych rozmiarach. Chyba będę musiał wam pomóc. Od czego w końcu są bogowie?

Pobiegł na górę i po chwili wrócił z tasakiem. Piaseczniki cierpliwie czekały i przyglądały się, jak Kress rozrąbuje ciało Cath m'Lane na małe, łatwe do strawienia kawałki.

Tej nocy spał w kombinezonie, z kanistrem pestycydu w zasięgu ręki. Nie musiał go jednak używać. Białe, nasycone, zostały w piwnicy, a na inne dotychczas się nie natknął.

Rano dokończył sprzątania salonu. Nie został w nim żaden ślad po walce, poza rozbitym pojemnikiem.

Zjadł lekki lunch i na nowo podjął poszukiwania zaginionych piaseczników. W pełnym świetle dnia ich znalezienie nie było trudne. Czarne ulokowały się w jego skalnym ogrodzie, budując zamek ciężki od obsydianu i kwarcu. Czerwone znalazł na dnie długo nie używanego basenu pływackiego, częściowo wypełnionego latami nanoszonym przez wiatr piaskiem. Widział piaseczniki obu kolorów, uwijające się po posiadłości, przy tym niektóre, całkiem liczne, niosły do swych mamek tabletki trucizny. Kress doszedł do wniosku, że pestycyd jest już zbędny. Nie było potrzeby ryzykowania walki, skoro mógł po prostu poczekać, aż trucizna zrobi swoje. Do wieczora obie mamki powinny być martwe.

Pozostawało jeszcze odnalezienie pomarańczowych. Kress okrążył posiadłość kilka razy rozszerzającą się spiralą, lecz nigdzie się na nie nie natknął. Gdy zaczął spływać potem – dzień był suchy i gorący, a kombinezon szczelny – zdecydował, iż nie jest to aż tak ważne. Jeżeli gdzieś tu były, prawdopodobnie jadły teraz tabletki trucizny razem z czarnymi i czerwonymi.

Wracając do domu z satysfakcją rozdeptał kilka piaseczników, które wlazły mu pod nogi. Wewnątrz zrzucił kombinezon, zjadł znakomity obiad i położył się, by odpocząć. Wszystko było pod kontrolą. Dwie mamki wkrótce przestaną żyć. Trzecia znajdowała się w miejscu, w którym łatwo mógł ją zlikwidować, gdy już przestanie mu być potrzebna. Nie miał również wątpliwości, że w końcu uda mu się odnaleźć czwartą. Sprawa Cath przestała istnieć – wszelkie ślady jej wizyty zostały zatarte.

Z zadumy wyrwało go mruganie ekranu telefonu. Dzwonił Jad Rakkis, chcąc się pochwalić jakimiś wszystkożernymi robakami, które miał zamiar przynieść na dzisiejsze gry wojenne.

Kress zupełnie o tym zapomniał, ale szybko odzyskał zimną krew.

– Oj, przepraszam, Jad, powinienem cię wcześniej zawiadomić. Już mi się to wszystko znudziło i pozbyłem się piaseczników. Wstrętne małe potworki. Przykro mi, ale nie będzie dziś przyjęcia.

Rakkis był oburzony.

– No to co ja mam zrobić z moimi robakami?

– Włóż je do koszyka z owocami i wyślij swojej ukochanej – powiedział Kress, przerywając połączenie. Szybko zadzwonił do pozostałych bywalców jego przyjęć. Nie chciał, aby ktokolwiek pałętał mu się pod drzwiami, dopóki piaseczniki żyły i łaziły po posiadłości.

Gdy dzwonił do Idi Noreddian, zdał sobie sprawę z irytującego niedopatrzenia. Ekran zaczął się przeczyszczać, wskazując, że telefon nie został odbrany. Kress wyłączył się.

Idi zjawiła się godzinę później, o zwykłej porze. Była nieco zaskoczona tym, że przyjęcie zostało odwołane, ale jednocześnie bardzo zadowolona z perspektywy spędzenia wieczoru sam na sam z Kressem. Rozbawił ją opowieścią o reakcji Cath na zrobiony przez nich hologram. Zdołał się przy tym upewnić, że Idi nikomu nie wspomniała o tym ich dowcipie. Skinął głową, zadowolony, i ponownie napełnił winem kieliszki. W butelce zostało już tylko kilka kropel.

– Będę musiał przynieść nową – powiedział. – Chodź ze mną do piwnicy i pomóż mi wybrać dobry rocznik. Zawsze miałaś lepsze podniebienie niż ja.

Poszła z nim dość chętnie, jednak na szczycie schodów, gdy otworzył drzwi i gestem wskazał, by weszła pierwsza, zawahała się.

– Dlaczego światło jest wyłączone? – spytała. – I ten zapach – co to za dziwny zapach, Simon?

Wyglądała na zaskoczoną, gdy ją pchnął. Wrzasnęła, spadając ze schodów. Kress zatrzasnął drzwi i zaczął zabijać je deskami, które, wraz z gwoździami i młotkiem, przygotował i zostawił tu wcześniej. Gdy kończył, usłyszał jęk Idi.

– Boli mnie – zawołała. – Simon, co to jest? – Nagle zapiszczała. Chwilę później rozległ się krzyk.

Nie milkł przez godziny. Kress, chcąc się od niego odgrodzić, poszedł do sensorium i wystukał zamówienie na pieprzną komedię.

Gdy nabrał pewności, że Idi już nie żyje, zaciągnął jej ślizgacz na północ i wrzucił do wulkanu. Hol magnetyczny okazał się dobrą inwestycją.

Następnego ranka, gdy zszedł na dół, by sprawdzić czy wszystko jest w porządku, usłyszał dziwne, przypominające skrobanie dźwięki, które dochodziły zza drzwi piwnicy. Przez kilka chwil słuchał w napięciu, zastanawiając się czy to możliwe, by Idi Noreddian przeżyła i teraz drapała w drzwi, chcąc się wydostać. Mało prawdopodobne, to muszą być piaseczniki. Kressowi nie podobało się to, co mogło się kryć za tymi dźwiękami. Postanowił trzymać drzwi zabite, przynajmniej przez jakiś czas. Wziął łopatę i wyszedł na zewnątrz, by pochować mamki, czerwoną i czarną, pod ich własnymi zamkami.

Znalazł je w doskonałym zdrowiu.

Czarny zamek, oblepiony krzątającymi się piasecznikami, połyskiwał szkłem wulkanicznym. Na najwyższej, sięgającej mu do pasa wieży Kress zobaczył wstrętną karykaturę swojej twarzy. Gdy podszedł bliżej, czarne przerwały pracę i uformowały się w dwie groźne falangi. Obejrzał się i zobaczył, że inne odcinają mu drogę ucieczki. Zdumiony, porzucił łopatę i pośpiesznie wybiegł z pułapki, krusząc pod butami kilka czarnych pancerzy.

Zamek czerwonych wspinał się po ścianie basenu. Mamka była bezpiecznie umieszczona w szczelinie, otoczona piaskiem, betonem i umocnieniami. Czerwone piaseczniki łaziły po całym dnie basenu. Kress zauważył grupy, niosące do zamku skalnika i dużą jaszczurkę. Przerażony cofnął się od skraju basenu i usłyszał jakiś chrobot. Spojrzał w dół. Zobaczył trzy piaseczniki, wspinające się po jego nodze. Strącił je i starannie rozdeptał, ale już nadciągały inne. Były większe, niż je pamiętał. Niektóre były wielkości jego kciuka.

Zaczął biec. Zanim znalazł się bezpieczny w domu, serce mu waliło jak oszalałe i ledwie łapał oddech. Zatrzasnął drzwi i zaczął je pośpiesznie blokować zamkami. Jego dom został tak zaprojektowany, by był owadoszczelny. Wewnątrz będzie bezpieczny.

Mocny drink ukoił mu trochę nerwy. A więc trucizna im nie zaszkodziła, pomyślał. Powinien był się domyślić. Wo ostrzegła go, że mamki mogą jeść praktycznie wszystko. Będzie musiał użyć pestycydu. Wypił dla równego rachunku następnego drinka, włożył kombinezon i przytroczył kanister do pleców. Otworzył drzwi.

Przed nimi, na zewnątrz, czekały piaseczniki.

Stanęły przeciwko niemu obie armie, zjednoczone w obliczu wspólnego zagrożenia, bardziej liczne, niż mógłby sobie wyobrazić. Przeklęte mamki musiały płodzić jak skalniki. Piaseczniki były wszędzie, tworzyły pełznące morze.

Kress podniósł wylot węża i otworzył zawór. Szara mgła pokryła najbliższe szeregi. Poruszył ręką w jedną, w drugą stronę.

Tam, gdzie sięgnęła mgła, piaseczniki skręcały się gwałtownie i zdychały w drgawkach. Kress uśmiechnął się. To nie był przeciwnik dla niego. Rozpylił pestycyd szerokim łukiem i śmiało postąpił naprzód, depcząc ściółkę z czarnych i czerwonych ciał. Armie cofnęły się. Kress ruszył, zdecydowany przebić się przez nie ku mamkom.

Ucieczka natychmiast została przerwana. Tysiąc piaseczników runęło ku niemu jak fala.

Kress oczekiwał przeciwuderzenia. Utrzymał pozycję, szerokimi ruchami zamiatając przed sobą swym mgielnym mieczem. Piaseczniki szły na niego i umierały. Niektóre się przebiły – nie mógł przecież rozpylać trucizny wszędzie jednocześnie. Poczuł, jak wspinają mu się po nogach, jak ich szczypce daremnie usiłu-

ją przeciąć wzmocniony plastyk kombinezonu. Zignorował je i kontynuował rozpylanie.

Potem zaczął czuć miękkie uderzenia w kark i w głowę.

Zadrżał, okręcił się i spojrzał w górę. Ściana jego domu żyła, pokryta setkami piaseczników. Wspinały się, odbijały i jak deszcz spadały na niego i wszędzie wokół niego. Jeden wylądował na osłonie twarzy, usiłując przez długą, straszną sekundę, zanim Kress strącił go na ziemię, sięgnąć szczypcami ku oczom.

Kress podniósł wylot węża, spryskując powietrze, spryskując dom, rozsiewając pestycyd, aż wszystkie piaseczniki ponad nim były martwe lub zdychały. Trująca mgła opadła na niego, drażniąc gardło. Kaszlał i rozpylał dalej. Dopiero, gdy front domu był zupełnie czysty, skierował uwagę z powrotem na ziemię.

Były wszędzie - wokół niego, na nim. Dziesiątki uwijały się po jego ciele, setki innych spieszyły, by się do nich przyłączyć. Skierował mgłę w ich stronę.

W chwilę później strumień pestycydu się urwał. Kress usłyszał głośny syk za plecami i spomiędzy jego ramion wypłynął śmiercionośny obłok, osnuwając go, dusząc, paląc i zaćmiewając oczy. Powiódł dłonią wzdłuż węża i cofnął ją, pokrytą zdychającymi piasecznikami. Wąż był przecięty, przegryzły go na wylot. Kress, okryty całunem pestycydu, oślepiony, wrzasnął i zaczął biec w stronę domu, po drodze strącając z siebie małe ciała.

Wbiegł do środka, zaryglował drzwi i rzucił się na dywan. Tarzał się w tę i z powrotem tak długo, aż upewnił się, że zgniótł wszystkie, które jeszcze na nim zostały. Kanister, już niemal zupełnie pusty, posykiwał słabo. Kress zrzucił kombinezon i wbiegł pod prysznic. Ostry, gorący strumień poparzył go, skóra zaczerwieniła się i uwrażliwiła, jednak przestała cierpnąć.

Włożył swe najcięższe ubranie - gruby skórzany komplet - wytrząsając je przedtem nerwowo. „Cholera, cholera" - mruczał cały czas. Gardło miał zupełnie suche. Po starannym przeszukaniu holu wejściowego i upewnieniu się, że nie ma w nim piaseczników, uznał, iż może odpocząć. Usiadł i nalał sobie drinka. „Cholera" - powtórzył. Dłoń mu drżała i część trunku rozlała się na dywan.

Alkohol uspokoił go, ale nie spłukał strachu. Wypił drugą szklankę i ostrożnie podszedł do okna. Po grubej, plastykowej szybie chodziły piaseczniki. Wzdrygnął się i wycofał ku konsoli łączności. Pomyślał, że musi wezwać jakąś pomoc. Zadzwoni do władz regionu, przyjdą policjanci z miotaczami ognia i...

Przerwał w połowie wystukiwanie numeru i jęknął. Nie może wezwać policji. Musiałby im powiedzieć o białych w piwnicy i policjanci znaleźliby tam ciała. Być może do tej pory mamka poradziła sobie z Cath m'Lane, ale na pewno nie z Idi Noreddian. Nawet jej nie poclął. Poza tym zostały kości. Nie, policję może wezwać dopiero w ostateczności.

Usiadł przy konsoli, marszcząc czoło. Posiadany przez niego sprzęt łączności zajmował całą ścianę, z jego pomocą mógł się połączyć z każdym mieszkańcem Balduru. Miał dużo pieniędzy i był pomysłowy - zawsze był dumny ze swej pomysłowości. Jakoś sobie z tym wszystkim poradzi.

Przez chwilę zastanawiał się, czy nie zadzwonić do Wo, ale niemal natychmiast z tego zrezygnował. Wo zbyt dużo wiedziała, będzie zadawała pytania. Nie ufał jej. Nie, on potrzebował kogoś, kto zrobi to, co zostanie mu polecone bez zadawania pytań.

Zmarszczka zniknęła z jego czoła, na twarz wypłynął uśmiech. Simon Kress miał kontakty. Wystukał na klawiaturze już od bardzo dawna nie używany numer.

Na ekranie zmaterializowała się kobieca twarz - otoczona białymi włosami, pozbawiona wyrazu, o długim, zakrzywionym nosie.

- Simon - powiedziała dziarskim, energicznym głosem. - Jak tam interesy?

- Znakomicie, Lissandra - odpowiedział. - Mam dla ciebie robotę.

- Usunięcie? Moja cena podniosła się od twego ostatniego zlecenia, Simon. Przecież minęło już niemal dziesięć lat.

- Dostaniesz, ile będziesz chciała. Wiesz przecież, że jestem hojny. Potrzebuję cię do przeprowadzenia małego odrobaczenia.

Uśmiechnęła się nieznacznie.

- Nie musisz używać eufemizmów. Linia jest ekranowana.

- Nie, ja mówię serio. Mam problem ze szkodnikami. Niebezpiecznymi szkodnikami. Uwolnij mnie od nich. Żadnych pytań. Jasne?

- Jasne.

- To dobrze. Będziesz potrzebowała... och, trzech lub czterech ludzi, wyposażonych w miotacze ognia albo lasery, czy coś w tym rodzaju. Włóżcie ognioodporne kombinezony. Przylećcie tu do mnie. Od razu zobaczycie, na czym to polega. Insekty. Bardzo, bardzo dużo insektów. W moim skalnym ogrodzie i w basenie znajdziecie zamki. Zniszczycie je i zabijecie wszystko, co w nich jest. Potem zapukacie do drzwi i ja wam pokażę, co jeszcze trzeba zrobić. Jak szybko tu możecie być?

- Wylecimy za godzinę - odpowiedziała z kamienną twarzą.

Lissandra dotrzymała słowa. Przyleciała czarnym, opływowym ślizgaczem, przywożąc ze sobą trzech pomocników. Kress przyglądał się im, bezpiecznie ukryty za oknem pierwszego piętra. Byli jednakowi - w ciemnych plastykowych kombinezonach z zasłaniającymi twarz maskami. dwóch z nich miało przenośne miotacze ognia, trzeci działko laserowe i granaty. Lissandra - Kress poznał ją po sposobie, w jaki wydawała rozkazy - nie miała broni.

Powoli, na małej wysokości, przelecieli nad posiadłością, rozpoznając sytuację. Piaseczniki dostały szału. Szkarłatne i hebanowe kreski biegały i kręciły się jak w amoku. Ze swego punktu obserwacyjnego Kress dokładnie widział wznoszący się na wysokość człowieka zamek czarnych. Jego mury roiły się od obrońców, nieprzerwany, smolisty strumień wpływał przez bramę do wnętrza.

Ślizgacz Lissandry wylądował obok pojazdu Kressa, pomocnicy wyskoczyli na zewnątrz i zdjęli broń z ramion. Wyglądali jak maszyny, nieludzko, śmiertelnie groźnie.

Czarna armia rozwinęła się między nimi a zamkiem. Czerwone... - Kress nagle zdał sobie sprawę z tego, że nigdzie nie widać czerwonych. Rozejrzał się uważnie. Gdzie one się mogły podziać?

Lissandra wyciągnęła rękę i krzyknęła - mężczyźni z miotaczami odwrócili się ku piasecznikom. Ich broń kaszlnęła głucho i zaczęła ryczeć, wypuszczając długie jęzory błękitno-szkarłatnego ognia. Piaseczniki skręcały się, kurczyły i zdychały. Mężczyźni zaczęli przesuwać ogień w prawo i w lewo sprawnymi, skoordynowanymi ruchami. Ostrożnie, krok po kroku, postępowali naprzód.

Czarna armia płonęła i rozpadała się, piaseczniki uciekały we wszystkie strony - niektóre z powrotem ku zamkowi, inne wprost na wroga. Żadnemu nie udało się dobiec do trzymających miotacze mężczyzn. Ludzie Lissandry byli fachowcami wysokiej klasy.

Nagle jeden z nich się potknął.

Lub tak to wyglądało. Kress spojrzał uważniej i zobaczył, że grunt pod jego nogami się zapadł. Tunele - pomyślał, czując nagłe ukłucie strachu - tunele, jamy, pułapki. Mężczyzna zanurzył się głębiej, już niemal po pas. Nagle ziemia wokół niego jakby eksplodowała. Chwilę później był pokryty setkami szkarłatnych piaseczników. Odrzucił miotacz i zaczął gorączkowo wyszarpywać je ze swego ciała. Krzyczał, strasznie krzyczał.

Jego kolega zawahał się, potem wykonał półobrót i wystrzelił. Kłąb płomienia pochłonął pospołu człowieka i piaseczniki. Mężczyzna, usatysfakcjonowany, odwrócił się z powrotem ku zamkowi i zrobił krok naprzód. Jego stopa przebiła wierzchnią warstwę ziemi i zniknęła w niej aż po kostkę. Usiłował ją wyciągnąć i uciec, jednak piaszczysty grunt wokół niego zapadał się, nie dając oparcia. Stracił równowagę i upadł, młócąc wkoło rękami. Piaseczniki były wszędzie - żywa, falująca masa zalała go natychmiast, wijącego się, rzucającego. Miotacz ognia leżał obok, zapomniany i bezużyteczny.

Kress zabębnił dziko w szybę, chcąc zwrócić na siebie uwagę.

- Zamek! - wrzeszczał. - Zniszczcie zamek!

Lissandra, stojąca z boku, przy swym ślizgaczu, usłyszała i gestem wydała rozkaz. Jej trzeci pracownik wycelował działko laserowe i wystrzelił. Promień zamigotał nad skałami ogrodu i odciął szczyt zamku. Mężczyzna opuścił go gwałtownie, tnąc piaszczysto-kamienne blanki. Wieże zwaliły się, rozpadło się oblicze Kressa. Promień lasera uderzył w ziemię, zataczając koła, szukając. Zamek zniknął, teraz leżała tam już tylko kupa piachu. Jednak czarne piaseczniki wciąż się poruszały. Mamka była ukryta zbyt głęboko, nie mogli jej dosięgnąć.

Lissandra wydała następny rozkaz. Jej podwładny odłożył laser, odbezpieczył granat i rzucił się naprzód. Przeskoczył dymiące zwłoki pierwszego mężczyzny, wylądował na pewnym gruncie wewnątrz skalnego ogrodu i szeroko machnął ręką. Granat wylądował dokładnie na szczycie ruin zamku. Kress zmrużył oczy, dźgnięte oślepiająco białym światłem. W powietrze wytrysnął potężny słup piachu, kamieni i piaseczników. Przez chwilę wszystko było zasnute jakby kurzem - to gęstą ulewą spadały piaseczniki i fragmenty piaseczników.

Kress zobaczył, że czarne są nieruchome, martwe.

- Basen! - krzyknął przez szybę. - Rozwalcie zamek w basenie!



Lissandra zrozumiała natychmiast – ziemia była usłana trupami czarnych, jednak czerwone piaseczniki żyły nadal, wycofywały się i przegrupowywały. Pracownik Lissandry wahał się przez chwilę, potem wyjął następny granat i zrobił krok naprzód. Lissandra zawołała go – zawrócił, szybko pobiegł w jej stronę i wskoczył do ślizgacza.

Kress przeszedł do innego okna, w innym pokoju, by widzieć, co się będzie działo. Teraz już wszystko było bardzo proste. Ślizgacz przeleciał tuż nas basenem i mężczyzna, bezpieczny na jego pokładzie, precyzyjnie zrzucił granaty. Po czwartym przelocie zamek był już nierozpoznawalną ruiną, a czerwone piaseczniki przestały się poruszać.

Lissandra była bardzo staranna. Jej pracownik zbombardował każdy z zamków jeszcze kilkakrotnie, potem użył działka laserowego, metodycznie krojąc pozostałości, aż było zupełnie pewne, że pod tymi pociętymi skrawkami ziemi nie mogło pozostać już nic żywego.

W końcu zapukali do drzwi domu. Kress wpuścił ich, szczerząc zęby w maniakalnym uśmiechu.

– Cudownie – powiedział. – Cudownie.

Lissandra zdjęła hełm.

– To cię będzie słono kosztować, Simon. Straciłam dwóch ludzi, nie wspominając już o zagrożeniu mojego własnego życia.

– Oczywiście, zapłacę ci, ile zażądasz – zgodził się skwapliwie. – Dokończ tylko robotę.

– Co jeszcze zostało?

– Musisz oczyścić piwnicę. Jest w niej jeszcze jeden zamek. I będziesz to musiała zrobić bez używania granatów. Nie chcę, żeby mój własny dom zwalił mi się na głowę.

Lissandra skinęła na podwładnego.

– Idź na zewnątrz – powiedziała – i weź miotacz Rajka. Powinien być nie uszkodzony.

Mężczyzna wrócił uzbrojony, milczący, gotowy. Kress poprowadził ich na dół, do piwnicy.

Ciężkie drzwi były ciągle zabite na głucho, tak jak je zostawił. Jednak wybrzuszyły się nieco na zewnątrz, jakby spaczone jakimś ogromnym ciśnieniem. Ten widok i cisza, jaka wokół nich zapanowała sprawiły, że Kressa nagle ogarnął niepokój. Pracownik Lissandry zaczął wyrywać gwoździe i usuwać przybite przez niego deski. Kress wycofał się daleko do tyłu.

– Czy użycie tutaj tego przyrządu jest bezpieczne? – wymruczał, wskazując na miotacz ognia. – Pożaru też sobie nie życzę.

– Wzięłam laser – powiedziała Lissandra – i przede wszystkim jego użyjemy, miotacz nie będzie prawdopodobnie potrzebny. Chcę jednak, żeby tu był, na wszelki wypadek. Są gorsze rzeczy niż pożar, Simon.

Kress przytaknął.

Ostatnia przybita do drzwi deska odskoczyła. Z dołu ciągle nie dochodził żaden dźwięk. Lissandra wydała krótki rozkaz. Mężczyzna cofnął się i zajął pozycję za jej plecami. Opuścił wylot miotacza, kierując go dokładnie na drzwi piwnicy. Lissandra włożyła hełm, przygotowała laser, zrobiła krok do przodu i otworzyła drzwi.

Żadnego ruchu. Żadnego dźwięku. Tylko ciemność.

– Jest tam światło? – spytała.

– Tuż za drzwiami – odpowiedział Kress. – Po prawej stronie. Uważaj na schody, są bardzo strome.

Weszła w drzwi, przełożyła laser do lewej ręki, prawą wyciągnęła, po omacku szukając przełącznika. Nic, spokój.

– Czuję go – powiedziała – ale jest jakiś...

Nagle wrzasnęła i skoczyła do tyłu. Na jej dłoni wisiał wielki biały piasecznik. Przez kombinezon, z miejsc, w które wbite były jego szczypce przesączała się krew. Był ogromny, długi jak jej przedramię.

Lissandra przecięła pokój drobnymi, szybkimi kroczkami i zaczęła uderzać ręką w najbliższą ścianę. Raz, i drugi, i trzeci. Uderzenia brzmiały jak stłumione, niskie mlaśnięcia. W końcu piasecznik odpadł. Lissandra zakwiliła i osunęła się na kolana.

– Zdaje mi się, że mam połamane palce – powiedziała miękko. Krew ciągle płynęła obficie z jej dłoni. Laser, porzucony, leżał obok drzwi.

– Nie mam zamiaru tam schodzić – oznajmił mężczyzna czystym, mocnym głosem.

Lissandra podniosła głowę i spojrzała na niego.

– Nie – powiedziała. – Stań w drzwiach i spal je wszystkie. Zmień je w popiół. Zrozumiałeś?

Skinął głową.

– Mój dom – jęknął Kress. Poczuł ucisk w żołądku. Białe piaseczniki były takie w i e l k i e. Ile ich tam, na dole, jest? – Stójcie! – krzyknął. – Zostawcie je w spokoju! Zmieniłem zdanie. Zostawcie je.

Lissandra nie chciała zrozumieć. Wyciągnęła naprzód pokrytą krwią i zielono-czarnym śluzem rękę.

– Twój mały przyjaciel przebił moją rękawicę na wylot i widziałeś jak trudno było się go pozbyć. Nie obchodzi mnie twój dom, Simon. Cokolwiek jest tam, na dole, musi umrzeć.

Kress niemal jej nie słyszał. Wydawało mu się, że w cieniu za drzwiami piwnicy dostrzega jakiś ruch. Wyobraził sobie białą armię, złożoną z osobników równie wielkich, jak ten, który zaatakował Lissandrę, wylewającą się z ciemności, szarżującą. Ujrzał siebie, unoszonego przez setki cienkich odnóży; ciągniętego w dół, w mrok, ku czekającej, wygłodniałej mamce. Bał się.

– Nie – powiedział.

Zignorowali go.

Pomocnik Lissandry podszedł do drzwi, gotowy do otworzenia ognia i wtedy Kress skoczył, wbijając ramię w jego plecy. Mężczyzna jęknął, stracił równowagę i zanurkował w ciemność. Kress słuchał, jak ciało toczy się ze schodów. Po chwili z piwnicy zaczęły dochodzić inne hałasy – głośne szuranie, chrzest i jakieś dziwne dźwięki, miękkie i mlaskające.

Kress odwrócił się do Lissandry. Był zlany zimnym potem i podniecony w niezdrowy, niemal seksualny sposób.

Zimne, spokojne oczy kobiety przypatrywały mu się zza osłaniającej twarz maski.

– Co ty wyprawiasz? – spytała ostro.

Kress podniósł upuszczony przez nią laser.

– Simon!

– Wprowadzam pokój – odpowiedział, chichocząc. – One nie zrobią krzywdy swemu bogu, nie skrzywdzą go, póki bóg będzie dobry i szczodry. Ja byłem okrutny. Głodziłem je. Teraz muszę im to wynagrodzić, rozumiesz?

– Ty jesteś chory – powiedziała Lissandra. To były jej ostatnie słowa. Kress wypalił w jej piersi dziurę takiej wielkości, iż mógłby włożyć w nią ramię. Przeciągnął ciało ku drzwiom i zrzucił ze schodów. Hałasy stały się głośniejsze – drapanie, szczęk chityny i stłumione, gęstopłynne echa. Kress zamknął drzwi i na nowo zabił deskami.

Gdy uciekał, wypełniło go głębokie zadowolenie, pokrywające strach jak warstwa syropu. Podejrzewał, iż nie było ono jego własne.

Planował sobie, iż opuści dom, poleci do miasta i wynajmie pokój. Na dzień, a może na rok. Zamiast tego zaczął pić. Właściwie nie wiedział dlaczego. Pił równo przez kilka godzin, potem gwałtownie wyrzucił zawartość żołądka na dywan w salonie. W pewnym momencie usnął. Gdy się obudził, cały dom był pogrążony w głębokich ciemnościach.

Skulił się na kanapie. Słyszał d ź w i ę k i. Przesuwały się wewnątrz ścian. Były wszędzie wokół, otaczały go. Jego słuch był niezwykle wyostrzony. Każdy najcichszy chrzest był krokiem piasecznika. Zacisnął oczy i czekał, spodziewając się poczuć ich straszliwe dotknięcia, bojąc się najmniejszego ruchu, by nie musnąć któregoś z nich.

Nagle załkał i natychmiast zamilkł, sztywniejąc. Leżał tak przez chwilę, ale nic się nie stało.

Otworzył oczy, drżąc cały. Powoli cienie zaczęły mięknąć i rozpływać się. Przez wysokie okna przesączało się światło księżyca. Jego oczy przywykły do ciemności.

Salon był pusty. Niczego w nim nie było, niczego, niczego. Poza jego pijackim strachem.

Kress wziął się w garść, wstał i podszedł do wyłącznika oświetlenia.

Nic, pusto. Pokój był cichy, opustoszały.

Wytężył słuch. Nic. Żadnego dźwięku. Cisza w ścianach. To wszystko było tylko produktem jego wyobraźni, jego strachu.

Nieproszone napłynęło przypomnienie Lissandry i tej istoty tam, w piwnicy. Zaczerwienił się ze wstydu i z gniewu. Dlaczego to zrobił? Przecież mógł jej pomóc w spaleniu piaseczników, w zabiciu ich. D l a c z e g o... wiedział dlaczego. To mamka go do tego zmusiła, zasiała w nim strach. Wo wspomniała, że mamki mają zdolności psioniczne, nawet wtedy, gdy są małe. A ta była duża, bardzo duża. Utuczyła się ciałem Cath i Idi, a teraz miała tam u siebie następne dwa. Urośnie jeszcze bardziej. I nauczyła się lubić smak ludzkiego mięsa, pomyślał.

Zaczął się trząść i musiał znów wytężyć wolę, by się opanować. Ta mamka go nie skrzywdzi. Był jej bogiem. Białe piaseczniki zawsze były jego ulubieńcami.

Przypomniał sobie, jak dźgnął ją mieczem. To było jeszcze przed przyjściem Cath, niech będzie przeklęta.

Nie mógł tu zostać. Mamka znowu zgłodnieje. I to niedługo, przy jej rozmiarach. Będzie miała straszliwy apetyt. Co on wtedy zrobi? Musi uciekać z tego domu, do miasta, póki jeszcze piaseczniki siedzą w piwnicy. Tam jest tylko kawałek ściany i trochę ubitej ziemi. Mogą kopać, wygrzebywać tunele. A gdy wydostaną się na zewnątrz... Kress wolał o tym nie myśleć.

Poszedł do sypialni i spakował rzeczy. Wziął trzy torby. Jedno ubranie, zmiana bielizny – to wszystko, czego potrzebował. Pozostałą przestrzeń w torbach wypełnił swymi kosztownościami, biżuterią, dziełami sztuki i innymi rzeczami, których straty nie mógłby znieść. Nie spodziewał się tu kiedykolwiek wrócić.

Jego pełzacz zwlókł się za nim ze schodów, wpatrując się w niego swymi żałosnymi, błyszczącymi oczyma. Był bardzo wychudzony. Kress uprzytomnił sobie, że minęły wieki odkąd ostatni raz go karmił. Zwykle pełzacz sam potrafił o siebie zadbać, ale ostatnio niewątpliwie miał poważne trudności z upolowaniem czegokolwiek. Gdy usiłował chwycić go za nogę, Kress warknął i odgonił go kopniakiem. Pełzacz uciekł, urażony.

Kress wyśliznął się na zewnątrz, niezgrabnie ciągnąc za sobą torby. Zamknął drzwi.

Stał przez chwilę, oparty o ścianę domu, z sercem walącym jak oszalałe. Zostało tylko kilka metrów pomiędzy nim, a jego ślizgaczem. Bał się je przekroczyć. W jasnym świetle księżyca wyraźnie widział pobojowisko, rozciągające się przed frontem domu. Ciała dwóch pracowników Lissandry leżały tam, gdzie upadły, jedno skręcone i spalone, drugie nabrzmiałe pod masą zdechłych napastników. Piaseczniki, czarne i czerwone, były wszędzie wokół. Niemałego wysiłku wymagało ciągłe pamiętanie, iż wszystkie są martwe. Zdawały się po prostu czekać na niego, tak jak to wielokrotnie robiły.

Bzdura, powiedział sobie. Kolejne pijackie majaki. Widział przecież, jak rozpadały się ich zamki. Były martwe, a biała mamka tkwiła w pułapce, uwięziona w piwnicy. Wziął kilka głębokich, niespiesznych oddechów i zrobił krok naprzód, na warstwę piaseczników. Zachrobotały. Wgniótł je wściekle w piasek. Nie poruszyły się.

Uśmiechnął się i powoli ruszył przed siebie, słuchając odgłosów swych kroków.

Chrup. Chrup. Chrup.

Postawił torby na ziemi i otworzył drzwi ślizgacza.

Coś przeszło z cienia ku światłu. Blady kształt na siedzeniu, długi jak przedramię. Patrzył na Kressa sześciorgiem osadzonych wokół tułowia oczu. Jego szczypce klasnęły łagodnie.

Kress zmoczył spodnie i powoli zaczął się cofać.

Znów jakiś ruch, od wewnątrz ślizgacza ku otwartym drzwiom. Piasecznik wyszedł i ostrożnie ruszył w jego stronę. Za nim pojawiły się inne. Dotychczas chowały się pod siedzeniami, leżały, zagrzebane w tapicerce foteli. Ale teraz wyszły. Utworzyły wokół ślizgacza nieregularny pierścień.

Kress oblizał wargi, odwrócił się i pobiegł w stronę pojazdu Lissandry. Zatrzymał się w połowie drogi. Tam również coś się poruszało. Wielkie, ledwie widoczne w świetle księżyca robactwo.

Kress zaskomlił i czmychnął ku domowi. Gdy był obok drzwi, spojrzał w górę.

Naliczył tuzin długich białych kształtów, pełzających tam i z powrotem po ścianie budynku. Cztery z nich wisiały jak grona pod szczytem nieużywanej dzwonnicy, w której gnieździł się kiedyś sokół-padlinożerca. Rzeźbiły coś. Twarz. Bardzo znajomą twarz.

Simon Kress wrzasnął i wbiegł do domu.

Alkohol w odpowiedniej ilości zesłał na niego upragnione zapomnienie. Obudził się, pomimo wszystko. Okropnie bolała go głowa, śmierdział i był głodny. Bardzo głodny. Głodny jak jeszcze nigdy dotychczas.

Wiedział, że to n i e j e g o żołądek się skręca.

Ze szczytu stojącej w sypialni szafy przyglądał mu się, poruszając delikatnie czułkami, biały piasecznik. Był równie duży jak ten, którego zastał wczoraj w ślizgaczu.

Kress zdusił pragnienie natychmiastowej ucieczki.

– Ja... Ja cię nakarmię – powiedział do piasecznika. – Nakarmię cię.

Usta miał straszliwie wysuszone, język przypominał papier ścierny. Przeciągnął nim po wargach i wybiegł z pokoju.

Dom był pełen piaseczników; musiał uważać gdzie stawia stopę. Wszystkie zdawały się być zajęte jakimiś własnymi zadaniami. Wprowadzały zmiany w jego domu, ryły otwory w jego ścianach, rzeźbiły coś. Dwukrotnie natknął się na swoje twarze, spoglądające na niego z zupełnie nieoczekiwanych miejsc. Były spaczone, wykrzywione, skażone strachem.

Wyszedł na zewnątrz, by przynieść gnijące tam ciała. Miał nadzieję, iż zaspokoją głód mamki. Nie znalazł ich, zniknęły oba. Kress przypomniał sobie, z jaką łatwością piaseczniki nosiły rzeczy wielokrotnie cięższe od nich samych.

Myśl, że mamka c i ą g l e była głodna, nawet po takim posiłku, napawała przerażeniem.

Gdy wszedł z powrotem do domu, ze schodów spływała kolumna piaseczników. Każdy z nich niósł fragment pełzacza. Odcięta głowa, przepływając obok, zdawała się spoglądać na niego z wyrzutem.

Kress opróżnił lodówki, spiżarnie, wszystko, usypując żywność z całego domu w stos na środku kuchennej podłogi. Tuzin białych czekało, aż skończy. Zabrały wszystko, unikając jedynie produktów zamrożonych, zostawiając je na środku wielkiej kałuży, by odtajały.

Gdy cała żywność już zniknęła, Kress poczuł, mimo iż nic nie jadł, że jego własny głód trochę złagodniał. Wiedział jednak, że jest to ulga krótkotrwała. Mamka wkrótce znowu zgłodnieje. I on będzie musiał ją nakarmić.

Wiedział, co powinien zrobić. Podszedł do konsoli łączności.

– Jad, robię dziś wieczorem małe przyjęcie – powiedział swobodnym tonem, gdy odezwał się pierwszy z jego przyjaciół. – Zdaję sobie sprawę, że zawiadamiam cię strasznie późno, ale mam nadzieję, że jakoś zdołasz przyjechać. Postaraj się.

Potem zadzwonił do Malady Blane i do innych. Dziewięcioro z nich przyjęło jego zaproszenie. Miał nadzieję, że to wystarczy.

Powitał swych gości na zewnątrz – piaseczniki oczyściły teren zadziwiająco szybko i jego posiadłość wyglądała niemal tak, jak przed bitwą – i podprowadził ich ku frontowym drzwiom. Gestem wskazał, by weszli pierwsi. Nie poszedł za nimi.

Na odwagę zdobył się, gdy czworo z nich weszło już do środka. Zatrzasnął drzwi za ostatnim i ignorując pełne zdziwienia okrzyki, zastąpione po chwili przeraźliwymi wrzaskami, szybkim krokiem ruszył ku jednemu z należących do gości ślizgaczy. Wskoczył bezpiecznie do środka, nacisnął płytkę startową i zaklął. Oczywiście były zaprogramowane tak, by reagować tylko na linie papilarne właściciela.

Następnym, który się zjawił był Jad Rakkis. Kress podbiegł do niego natychmiast, gdy Rakkis wysiadł ze ślizgacza i złapał go za ramię.

– Wsiadaj z powrotem, szybko – powiedział, popychając go. – Zabierz mnie do miasta. Pospiesz się, Jad. Uciekajmy stąd!

Ale Rakkis tylko wybałuszał na niego oczy, nie ruszając się z miejsca.

– Dlaczego? Co się stało, Simon? Nic nie rozumiem. Co z twoim przyjęciem?

A potem było już za późno, gdyż piasek wszędzie wokół zaczął się poruszać, patrzyły na nich czerwone oczy i tępo szczękały szczypce. Rakkis wydał zduszony okrzyk i chciał wskoczyć do ślizgacza. Para szczypiec zacisnęła się na jego kostce i nagle Rakkis opadł na kolana. Piasek zdawał się wrzeć podziemną aktywnością. Jad zwalił się jak worek. Wrzasnął przeraźliwie, gdy piaseczniki roszarpywały go na kawałki. Kress niemal nie mógł na to patrzeć.

Po tym wydarzeniu Kress już nie próbował uciekać. Gdy było już po wszystkim, osuszył resztę zapasów z barku, upijając się do utraty przytomności. Wiedział, że ostatni raz cieszy się tego typu luksusem. Jedyny alkohol, jaki jeszcze został znajdował się w piwnicy.

Kress nie zjadł ani kęsa przez cały dzień, jednak usypiał wreszcie nasycony, okropny głód zniknął bez śladu. Zanim zmory senne wzięły go w swe posiadanie, zastanawiał się jeszcze przez chwilę, kogo mógłby zaprosić jutro.

Ranek był suchy i gorący. Kress otworzył oczy i zobaczył, że na szafie znowu stoi piasecznik. Zacisnął powieki, mając nadzieję, że gdy je ponownie otworzy sen wreszcie go opuści. To nie był sen. Kress zagapił się tępym wzrokiem na białego potworka.

Patrzył tak niemal pięć minut zanim wreszcie zaświtała mu myśl, iż coś tu jest nie w porządku. Piasecznik się nie ruszał.

Oczywiście piaseczniki potrafiły trwać w bezruchu, czasem jakby nadnaturalnym. Tysiące razy widział, jak umiały czekać i obserwować. Jednak zawsze coś można było wyłowić – zaciśnięcie szczypiec, skurcz nóg, drżenie i falowanie długich, delikatnych czułków.

Natomiast piasecznik na szafie sprawiał wrażenie skamieniałego.

Kress wstał, wstrzymując dech, nie ośmielając się mieć nadziei. Czyżby był martwy? Czy to możliwe, aby coś go zabiło? Przeszedł na drugą stronę pokoju.

Oczy piasecznika były szkliste i czarne. Wydawał się być spuchnięty, jakby gnił od wewnątrz, a wyzwalające się gazy rozpychały płyty pancerza.

Kress dotknął go drżącą ręką.

Piasecznik był ciepły – nawet gorący – i jego temperatura ciągle się podnosiła. Nie poruszył się jednak.

Kress cofnął dłoń, a za nią odpadła, jakby ją dotychczas podtrzymywał, część białego egzoszkieletu. Odsłonięta skóra była również biała, lecz wyglądała na mniej twardą. Zdawała się pulsować, była opuchnięta i rozpalona gorączką.

Kress wycofał się i wybiegł z pokoju.

W holu leżały trzy następne piaseczniki. Wyglądały tak samo, jak ten, którego znalazł w sypialni.

Zbiegając ze schodów, musiał przeskakiwać przez leżące na stopniach białe kształty. Żaden z nich się nie poruszał. Były w całym domu, martwe, zdychające, pogrążone w letargu... Kressa nie obchodziło, co się z nimi stało. Najważniejsze, że nie mogły się ruszać.

W swoim ślizgaczu znalazł cztery. Wyjął je po kolei i odrzucił. Najdalej, jak mógł. Przeklęte potwory. Wskoczył do środka, usadowił się na pociętym, na wpół zjedzonym fotelu i nacisnął płytkę startową.

Nic.

Znów spróbował. I jeszcze raz. Nic. To nie było w porządku. To był przecież j e g o ślizgacz, powinien wystartować. Kress nie rozumiał, dlaczego miałby nie wystartować.

W końcu wyszedł na zewnątrz i obejrzał pojazd, oczekując najgorszego. Nie zawiódł się. Piaseczniki porozrywały siatkę antygrawitacyjną. Był w pułapce. Nadal był w pułapce.

Osowiały, powlókł się z powrotem do domu. Wszedł do swego domowego muzeum i zdjął ze ściany zabytkową siekierę, wiszącą tuż obok tego miecza, który kiedyś został przez niego wypróbowany na Cath m'Lane. Zabrał się do pracy. Piaseczniki nie poruszały się nawet wtedy, gdy rozrąbywał je na kawałki.

Unicestwił ich już prawie dwadzieścia, zanim uświadomił sobie daremność tego, co robi. Przecież one były nieważne. A poza tym było ich tak strasznie dużo. Mógłby pracować cały dzień i całą noc i jeszcze wszystkich by nie zabił.

Musi zejść na dół, do piwnicy i użyć siekiery przeciwko mamce.

Zdecydowanym krokiem ruszył w dół schodów. Gdy drzwi piwnicy znalazły się w zasięgu jego wzroku, zatrzymał się jak wmurowany.

Drzwi już nie istniały. Ściany wokół nich zostały wyżarte, otwór stał się dwukrotnie większy i okrągły. Jama i nic ponadto. Nie pozostał nawet ślad, świadczący, że nad tą czarną otchłanią były kiedykolwiek jakieś drzwi.

Z otworu wydobywał się ohydny, duszący smród.

A ściany były wilgotne, zakrwawione, pokryte plamami białego grzyba.

A najgorsze było to, że o d d y c h a ł y.

Kress stał po przeciwnej stronie pomieszczenia i czuł, jak wydech owiał go gorącym wiatrem, i próbował się nie udusić, a gdy wiatr powiał w odwrotną stronę, uciekł.

W salonie zabił jeszcze trzy piaseczniki i załamał się. Co tu się działo? Nic z tego nie pojmował...

Potem przypomniał sobie jedyną osobę, która mogła to rozumieć. Znów podszedł do konsoli łączności, depcząc w pośpiechu po piasecznikach i modląc się żarliwie, by urządzenie było jeszcze sprawne.

Gdy Jala Wo się odezwała, Kress, już zupełnie załamany, opowiedział jej wszystko.

Pozwoliła mu mówić. Nie przerywała. Jej twarz była pozbawiona wyrazu, może poza lekkim zmarszczeniem brwi. Gdy skończył, powiedziała tylko:

– Powinnam pana tam zostawić.

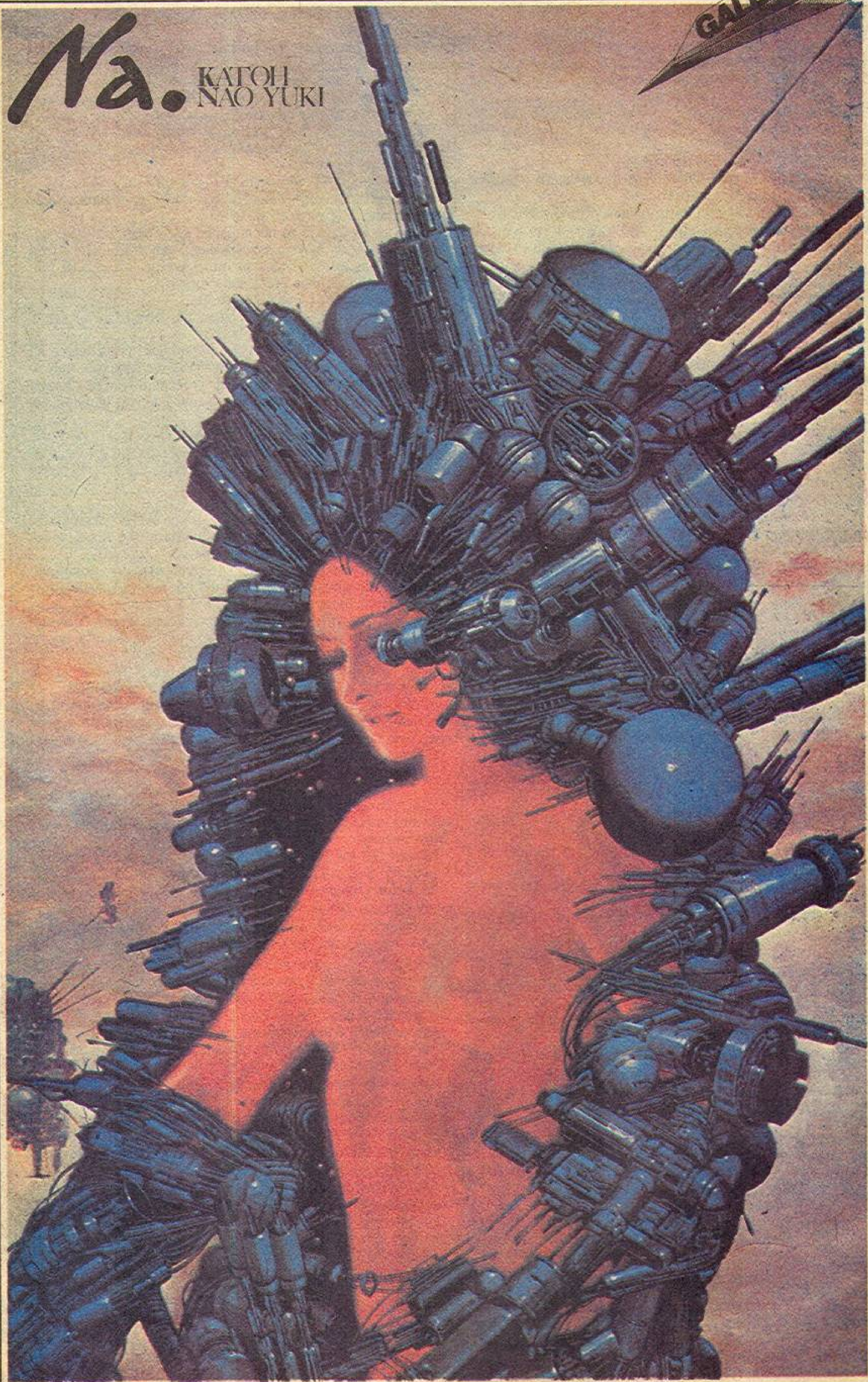
Kress wybuchnął płaczem.

– Nie może pani... Proszę mi pomóc. Zapłacę...

– Powinnam – powtórzyła – ale tego nie zrobię.

– Dziękuję – powiedział Kress. – Och, dziękuję...

– Cicho. Niech pan mnie słucha. To wszystko to pańskie własne dzieło. Dobrze traktowane piaseczniki są tylko rytualnymi, nadwornymi wojownikami. Pan, torturami i głodem, zmienił swoje w coś zupełnie innego. Był pan ich bogiem i pan je ukształtował w to, czym są teraz. Mamka w pańskiej piwnicy jest chora, ciągle cierpi


Na.
KATOH
NAO YUKI

od rany, którą jej pan zadał. Prawdopodobnie jest obłąkana. Jej zachowanie jest ... niezwykłe.

– Musi pan stamtąd jak najszybciej uciekać. Piaseczniki nie są martwe, Kress. Są uśpione. Powiedziałam panu, że gdy urosną, ich egzoszkielet odpada. Normalnie dzieje się to znacznie wcześniej, nie słyszałam nigdy o piasecznikach, które by w stadium owadopodobnym osiągnęły takie wielkie rozmiary. To prawdopodobnie jeszcze jeden skutek okaleczenia mamki. Ale to jest nieważne. Ważna jest natomiast przemiana, którą one w tej chwili przechodzą. Widzi pan, mamka w miarę wzrostu staje się również coraz inteligentniejsza. Jej zdolności psioniczne ulegają wzmocnieniu, jej umysł staje się subtelniejszy, bardziej ambitny. Opancerzeni wojownicy są przydatni, gdy jest mała i tylko półświadoma. Potem już potrzebuje lepszych sług, ciał, które posiadałyby większe możliwości. Rozumie pan? Wszystkie ruchome osobniki przepoczwarzą się i wydadzą na świat nowy rodzaj piaseczników. Nie mogę dokładnie powiedzieć, jak one będą wyglądały. Każda mamka sama określa ich wygląd, dostosowując go do swych potrzeb i pragnień. Jednak na pewno będą dwunogie, z czterema rękami i dłońmi o przeciwstawnych kciukach. Będą zdolne do konstruowania skomplikowanych maszyn i posługiwania się nimi. Poszczególne piaseczniki nie będą posiadały inteligencji. Ale za to mamka będzie bardzo, bardzo inteligentna.

Kress gapił się szeroko otwartymi oczyma na wypełniającą ekran twarz.

– Pani robotnicy – powiedział z wysiłkiem – ci, którzy tu wtedy byli... którzy instalowali pojemnik...

Jala Wo zdobyła się na blady uśmiech.

– Shade – powiedziała.

– Shade jest piasecznikiem – powtórzył drętwo Kress.– I sprzedaliście mi jego... jego dzieci, och...

– Niech pan nie plecie bzdur. Piasecznik w pierwszym stadium rozwoju jest bardziej podobny do plemnika niż do dziecka. W naturalnych warunkach wojny kontrolują ich rozrost, ich liczebność. Tylko jeden na sto osiąga drugie stadium. Tylko jeden na tysiąc – trzecie i ostatnie, i staje się taki, jak Shade. Dorosłe piaseczniki nie darzą małych mamek specjalnym sentymentem. Jest ich zbyt wiele, a ich owadopodobni ruchomi są jak plaga. – Westchnęła. – A cała ta rozmowa zżera czas. Biały piasecznik wkrótce się ocknie. Nie będzie pan mu już potrzebny, a nienawidzi pana i będzie bardzo głodny. Przemiana jest bardzo wyczerpująca. Zarówno przedtem, jak i potem mamka musi mieć zapewnioną ogromną ilość pożywienia. A więc musi pan stamtąd uciekać. Zrozumiał pan?

– N i e m o g ę – jęknął Kress. – Mój ślizgacz jest zniszczony, a żadnego z pozostałych nie potrafię uruchomić. Czy może pani po mnie przylecieć?

– Tak – odpowiedziała Wo. – Wylecimy natychmiast, oboje, ale do pana jest dwieście kilometrów, a poza tym musimy wziąć ekwipunek, potrzebny do uporania się z tymi zdegenerowanymi piasecznikami, które pan stworzył. Pan nie może tam na nas czekać. Ma pan nogi. Niech ich pan użyje. Proszę iść na wschód, możliwie dokładnie na wschód. I możliwie jak najszybciej. Tamtejsza okolica jest niemal zupełnie pusta, odnajdziemy pana z łatwością. Zrozumiał pan?

– Tak – powiedział Kress. – Tak, tak.

Rozłączyli się i Kress szybko poszedł w stronę drzwi. Był w połowie drogi, gdy usłyszał jakiś dźwięk, coś pośredniego między pęknięciem a rozdarciem.

Jeden z piaseczników otworzył się. Ze szczeliny wysunęły się cztery małe wymazane różowo-żółtą cieczą rączki i zaczęły rozrywać martwą skórę.

Kress zaczął biec.

Nie wziął pod uwagę upału.

Wzgórza były suche i skaliste. Kress biegł tak szybko, jak potrafił, byle dalej od domu. Biegł, aż zaczęły go boleć żebra i już nie mógł złapać oddechu. Potem szedł, ale gdy tylko trochę odpoczął, znów puścił się biegiem. Przez blisko godzinę szedł i biegł na przemian, szedł i biegł pod palącymi promieniami jaskrawego słońca. Pocił się obficie i żałował, że nie pomyślał o tym, by wziąć ze sobą trochę wody. Co chwilę patrzył w niebo w nadziei, że zobaczy Wo i Shade'a, nadlatujących, by go zabrać.

Nie był stworzony do takiej wędrówki. Było zbyt gorąco i zbyt sucho, a on zawsze miał słabą kondycję. Ale szedł naprzód, gnany przypomnieniem tego oddechu tam, w piwnicy i myślą o wijących się małych potworkach, które do tej pory już na pewno rozpełzły się po całym domu. Miał nadzieję, że Wo i Shade będą umieli sobie z nimi poradzić.

Miał swoje plany, dotyczące tej pary. Zdecydował, że to wszystko ich wina i że muszą za nią odpokutować. Lissandra nie żyła, ale on znał jeszcze innych, którzy parali się tym samym rzemiosłem. Zemści się. Przyrzekał to sobie dziesiątki razy, pocąc się i wytężając siły, by iść naprzód ciągle na wschód.

Przynajmniej miał nadzieję, że to był wschód. Nie potrafił dokładnie ustalać kierunków, a poza tym nie był pewny, w którą stronę uciekał na początku, gdy ogarnęła go panika. Od tamtej jednak pory starał się stosować do rady Wo i iść w stronę, która wydawała mu się być wschodem.

Ucieczka trwała już kilka godzin, a pomoc wciąż nie nadchodziła. Kress zaczął się utwierdzać w przekonaniu, że to jednak nie był wschód.

Gdy minęło kilka następnych godzin, zaczął się bać. A jeśli Wo i Shade nie będą mogli go odnaleźć? Umrze na tym pustkowiu. Nie jadł od dwóch dni; był słaby i wystraszony; gardło miał zdrewniałe z braku wody. Za chwilę nie będzie mógł iść dalej – słońce chyliło się ku zachodowi, a w ciemnościach już zupełnie się zgubi. Dlaczego oni się nie pojawiają? Może jednak piaseczniki ich zjadły? Strach znów do niego powrócił, wypełnił go, a wraz z nim ogromne pragnienie i straszliwy głód. Lecz nadal szedł. Potykał się. Dwukrotnie się przewrócił. Za drugim razem skaleczył sobie rękę o kamienie i rana zaczęła krwawić. Ssał ją, martwiąc się możliwością infekcji.

Za jego plecami słońce dotknęło horyzontu. Zrobiło się trochę chłodniej i Kress był za to wdzięczny. Zdecydował się iść aż do zapadnięcia zupełnych ciemności, a potem przycupnąć gdzieś na noc. Z pewnością był już dostatecznie daleko, by nie obawiać się piaseczników, a Wo i Shade na pewno znajdą go, skoro tylko wstanie świt.

Gdy wszedł na szczyt kolejnego wzniesienia, zobaczył przed sobą zarys budynku. Nie był on tak duży, jak jego dom, ale zupełnie wystarczający. Oznaczał dach nad głową, bezpieczeństwo. Kress krzyknął i pobiegł w jego kierunku. Jedzenie i picie... Musi coś zjeść, już teraz czuł w ustach smak potraw. Zbiegał w dół wzgórza, wymachując rękami i krzycząc. Było już niemal zupełnie ciemno, ale jeszcze mógł dostrzec sylwetki kilkorga bawiących się przed domem dzieci.

– Pomocy! – krzyknął. – Hej, pomocy!

Ruszyły biegiem w jego stronę.

Kress zatrzymał się gwałtownie.

– Nie – powiedział. – Och, nie.

Cofnął się kilka kroków, pośliznął na piasku, wstał i próbował uciekać. Złapały go z łatwością. Były upiornymi małymi stworzeniami o wyłupiastych oczach i ciemnopomarańczowej skórze. Próbował się wyrwać, daremnie. Były niewielkie, ale każde miało cztery ręce, a Kress tylko dwie.

Poniosły go w stronę domu. Była to smutna, nędzna budowla, sklecona z już obsypującego się piasku, ale drzwi do niej były całkiem duże. I ciemne. I oddychały. To było straszne, ale nie to wyrwało z gardła Kressa wrzask przerażenia. Wrzeszczał z powodu małych pomarańczowych dzieci, które wypełzały z domu i przyglądały mu się beznamiętnie, gdy je mijał.

Wszystkie miały jego twarz.

Przełożył **Darosław J. Toruń**

Zebranie przygotowane było niezwykle starannie i nic nie zapowiadało niespodzianek. Przewodniczący osobiście porozmawiał z każdym członkiem stowarzyszenia, pozostałych gości zapraszał osobiście. Rozmów nie przeprowadzono jedynie z Pyszkinem.

Przybyli wszyscy - ze dwudziestu fenomenów plus ośmiu bezstronnych towarzyszy, którzy skromnie zajęli miejsca w tylnych rzędach.

- Wierzyliśmy mu - mówił przewodniczący. - Przyszedł do nas, był zerem, wszyscy uważali go za pomyleńca, my jednak przygarnęliśmy go i rzekliśmy: „No, Pyszkin, działaj, doskonal swoje umiejętności, my zaś pomożemy ci w czym będziemy mogli". Choć selekcję stosujemy surową, telepatów przyjmujemy tylko najlepszych, co tu zresztą mówić o telepatach, nawet nie każdy telekinetyk może zostać naszym członkiem. Nie mówię już o jasnowidzach - tych sprawdzamy ze sto razy. Inaczej nie sposób - przeciwko nam występuje akademicka, tradycyjna nauka i jeżeli tylko damy się przyłapać na wątpliwych doświadczeniach - zeżrą nas! A zarazem opóźnią postęp ludzkości o następne sto lat.

Przewodniczący właściwie nie był gruby, ale raczej kwadratowy, mówił basem mocno akcentując każdą frazę. Potrafił wywołać w słuchaczach silne uczucie, które właściwie nie bardzo dawało się zidentyfikować - czy był to szacunek, strach, czy entuzjazm. Lubiano go i plotkowano o nim z sympatią. Natomiast Arnold Pyszkin siedział osobno, nie opodal stolika przewodniczącego. Był to szczupły, niechlujny człowieczek, miał minę winowajcy, ale zarazem jakiś wyzywający, nawet kłótliwy wyraz twarzy. Wiercił się niespokojnie na krześle, rozglądał się, unosił się, jakby chciał coś powiedzieć, ale się nie odzywał.

Przewodniczący wypił łyk wody i ciągnął dalej.

- Nie zdążył zżyć się z nami, wczuć się w atmosferę, a już zaczął wywoływać konflikty. Nie będę mówił o kubłach pomyj, które na nas wszystkich tu obecnych systematycznie wylewał. Nazywał nas łobuzami, złodziejami, twierdził, że oszukujemy naiwnych, że szykanujemy prawdziwych fenomenów, że zajmujemy się sztuczkami. Tak właśnie o nas mówił. Tu jednak nasuwa się pytanie. A kimże jest w gruncie rzeczy ów Pyszkin? Cóż on, w gruncie rzeczy, potrafi?

Przewodniczący efektownie zawiesił głos.

- No właśnie, co? - zawołał z tylnych rzędów jeden z bezstronnych, nieetatowy korespondent miejscowej gazety.

- Hoduje kwiaty.

- Kwiaty?

Przewodniczący z namaszczeniem skinął głową.

- Może, towarzysze, jakoś szczególnie je hoduje? Powiem wprost - nie wiem.

- Cooo? - zawył Pyszkin. - Jak to, nie wiecie?

- Tak to, towarzyszu Pyszkin. Nie wiem i już. - Przewodniczący rozłożył ręce. - Kwiaty istotnie są piękne, co prawda, to prawda. Pachną nawet, sam sprawdzałem. Pyszkin twierdzi, że wykonuje passy i rozwój rośliny, od nasionka do kwiatu, trwa zaledwie kilka sekund. Jednakże znowu nasuwa się pytanie. Czy ktoś widział, jak on to robi?

- Boże, co wy...

- Daj spokój Panu Bogu, Pyszkin, i lepiej sam się o siebie zatroszcz. - Przewodniczący powiedział to i na jego twarzy pojawił się nawet nie uśmiech, ale jakby jakaś jasność. Lubił dobry żart. - Powiedziałbyś raczej kto widział.

Pyszkin zerwał się z krzesła.

- Jak to? Wielu widziało. Wy też.

Przewodniczący z obrzydzeniem spojrzał na Pyszkina.

- Gdzież to, według ciebie, widziałem?

- No przecież, słowo honoru! Pamiętacie, kiedy się zapisywałem?

- Widziałem doniczkę, a w niej kwiatek, zgoda. Ale przy mnie nie rósł.

- Ależ rósł, na pewno zapomnieliście...

- Nie, Pyszkin, nie - ze współczuciem odparł przewodniczący. - Ktoś z nas kłamie i domyślam się, kto. Ludzie też się domyślają. I bezstronni towarzysze też się domyślą, jeżeli spojrzą na twoją twarz.

Bezstronni towarzysze bez zbytniej sympatii spojrzeli na Pyszkina. Jego twarz nie posiadała żadnych, szczególnie dla oka sympatycznych cech. Była to raczej złodziejaszkowata i wyjątkowo podejrzana fizjonomia.

- A może ktoś inny widział? - Przewodniczący zapytał znowu tonem pełnym współczucia. - Przypomnij sobie, spróbuj, bo a nuż się pomyliłem i niesłusznie cię oskarżam.

- No... przecież wielu pokazywałem - zmieszał się Pyszkin. - Choćby temu... Potapowowi, telepacie...

- Pyszkin - niemal przymilnie zapytał przewodniczący - czy specjalnie przypominasz sobie tych, którzy z powodu choroby nie mogli być dziś obecni?

- Dziwne. Przecież widziałem go przed paroma godzinami i nie zauważyłem, żeby był chory.

- Bardzo dziwne, bardzo. Kogo jeszcze możesz sobie przypomnieć?

- Ołowianienko też widział - rzekł Pyszkin przygnębionym głosem. - Wienia! Powiedz im.

SZARLATAN

Władimir Pokrowski

(Szarłatan)

- Ołowianienko, wysoki, skłonny do zamyśleń Ukrainiec, wstał powoli.

- A cóż ja mogę powiedzieć, Alik? Co ja takiego widziałem?

- Wienia - wyszeptał załgany do cna Pyszkin.

- Co Wienia, co Wienia? - odparł zirytowany Ołowianienko. - Sam nawarzyłeś piwa, a teraz - Wienia.

- Wszyscy słyszeli? - zapytał przewodniczący, przerywając niemiłą ciszę. Jeden z bezstronnych burknął ze złością.

- Eee tam, po co tracimy czas? Sami nie mogliście go wyrzucić?

- Nie mogliśmy, drogi towarzyszu, nie mogliśmy w żaden sposób. Historia, sami widzicie, jest nieprzyjemna i nie mamy prawa dopuścić, by cień wątpliwości...

- Chwileczkę, przypomniałem sobie! - bezceremonialnie przerwał mu Pyszkin. - Przecież występowałem w Domu Okrmiędfutrohurtu, zapomnieliście?

- Nooo! - z radością podchwycił jego słowa przewodniczący. - No, nareszcie doszliśmy i do tego. Do tej pory, towarzysze bezstronni, była sama poezja, teraz jednak zaczyna się proza życia. Zaczynają się, mówiąc delikatnie, nieładne fakty, właśnie z powodu których zwołaliśmy to zebranie. O ile początkowo dawaliśmy tylko wyraz naszym wątpliwościom, co do talentu i postawy moralnej towarzysza Pyszkina, o tyle teraz dotarliśmy do faktów.

W sali rozległ się stłumiony pomruk. Było to wyjątkowo zdyscyplinowane zebranie, mimo że fenomeni to ludzie pobudliwi i cóż tu ukrywać, nie zawsze potrafią zachować się jak należy. Dziś jednak siedzieli z zakłopotanymi minami, rzadko okazywali swe uczucia i w ogóle zachowywali się tak, jakby siedzieli nie na zebraniu, ale w tramwaju. Na ich twarzach malowało się coś dziwnego - najwidoczniej było to piętno, którym natura naznacza ludzi o paranormalnych zdolnościach.

- Pyszkin wspomniał tu o wieczorze w Okrmiędfutrohurcie, na którym jakoby swymi osławionymi passami wyhodował kwiat. I wszyscy widzieliśmy, jak ten kwiat rósł.

Bezstronni popatrzyli po sobie.

- Tak, towarzysze, widzieliśmy. Znaleźli się jednak ludzie, którzy zobaczyli coś jeszcze. Zobaczyli... - przewodniczący podniósł głos - zobaczyli nitkę w dłoni tego, przepraszam za wyrażenie, fenomena. I widzieli, jak za jej pomocą wyciągał kwiatek z ziemi.

- Kto widział? - Pyszkin ochrypł nagle.

- Nie bój się, Pyszkin, my to nie ty, nie będziemy mydlić oczu. Żenia, wstań!

Podniósł się człowiek wzrostu mniej więcej takiego jak Pyszkin ale o wyglądzie nieporównywalnie szlachetniejszym.

- Nasz Żenia Pryncypialny - pieszczotliwym tonem przedstawił go przewodniczący. - Inżynier. Posiada wyjątkową umiejęt-

ność, której jeszcze nawet nie nazwano. Wystarczy, żeby usiadł przy komputerze i aparatura natychmiast się psuje.

W odpowiedzi na zaciekawione spojrzenia bezinteresownych inżynier Pryncypialny skłonił się z godnością. Pyszkin nie spuszczał z niego okrągłych jak spodki oczu. Na jego wykrzywionej grymasem twarzy malowało się przerażenie i podłe myśli.

– Świadectwo Żeni Pryncypialnego jest tym cenniejsze – ciągnął przewodniczący – że był on przyjacielem Pyszkina. Nie wyobrażacie sobie, z jakim bólem opowiadał mi o machinacjach swego byłego przyjaciela, który pohańbił... który...

Przewodniczący potrząsnął głową i sięgnął po karafkę.

Pryncypialny spuścił wzrok i westchnął mężnie.

– I ty, Żenia – zasyczał zdemaskowany Pyszkin, szarpiąc kołnierzyk koszuli.

Przewodniczący opróżnił wreszcie karafkę, kaszlnął, wycelował w Pyszkina wskazujący palec i spopielił go bezkompromisowym spojrzeniem.

– No co, może starczy, Pyszkin? Może sam o wszystkim opowiesz?

Ten jednak milczał. Nie miał nic do powiedzenia na swe usprawiedliwienie.

– Skończyłem – stwierdził przewodniczący rzeczowo.

Rozpoczęła się dyskusja. Pierwszy poprosił o głos Saszeńka Podglobalny, bardzo młody człowiek podejrzewany o zdolności lewitacyjne. Ponieważ jednak wstąpił do stowarzyszenia bardzo niedawno i jeszcze nie zorientował się jak należy, przewodniczący powiedział mu.

– Ty, Saszeńka pomilcz trochę, ustąp miejsca kobiecie. Proszę, Antonino.

Antonina Zwieriowa, leciwa wiedźma z sekcji złego oka, drgnęła, obrzuciła zebranych słynnym śmiercionośnym spojrzeniem, wbiła je w Pyszkina i zaczęła przedstawiać swój punkt widzenia na zagadnienie poruszone w referacie. Przemowa jej sprowadzała się do następujących kwestii – ona, to znaczy Zwieriowa, może nie odpowiadać za siebie, jeżeli tacy różni przeszkadzają jej demonstrować swoje uzdolnienia, dręczą podejrzeniami, obrażają za plecami i otwarcie, choć wszyscy wiedzą wręcz przeciwnie. Następnie w swoim wystąpieniu Zwieriowa zaczęła operować nazwiskami i podkreśliła, że towarzysz Pyszkin wyróżnia się wśród wspomnianych osób. Towarzysz Pyszkin, podkreśliła Zwieriowa, działa tak bezczelnie, bowiem wie, że ona nie może się na nim zemścić ze względu na swój anielski charakter, jak też ze względu na to, że jej nadnaturalne uzdolnienia przejawiają się wyłącznie w sferze gospodarki rolnej, to jest – rzucanie uroku na bydło, niszczenie zbiorów, nasyłanie morowego powietrza na traktor i tak dalej. W zakończeniu swej przemowy Antonina Zwieriowa poprosiła zebranie, by obroniło ją przed szykanami tego oszusta i zastosowało wobec niego jak najsurowsze sankcje, w których ona, Zwieriowa, chętnie weźmie aktywny udział.

Potem znowu wyskoczył Saszeńka Podglobalny, ale przewodniczący kierując się racjami wyższego rzędu, oddał głos Fiodorowi Pieriendiejewowi.

Pieriendiejew zmarszczył brwi i jąkając się zaczął przekazywać telepatycznie z kartki. Jego przemówienie było przyjęte przez telepatów niezwykle gorąco i niejednokrotnie przerywały je burzliwe oklaski. Gdy Fiodor zakończył, przewodniczący podsumował jego wystąpienie.

– Towarzysze, zgłoszono wniosek, by skreślić Pyszkina z listy, jeżeli nie udowodni, że jest fenomenem, to znaczy jeżeli nie wyhoduje kwiatka tu, na naszych oczach, bez tych swoich fakirskich sztuczek.

Pyszkin zerwał się z miejsca, ale przewodniczący powstrzymał go.

– Poczekaj, Pyszkin, jeszcze nie skończyłem. Mam do was prośbę – zwrócił się do zebranych – pokażemy towarzyszom bezstronnym, co potrafimy, dobrze? Kto co może, wiele nie trzeba, ale tak, żeby żadnych wątpliwości...

– Pokażemy, proszę być spokojnym! – rozległy się okrzyki fenomenów.

Na twarzach bezstronnych pojawiło się niezwykłe zaciekawienie.

Po krótkiej przerwie fenomeni zademonstrowali w niewielkim zakresie to, do czego byli zdolni. Pierwsi wystąpili telekinetycy. Wyszli w pięciu na środek sali, starannie ułożyli na podłodze dziecięcą piłkę i wbili w nią niesłychanie skupione spojrzenia. Piłka zakołysała się na boki i powoli zaczęła unosić się w powietrze. Bezstronni wstrzymali oddech. Jednemu z telekinetyków zrobiło się słabo, ale przemógł się i nie porzucił swych towarzyszy. Piłeczka uniosła się ponad głowy i powoli zaczęła zataczać kręgi. Był to prawdziwy triumf ludzkich możliwości.

Ale jeżeli ktoś ma za pazuchą łyżkę dziegciu, ten nie przepuści okazji. Podobnie i w tym przypadku. Pyszkin, który tego nie potrafił, oznajmił powodowany zawiścią, że przez żyrandol przerzucona jest nitka i ktoś za nią ciągnie. Teraz jednak nitka o coś się zaczepiła i żyrandol wisi krzywo. Oczywiście, żadnej nitki nie było i być nie mogło, odnośnie zaś żyrandola przewodniczący wyjaśnił - psychopole nie skupia się jedynie na piłce, lecz rozprzestrzenia się również na inne przedmioty, w danym wypadku na żyrandol. Pyszkin najadł się wstydu.

Następnie zademonstrowali swoje umiejętności telepaci. Podchodzili jeden po drugim do przewodniczącego i odczytywali jego myśli na odległość.

– O czym pomyślałem? – pytał przewodniczący.

– O siomdze – bez wahania odpowiadał kolejny telepata.

– Słusznie. Zuch z ciebie. Następny!

Przewodniczący myślał nie tylko o siomdze, myślał o wielu rzeczach. Na przykład o ogólnej teorii względności i cymbałkach i wszystkie jego myśli były odczytywane z niezwykłą dokładnością.

No a potem zaproponowano Pyszkinowi, by wystąpił.

Najpierw próbował się wykręcać, że nie jest przygotowany, że jest dziś w stanie szoku psychicznego, bo, dobre sobie, zdradzili go ludzie, których uważał za swoich przyjaciół... Powiedziano mu jednak twardo – skoro tak, towarzyszu Pyszkin, jeżeli nie możesz, to idź sobie stąd, nic tu po tobie.

– Spróbuję – odparł Pyszkin.

Z holu przyniesiono doniczkę. Pyszkin nawet wtedy próbował zachachmęcić i wyciągnął z kieszeni przygotowane zawczasu nasionko.

– Nie, Pyszkin, ten numer ci się nie uda – ostrzegł go przewodniczący. – To musi być czyste doświadczenie. Kto cię tam wie, co wcześniej wyczyniałeś z tym nasionkiem.

Zwrócił się do towarzyszy bezstronnych.

– Czy ktoś z was nie ma przypadkiem nasionka kwiatu?

Nasionko przypadkowo posiadał korespondent.

– Jakieś podejrzane – powiedział Pyszkin.

– Dobra, dobra! – krzyknął na niego przewodniczący, którego bezgraniczna cierpliwość zaczęła się już wyczerpywać. – Bierz, co ci dają.

Nasionko wetknięto w ziemię i postawiono doniczkę przed Pyszkinem, który wyraźnie nie miał ochoty sam się zdemaskować i rzekł:

– Może się nie udać...

Bezstronni się roześmieli.

Pyszkin powoli zbliżył dłonie do doniczki. Na jego twarzy odmalowało się dobrze udane zdziwienie.

– Nie czuję. Zupełnie nie czuję nasionka.

Wielu uśmiechnęło się porozumiewawczo.

– No, dalej Pyszkin, to nie to samo, co za niteczki ciągnąć.

Zagryzł wargi i natężył się. Na jego czole wystąpił pot. Ale, oczywiście, żaden kwiatek nie wyrósł.

Pyszkin stękał, straszliwie wytrzeszczał oczy, ale kwiatek z jakiegoś powodu nie miał ochoty rosnąć. Wkrótce wszystkim się to znudziło, zaczęły się rozlegać okrzyki, że czas już kończyć to przedstawienie, gdy nagle... Ziemia w doniczce poruszyła się, wysunęła się z niej zielona łodyżka, zaczęła pokrywać się drobniutkimi, wielobarwnymi listeczkami, kwiatek robił się coraz większy, coraz piękniejszy. Nigdy i nigdzie nie było jeszcze tak pięknego kwiatu! Pyszkin płakał i drżącymi rękami wykonywał passy. Krąg ciekawskich rozstąpił się, kwiatek zaś, najpiękniejszy na świecie kwiatek rósł coraz wyżej, roztaczając po sali aromat. Żenia Pryncypialny z ufnością wyciągnął rękę w stronę Pyszkina, chciał trącić go w ramię i któż to wie, może nawet mu wybaczyć...

W tej samej chwili jednak rozległ się okrzyk korespondenta:

– To szarlatan! Nie wierzcie mu! Nasionko było plastykowe!

Tak oto zatriumfowała sprawiedliwość. Pyszkina sromotnie wyrzucono ze stowarzyszenia i od tej pory nic o nim nie słychać. Powiadają, że można go spotkać na placyku przy dworcu, gdzie sprzedaje wątłe tulipany. Stowarzyszenie kwitnie i niedawno w pełnym składzie jeździło na Kamczatkę, na jakąś konferencję na temat jasnowidzenia przy użyciu środków technicznych.

Przełożył **Sławomir Kędzierski**

Władimir POKROWSKI

Młody autor z Moskwy. Już od pierwszych opowiadań zwrócił na siebie uwagę recenzentów, często uważa się go za najciekawszego debiutanta pierwszej połowy lat osiemdziesiątych.

L.J.

NOWOROCZNA TRAGEDIA

(Nowogodiszna tragedija)

Luben Diłow

Nie opowiedziałbym tego wstydliwego wydarzenia, ponieważ jego główny bohater – mój najlepszy przyjaciel – jest ambitny i bardzo to wszystko przeżywa, ale zdenerwował mnie szum, jaki tak lekkomyślnie podniosły środki masowego przekazu z tego powodu, że jakiś tam robot obronił pracę doktorską z filozofii na temat: „Maszyna przyjacielem i obrońcą człowieka".

Jestem mineralogiem i od trzech lat pracuję na Tytanie, największym satelicie Saturna, toteż, oczywiście, nie jestem ani też nie mogę być przeciwnikiem maszyny. W trującej atmosferze Tytana bez maszyn nie mógłbym zrobić nawet jednego kroku, a cóż dopiero grzebać się pod jego wiecznymi śniegami w poszukiwaniu rzadko spotykanych minerałów. Ale być może właśnie dlatego, że zawód mój bezpośrednio związany jest z przyrodą, tkwi we mnie odwieczna ostrożność i nieufność do każdego nowego wytworu myśli technicznej. Mój kolega po fachu i przyjaciel Iwan, którego nazwisko, ze wspomnianych już wyżej względów, przemilczę, myśli podobnie jak ja i cała tragedia w tym, że wszystko to przytrafiło się właśnie jemu, a nie któremuś z tych lekkomyślnych klakierów świeżo upieczonego doktora filozofii...

Zdarzyło się to miesiąc temu, akurat na Nowy Rok. Mieliśmy świętować go razem z nimi, ale ponieważ nie zadzwonili wcześniej, pomyślałem sobie, że pewnie Iwan nie zdążył wrócić. Przebywał wówczas w delegacji na Ziemi i zawiadomił żonę, że zatrzymały go doświadczenia, które należało przeprowadzić w ziemskich warunkach, jednak obiecał, że się postara, aby za wszelką cenę wrócić na święta.

Zadzwoniłem do nich wieczorem. Na ekranie pojawiła się na chwilę żona Iwana i natychmiast wyłączyła obraz. Pomyślałem sobie, że zapewne wysmarowała się jakimś kosmetykiem i dlatego obdarowuje mnie tylko głosem.

– Nie ma go – odparła bliska płaczu. – Nie wrócił.

– Iwanie – zwróciłem się do niej. – Nie martw się bez potrzeby. Po prostu nie dostał biletu na kosmolot. Wiesz przecież, co się dzieje przed Nowym Rokiem.

– Nie jestem Iwan, tylko Iwon! – obruszyła się gniewnie.

– Wybacz.

– Jak długo jeszcze mam ci wybaczać? – odparła rozgniewana zupełnie nie na żarty, ale jednak nie pojawiła się na ekranie.

Cóż na to poradzę: on – Iwan, ona – Iwon. On przynajmniej się nie złości, kiedy się pomylę. Uważnie podjąłem rozmowę i tym razem pomyłka nie była aż tak duża.

– Iwonie – zaproponowałem. – Wobec tego przyjdź do nas. Przecież w Nowy Rok nie będziesz sterczeć w domu sama jak palec.

Jednak Iwon z rozdrażnieniem rzuciła w moją stronę „przyjemnej zabawy" i wyłączyła się.

Po sztucznych ogniach zadzwoniłem znowu, aby wraz z żoną złożyć jej życzenia noworoczne, ale nikt się nie odezwał. Pomyśleliśmy sobie, że pewnie spędza święta poza domem, a żona – choć niby to się przyjaźnią – stwierdziła:

– Ta paryżanka nawet na Tytanie znalazła sposób, żeby swojemu ślubnemu przyprawić rogi.

Żona po prostu chciała jej dogryźć. Pośród metanowych pustyni Tytana nie ma takiego miejsca, gdzie można by się ukryć bez skafandra, zaś w skafandrze, nawet tylko wzrokiem, flirtuje się nie tak łatwo. Tych kilka hoteli bez względu na porę roku przepełnionych jest grupami turystycznymi, a na noworoczny napływ gości w Dolinie Milczenia montuje się nawet tymczasowe hermetyczne baraki.

Ciekawe co za idiota tak ją nazwał, skoro we wszystkich dolinach Tytana, jak również na jego szczytach, milczenie jest to samo. Zapewne był to ktoś z agencji Tytantourist. Ale mimo wszystko okazał się mądrzejszy od swoich klientów, bowiem mieszkańcy Ziemi tak bardzo spragnieni są ciszy, że wystarczy zaproponować im tydzień w jakiejś Dolinie Milczenia, aby natychmiast z gotowością wysupłali wszystkie swoje oszczędności. Ale kiedy do tych prowizorycznych baraków wciśniętych zostanie kilka tysięcy ludzi, następuje takie milczenie, że człowiek gotów jest zmykać aż na drugi koniec Układu Słonecznego.

Następnego dnia Iwon zbudziła nas bardzo wcześnie. Szampan musował jeszcze w moim mózgu i zapewne nie bez trudności przyszedłbym do siebie, gdyby nie to, że tym razem Iwon nie chowała twarzy. Cała była we łzach.

– Błagam cię, przyjeżdżaj natychmiast!

– Co się stało?

– Przyjeżdżaj, sam zobaczysz!

Ponieważ na zewnątrz jest niebezpiecznie i trzeba bardzo uważać, włożyłem skafander. Z garażu wypchnąłem rakietowe sanie, ale zanim je zapaliłem upłynęło sporo czasu. Chociaż mieszkamy po stale oświetlonej przez Saturna stronie i mimo że istnieje atmofera, na Tytanie panuje kosmiczny chłód. Żona chciała pojechać ze mną, ale ją odesłałem. Iwon wzywała tylko mnie. Mogło to być coś nie na kobiece nerwy.

Solidnie się spóźniłem, toteż kiedy Iwon otworzyła mi hermetyczne drzwi śluzowego korytarza, wydawała się zupełnie spokojna. Jej oczy były suche, choć nadal płonęły, pełne jakiegoś przejmującego bólu. Zdejmując kask spytałem ją, czy będę musiał zostać na dłużej i czy mam zdejmować skafander. Skinęła tylko głową i wbiegła z powrotem do holu. Zaintrygowany zdjąłem skafander, uczesałem się – mimo wszystko był przecież Nowy Rok – i zapukałem do drzwi.

– Wejdź, wejdź – dobiegł ze środka głos Iwon.

Wyprostowana niczym wartownik sterczała za wysokim oparciem nadmuchiwanego szezlonga, w którym z przymkniętymi oczami, przykryty kocem pod samą brodę spoczywał Iwan. Jego twarz miała barwę śniegu z okolic, gdzie więcej bywa domieszek siarkowych niż metanowych: żółtobiałą, lecz pozbawioną owego przyjemnego złocistego połysku, za to z fioletowymi cieniami, jakie na śnieg rzucają skały, gdy Saturn oświetla je z ukosa swym cielistym blaskiem. Z przymkniętymi powiekami wydawał się być pogrążony w chorobliwym śnie.

– Ludzie, co się stało? – zawołałem z przesadnym ożywieniem, w nadziei, że to co się wydarzyło, nie okaże się aż tak straszne.

Odpowiedziało mi milczenie. Prawdziwe, nie takie, jak to w Dolinie Milczenia. Zbliżyłem się do przyjaciela, złożyłem dłoń na jego czole, zaś on chwycił nagle moją rękę, przycisnął ją do oczu i zaszlochał:

– Bracie!

– Spójrz tylko – do czego dożyliśmy! – zawołała Iwon i z jakimś okrucieństwem szarpnęła koc.

Teraz nie potrafię już powiedzieć, co dokładnie poczułem na widok, jaki rozpostarł się przede mną. Prawdopodobnie nie było to tylko jedno uczucie. Zapewne następowały po sobie różne stany uczuciowe, aż w końcu wszystko uległo wymieszaniu.

Zanim Iwan w panice ponownie zarzucił na siebie koc, zdążyłem ujrzeć różowobiałe, pulchne kobiece uda, kształtne nóżki, zaokrąglone kolanka...

Uznawszy to za jakiś noworoczny, przyniesiony z Ziemi numer, roześmiałem się z rozbawieniem.

– Pokaż no, pokaż jeszcze raz!

Jednakże Iwan znowu wyszlochał swoje dramatyczne „bracie", również wygląd jego żony wskazywał na to, że ze mnie nie żartują.

– Ale co się stało? Mówcie wreszcie – odezwałem się ponownie skonsternowany.

Iwon wykrzyknęła niemalże histerycznie:

– Niech ci sam opowie, ten skończony dureń!
– Iwon... – zwróciłem się do niego.
– Aha – złośliwie zatriumfowała Francuzka. – Otóż to! Teraz to już nie jest żaden Iwan, tylko Iwon. Spokojnie możesz się do niego tak zwracać.
– Wybaczcie, ale te wasze imiona... – wyjąkałem. – Co się stało?
– To przez ciebie, miła! – cieniutkim głosikiem pisnął mój przyjaciel, ale Iwon wykrzyknęła znowu:
– Zawsze ja jestem winna! Zawsze przeze mnie...
– Lepiej zostaw nás samych – rozgniewałem się w końcu. – Moje sanie są gotowe. Weź je i jedź do mojej żony, żeby jej się nie nudziło.
– Aha, jeszcze czego! – zaatakowała mnie znowu.
Zgłupiałem zupełnie. Usiadłem na oddalonym krześle, założyłem ręce i oświadczyłem z wyrzutem:
– Czekam dokładnie dwie minuty. Jeśli przez ten czas nie dowiem sie, po co mnie wezwaliście, odchodzę. I to na zawsze!
Iwon zerwała się na równe nogi i niecierpliwie uderzyła męża po ramieniu.
– Czekaj no, czekaj. Ale my musimy go pilnować, bo teraz ten dureń chce popełnić samobójstwo. Może jak nic wyskoczyć na zewnątrz bez skafandra.
Poruszyłem się na krześle i ostentacyjnie spojrzałem na swój chronometr.
– Ty pewnie też nic nie poradzisz – podjął tymczasem przyjaciel swoim dziwnie cienkim głosikiem. – Iwon dzwoniła już wszędzie, wszyscy świętują. A wiesz przecież co to znaczy mieć do czynienia z robotami. Większych biurokratów świat nie widział.
– Nadal nic nie rozumiem – zagroziłem, postukując palcem w szkło chronometru.
– No przecież ci mówię. Przynajmniej ty przestań mnie męczyć. Widziałeś w jakim jestem stanie. Żadnej innej możliwości powrotu nie było. Do ostatniej chwili czekałem na rezultaty. Zresztą miejsca w kosmolotach zarezerwowane były, zanim jeszcze wyruszyłem na Ziemię. Poza tym większość kosmolotów już odleciała. W biurze podróży mi mówią: jedyne wyjście to teletransportacja. Nie tylko dla mnie, dla całej ludzkości. Niepotrzebnie się jej obawiamy. Proszę nie uogólniać, zezłościłem się na nich, ludzkość w tej chwili mnie nie interesuje, powiedzcie mi lepiej, jak mam się dostać na Nowy Rok na Tytana. Nie jestem rozpieszczonym turystą, tam jest moje miejsce pracy, żona na mnie czeka, praca także. A oni swoje: teletransportacja. Co prawda wychodzi trochę drożej, zakłady pracy z ich biurokracją wciąż jeszcze nie dopłacają delegowanym różnicy w cenie, także bagaż otrzymałbym później, towarowym kosmolotem, ale za to w ciągu półtorej godziny byłbym na Tytanie. W innym razie – za dwa tygodnie! Cóż miałem począć? Zgodziłem się. Przecież Iwon jest tak bardzo zazdrosna, że gdybym nie wrócił na Nowy Rok, pewnie wydrapałaby mi oczy.
– No jasne! To my zawsze jesteśmy winne – wojowniczo wtrąciła Francuzka. – Stale jesteśmy przyczyną wszystkich waszych nieszczęść!
Nie zwracałem na nią uwagi. Takie właśnie, dosyć wybuchowe, są nasze żony na Tytanie. Wciąż z jednym i tym samym mężczyzną, stale w hermetycznych pomieszczeniach lub skafandrach, stają się nerwowe. Dobrze, że Iwan również nie dał się sprowokować i ciągnął dalej:
– Nie myślcie, że z teletransportacją poszło mi gładko! Ludzie podróżują jak zwariowani. Zaledwie na dwie godziny przed Nowym Rokiem udało mi się znaleźć miejsce. Wystrzeliwali nas grupami.
Westchnął drżącym głosem i umilkł.
– I jak ci poszło? Opowiadajże! – ponagliłem go.
Jeśli chodzi o mnie, to nawet jeszcze nie byłem na stacji teletransportacyjnej, którą niedawno wybudowano u nas na Tytanie. Nie wiem, czy odważyłbym się kiedyś z niej skorzystać. My, geolodzy z reguły jesteśmy trochę konserwatywni. Bardzo możliwe, że teletransportacja jest rzeczywiście przyszłością ludzkości, a nawet genialnym, rewolucyjnym i Bóg wie jeszcze jakim odkryciem lub wynalazkiem, jednak przynajmniej w moim odczuciu jest w niej coś uwłaczającego ludzkiej godności. Żeby całkiem nagiego człowieka zamknąć w jakiejś tam kabinie reaktora, rozłożyć go w niej na kwanty i tutti quanti, i w takim stanie wystrzelić w Kosmos, by potem na jakiejś tam planecie poskładać to wszystko na nowo! Co prawda dzięki temu możemy poruszać się z możliwie największą szybkością, szybkością światła, ale mimo to nigdy nie zgodziłbym się, aby mnie rozłożono na kwanty. To sprzeczne z naturą.
– Czy chociaż było to ciekawe? – zainteresowałem się. – Co czułeś wtedy, gdy...
– Lepiej mnie spytaj, co teraz czuję! – jęknął.
– Dlaczego?
– Jak to dlaczego? Człowieku, czyś ty nie widział?
Dopiero teraz wszystko stało się dla mnie jasne. Znając wrażliwość Iwana, stłumiłem uśmiech i wykrzyknąłem:
– Ojejku, więc to dlatego! Pokaż no!
Zerwałem się z krzesła i sięgnąłem do koca, ale Francuzka uderzyła mnie po ręce.
– Przecież już widziałeś! Tu nie ma nic do oglądania.
W oczach zalśniły mi pulchne, białoróżowe uda, błysnęły zaokrąglone kolanka... Nuda na Tytanie rozwinęła naszą wyobraźnię o wiele bardziej, niż to ma miejsce na Ziemi.
– Jak to się stało? – spytałem, zawstydzony trochę swą wyobraźnią.
– Skąd mogę wiedzieć. Mówiłem ci przecież, jaki był ścisk. Wystrzeliwali nas grupami. Kto wie, gdzie i jakim sposobem doszło do pomyłki i jak widzisz, cała moja dolna połowa jest kobieca.
– Rany boskie! – zawołałem, zmuszając się do współczucia. – Ale na stacji odbiorczej...
– Roboty! – wybuchnął. – Nowy Rok, człowieka nie uświadczysz. Nawet ubranie przepadło. Powiedzieli, że linia jest nowa i prowadzi przez strefę asteroidalną, toteż takie pomyłki są możliwe. Podobno dopóki nie wykryją, dokąd poleciała moja dolna połowa, nic nie mogą poradzić. Jak dotychczas żadna stacja nie zgłosiła pomyłki. Powiedzieli mi: niech pan uda się do domu w takim stanie, my pana odszukamy. Jeszcze w dodatku mnie straszą: Niech pan uważa, ponosi pan odpowiedzialność za cudzą dolną połowę. Co za bezczelność! Tak jak bym nie posiadał się ze szczęścia, że mogę w takim stanie pokazać się swojej żonie! I to na Nowy Rok! Śmiej sie, śmiej! – wybuchnął wreszcie widząc, że ledwie się powstrzymuję, by nie parsknąć śmiechem.
– Iwanie – zwróciłem się do Francuzki – moje noworoczne wyrazy współczucia.
I wybiegłem do toalety.
Zaśmiewałem się tak długo, aż rozbolały mnie mięśnie brzucha, po czym przemyłem twarz zimną wodą i wreszcie uprzytomniłem sobie powagę sytuacji! Ale jak mogłem pomóc swemu koledze po fachu i przyjacielowi? I czy w ogóle było to możliwe? Jeszcze od biedy poliwizor potrafię jakoś tam rozebrać na części, ale na technice tej przeklętej teletransportacji w ogóle się nie znam. Nie potrafię sobie wyobrazić, jak mogło dojść do pomyłki i w jaki sposób dokona się zamiany. Chirurg najprawdopodobniej tego nie załatwi. Nie można tak po prostu przekroić człowieka na pół, a potem zszyć go z powrotem, zapewne wszystko jest nawet nie na molekularnym, a na submolekularnym poziomie.
Wychodząc z toalety na korytarz usłyszałem nieprzerwany terkot dzwonka u wejściowej śluzy, który grzmiał tak, jakby się zaciął. Gdy otworzyłem hermetycznie zamknięte, opancerzone drzwi, wtoczył się przez nie jakiś ubrany w jaskrawoczerwony skafander kolos. W takich ordynarnych skafandrach spacerują po Tytanie jedynie turyści. Rozdaje je im agencja, aby móc na odległość rozpoznać swoje stado. Przybysz zaczął wymachiwać ramionami nad moją głową, ale oczywiście nie słyszałem go, ponieważ mówił przez hełmofon. Pokazałem mu na migi, że jeśli chce mnie o coś zapytać, to powinien przynajmniej zdjąć hełm. Nieznajomy gorączkowo zajął się tą najwidoczniej niezwykłą dla niego czynnością, toteż zmuszony byłem przyjść mu z pomocą.
– Czy pan nazywa się Iwan taki to a taki? – wyrzucił z siebie, wydobywszy wreszcie dużą głowę z hełmu, przyjrzał mi się dysząc ciężko i stwierdził: – Nie, to nie pan. Gdzie on jest?
Wskazałem palcem przez ramię i nieznajomy z całym impetem rzucił się do drzwi holu. W chwilę potem ujrzałem go jak pada przed szezlongiem na kolana. Odrzuciwszy koc ze skulonego pod nim Iwana zawołał:
– To ona! To ona!
Po czym w upojeniu zaczął całować stopy i kolana mojego przyjaciela, to znaczy to, co przyczepiono mu podczas teletransportacji. Iwon i Iwan wpadli w takie osłupienie, że zamarli bez ruchu. Z ogromnym trudem zdołałem odsunąć tę ludzką bryłę od nóg i... Popchnąłem go w stronę krzesła, na którym wcześniej siedziałem i krzyknąłem na niego:
– Proszę się zachowywać przyzwoicie! Gdzie pan się znajduje? – I ponawiając bezskuteczne próby usadowienia go na krześle, zawołałem do wciąż jeszcze oniemiałej Francuzki: – Daj mu jakąś swoją sukienkę albo spodnie, niech tak nie siedzi!
Iwon wybiegła do drugiego pokoju po ubranie, zaś w tym czasie kolos wskazując na Iwana, który wstrząśnięty jego krzykiem zarzucił na siebie koc, przykrywając wreszcie ten zdumiewający na Tytanie widok, zawołał tragicznie:
– Ależ to moja żona!

Wszystko było już dla mnie jasne, toteż zdołałem się opanować.

– Czy jest pan pewny, że tak właśnie wygląda pańska żona? Niech no pan się przyjrzy uważniej.

Zamiast tego kolos załamany runął na krzesło.

– Och, ja oszaleję!

– Wszystkim nam to grozi – powiedziałem współczująco. – Napije się pan czegoś?

– Proszę mi wybaczyć, że tak... – przeprosił mnie. – Ale niech pan sobie wyobrazi moją sytuację. Wczoraj wzięliśmy ślub i natychmiast wyruszyliśmy na Ree, sąsiedniego satelitę Saturna. Postanowiliśmy spędzić tam Nowy Rok i miodowy miesiąc. I żeby nam, akurat nam, przytrafiło się coś takiego...

Poczułem jak ponownie ogarnia mnie fala śmiechu, a nie było tu nic śmiesznego, prawdziwa tragedia. Wybąkałem z trudem:

– Czy adres dostał pan na stacji? A gdzie obecnie znajduje się pańska żona?

Jęknął ponownie:

– Och, ona nie jest z jego połową!

– Cooo! – ryknął Iwan z szezlonga. – Więc gdzie jest?

– Nie wiem. Na stacji nie wiedzą także. Trzeci poszkodowany jeszcze się nie zgłosił.

– A pańska żona... – nie udało mi się sformułować pytania, ponieważ nadal miałem przed oczami jej młode wspaniałości, lecz on zrozumiał, o co mi chodzi.

– Ma obcą kobiecą połowę.

– No cóż, przynajmniej ma pan całą kobietę – pozwoliłem sobie na uśmiech.

– Jaką tam kobietę – zapłakał. – Ta druga połowa należy do jakiejś stuletniej starowiny.

– Rany boskie! – wyjąkałem i znowu wybiegłem do toalety.

Gdy wracałem, osadził mnie w miejscu jego krzyk:

– Proszę nie wchodzić!

Wszedłem, ponieważ przestraszyłem się, że ten dzikus mógłby memu przyjacielowi coś zrobić.

– Ejże! – zawołał i rozpostarł koc.

Iwan ubierał swoją dolną połowę w przyniesione przez Iwon ubranie.

– Stój tam! – rozkazała mi Iwon.

– Coś takiego! – powiedziałem. – Od kiedy to Iwan wstydzi się przebierać w mojej obecności? Na studiach mieszkaliśmy w tym samym pokoju.

– Ej, panie – pogroził mi zwalisty młodożeniec i jeszcze gorliwiej zasłonił kocem mojego przyjaciela. – Niech no pan nie udaje, że pan nie wie, o co chodzi! A w ogóle, co pan tu robi?

– Iwanie – rzekłem. – Czy mam sobie pójść?

Francuzka przestraszyła się.

– Ależ skąd! Stój tutaj, kto wie, co takiemu może jeszcze wpaść do głowy.

– Zawołam milicję – zagroziłem mu.

Turysta-nowożeniec nie wiedział, że na Tytanie nie ma milicji, toteż zawołał z entuzjazmem:

– Bezzwłocznie! Ona powinna mieć ochronę.

– Człowieku, kto? I przed kim?

Nie odpowiedział na moje pytanie, ponieważ do głowy wpadło mu coś nowego.

– Bardzo proszę, niech pan poleci ze mną na Reę. Zgoda?

Iwan, który właśnie przyglądał się swym śmiesznie zmienionym w kraciastych spodniach żony nogom, szybko wepchnął je z powrotem pod koc.

– Ja bardzo proszę. Pojedzie pan ze mną, nieprawdaż? Co prawda tylko częściowo, ale jednak należy pan do mnie.

Iwan popatrzył na niego skonsternowany, ale Iwon zachowując zimną krew zwróciła się do mnie zjadliwie:

– Czy nie ma sposobu, aby tego wariata wypędzić z mojego domu?

– To o panu mowa – zwróciłem się do niego.

– Ale dlaczego miałbym być wariatem? Czyż nie mam prawa...

– Precz! – wrzasnął Iwan z szezlonga. – Niech się pan wynosi! Precz!

– Aaa – skonstatował młodożeniec z godnością. – Nie ruszę się stąd. Albo pan ze mną poleci, albo...

– Albo? – pochyliłem się nad nim z zaciśniętymi pięściami, choć zważywszy, że był dwa razy silniejszy ode mnie, było to czyste szaleństwo, a poza tym lekkomyślność, bowiem Iwan w tym stanie zapewne nie okazałby mi męskiej pomocy.

A jednak podziałało to na niego.

– Ale ja nie mogę pana tak zostawić – zapłakał znowu. – Wszystko może się zdarzyć.

– Będę jej pilnował – obiecałem.

– Aha, już ja wiem jakie to będzie pilnowanie! A tak w ogóle to jeszcze mi pan nie wyjaśnił, co pan tu robi. Ma pan przecież żonę, a... O ile wiem, na odległe planety nie wysyła się kawalerów.

– Obywatelu – zwróciłem się do niego. – Rozumiem waszą mękę i współczuję wam, co jednak nie upoważnia was do nieprzyzwoitego zachowania. Proszę przestać męczyć mojego przyjaciela, on i tak jest bliski samobójstwa.

Kolos, który najwidoczniej miał bardzo bujną wyobraźnię, z przerażenia skoczył jak oszalały.

– Przecież zabije pan moją żonę!

– Widzisz Iwon – rzekłem. – Chcesz się porwać nie tylko na siebie, ale także na drugiego człowieka. A to już nie samobójstwo, lecz zabójstwo.

– Więc co mam robić? – zapłakał piskliwym głosikiem mój przyjaciel.

– Będziemy czekać – rzekłem raźno. – I już.

Cóż innego miałem mu powiedzieć, co nam pozostawało?

Aby uspokoić młodożeńca, wezwałem żonę. Poskromiło go to, lecz jak się okazało, napełniło Iwon ciągłym lękiem. Nieustannie kręciła się w pobliżu, ani na moment nie zostawiając nas samych, choć Iwan na pewno miał ochotę porozmawiać ze mną po męsku. W pewnej chwili spytałem go, jak się czuje. Odparł: „Bardzo dziwnie". Twierdził, że przychodzą mu do głowy różne nie jego myśli, rozmaite idiotyczne obrazy, jakieś fluidy pełzają mu po ciele od stóp aż po czubek głowy... Jednak nie powiedział jakie myśli, jakie obrazy. Zresztą czyż mógł to uczynić w obecności dwu kobiet, które krążyły wokół niego niczym zazdrosne tygrysice...

Nowożeniec zaczął regularnie odbywać loty planetolotem między Reą i Tytanem, między górną i dolną połową swej żony, raz po raz zasypując nas coraz bardziej rozpaczliwymi komunikatami: pannie młodej sypnęły się starcze wąsiki, ma włochate brodawki i Bóg wie co jeszcze...

Iwanowi natomiast rosną piersi. Chciałem je zobaczyć, ale żona mi nie pozwoliła. „Też coś – powiedziała – piersi nie widziałeś".

A przeklęta staruszka ani myśli się ujawniać. Widać dobrze się czuje z młodą dolną połową mojego przyjaciela. Trwają intensywne poszukiwania, ale zanim zostanie przetrząśniętych dziewięć satelitów Saturna... A przecież równie dobrze mogła wrócić na Ziemię lub udać się na jakąś inną planetę.

A my siedzimy i czekamy. Nie możemy się zająć pracą ani rodziną. Ja pilnuję przyjaciela, żeby nie popełnił samobójstwa. Moja żona pilnuje mnie, abym się do niego nie zbliżał. A Iwon śledzi nas wszystkich. Trudno dociec, czy o jego połowę tak się boi, czy też o obcą, ale stale jest w pobliżu. I kiedy Iwan kręcąc tyłeczkiem, zalotnym krokiem rusza do toalety, albo łazienki, regularnie się kłócimy, kto powinien mu towarzyszyć mężczyzna czy kobieta, aby nie wymknął się na zewnątrz bez skafandra i nie otruł się...

Niech no przyjdzie i niech to zobaczy ten robot, który został doktorem filozofii, ażebym mógł go spytać, co też by w tej sytuacji wyfilozofował!

Przełożyła **Danuta Najdenowa-Matysiak**

■

Luben DIŁOW

Ur. 1927 r. Jeden z najpopularniejszych pisarzy fantastów w Bułgarii. Tworzy od 1951 r. Autor wielu opowiadań, nowel, bajek dla dzieci oraz powieści. Jego utwory przetłumaczono na wiele języków europejskich. Znany jest także w Japonii i USA. W 1975 r. na zjeździe pisarzy science fiction krajów socjalistycznych, odbywającym się w Polsce, nagrodzony został za swe powieści, zaś na III europejskim kongresie pisarzy – fantastów otrzymał specjalną nagrodę za powieść „Pytiat na Ikar" (Droga Ikara) oraz za całokształt twórczości.

Opowiadanie „Noworoczna tragedia" pochodzi z tomu „Pozgubenijat szans" (Stracona szansa) wydanego w Płowdiwie w 1981 r. Jest to podporządkowany nadrzędnej myśli zbiór różnorodnych form literackich (wiersze, powieść, opowiadanie kryminalne itd.). Pisze je na zamówienie i pod dyktando znanego twórcy jego nowy, udoskonalony komputer. Niestety, maszyna opacznie interpretuje wskazówki swojego pana i ostatecznie pechowy pisarz rezygnuje z jej usług. Opowiadanie „Noworoczna tragedia" to właśnie „osiągnięcie" komputera w dziedzinie science fiction.

D. N. M.

W gmachu elektrowni rozjęczała się syrena. Musiał to być umówiony sygnał, bowiem na jej dźwięk żołnierze zaczęli rąbać drewniane podpory. Kartonowa budowla zachwiała się i runęła z trzaskiem.

Plac Szowinistów był pusty.

To znaczy, niezupełnie. Bill przyjrzał się dokładniej i stwierdził, że został jeden człowiek. Trudno go nawet było dostrzec. Z początku biegł w ich stronę, ale kiedy zobaczył, co kryje się za fałszywą fasadą, zatrzymał się z żałosnym piskiem.

– Poddaję się! – zawołał i Bill rozpoznał w nim człowieka nazwiskiem X. Otworzyła się brama elektrowni i na plac wyjechały samobieżne miotacze ognia.

– Tchórz – prychnął pogardliwie Pinkerton i zarepetował pistolet. – Nie próbuj się teraz wycofać, X, przynajmniej umrzyj, jak mężczyzna!

– Nie jestem X-em, to tylko nom-de-espionage! – krzyknął X, zdzierając fałszywą brodę i wąsy, i odsłaniając nieciekawą, drgającą nerwowo twarz z mocno zarysowaną szczęką. – Jestem Gill O' Teen, absolwent Cesarskiej Szkoły Kontrwywiadu i Służby na Dwa Fronty. Przydzielono mi to zadanie, mogę to udowodnić, mam dokumenty, książę Mikrocephal zapłacił mi za obalenie jego wuja, po to, by on mógł zostać Cesarzem...

– Masz mnie za idiotę? – warknął Pinkerton mierząc starannie z pistoletu. – Stary Cesarz, niech spoczywa w pokoju, umarł rok temu i jego miejsce zajął właśnie książę Mikrocephal. Nie możesz obalić człowieka, który cię do tego wynajął!

– To przez to, że my tu nigdy nie czytaliśmy gazet! – jęknął X alias O'Teen.

– Ognia! – rozkazał surowym tonem Pinkerton i ze wszystkich stron runęła ulewa żaru, atomowych promieni, kul i granatów. Bill padł na twarz, a kiedy odważył się unieść głowę, na placu nie było już nic oprócz niewielkiej wilgotnej plamy i płytkiego dołka w chodniku. Po chwili zresztą zjawił się robot sanitarny, wytarł dokładnie plamę i wypełnił zagłębienie szybko krzepnącym plastykiem. Kiedy odjechał, Plac Szowinistów wyglądał tak, jakby nic się tutaj przed chwilą nie wydarzyło.

– Witaj, Bill... – odezwał się paraliżująco znajomy głos. Billowi włosy zjeżyły się na głowie jak na szczoteczce do zębów. Odwrócił się i ujrzał oddział żandarmów, na którego czele stała potężna, budząca grozę postać.

– Kostucha Drang... – wyszeptał Bill.

– Ten sam.

– Niech pan mnie ratuje! – Bill padł przed agentem Pinkertonem i objął go za kolana.

– Ratować? Ciebie? – zaśmiał się Pinkerton i zdzielił Billa kolanem pod brodę. – Przecież to ja ich zawiadomiłem. Sprawdziliśmy cię, chłopcze, i odkryliśmy sporo nieciekawych rzeczy. Rok temu zdezerterowałeś z armii, a my nie chcemy u nas dezerterów.

– Ale ja pracowałem dla was... pomagałem...

– Brać go – polecił Pinkerton i odwrócił się tyłem.

– Nie ma sprawiedliwości! – załkał Bill, kiedy znienawidzona dłoń zacisnęła mu się na ramieniu.

– Oczywiście, że nie – zgodził się Kostucha. – A ty co myślałeś?

Wzięli go ze sobą.

KONIEC CZĘŚCI DRUGIEJ

CZĘŚĆ DRUGA

Rozdział 1

Przód przypominającego gruby cylinder promu stanowiło wielkie okno ze specjalnie zbrojonego szkła, za którym kłębiły się pędzące im na spotkanie obłoki. Rozparty wygodnie w antyprzeciążeniowym fotelu Bill podziwiał wspaniały widok. Pękaty prom mógł pomieścić dwudziestu pasażerów, ale teraz, łącznie z Billem, było ich tylko trzech. Na jednego z nich, siedzącego tuż przy nim, Bill starał się zbyt często nie patrzeć. Był to artylerzysta pierwszej klasy, który wyglądał tak, jakby wystrzelono go z jednej z jego armat. Jego twarz, o jednym tylko, nabiegłym krwią oku, wykonana była z plastyku, cztery brakujące kończyny zastępowała mu plątanina błyszczących tłoków, drutów i elektronicznych podzespołów, zaś dystynkcje artylerzysty przyspawane miał do zastępującej mu bark metalowej kraty. Trzeci pasażer, przysadzisty sierżant piechoty o twarzy zbója, zasnął natychmiast po zajęciu miejsca.

– O, kurczę! Popatrz tylko! – wykrzyknął Bill, kiedy prom przebił ostatnią warstwę obłoków i pod nimi zabłysła złota kula Helioru, Planety Imperialnej, stolicy Cesarstwa 10 000 słońc.

– Co za albedo – mruknął gdzieś z wnętrza swej plastykowej twarzy artylerzysta. – Aż mi razi oko.

– No, myślę! Czyste złoto, wyobrażasz sobie? Planeta pokryta czystym złotem!

– Nie, nie wyobrażam sobie. I, szczerze mówiąc, nie wierzę. Zbyt drogo by to kosztowało. Ale mogę sobie bez problemu wyobrazić planetę pokrytą anodyzowanym aluminium. Taką jak ta.

Bill przyjrzał się dokładniej i rzeczywiście to nie było złoto. Znowu ogarnęło go przygnębienie. Nie! Nie podda mu się! Może zabraknąć złota, ale nigdy nie zabraknie chwały! Helior wciąż jeszcze był Planetą Imperialną, wiecznie czujnym, wszystkowidzącym okiem w sercu galaktyki. Tu meldowano o każdym wydarzeniu na każdej planecie i na każdym statku, a następnie informacje te były klasyfikowane, kodowane, wprowadzane, komentowane, oceniane, gubione, odnajdywane, opracowywane. Z Helioru wychodziły rozkazy decydujące o losach całych cywilizacji i powstrzymujące wszeteczne zakusy najeźdźców. Helior był planetą do końca podporządkowaną człowiekowi; morza, góry i kontynenty pokryte zostały rozbudowywanymi bez ustanku metalowymi kondygnacjami, a mieszkający tam ludzie poświęcali swe życie jednemu tylko ideałowi: Władzy. Błyszcząca powierzchnia najwyższego poziomu pokryta była niczym kropkami statkami kosmicznymi najróżniejszych rozmiarów, zaś ciemne niebo migało światełkami tych, które już wystartowały, bądź też czekały na lądowanie. Obraz coraz bardziej się powiększał, aż w pewnej chwili błysnął oślepiającym światłem, po czym zniknął.

– Katastrofa! – jęknął Bill. – Już po nas...

– Zamknij dziób. Po prostu film się urwał. Nie ma na pokładzie żadnych szych, więc pewnie nie będzie im się chciało naprawiać.

– Film?...

– A cóżeś myślał? Nikt nie jest na tyle szalony, żeby budować promy z wielkimi oknami na dziobie, tam, gdzie tarcie atmosferyczne jest największe. To film. Projekcja. I tak lądujemy na nocnej stronie planety.

Pilot przygwoździł ich przy lądowaniu 15 g (on także wiedział, że na pokładzie nie ma żadnych szych) i kiedy wpychali sobie na miejsce poprzestawiane kręgi szyjne i przywracali gałkom ocznym ich zwykły, kulisty kształt, śluza otworzyła się z sykiem. Rzeczywiście, była noc, a w dodatku padało. W drzwiach pojawiła się profesjonalnie uśmiechnięta twarz stewarda drugiej klasy.

– Witamy na Heliorze, Planecie Imperialnej, gdzie tysiące wrażeń czeka na... – jego twarz przybrała wrodzony, pogardliwy grymas. – Co jest, nie ma z wami żadnych oficerów? Dobra, wyłazić, tylko z życiem, musimy trzymać się rozkładu.

Zignorowali go, kiedy przepychał się do przodu, by obudzić chrapiącego jak zepsuty wirnik sierżanta piechoty, którego taka drobnostka jak piętnastokrotne przeciążenie nie była w stanie wyrwać z objęć głębokiego snu. Chrapanie zmieniło się w gardłowy pomruk, przerwany po chwili cienkim wrzaskiem kopniętego w krocze stewarda. Wciąż gniewnie pomrukując, sierżant zszedł wraz z dwoma pozostałymi pasażerami na śliską jak lód powierzchnię lądowiska. Wspólnie z Billem ustawili artylerzyście rozklekotane, metalowe nogi, a potem z rezygnacją obserwowali, jak ich skromne tłumoczki wylatują z przedziału bagażowego prosto w głęboką kałużę wody. W ostatnim akcie zemsty steward wyłączył chroniące

ich przed deszczem pole. W mgnieniu oka byli przemoczeni do suchej nitki i zziębnięci, bowiem wiało też nie najgorzej. Zarzucili na plecy bagaże - tylko artylerzysta ciągnął swój na małych kółeczkach - i skierowali się w stronę najbliższych świateł, które znajdowały się o jakąś milę od nich i co chwila niknęły za zasłoną deszczu. W połowie drogi artylerzysta doznał zwarcia w obwodach i stanął jak słup soli. Przymocowali mu kółeczka do pięt, załadowali na niego bagaże i okazało się, że znakomicie się on nadaje na ręczny wózek.

- Znakomicie się nadaję na ręczny wózek - warknął artylerzysta.

- Nie narzekaj - uspokoił go sierżant. - Jak wrócisz do cywila, masz fach w ręku.

Otworzył kopniakiem drzwi i weszli, a częściowo wtoczyli się do rozkosznie ciepłego wnętrza kancelarii.

- Macie butelkę rozpuszczalnika? - zapytał Bill człowieka za kontuarem.

- Macie papiery podróżne? - zapytał człowiek za kontuarem, ignorując pytanie Billa.

- Mam butelkę w torbie - powiedział artylerzysta.

Bill otworzył torbę i zaczął w niej grzebać.

Wręczyli urzędnikowi papiery (artylerzysta swoje miał przypięte do piersi), a ten wrzucił je do stojącej za nim olbrzymiej maszyny. Maszyna huczała i błyskała światełkami, Bill zaś tymczasem przepłukiwał rozpuszczalnikiem wszystkie styki artylerzysty, aż wreszcie udało mu się usunąć z nich resztki wody. Zabrzmiał donośny brzęczyk, maszyna wypluła ich papiery i przy wtórze głośnego klekotu z wąskiego otworu w jej ścianie zaczęła wysuwać się papierowa zadrukowana taśma. Urzędnik chwycił ją i pośpiesznie przeczytał.

- Wpadliście jak śliwki w kompot - powiedział z sadystycznym zadowoleniem. - Wszyscy trzej macie otrzymać z rąk Cesarza order Purpurowej Rzutki, uroczystość będzie filmowana i zacznie się za trzy godziny. W życiu się nie wyrobicie.

- Nie twój zakichany interes - zgrzytnął zębami sierżant. - Dopiero co wylądowaliśmy. Dokąd mamy iść?

- Obszar 1457-D, poziom K9, blok 823-7, korytarz 492, komora Flm -34, pokój 62, pytać o producenta Ratta.

- Jak się tam dostać? - zapytał Bill.

- Nie wiem, ja tylko pracuję w kancelarii. - Urzędnik cisnął na ladę trzy opasłe tomiszcza, każde na stopę wysokie i niemal równie grube, każde z przynitowanym do grzbietu łańcuchem. - Poszukajcie sobie, tu macie Plan, ale musicie mi się podpisać. Zagubienie Planu stanowi wykroczenie przeciwko Prawu Wojennemu i karane jest...

Urzędnik zorientował się nagle, że został w pokoju sam jeden z trzema weteranami. Zbladł jak trup i sięgnął do alarmowego przycisku. Zanim jednak zdołał go dotknąć, metalowe ramię artylerzysty krzesząc iskry przyszpiliło go do kontuaru. Sierżant nachylił się nad nim tak, że niemal stykali się nosami i powiedział cichym, mrożącym krew w żyłach głosem.

- Sami rady nie damy. Ale ty nam pomożesz. Dasz nam Przewodnika.

- Przewodnicy są tylko dla oficerów - zaprotestował słabo urzędnik, po czym przez chwilę łapał jak ryba powietrze, ugodzony w żołądek stalowym palcem artylerzysty.

- Więc potraktuj nas tak, jak oficerów - doradził mu sierżant. - Nie mamy nic przeciwko temu.

Dzwoniąc ze strachu zębami urzędnik wezwał Przewodnika. Drzwiczki w przeciwległej ścianie otworzyły się z trzaskiem i pojawił się Przewodnik. Miał obłe, metalowe ciało, głowę podobną trochę do psiej, sprężynowy ogon i poruszał się na sześciu ogumowanych kółkach.

- Tutaj, chłopcze - wezwał go sierżant.

Przewodnik podjechał do nich, wysunął czerwony plastykowy język i z cichym rzężeniem trybów zaczął emitować dźwięk mający naśladować dyszenie. Sierżant zerknął dla pewności na papierową taśmę, po czym wystukał na klawiaturze zdobiącej głowę Przewodnika kod: 1457-D K9 823-7 492 Flm-34 62. Rozległy się dwa krótkie szczeknięcia, czerwony język zniknął, ogon zadrżał i Przewodnik ruszył przed siebie korytarzem. Weterani nie zwlekając podążyli za nim.

Do pokoju 62 dotarli po godzinie, korzystając po drodze z wind, ruchomych schodów, pochylni, poduszkowca, kolejki jednotorowej, ruchomego chodnika, własnych nóg i łapanych „na łebka" kołowych

giem, jakiego mamy, aczkolwiek zupełnie niewykluczone, że najgorszym. A teraz słuchaj i zanotuj to w pamięci drukowanymi literami, żeby ci się potem nic nie pomyliło. Twoja grupa atakuje elektrownię na Placu Szowinistów. Trzymaj się z nimi aż do Placu, a potem szukaj sklepu z szyldem „Mrożone Szynki Koszerne, Sp. z O.O." - tam będziemy czekać. Właź czym prędzej do sklepu i melduj się. Zrozumiano?

- Zrozumiano.

Połączenie zostało przerwane i Bill zaczął się rozglądać za jakimś kawałkiem papieru, w który mógłby zawinąć pochodnię i skałkówkę. Musiał się śpieszyć, czekała go długa i skomplikowana droga, a czasu do Godziny Zero pozostało już bardzo niewiele.

- O mało się nie spóźniłeś - powiedział android Wampyr, kiedy zadyszany Bill wpadł do wyznaczonego na miejsce zbiórki ślepego odgałęzienia korytarza.

- Nie mądrzyj się, ty synu probówki - wysapał Bill, zdzierając papier ze swego ładunku. - Lepiej zapal mi pochodnię.

Trzasnęła zapałka i po chwili dobrze nasmołowane pochodnie płonęły, dymiąc obficie. W miarę, jak wskazówka sekundnika zbliżała się do wyznaczonej godziny, rosło napięcie, a stopy szurały coraz bardziej nerwowo po metalowym chodniku. Bill podskoczył jak dźgnięty nożem, kiedy ciszę rozdarł przeraźliwy gwizd i zaraz potem, z bronią gotową do strzału, w ogłuszającej kakofonii wrzasków dobywających się z głośników, runęli przed siebie przemieszaną, ludzko-maszynową falą. Przewalali się przez korytarze i chodniki, a płonące pochodnie sypały snopy iskier. Bunt! Bill dał się unieść emocjom i ogólnemu podnieceniu i wrzeszczał nie gorzej od innych. W zapale przytknął pochodnię najpierw do ściany korytarza, a potem do fotela na platformie komunikacyjnej, ale odniosło to tylko taki efekt, że pochodnia zgasła. Wszystko na Heliorze wykonane było jednak albo z metalu albo z jakiegoś niepalnego tworzywa. Nie było jednak co żałować jednej zmarnowanej pochodni, toteż cisnął ją gdzieś w bok i w tej samej chwili znaleźli się na obszernym, dochodzącym do budynku elektrowni, placu. Większość pochodni już się wypaliła, ale tutaj i tak nie były nikomu potrzebne. Teraz miały przemówić skałkówki, wypruwając flaki ze sługusów Cesarza, którzy ośmieliliby się stanąć im na drodze. Z innych korytarzy wypadały na plac pozostałe oddziały, przyłączając się do bezmyślnego, huczącego z podnóża bezokiennych ścian elektrowni, tłumu.

Uwagę Billa zwrócił na siebie migoczący neon z napisem „Mrożone Szynki Koszerne, Sp. z O.O.". Na Arymana, zupełnie zapomniał, że jest przecież szpiegiem G.B.Ś.! O mało co, a przyłączyłby się do ataku na elektrownię. Chyba jeszcze zdąży uciec, zanim nastąpi kontruderzenie. Pocąc się trochę bardziej niż zwykle, zaczął torować sobie drogę w kierunku neonu. Wreszcie udało mu się przebić przez tłum i niczym zając pognał w poszukiwaniu schronienia. Chwycił za klamkę wychodzących na ulicę drzwi, ale były zamknięte. Ogarnięty paniką szarpał coraz mocniej, aż cały front budynku zakołysał się niebezpiecznie, trzeszcząc i poskrzypując w posadach. Bill osłupiał, zdumiony swoją siłą i w tej chwili ktoś syknął na niego głośno.

- Chodź tutaj, ty bałwanie! - rozległ się wściekły głos. Bill spojrzał w bok i zobaczył wychylającego się zza rogu agenta Pinkertona, który machał do niego z groźną miną. Bill posłusznie skręcił za róg i znalazł się w sporawym tłumie. Miejsca jednak było dosyć, bowiem cały budynek okazał się tylko zrobioną z tektury makietą frontowej ściany, przymocowaną drewnianymi podporami do płyty czołowej atomowego czołgu. Dokoła pojazdu zgrupowani byli żołnierze w uzbrojeniu bojowym, oddział agentów G.B.Ś., jak również największa ilościowo gromada rebeliantów z powypalanymi przez pochodnie dziurami w ubraniu. Osobą stojącą najbliżej Billa okazał się android Wampyr.

- Ty?!... - Zachłysnął się zdumieniem Bill. Android wykrzywił usta w starannie wyćwiczonym pogardliwym uśmiechu.

- Miałem na ciebie cały czas oko. U nas nic nie jest pozostawiane przypadkowi.

Pinkerton wyglądał przez dziurkę w fałszywych drzwiach.

- Chyba wszyscy agenci już się wycofali - powiedział - ale na wszelki wypadek zaczekamy jeszcze chwilę. Według ostatnich danych w tej operacji brali udział szpiedzy z sześćdziesięciu pięciu agencji wywiadowczych i kontrwywiadowczych. Ci buntownicy nie mają żadnych szans...

wyłącznie na gorsze. Z ciężkim sercem przemierzył zasypane gruzem pieczary, przelazł przez szyny, przebrnął przez wodę, wreszcie podał obowiązującą w tym dniu odpowiedź mówiącemu straszliwie niewyraźnie, bo z pełnymi ustami, antropofagowi. Pewnie w ogólnym rozgardiaszu jakiś wywrotowiec podał nie to hasło, co trzeba. Bill zadrżał na tę myśl. Nie był to zbyt dobry omen.

Bill, jak zwykle, zajął miejsce koło robotów - porządnych, solidnych typów, które pomimo swych buntowniczych zapędów miały działające obwody posłuszeństwa. X łomotał, jak zwykle, domagając się spokoju, a Bill zbierał tymczasem siły przed czekającą go ciężką próbą. Już od kilku miesięcy Pinkerton dopominał się o coś więcej niż tylko data zebrania i liczba obecnych. „Chcemy faktów!" - powtarzał. „Zarób wreszcie na te pieniądze".

– Mam pytanie - powiedział Bill nieco drżącym głosem. Jego słowa wpadły jak bomby w zapadłą po szaleńczym łomotaniu rewolwerem ciszę.

– To nie czas na pytania - odparł zirytowany X - tylko na działania.

– Nie mam nic przeciwko działaniu - zastrzegł się nerwowo Bill, świadom, że wszystkie ludzkie, elektroniczne i mieszane organy wzroku skierowane są na jego osobę. - Chcę tylko wiedzieć dla kogo działam. Nigdy nam pan nie powiedział, kto obejmie władzę po obaleniu Cesarza.

– Naszym przywódcą jest człowiek nazywający się X. To wszystko, co powinieneś wiedzieć.

– Ale pan też się tak nazywa!

– Wreszcie docierają do ciebie podstawowe zasady organizacyjne. Dla zdezorientowania przeciwnika wszyscy przywódcy poszczególnych komórek nazywają się X.

– Nie wiem, jak przeciwnik, ale ja na pewno jestem zdezorientowany...

– Gadasz jak kontrrewolucjonista! - wrzasnął X i wymierzył w Billa rewolwer. Wokół Billa momentalnie zrobiło się pusto. Wszyscy pochowali się po kątach, uchodząc z pola ostrzału.

– Ależ skąd! Kocham rebelię jak każdy z obecnych! Niech żyje Bunt! - Złączył nad głową dłonie w organizacyjnym pozdrowieniu i usiadł czym prędzej na miejsce. Reszta oddała pozdrowienie i X, trochę udobruchany, wskazał lufą rewolweru wielką, wiszącą na ścianie, mapę.

– Oto cel naszego ataku, elektrownia na Placu Szowinistów. Zbieramy się w pobliżu w małych grupkach i o 0016 przystępujemy do skomasowanego uderzenia. Nie spodziewamy się oporu, bo elektrownia nie jest strzeżona. Przy wyjściu pobierzecie broń i pochodnie, a Zdeplanowani otrzymają pisemne instrukcje, które umożliwią im dotarcie na miejsce zbiórki. Są jakieś pytania? - wycelował rewolwer w przycupniętego jak trusia Billa. Pytań nie było.

– Znakomicie. Teraz wszyscy wstaniemy i odśpiewamy Hymn Chwalebnego Buntu.

Chórem ludzkich głosów i dźwięków, wydawanych przez modulatory częstotliwości, zaśpiewali:

Powstańcie o wy, więźniowie biurokracji,
zbuntowani Helioru robotnicy!
Dźwignijcie sztandar Buntu
pięścią, stopą, pistoletem, młotkiem i pazurem!

Podniesieni na duchu tym może nieco monotonnym ćwiczeniem ustawili się w kolejce po swoje wyposażenie wywrotowca. Bill schował do kieszeni instrukcję, wziął na ramię pochodnię i wyrzucającą śmiercionośne promienie skałkówkę i popędził raz jeszcze sekretnymi przejściami. Czasu było niewiele nawet na dotarcie do punktu zbiórki, a przecież musiał się jeszcze skontaktować z G.B.Ś.

Łatwiej było to powiedzieć, niż wykonać. Wybierając, po raz nie wiadomo który numer, poczuł, jak oblewa go fala potu. Nie było mowy o uzyskaniu połączenia, zajęta była cała linia. Być może rebeliantom udało się już zasiać zamęt w sieci łączności Helioru. Westchnął z ulgą, kiedy na ekranie pojawiła się wreszcie gburowata twarz Pinkertona.

– O co chodzi?

– Dowiedziałem się nazwiska przywódcy rewolty. Nazywa się X.

– I chcesz, żebym cię za to pochwalił, głupcze? Od miesięcy już mamy tę informację. Coś jeszcze?

– Rewolta zaczyna się dzisiaj o 0016. Pomyślałem sobie, że może będzie pan chciał o tym wiedzieć. No, ale ich zażył!

Pinkerton, jak gdyby nigdy nic, ziewnął rozdzierająco.

– Dla twojej wiadomości powiem ci, że ta wiadomość to stara wiadomość. Nie jesteś jedynym szpie-

środków transportu. Zjeżdżając po wyjątkowo długiej pochylni przypięli łańcuchami do pasków swoje Plany, bowiem nawet Bill zaczął sobie zdawać sprawę, że bez nich nie sposób było żyć w tym pokrywającym całą planetę mieście. Przy drzwiach pokoju 62 Przewodnik zaszczekał trzy razy, po czym uciekł, zanim zdołali się na niego rzucić.

– Powinienem się pośpieszyć - mruknął sierżant. - Wart był swojej wagi w złocie.

Popchnęli drzwi i znaleźli się twarzą w twarz z siedzącym za biurkiem tłustym mężczyzną, który darł się co sił do wizjofonu.

– Guzik mnie obchodzą wasze usprawiedliwienia! Takich usprawiedliwień to ja mam na kopy! Wiem tylko tyle, że mam plan zdjęć, kamery czekają, tylko nie ma kogo kręcić! Pytam się, a ty mi... - spojrzał na nich i ryknął jeszcze głośniej. - Won! Won! Nie widać, że jestem zajęty?!

Sierżant zrzucił wizjofon na podłogę i rozdeptał na drobne, dymiące kawałki.

– Ma pan dosyć bezpośredni sposób zwracania na siebie uwagi - powiedział Bill.

– Po dwóch latach na froncie każdy robi się bezpośredni - odparł sierżant i donośnie zazgrzytał zębami. - No, to jesteśmy, Ratt. Co mamy robić?

Producent Ratt kopnięciem utorował sobie drogę przez zalegające podłogę rumowisko i otworzył drugie drzwi.

– Przygotować się! Światła! - krzyknął.

Coś się zakotłowało i po chwili zapłonęły potężne reflektory. Przeznaczeni do odznaczenia weterani weszli za nim do ogromnego, wypełnionego zorganizowaną bieganiną studia. Kamery na motorowych wózkach krążyły wokół sceny, na której podparte byle jak makiety udawały cesarską salę tronową. Przez witrażowe szyby przeświecało sztuczne słońce, a na tron padał z reflektora punktowego złoty promień światła. Poganiany wrzaskami reżysera tłumek szlachty i wyższych oficerów zajął miejsca po obu stronach siedziska władcy.

– Nazwał ich durniami! - wyszeptał wstrząśnięty Bill. - Rozstrzelają go!

– Aleś ty głupi - powiedział artylerzysta, wyciągając sobie z nogi przewód i wsadzając wtyczkę do kontaktu w ścianie. Akumulatory prawie mu się już rozładowały. - To wszystko aktorzy. Skąd by wzięli do takiego czegoś prawdziwą arystokrację?

– Przed przybyciem Cesarza starczy nam czasu, aby tylko raz to przećwiczyć, więc nie chcę żadnych błędów. - Producent Ratt wspiął się po stopniach i zasiadł na tronie. - Ja robię za Ceśka. Słuchajcie, szlachta, macie najłatwiejsze role, więc lepiej, żebyście niczego nie spieprzyli. Nie mamy czasu na powtórki. Ustawiacie się tutaj, w rządku i kiedy powiem „kręcimy", stajecie na baczność tak, jak was tego uczyli, a jak nie potraficie, to znaczy, że podatnicy niepotrzebnie na was płacą. Ty tam, po lewej, no, ty, obudowany tym żelastwem! Wyłącz te swoje cholerne silniczki, bo wejdą na ścieżkę dźwiękową! Zgrzytnij jeszcze raz biegami, to powykręcam ci bezpieczniki. No! Wy tam, czekajcie, póki was nie wywołają, potem krok naprzód i baczność! Cesarz przypina wam medal, wy salut i krok w tył. Zrozumieliście, czy to za skomplikowane dla waszych nędznych, zindoktrynowanych móżdżków?

– Trzeba to było wysmarkać nosem - poradził mu sierżant.

– Bardzo śmieszne. Dobra, lecimy!

Jednak zdążyli dwukrotnie przećwiczyć przebieg ceremonii, nim rozległy się fanfary i na scenę szybkim krokiem wmaszerowało sześciu generałów z bronią gotową do strzału, ustawiając się półkolem przed tronem. Kamerzyści, technicy, nawet producent Ratt skłonili się nisko, a weterani stanęli na baczność. Cesarz, powłócząc trochę nogami, wspiął się po stopniach i ciężko klapnął na tron.

– Nie przerywajcie... - powiedział znudzonym tonem i beknął z cicha.

– Kręcimy! - ryknął z całych sił reżyser i umknął pośpiesznie z pola widzenia kamery. Muzyka uderzyła wezbraną falą i uroczystość rozpoczęła się. Podczas gdy pełniący obowiązki szefa protokołu oficer odczytywał, jakich to heroicznych czynów dokonali bohaterowie czekający na wręczenie najwyższego z odznaczeń, orderu Purpurowej Rzutki z Gwiazdą Mgławicy Węglowej, Cesarz dźwignął się z tronu i dostojnym krokiem ruszył naprzód. Pierwszy był sierżant piechoty. Bill zerkał kątem oka, jak Cesarz wyjmuje z podsuniętego mu pudełka złoto-srebrno-rubinowo-platynowy order i przypina go do piersi żołnierza. Sierżant zasalutował, zrobił krok wstecz i teraz przyszła już kolej na Billa. Jak przez mgłę usłyszał grzmiący głos wypowiadający jego imię i wystąpił krok w przód, wkładając w ten ruch wszyst-

kie umiejętności, jakie nabył w obozie szkoleniowym. Stał twarzą w twarz z najbardziej uwielbianym człowiekiem w całej galaktyce! Zdobiący miliardy banknotów długi, spuchnięty nos skierowany był prosto w n i e g o, Billa, końska szczęka i sterczące jak kołki zęby wymawiały j e g o, Billa, imię, a jedno z zezowatych cesarskich oczu patrzyło prosto na n i e g o! Wzruszenie wezbrało mu w piersi jak pędzący ku brzegowi grzywacz i Bill zasalutował najpiękniej, jak potrafił.

W rzeczywistości był to chyba w ogóle najpiękniejszy z możliwych salutów, jako że niewielu jest przecież ludzi z dwiema prawymi rękami. Obie górne kończyny Billa strzeliły jednocześnie do góry, obydwa łokcie zadrżały pod przepisowym kątem, obie dłonie zatrzymały się tuż przy skroniach. Zostało to wykonane zaiste po mistrzowsku i zaskoczony Cesarz zdołał nawet przez jedną krótką chwilę skoncentrować na Billu spojrzenie obu swoich oczu, zanim znowu nie rozeszły się mu w przeciwnych kierunkach. Wciąż jeszcze trochę wytrącony z równowagi niezwykłym salutem wyjął z pudełka order i udekorował nim Billa, wbijając mu w ciało całą długość szpilki.

Bill nie poczuł bólu, ale ukłucie podziałało jak nagły impuls, wyzwalający wezbrane w nim emocje. Padł na kolana w dobrym pańszczyźnianym stylu, niczym aktor w telewizyjnym przedstawieniu - stamtąd zresztą jego niewolnicza podświadomość wzięła ten pomysł - i chwycił poskręcaną, pokrytą wątrobianymi plamami dłoń Cesarza.

- Tyś ojcem nas wszystkich! - wykrzyknął i złożył na dłoni wiernopoddańczy pocałunek.

Goryle w generalskich mundurach rzucili się naprzód i przez chwilę nad Billem załopotały skrzydła śmierci, ale Cesarz uśmiechnął się tylko i wytarł zaślinioną dłoń o jego mundur. Małe kiwnięcie palcem wystarczyło, bo goryle powrócili na swoje miejsca, Cesarz zaś podszedł do artylerzysty, przypiął mu ostatni z medali i cofnął się o krok.

- Koniec! - zawołał reżyser Ratt. - Scenę z tym składającym hołd ćwokiem też zostawcie, to nawet naturalnie wyszło.

Kiedy Bill wstał na nogi zobaczył, że Cesarz nie wrócił na tron, tylko wmieszał się w tłum gadających jeden przez drugiego aktorów. Goryle gdzieś zniknęli. Bill zamrugał, nie wierząc własnym oczom, kiedy jakiś człowiek zdjął Cesarzowi z głowy koronę, wsadził ją do kartonowego pudełka i gdzieś z nią pokłusował.

- Cholera, ramię mi się zacięło! - zaklął salutujący wciąż artylerzysta. - Szarpnij mocno, jeśli możesz. Zawsze coś nawala, jak za wysoko je podniosę.

- Ale... Cesarz... - wystękał Bill, mocując się z metalową kończyną. Coś zgrzytnęło przeraźliwie i ramię opadło na swoje miejsce.

- Aktor, oczywiście. A co, myślałeś, że prawdziwy Cesarz będzie wręczał odznaczenia niższym szarżom? Generałom, to może. Trochę poudawali, żeby podpuścić takiego prostaczka jak ty. Byłeś wspaniały.

- To dla was - powiedział jakiś człowiek wręczając im blaszane kopie orderów, a zabierając oryginały.

- Na miejsca! - zadudnił wzmocniony głos reżysera. - Mamy tylko siedem minut, żeby przelecieć Cesarzową całującą dzieci w obecności delegacji septupletów z Aldebarana z okazji Godziny Płodności. Dawać tu te plastykowe bachory i usunąć tych cholernych gapiów!

Bohaterów wypchnięto na korytarz, a drzwi za nimi zatrzaśnięto i zamknięto na trzy spusty.

Rozdział 2

- Jestem zmęczony - powiedział artylerzysta - a poza tym bolą mnie oparzeliny.

(Podczas zabawy w Wesołym Domku dla Żołnierzy doznał zwarcia w obwodach i podpalił łóżko, w którym przebywał).

- Daj spokój - nalegał Bill. - Mamy trzydniowe przepustki i jesteśmy na Heliorze, Planecie Imperialnej! Jakież cuda na nas czekają: Wiszące Ogrody, Tęczowe Fontanny, Rubinowe Pałace... Nie możesz tego stracić!

- Popatrz tylko, jak ja wyglądam. Teraz muszę się przespać, a potem wracam do Wesołego Domku. Jeśli koniecznie chcesz trzymać kogoś za rękę podczas zwiedzania, weź sierżanta.

- On jest ciągle pijany.

- My z ROR-u - powiedział zgrzytliwym głosem - znamy nasze prawa. Pracujemy ciężko i jesteśmy warci tyle samo, co wszyscy inni, a na pewno więcej od tych rybiobrzuchych androidów, które twierdzą, że są tacy jak ludzie. Równe prawa, to jest to, czego żądamy...

Urwał, zagłuszony przenikliwymi gwizdami sporej grupy androidów, które zerwały się z miejsc i wymachiwały gwałtownie swymi bladymi kończynami. Wyglądały jak bulgoczące we wrzącej wodzie spaghetti. X walił rewolwerem, krzycząc o spokój i prawie już udało mu się go przywrócić, kiedy nagle znowu się zakotłowało, tym razem z boku, gdzie ktoś usiłował przepchać się do prezydialnego stołu. Właściwie nie był to ktoś, tylko coś, a dokładniej sześcienna skrzynka o boku mniej więcej jednego metra, na kółkach, z masą światełek, guzików i przełączników. Ciągnęła za sobą długi, niknący za drzwiami kabel.

- Kim jesteś? - zapytał podejrzliwie X, kierując w stronę skrzynki lufę rewolweru.

- Jestem reprezentantem zjednoczonych komputerów i mózgów elektronicznych Helioru, zdecydowanych walczyć o całkowite równouprawnienie.

Maszyna drukowała jednocześnie swoje słowa na małych karteczkach, wysypując je obfitym strumieniem na stół. X zgarnął je zdecydowanym ruchem na bok.

- Poczekasz na swoją kolej - powiedział.

- To dyskryminacja! - wrzasnęła maszyna tak głośno, że aż przygasły pochodnie. Nie przestawała wrzeszczeć, wyrzucając w górę ulewę karteczek zadrukowanych płomienną czcionką z napisem DYSKRYMINACJA!!!, z drugiej zaś strony wypluwając nie kończącą się wstęgę żółtej papierowej taśmy z tą samą informacją. XC-189-725-PU wstał ze zgrzytaniem trybów i dokuśtykał do ciągnącego przez reprezentanta komputerów kabla. Hydrauliczne szczypce robota zamknęły się z cichym chrzęstem i kabel został przecięty. Zgasły migoczące na skrzynce światła, ustała ulewa karteczek, a ucięty kabel podskoczył parę razy sypiąc obficie iskrami, po czym uciekł za drzwi niczym monstrualnych rozmiarów wąż.

- Proszę o spokój! - powtórzył zachrypniętym głosem X, po raz nie wiadomo który używając rewolweru jako młotka.

Bill trzymał się oburącz za głowę i zastanawiał się, czy to było warte tej nędznej stówy miesięcznie.

W gruncie rzeczy nie była to jednak najgorsza forsa i Bill zbierał grosz do grosza jak największy sknera. Spokojnie, leniwie mijały kolejne miesiące, Bill regularnie uczęszczał na zebrania, regularnie składał meldunki G.B.Ś. i regularnie pierwszego każdego miesiąca znajdował w zapiekance, którą regularnie dostawał na obiad, zwitek banknotów. Utytłane, zatłuszczone pieniądze trzymał w gumowym kotku, którego znalazł na kupie śmieci i kotek pęczniał coraz bardziej. Działalność wywrotowa nie zabierała Billowi zbyt dużo czasu, zaś praca w Dep. San. coraz bardziej mu się podobała. Był teraz szefem operacji „Paczka-Niespodzianka" i miał pod sobą oddział tysiąca robotów pracujących dzień i noc przy pakowaniu, adresowaniu i wysyłaniu plastykowych tacek na wszystkie planety galaktyki. Odczuwał wielki podziw i uznanie dla swojej wysoce humanitarnej działalności. Wyobrażał sobie te okrzyki radości, jakie rozbrzmiewały na dalekiej Dalecji czy odległej Odlegii, kiedy poczta przynosiła niespodziewaną paczkę i gdy wysypywał się z niej strumień pięknych, błyszczących plastykowych tacek. Szczęście nigdy jednak nie trwa wiecznie i słodka, mała stabilizacja Billa pewnego dnia legła w gruzach, kiedy podszedł do niego jakiś obcy robot, szepnął „Sic temper tyrannozaurus, podaj dalej" i zniknął.

To było hasło. Wybuchła rewolta!

Rozdział 8

Bill zamknął starannie drzwi swojego biura i po raz ostatni uruchomił mechanizm otwierający tajne przejście. Fragment ściany odsunął się na bok, a właściwie nie tyle odsunął, co opadł z donośnym łoskotem, tak często bowiem przez ów szczęśliwy rok, który Bill spędził jako pracownik Dep. San., używano tej drogi. Nawet kiedy ściana była na miejscu, siedzący za swoim biurkiem Bill czuł wyraźnie chłodne powiewy dostające się do pokoju przez szerokie na palec szpary. Teraz nie miało to jednak żadnego znaczenia. Kryzys, którego tak się obawiał, nadszedł i zanosiło się na to, że bez względu na wynik rewolty nastąpią duże zmiany, a jego smutne doświadczenie nauczyło go już, że wszelkie zmiany są

X przesunął dłonią po tapecie, zwalniając ukrytą sprężynę. Rozległ się stukot odskakującej zapadki i ściana rozsunęła się, odsłaniając ciemne, ociekające wilgocią, prowadzące stromo w dół schody. Bill przyjrzał im się nieufnie.

– Dokąd idziemy?

– Pod ziemię, a gdzieżby indziej? Idź za mną, ale lepiej się nie zgub. Te tunele mają kilka tysięcy lat i tam, na górze, zdążyli już o nich zapomnieć. Pilnuj się, bo możesz trafić na Różne Stworzenia, mieszkające tutaj od niepamiętnych czasów.

W małej niszy leżało kilka pochodni. X zapalił jedną z nich i zagłębił się w mokrą, rozbrzmiewającą tajemniczymi odgłosami ciemność. Bill trzymał się najbliżej jak mógł, brnąc za pełgotliwym, dymiącym obficie płomieniem przez sięgającą powyżej kolan wodę, przełażąc przez pordzewiałe, powyginane szyny i przemykając przez pieczary, z których sklepień sypał się obficie skalny gruz. W jednym z tuneli zatrzymał ich zgrzyt potężnych szczęk i z zalegającej przed nimi ciemności odezwał się skrzypiący, nieludzki głos.

– Za... – powiedział głos.

– ...krwawiony – dokończył X, a kiedy minęli już to miejsce, wyjaśnił szeptem Billowi:

– Znakomity strażnik, antropofag z Dapdorfu. Zeżre cię w okamgnieniu, jeżeli nie podasz mu obowiązującego w danym dniu hasła.

– A jakie są te hasła? – zapytał Bill, zdając sobie nagle sprawę, że jak za stówę miesięcznie to już zebrał dla G.B.S. wręcz nieprawdopodobną ilość informacji.

– W dni parzyste „za-krwawiony", w nieparzyste „kości zostały-zjedzone", a w niedziele „nekrofilia".

– To niezbyt łatwe do zapamiętania.

– W końcu antropofag też musi od czasu do czasu coś przekąsić. A teraz – absolutna cisza. Zgaszę pochodnię i poprowadzę cię za rękę.

Światło zgasło i Bill poczuł, jak w ramię wbijają mu się palce X-a. Szli, potykając się, w zupełnej ciemności, jak się Billowi zdawało nieskończenie długo, aż wreszcie daleko z przodu pojawiła się słaba poświata. Podłoga tunelu wyrównała się i po chwili stanęli pod oświetlonymi migotliwym płomieniem drzwiami. Bill odwrócił się do swego przewodnika i wrzasnął ze strachu.

– Kim jesteś?!

Trzymająca go za ramię biała, powłócząca nogami istota zwróciła powoli w jego stronę swe przypominające ugotowane na twardo jajka oczy. Miała wilgotną, bladą jak u nieboszczyka skórę, zupełnie łysą głowę, za całe odzienie służyła jej jakaś przewiązana wokół bioder szmata, a na czole zaś miała wypaloną szkarłatną literę A.

– Jestem androidem – odpowiedziała pozbawionym śladu emocji głosem – każdy dureń może to stwierdzić widząc literę A na moim czole. Moi panowie nazywali mnie Wampyr.

– A twoje panie?

Android nic nie odpowiedział na ten żałosny dowcip, tylko wepchnął Billa do obszernego, oświetlonego płonącymi pochodniami pokoju. Bill obrzucił pomieszczenie dzikim spojrzeniem i próbował natychmiast z niego wyjść, ale android zablokował sobą drzwi.

– Siadaj – polecił i Bill usiadł.

Znajdował się wśród najmakabryczniejszej zbieraniny świrów, odlotowców i pogibusów, jaką można było sobie wyobrazić. Oprócz kilku rebeliantów (brody, czarne kapelusze i niewielkie okrągłe bomby z długimi lontami) i rebeliantek (krótkie spódniczki, czarne pończochy, długie włosy, fifki, zerwane ramiączka staników i cuchnące oddechy), pełno było rebeliantów-robotów, rebeliantów-androidów oraz kilka sztuk czegoś, co strach by było nawet opisać. X siedział za drewnianym kuchennym stołem i walił w niego kolbą rewolweru.

– Spokój! Proszę o spokój! Głos ma towarzysz XC-189-725-PU z Ruchu Oporu Robotów. Cisza!

Ze swego miejsca podniósł się potężny, zdrowo już zużyty, robot. Miał wydłubane jedno oko, liczne plamy rdzy na pancerzu i skrzypiał jak stara szafa. Spojrzał na zebranych swoim zdrowym okiem, wykrzywił w najlepszej, na jaką go było stać, imitacji szyderczego uśmiechu swoją nieruchomą twarz i pociągnął łyk oleju z podsuniętej mu przez obrzydliwie usłużnego robota fryzjerskiego flaszki.

Sierżant piechoty był pijakiem-samotnikiem, nie uznającym ani przesadnych oszczędności, ani wyrzucania pieniędzy na ozdobne butelki z mocno rozcieńczoną zawartością. Całą gotówkę, jaką posiadał, przeznaczył na przekupienie pewnego sanitariusza, który zaopatrzył go w dwa gąsiory 99-procentowego alkoholu, baniaczek glukozy wymieszanej z roztworem soli fizjologicznej, igłę i parę stóp plastykowych rurek. Gąsior z alkoholowo-glukozową mieszanką powieszono nad jego łóżkiem, połączono za pomocą plastykowej, giętkiej rurki z igłą, którą następnie wbito w żyłę na jego ramieniu. Leżał teraz bez ruchu pod tą kroplówką, doskonale odżywiany i pijany w trupa, i jeżeli nic nie zakłóci tempa skapywania zawartości gąsiora, miał szansę pozostać w stanie upojenia alkoholowego jeszcze przez dwa i pół roku.

Bill skończył pucować buty i schował szczotkę do szafki, którą następnie starannie zamknął. Możliwe, że wróci dosyć późno, bowiem nie dysponując Przewodnikiem mógł się bardzo łatwo zgubić. Droga ze studia do kwater zajęła im prawie cały dzień, chociaż prowadzący ich sierżant wiedział o mapach absolutnie wszystko, co tylko można było wiedzieć. Dopóki nie oddalali się zbytnio od miejsca zakwaterowania, nie było problemu, ale Billowi nie wystarczały rozrywki, jakie przygotowano dla przybyłych z frontu żołnierzy; on chciał zobaczyć Helior, prawdziwy Helior, najwspanialsze miasto galaktyki. Jeśli nikt nie chce z nim iść, to nie. Pójdzie sam.

Nawet rozporządzając planem Helioru bardzo trudno było ustalić odległość dzielącą od jakiegoś punktu miasta, bowiem wszystkie plany i mapy sporządzono bardzo schematycznie, a co najważniejsze nie miały one podanej skali. Wycieczka, jaką zamierzał odbyć Bill, zanosiła się jednak na dosyć długą, bowiem trasa środka lokomocji, który chciał wykorzystać, a mianowicie próżniowej kolejki magnetycznej, przebiegała przez co najmniej 84 karty Planu. Jego cel równie dobrze mógł się znajdować po drugiej stronie planety! Miasto wielkości planety – tego niemal nie można było sobie wyobrazić. Po chwili zastanowienia musiał przyznać, że tego w ogóle nie można było sobie wyobrazić.

Kanapki skończyły mu się zanim jeszcze przebył połowę drogi i jego żołądek, przystosowawszy się znowu do stałego pokarmu, zaczął tak głośno przypominać o swoim istnieniu, że wreszcie na Obszarze 9266-1, Poziomie którymśtam, Bill wysiadł z wagoniku kolejki i wyruszył na poszukiwanie kantyny. Znajdował się najwyraźniej na Obszarze Maszynopisania, bowiem wypełniające korytarze tłumy składały się wyłącznie z kobiet o przygarbionych plecach i mocnych, długich palcach. Jedyna kantyna, jaką udało mu się odnaleźć, była zapchana takim właśnie tłumem. Z trudem znalazł sobie miejsce wśród piskliwego jazgotu i zmusił się do przełknięcia serwowanego tu posiłku – kanapek z pastą serdelową i starym serem, pasty pomidorowej z rodzynkami i sosem cebulowym, a po tym wszystkim ledwie letniej herbaty ziołowej w kubeczku wielkości kciuka. Nie byłoby to jeszcze takie złe, gdyby automat dystrybucyjny nie polewał wszystkiego obficie mazią z roztopionych krówek. Żadna z dziewcząt nawet nie zauważyła obecności Billa, wszystkie bowiem pracowały pod lekką hipnozą, dzięki czemu robiły mniej błędów. Bill walczył z jedzeniem, czując się niemal jak duch, podczas gdy one jazgotały nad i obok jego osoby, wystukując bezwolnie to, co mówiły, na krawędzi stołu swoimi długimi palcami, o ile akurat nie trzymały w nich sztućców. Uciekł w końcu stamtąd, ale przygnębiające wrażenie pozostało i chyba właśnie wtedy popełnił błąd i wsiadł do złego wagonika.

Ponieważ numery Poziomów i Bloków powtarzały się w każdym Obszarze, bez trudu można było zajechać zupełnie nie tam, gdzie się chciało i spędzić dłuższy czas błąkając się tu i ówdzie zanim dostrzegło się swoją pomyłkę. Tak właśnie stało się z Billem, który po astronomicznej liczbie przesiadek z jednego środka transportu do drugiego wsiadł wreszcie do windy, która według jego obliczeń, powinna go zawieźć do słynnych na całą galaktykę Wiszących Ogrodów. Wszyscy pasażerowie wysiedli na niższych poziomach i winda, już tylko z Billem na pokładzie, popędziła w górę. Podczas gwałtownego hamowania uniósł się trochę w powietrze, uszy zatkała mu zmiana ciśnienia, otworzyły się drzwi i Bill wyszedł prosto w śnieżną zadymkę. Szczęka opadła mu ze zdumienia, a drzwi za nim zamknęły się i winda zniknęła.

Znajdował się na tworzącej najwyższy poziom miasta metalowej równinie, teraz przesłoniętej zasłoną z wirujących płatków śniegu. Sięgnął po omacku do guzika, by przywołać windę, kiedy gwałtowniejszy podmuch wiatru zmiótł gdzieś zacinający śnieg i z bezchmurnego nieba zaświeciło cieplutkie słońce. Było to absolutnie niemożliwe.

– To jest absolutnie niemożliwe – oświadczył ze szczerym oburzeniem Bill.

– Nic nie jest niemożliwe, jeżeli ja tego pragnę – gdzieś za jego plecami odezwał się skrzeczący głos. – Jam jest bowiem Duchem Życia.

Bill wierzgnął jak homeostatyczny robomuł, odwracając się w podskoku i stając twarzą w twarz z małym człowieczkiem o czerwonych oczach, siwych wąsach i zmarszczonym, drgającym nosie.

– Chyba masz dziurę w mózgu – prychnął Bill, zły na siebie, że okazał się tak strachliwy.

– Też byś zwariował przy tej robocie – chlipnął człowieczek i otarł dyndającą mu u nosa kroplę. – Albo mróz, albo upał, albo ulewa, a cały czas za dużo tlenu. Jam jest Duch Życia, moja jest Siła... – zaintonował drżącym głosem.

– Gdy już wspomniałeś o tym tlenie – powiedział Bill, łykając kilka garści sypiącego znowu śniegu – to rzeczywiście, sam czuję się trochę nabuzowany. Juhuuuuu! – Powiał wiatr, odganiając śniegowe chmury i Bill zagapił się na widok, jaki nagle ukazał się jego oczom.

Równina aż po horyzont pokrytą była na pół stajałym śniegiem i kałużami wody. Złocona, zewnętrzna warstewka zniknęła, zaś osłonięty metal miał kolor brudnoszary, gdzieniegdzie wyraźnie rdzawy, a tu i ówdzie dostrzec można było sporych rozmiarów dziury. Niedaleko ziały lejkowate wyloty grubych jak człowiek rur niknących gdzieś za widnokręgiem. Z otworów wydobywały się z sykiem kolumny pary i wirującego śniegu. W chwili, kiedy Bill akurat na nią patrzył, jedna z kolumn zachwiała się, po czym zniknęła.

– Numer osiemnaście poszedł! – wykrzyknął człowieczek do mikrofonu, chwycił wielgachny notes w twardej oprawie i rozchlapując wodę pokłusował w stronę pordzewiałego, klekoczącego, ruchomego chodnika biegnącego równolegle do rur. Bill pognał za nim, ale człowieczek zupełnie przestał go zauważać. Kiedy jechali już trzęsącym niemiłosiernie chodnikiem, Bill zaczął się zastanawiać, dokąd też mogą te rury prowadzić, a po chwili doszło do tego jeszcze zainteresowanie, co to za tajemnicze huki dochodzą z kierunku, w którym zmierzali. Po jakimś czasie zza horyzontu wyłonił się rząd gigantycznych statków kosmicznych. Każdy z nich podłączony był do jednej z rur. Z zaskakującą zwinnością człowieczek zeskoczył z chodnika i popędził w stronę stanowiska numer osiemnaście, gdzie pracujące na dużej wysokości figurki robotników odłączały właśnie od statku wylot grubej rury. Człowieczek spisał wskazania przepływomierzy, a Bill obserwował, jak potężny dźwig wyciąga w górę wyrosły nagle z metalowej powierzchni duży, giętki rękaw. Rękaw podłączono do zaworu z boku statku i po chwili miękki materiał szarpnął się pod wpływem działającego od wewnątrz wysokiego ciśnienia, a przez nieszczelności przy zaworze zaczęły wydobywać się kłęby czarnego dymu, odpływając wraz z wiatrem nad bezkresną równinę.

– Czy mógłbym wiedzieć, co tu, u diabła, się dzieje? – zapytał żałośnie Bill.

– Życie! Wiecznie trwające życie! – zawołał człowieczek, wspinając się momentalnie z nizin psychicznego załamania na szczyty ekstatycznego uniesienia.

– Czy mógłby pan wyjaśnić to trochę dokładniej?

– Ta planeta cała pokryta jest metalową skorupą. – Tupnął nogą. Odpowiedział mu głuchy odgłos. – Co to znaczy?

– Że ta planeta pokryta jest metalową skorupą.

– Zgadza się. Jesteś dosyć bystry, jak na zwykłego żołnierza. Bierzemy więc planetę, pokrywamy ją całą metalem i otrzymujemy planetę, na której żywe, zielone rośliny można zobaczyć wyłącznie w Wiszących Ogrodach i kilku skrzynkach balkonowych. Jaki może być tego rezultat?

– Same trupy – odpowiedział Bill. W końcu pochodził ze wsi i słyszał to i owo o fotosyntezie, chlorofilu i takich innych.

– Zgadza się. Ty, ja, Cesarz i parę milionów innych gamoni funkcjonujemy przetwarzając tlen na dwutlenek węgla i jeżeli nie ma roślin, które dwutlenek węgla przetworzyłyby z powrotem na tlen, to po jakimś czasie efekt jest taki, że wszyscy dusimy się własnymi oddechami.

– Więc te statki przywożą ciekły tlen?

Człowieczek kiwnął głową i wskoczył na chodnik. Bill uczynił to samo.

– Zgadza się. Mają go pełno na planetach rolniczych. Wyładowują go tutaj, a na to miejsce biorą

– Tajna książka telefoniczna miasta Storhestelortby na Procjonie III. Tak jest napisane na okładce.

– Czy wie pan, ile mamy takich starych książek telefonicznych?

– Wolę o tym nie myśleć. Wysyłają je do nas zaraz po wydrukowaniu, a zanim dojdą, są już przestarzałe. I co z tego?

– Zaraz pan zobaczy. Ma pan jakieś zbędne tacki?

– Kpisz sobie? – zapytał Basurero. Otworzył szafę, z której wysypała się na podłogę istna ulewa tacek.

– Wspaniale. Teraz musimy jeszcze dodać parę rzeczy – trochę tektury, papieru pakowego, sznurka – wszystko ze śmieci, rzecz jasna – i to już wszystko. Gdyby był pan teraz uprzejmy wezwać robota uniwersalnego, to będę mógł panu zademonstrować drugi etap realizacji mojego pomysłu.

– Unibot... to będzie jeden krótki i dwa długie. – Basurero zadął z zapałem w gwizdek, po czym jęknął i złapał się za głowę, usiłując wytłumić wywołane rezonansem wibracje. Drzwi otworzyły się z trzaskiem i stanął w nich wezwany robot. Ramiona i wysięgniki drżały mu z niecierpliwości. Bill wskazał mu piętrzący się na podłodze stos.

– Do roboty, robocie. Weź pięćdziesiąt tacek, zawiń je w tekturę i papier, a potem zwiąż porządnie sznurkiem.

Pobzykując z elektronicznego ukontentowania robot zabrał się do pracy i po chwili na podłodze spoczywała elegancka paczka. Bill otworzył na oślep książkę i wskazał pierwsze z brzegu nazwisko.

– Teraz wypisz na niej ten adres, zaznacz „Bezinteresowny Dar – Wolne Od Cła" i wyślij!

Z czubka jednego z metalowych palców wysunęła się końcówka długopisu, robot szybko ozdobił paczkę adresem, zważył ją, przystemplował znaczek i cisnął z niewiarygodną celnością do otworu poczty pneumatycznej. Rozległo się głośne cmoknięcie i paczka została wessana na górę. Basurero sprawiał wrażenie zaszokowanego łatwością, z jaką udało się pozbyć pięćdziesięciu tacek, toteż Bill kuł żelazo, póki gorące.

– Robot pracuje za darmo, adresy są za darmo, opakowanie za darmo, poczta też za darmo, bo to przecież przesyłka urzędowa.

– Masz rację – to jest to! Znakomity pomysł, musimy go jak najlepiej wykorzystać! Zalejemy tymi cholernymi tackami całą zamieszkałą galaktykę. Doprawdy nie wiem, jak ci dziękować...

– Wystarczy premia pieniężna.

– To jest myśl. Zaraz wypiszę czek.

Kiedy jakiś czas później Bill wracał spacerkiem do swego biura, dłoń bolała go od niezliczonych uścisków, a w uszach dźwięczały mu jeszcze słowa pochwał. Jednak dobrze było żyć na tym świecie. Zatrzasnął za sobą drzwi i usiadł za biurkiem i dopiero wtedy zauważył, że na wieszaku wisi obszerny, powyciągany czarny płaszcz. Jeszcze później uświadomił sobie, że to płaszcz X-a, a dopiero na końcu dostrzegł błyszczące w czerni płaszcza oczy i serce zamarło mu w piersi. X wrócił.

Rozdział 7

– I jak, zdecydowałeś się wstąpić do naszej Organizacji? – zapytał X wysupłując się z płaszcza i zeskakując zwinnie na podłogę.

– Eee.. to znaczy... myślałem nad tym – odparł z dość silnym poczuciem winy Bill.

– Myśleć znaczy działać. Musimy wykurzyć smród faszystowskich pijawek z nozdrzy naszych domów i ukochanych.

– Przekonał mnie pan. Przyłączam się.

– Logiczna argumentacja zawsze odnosi skutek. Podpisz ten formularz, kapnij kroplę krwi.. dobrze, a teraz podnieś rękę. Przyjmę od ciebie tajemną przysięgę.

Bill posłusznie podniósł rękę i obserwował, jak X w milczeniu porusza wargami.

– Nic nie słyszę – poskarżył się Bill.

– Mówiłem ci przecież, że to tajemna przysięga. Musisz tylko powiedzieć „tak".

– Tak.

– Witamy w naszych szeregach – X ucałował go serdecznie w oba policzki. – A teraz idziemy na podziemne zebranie. Zaraz się rozpocznie.

- O czym pan mówi? Jestem lojalnym, miłującym Cesarza...

- Taaak... To czemu w takim razie nie zameldowałeś G. B. Ś., że pewien człowiek nazwiskiem X usiłował namówić cię do buntu?

- Skąd pan wie?

- Na tym polega moja praca, żeby wiedzieć o wszystkim. Oto moja legitymacja - agent Pinkerton z Galaktycznego Biura Śledczego. - Pokazał Billowi ozdobną, wysadzaną diamentami kartę identyfikacyjną z kolorowym zdjęciem.

- Nie chciałem zrobić nic złego - załkał Bill. - Czemu mnie wszyscy nie zostawią w spokoju?...

- No, no, nieźle, jak na anarchistę. Czy jesteś anarchistą, chłopcze? - oczy Pinkertona przeszywały Billa niczym dwa sztylety.

- Nie! Nie! Nie wiem nawet, jak to sie pisze!

- Mam nadzieję. Miły z ciebie chłopak i chciałbym, żebyś się z tego wygrzebał. Dam ci szansę. Kiedy przyjdzie tu znowu X powiesz mu, że się zastanowiłeś i postanowiłeś wstąpić do Organizacji. Wstąpisz do niej, ale cały czas będziesz pracował dla nas. Numer jest wytłoczony na tym cukierku. Zapamiętaj i połknij. Wszystko jasne?

- Nie. Nie zgadzam się.

- Musisz, bo w przeciwnym razie w ciągu godziny zostaniesz rozstrzelany za współpracę z buntownikami. Poza tym, za swoje raporty będziesz dostawał stówkę miesięcznie.

- Z góry?

- Z góry. - Rolka banknotów wylądowała na biurku. - To za następny miesiąc. Postaraj się na nie zapracować.

Przewiesił sobie zapasową rękę przez ramię, pozbierał tacki i wyszedł.

Im dłużej Bill nad tym wszystkim rozmyślał, tym bardziej się pocił i tym wyraźniej uświadamiał sobie, w jakie popadł tarapaty. Najmniej ze wszystkiego miał ochotę dać się wplątać w jakąś rewoltę, szczególnie teraz, kiedy miał wreszcie spokój, pracę i śmieci ile dusza zapragnie, ale nie było szans, żeby się od niego odczepili. Jeżeli nie wstąpi do Organizacji, to weźmie go w obroty G. B. Ś., a w momencie, kiedy wyjdzie na jaw, kim jest, może już się uważać za martwego. Może jednak X zapomni o nim i nie wróci? Przecież bez X-a nie będzie mógł wstąpić do Organizacji, no nie? Uczepił się tej myśli jak tonący brzytwy i rzucił się w wir pracy, by zapomnieć o swoich kłopotach.

Na rozwiązanie trafił niemal od razu. Sprawdził dokładnie, ale wyglądało na to, że nikt tego jeszcze nie próbował. Zebranie całego potrzebnego materiału zajęło mu niespełna godzinę, a po dalszych trzech, wypełnionych beznadziejną, zdawałoby się, wędrówką korytarzami i ciągłym pytaniem ludzi o drogę, udało mu się odnaleźć biuro Basurero.

- Możesz wracać do siebie - warknął Basurero. - Nie widzisz, że jestem zajęty?

Drżącą ręką nalał sobie do szklanki trzy cale Starej Trucizny Organicznej, które wlał w siebie jednym ruchem.

- Może pan zapomnieć o swoich zmartwieniach...

- A co ja, według ciebie, robię? Spadaj.

- Dopiero jak panu to pokażę. Zupełnie nowy sposób pozbywania się plastykowych tacek.

Basurero zerwał się na nogi, strącając butelkę na podłogę. Wylewająca się ciecz natychmiast zaczęła wyżerać dziurę w teflonowej wykładzinie.

- Naprawdę? Masz nowe rozwiązanie? Pewien jesteś?

- Najzupełniej.

- Nie chciałbym tego robić, ale... - Basurero zadrżał z obrzydzenia i zdjął z półki słoik, na którego etykietce widniał napis: NATYCHMIASTOWY ŚRODEK TRZEŹWIĄCY. NIE ZAŻYWAĆ BEZ RECEPTY LEKARZA I UBEZPIECZENIA NA ŻYCIE! Wydobył z niego nakrapianą pigułkę wielkości orzecha włoskiego, spojrzał na nią, wzdrygnął się i połknął, mało się przy tym nie dławiąc. Natychmiast całe jego ciało zaczęło wibrować, coś w nim gruchnęło, a z uszu wydobyły mu się cienkie strużki dymu. Kiedy otworzył oczy, były nabiegłe krwią, ale trzeźwe.

- Co wymyśliłeś? - zapytał ochrypłym głosem.

- Wie pan, co to jest? - odpowiedział pytaniem Bill, cisnąwszy na biurko opasłe tomisko.

odzyskiwany z CO_2 węgiel i zawożą go z powrotem wieśniakom, którzy używają go jako opału, nawozu, robią sobie z niego plastyk i licho wie, co jeszcze...

Bill zeskoczył z chodnika w pobliżu windy, zaś skrzeczący głos zniknął wraz ze swym właścicielem w kolejnej zadymce. Billowi kręciło się już trochę w głowie od nadmiaru tlenu, ale czekając na windę udało mu się według przymocowanej do ściany tabliczki z kodem ustalić swoje położenie i wertując zajadle opasły Plan zdołał wytyczyć nowy kurs do Ogrodów Pałacowych.

Tym razem nie pozwolił sobie nawet na moment dekoncentracji. Jadł wyłącznie sprasowane koncentraty i pił gazowane napoje z automatów, dzięki czemu uniknął niebezpieczeństw związanych z poszukiwaniem, a następnie przebywaniem w jadłodajniach, a odmawiając sobie nawet odrobiny snu nie przegapił ani jednej przesiadki. Wreszcie z podkrążonymi oczami i głową jak bania zszedł chwiejnym krokiem z platformy grawitacyjnej i serce zabiło mu żywiej, kiedy ujrzał przed sobą ukwiecony, pachnący napis WISZĄCE OGRODY. U wejścia stał kołowrót, a nad wybitym w ścianie okienkiem widniał nieco mniejszy napis KASA.

- Jeden proszę.

- Dziesięć imperialnych.

- To trochę drogo - zauważył nieśmiało Bill, odliczając jeden po drugim banknoty z cieniutkiego rulonika.

- Jak jesteś biedny, to nie przyjeżdżaj na Helior.

Robot w kasie miał cały program tego rodzaju odpowiedzi. Bill zignorował go i wszedł do Ogrodów. Było tutaj wszystko, o czym marzył, a nawet trochę więcej. Kiedy szedł niespiesznie żwirową ścieżką, od zielonych krzaczków i świeżutkiej trawy oddzielała go jedynie gruba tytanowa siatka. Nie więcej niż sto jardów dalej, tuż za trawą, unosiły się w powietrzu egzotyczne rośliny i kwiaty z najodleglejszych zakątków Imperium. A tam... Hen, w oddali, ale niemal widoczne gołym okiem, były Tęczowe Fontanny! Bill wrzucił pieniążek do jednego z teleskopów i z zachwytem obserwował ich pulsujące barwy. Jakość obrazu była niemal tak dobra, jak w telewizji. Potem powędrował dalej, ciesząc się ciepłem sztucznego słońca, zawieszonego pod sklepieniem ogromnej kopuły.

Jednak nawet uderzająca do głowy uroda Ogrodów okazała się niczym wobec obezwładniającego zmęczenia, które chwyciło go w swoje żelazne szpony. Do okalającej ogrody ściany przymocowane były żelazne ławki. Przysiadł na jednej z nich na chwilkę, a potem na momencik zamknął oczy. Głowa opadła mu od razu na pierś i nim się zorientował, co się dzieje, spał już jak suseł. Kroki innych zwiedzających szurały po żwirowej ścieżce nie przeszkadzając mu we śnie, nie usłyszał też, jak jeden z turystów usiadł koło niego na ławce.

Billowi nigdy nie było dane ujrzeć tego człowieka, nie ma więc sensu dokładnie go opisywać. Wystarczy tylko powiedzieć, że miał ziemistą cerę, złamany czerwony nos, dzikie oczy skryte pod małpimi brwiami, szerokie biodra, wąskie barki, nierównej wielkości stopy, długie, guzowate, brudne palce i że jego twarzą wstrząsał nerwowy tik.

Sekundy upływały z wolna, a obcy siedział ciągle bez ruchu. W pewnej chwili wokół ławki zrobiło się zupełnie pusto, nie widać też było, żeby ktoś nadchodził. Szybkim, wężowym ruchem mężczyzna wyciągał z kieszeni miniaturowy atomowy palnik i przytknął go do łączącego Plan z paskiem Billa łańcucha, dokładnie w miejscu, w którym luźno zwisające ogniwa dotykały żelaznej ławki. Błysnął mały, nieprawdopodobnie gorący płomień i po chwili łańcuch był już przyspawany do ławki. Bill nawet nie drgnął.

Tak jak skaczący do ściekowego kanału szczur wywołuje na jego powierzchni rozchodzące się powoli kręgi, tak przez twarz mężczyzny przepłynęła fala diabolicznego uśmiechu. Atomowy płomień przeciął łańcuch tuż przy okładce grubego tomu. Złoczyńca wsadził palnik do kieszeni, wyjął Plan z objęć Billa i oddalił się szybkim krokiem.

Rozdział 3

Początkowo Bill nie docenił rozmiarów swojej straty. Kiedy powoli, z ciężką głową wynurzał się z objęć głębokiego snu, miał niejasne wrażenie, że coś jest nie tak. Dopiero po kilku bezowocnych szarpnięciach przekonał się, że łańcuch jest przyspawany do ławki, a Plan zniknął. Musiał odpiąć łańcuch od

paska i zostawić go, dyndający przy ławce, bo inaczej musiałby tam siedzieć nie wiadomo jak długo i czekać, aż ktoś do odkuje. Wrócił do wejścia do Ogrodów i zapukał w okienko kasy.

– Nie zwracamy pieniędzy – oświadczył robot.

– Chciałem zgłosić kradzież.

– Przestępstwami zajmuje się policja. Z policją możesz porozmawiać przez telefon. Telefon jest obok. Numer 111-11-111.

W ścianie otworzyły się drzwiczki i wyskoczył z nich na wysięgniku aparat telefoniczny, uderzając Billa w pierś na tyle silnie, że ten aż zachwiał się lekko. Wykręcił podany mu numer.

– Policja – odezwał się jakiś głos i na ekranie pojawiła się buldogowata, skrzywiona twarz sierżanta w pruskim błękitnym mundurze.

– Chciałem zameldować o kradzieży.

– Drobna czy poważna?

– Nie wiem. Chodzi o mój Plan.

– Drobna. Udaj się na najbliższy posterunek. To jest telefon pogotowia alarmowego i blokujesz go bez uzasadnienia. Kara za blokowanie bez uzasadnienia telefonu pogotowia alarmowego wynosi... – Bill wdusił czym prędzej przycisk i ekran zgasł.

– Nie zwracamy pieniędzy – powiedział kasjer.

– Zamknij się – parsknął zniecierpliwiony Bill. – Chcę tylko wiedzieć, gdzie jest najbliższy posterunek policji.

– Jestem robotem kasjerskim, a nie informacyjnym. Tej informacji nie ma w mojej pamięci. Najlepiej sprawdź w swoim Planie.

– Kiedy właśnie mi go ukradziono!

– Więc zgłoś się na najbliższy posterunek policji.

– Ale... – Bill poczerwieniał ze złości i kopnął z całych sił ścianę pod okienkiem kasjera.

– Nie zwracamy pieniędzy – usłyszał jeszcze, kiedy zachowując resztki godności ruszył przed siebie.

– Może łykniem, bo odwykniem?... – wyszeptał mu kusząco do ucha przesuwający się bezszelestnie na swych kółkach zrobotyzowany barek, po czym wyemitował odgłos, jaki wydają grzechoczące w oszronionej szklance kostki lodu.

– Cholernie dobry pomysł. Piwo. Duże piwo.

Bill nakarmił barek kilkoma monetami, po czym chwycił w locie puszkę, która wystrzeliła z otworu podajnika niczym granat z moździerza. Piwo nie tylko przyniosło ochłodę jego ciału, ale i ostudziło gniew. Przed sobą ujrzał strzałkę z napisem DO RUBINOWEGO PAŁACU.

– Najpierw rzucę okiem na Pałac, a potem poszukam kogoś, kto wskaże mi drogę do posterunku. Auu! – Zrobotyzowany barek wyszarpnął mu puszkę z ręki, omal nie urywając palców i z niebywałą celnością cisnął ją do ziejącego w ścianie otworu szybu odpadkowego.

Rubinowy Pałac okazał się równie mało dostępny jak Wiszące Ogrody, toteż Bill zrezygnował z kupienia biletu, uprawniającego go do zbliżenia się do otaczającego Pałac w przeraźliwej odległości płotu, tylko postanowił od razu zgłosić się na policję. Niedaleko wejścia, wywijając niedbale pałką, stał gruby stróż porządku publicznego. Ten powinien chyba wiedzieć, gdzie jest posterunek.

– Przepraszam, gdzie jest posterunek?

– Nie jestem budką informacyjną. Zajrzyj sobie do Planu.

– Kiedy nie mogę – wyznał przez zaciśnięte zęby Bill. – Ktoś ukradł mi mój Plan i dlatego właśnie chcę eep!

Bill powiedział „eep", ponieważ policjant wyćwiczonym ruchem wbił mu koniec pałki pod pachę i przepchnął go przez róg.

– Wiesz, koleś, sam kiedyś byłem żołnierzem, zanim udało mi się wykupić.

– Wysłuchałbym pańskich wspomnień ze znacznie większą przyjemnością, gdyby zechciał pan wyjąć tę pałkę spod mojej pachy – wystękał Bill, po czym westchnął z wdzięcznością, kiedy pałka zniknęła.

– Ponieważ sam byłem kiedyś żołnierzem, to nie chcę, żeby koleś z Purpurową Rzutką i Gwiazdą

– Musiałem się z tobą zobaczyć. Prywatnie. To najlepszy sposób, wiem z doświadczenia. Masz wszystkiego dosyć, prawda?

– Kim pan jest?

– Nazywają mnie Iks.

– X?

– Szybko chwytasz, bystrzak z ciebie. – W przelotnym uśmiechu odsłonił na chwilę pobrązowiałe zęby. – Dobrze się zapowiadasz, takich właśnie potrzeba nam w Organizacji.

– W jakiej Organizacji?

– Nie zadawaj za dużo pytań, to niezdrowo. Najważniejsza jest dyscyplina. Podnieś rękę i powtarzaj za mną Przysięgę Krwi.

– A po co? – Bill obserwował go uważnie, gotów zareagować na najmniejszy podejrzany ruch.

– Bo nienawidzisz Cesarza, który ubezwłasnowolnił cię w swojej faszystowskiej armii, bo jesteś wolnym, miłującym swobodę, bogobojnym człowiekiem, gotowym oddać życie za tych, których kochasz, bo pragniesz przyłączyć się do rewolty, naszego świetlanego Buntu, który wyzwoli...

– Precz! – ryknął Bill, chwytając go za klapy i pchając do drzwi. X wyślizgnął się jak piskorz i uciekł za biurko.

– Teraz jesteś sługusem kryminalistów, lecz zrzuć te łańcuchy! Przeczytaj tę książkę – coś spadło na podłogę – i przemyśl ją sobie. Wrócę tu jeszcze.

Bill rzucił się na niego i w tej samej chwili X zrobił coś ze ścianą, która otworzyła się, połykając go w okamgnieniu. Ściana od razu wróciła na swoje miejsce i Bill, chociaż przyglądał się jej bardzo uważnie, nie mógł dostrzec najmniejszej nawet szczeliny. Drżącą rękę podniósł z podłogi książkę, przeczytał tytuł: „Amatorski Poradnik dla Przygotowujących Zbrojne Powstanie", zbladł i wypuścił ją ze zmartwiałych palców. Próbował ją spalić, ale była ogniotrwała, próbował ją podrzeć, ale nie dał rady, próbował ją pociąć, ale tylko stępił nożyczki nie naruszając nawet jednej kartki. W końcu, zdesperowany, wcisnął ją za szafę i próbował zapomnieć o jej istnieniu.

Po zaplanowanej z sadystycznym wyrachowaniem służbie w armii uczciwy dzień uczciwej pracy nad uczciwą porcją śmieci był dla Billa wielką przyjemnością. Udało mu się tak bardzo skoncentrować, że nie usłyszał, jak otwierają się drzwi i ocknął się ze zdumieniem dopiero wtedy, kiedy usłyszał czyjś głos.

– Czy to Departament Sanitarny?

Bill spojrzał w górę i ujrzał zaczerwienioną twarz wystającą znad trzymanego oburącz ogromnego stosu plastykowych tacek. Nie oglądając się mężczyzna zamknął nogą drzwi i spod tacek pojawiła się trzecia, ściskająca pistolet ręka.

– Jeden fałszywy ruch i zginiesz – oznajmił nowo przybyły.

Bill zupełnie nieźle dawał sobie radę z rachunkami. Dwie ręce plus jedna ręka dawały w sumie trzy, toteż nie wykonał żadnego fałszywego ruchu, tylko jeden absolutnie prawdziwy, to znaczy kopnął od spodu w stos tacek, które rąbnęły rewolwerowca w brodę i rzuciły go do tyłu. Zanim ostatnia z wystrzelonych w powietrze tacek dotknęła podłogi, Bill siedział już mężczyźnie na plecach, wykręcając mu głowę śmiertelnym, wenusjańskim chwytem, którym można złamać delikwentowi kręgosłup jak spróchniały patyk.

– Wujek... – wystękał człowiek – ...mujek... zio... tio... ujak...

– Wy, chingerscy szpiedzy, znacie sporo języków – zauważył Bill, wzmacniając nacisk.

– Ja... przyjaciel – zabulgotał mężczyzna.

– Jesteś Chingers, bo masz trzy ręce.

Człowiek wierzgnął słabo i jedna z jego rąk odpadła. Bill, kopnąwszy najpierw pistolet w kąt pokoju, podniósł ją ze zdziwieniem.

– To fałszywa ręka – powiedział.

– A co żeś myślał? – wychrypiał obcy, macając sobie ostrożnie kark prawdziwymi rękami. – To dla zmylenia przeciwnika. Bardzo sprytne. Mogę coś nieść, a jednocześnie mieć jedną rękę wolną. Dlaczego nie przyłączyłeś się do rewolty?

Bill oblał się momentalnie potem i rzucił szybkie spojrzenie na szafę.

– Pracują nad tym w Sekcji „Wielki Plusk". Niewiele ci mogę powiedzieć, bo wszystko jest ściśle tajne. Musisz zdać sobie sprawę, że oceany, jak zresztą wszystko na tej cholernej planecie, są dokładnie zabudowane, a poza tym niewiele już jest w nich miejsca. Sypaliśmy tam wszystko, co się dało, aż w końcu poziom wody podniósł się na tyle, że podczas przypływów zaczęła zalewać niżej położone korytarze. Co prawda ciągle jeszcze topimy to i owo, ale już na znacznie mniejszą skalę.

– Jak to robicie? – zapytał zdumiony Bill.

Basurero rozejrzał się uważnie dookoła, a potem pochylił nad stołem, przyłożył palec wskazujący do nosa, mrugnął, uśmiechnął się i zasyczał cicho.

– To tajemnica? – domyślił się Bill.

– Właśnie. Meteorolodzy wściekliby się, gdyby się dowiedzieli, że to my. Po prostu odparowujemy wodę z oceanu, zostawiając w nim sól. Potem, kiedy usłyszymy, że na górze pada, przełączamy część rurociągów i pod olbrzymim ciśnieniem wypompowujemy wodę na zewnątrz! Meteorolodzy mało szału nie dostają, bo od chwili, kiedy przystąpiliśmy do realizacji projektu „Wielki Plusk" roczny opad deszczu w strefie umiarkowanej wzrósł o trzy cale, a opady śniegu na biegunach są tak obfite, że najwyższe poziomy załamują się pod jego ciężarem! Ale co tam, pompujemy, ile wlezie! Tylko nie mów o tym nikomu, bo to ściśle tajne.

– Jasne. To rzeczywiście znakomity pomysł.

Uśmiechając się z dumą Basurero wymiótł do czysta zawartość swojej tacki i wepchnął ją do otworu w ścianie, ale w tej samej chwili ze zsypu wypadło czternaście innych tacek i rozsypało się po stole.

– Popatrz! – zacisnął zęby, momentalnie wyleczony z dobrego nastroju. – Wszystko się na nas wali. Jesteśmy na samym dole i to, co wyrzucają na wyższych piętrach ląduje tutaj, a my nie mamy już co z tym robić. No nic, muszę już lecieć. Zdaje się, że będziemy musieli wprowadzić w życie awaryjny plan „Wielka Pchła".

Wstał z miejsca i ruszył ku drzwiom. Bill uczynił to samo.

– Czy „Wielka Pchła" też jest ściśle tajna?

– Przestanie być, kiedy z nią ruszymy. Przekupiliśmy jednego inspektora z Departamentu Zdrowia, żeby stwierdził inwazję owadów-nosicieli chorób w jednym z wielkich segmentów mieszkalnych – wiesz, tych na milę szerokich, długich i wysokich. Wyobraź tylko sobie: 147.725.952.000 stóp sześciennych wymarzonej przestrzeni składowej na odpadki! I żeby to się tak marnowało! Wysiedlą wszystkich, niby żeby tylko przeprowadzić dezynfekcję, a my tam od razu władujemy plastykowe tacki.

– A mieszkańcy nie będą protestować?

– Oczywiście, że będą, ale co im to da? Wyjaśnimy im, że zaszła po prostu pomyłka i zalecimy dochodzenie swoich praw drogą urzędową, a droga urzędowa na t e j planecie to jest naprawdę coś! Dziesięć do dwudziestu lat, minimum. Tu jest twoje biuro – wskazał na otwarte drzwi. – Urządź się, przejrzyj raporty i postaraj się coś wymyślić do następnej zmiany.

Zniknął za zakrętem korytarza.

Było to małe biuro, ale Bill i tak był z niego bardzo dumny. Zamknął drzwi i obrzucił pełnym podziwu spojrzeniem szafę, biurko, odchylany fotel, lampę – wszystko wykonane z najróżniejszego rodzaju pustych butelek, puszek, pudełek, pojemników, zasobników i innych odpadków. Dość jednak zachwytów, będzie miał na nie jeszcze masę czasu. Trzeba brać się do roboty. Otworzył z rozmachem drzwi szafy i we wnętrzu ujrzał czarno odziane, brodate, blade zwłoki. Zatrzasnął szafę i pośpiesznie oddalił się w przeciwległy kąt pokoju.

– Tylko spokojnie, żołnierzu – powiedział na głos. – Widziałeś już niejedne zwłoki i nie ma powodu, żebyś miał się przejmować akurat tymi.

Wrócił do szafy i ponownie otworzył drzwi.

Zwłoki otworzyły małe, zaropiałe oczka i popatrzyły na niego znacząco.

Rozdział 6

– Co pan robi w mojej szafie? – zapytał Bill. Mężczyzna wygramolił się na zewnątrz, rozprostowując zdrętwiałe kości. Był niewielkiego wzrostu, a jego wytarte, niemodne ubranko aż prosiło się o żelazko.



Grzegorz Komorowski

Mgławcy Weglowej napytał sobie biedy. Jestem uczciwym gliną i nie biorę łapówek, ale czułbym się zobowiązany, gdyby jakiś koleś zechciał mi pożyczyć 25 imperialnych. Tylko do najbliższej wypłaty, oczywiście.

Co prawda Bill urodził się idiotą, ale uczył się dosyć szybko. Pieniądze zmieniły właściciela i gliniarz wyraźnie się odprężył, postukując końcem pałki w swoje pożółkłe zęby.

– No więc powiem ci coś, chłopie, zanim zechcesz mi coś oficjalnie zgłosić, bo na razie to sobie rozmawiamy jak kumpel z kumplem. Istnieje cała masa różnych sposobów, żeby tu, na Heliorze, wdepnąć w bagno, ale najbardziej niezawodnym jest zgubić swój Plan. Na Heliorze to największe z możliwych wykroczeń. Znałem kiedyś faceta, który przyszedł na posterunek, żeby zgłosić, że ktoś ukradł mu Plan i w przeciągu dziesięciu, może nawet pięciu sekund wszyscy gliniarze z posterunku połamali na nim pałki. No, a teraz, co mi chciałeś powiedzieć?

– Ma pan zapałki?

– Nie palę.

– W takim razie, do widzenia.

– Cześć, koleś.

Bill umknął za najbliższy zakręt korytarza i dysząc ciężko oparł się o ścianę. I co teraz? Nawet mając do dyspozycji Plan z trudem tylko był w stanie się poruszać, jak więc ma sobie radzić bez niego? Gdzieś w sobie czuł ołowiany ciężar, ale starał się go zignorować. Na strach będzie miał jeszcze dosyć czasu, teraz trzeba myśleć. Myślenie jednak wcale nie było taką łatwą sprawą. Jego myśli niewzruszenie kierowały się w stronę jednej tylko rzeczy, to jest jedzenia, a że zdawało mu się, że już lata całe minęły od chwili, kiedy po raz ostatni miał okazję spożyć coś konkretnego, jego gruczoły zaczęły wydzielać ślinę w takiej ilości, że o mało się w niej nie utopił. Jedzenie, oto czego potrzebował. Kiedy odpręży się przy soczystym steku i zaspokoi już potrzeby ciała, wtedy dopiero będzie mógł zebrać myśli i znaleźć wyjście z tej nieciekawej sytuacji. Jakieś wyjście musi przecież istnieć. Miał jeszcze prawie cały dzień wolnego, a to była masa czasu. Minął kolejny zakręt i wszedł na wysoko sklepiony korytarz, rzęsiście oświetlony niezliczoną ilością reklam. Najjaśniej świecił neon POD ZŁOTYM SKAFANDREM.

– „Pod Złotym Skafandrem" – mruknął Bill. – To już coś. Słynna na całą galaktykę restauracja, pokazywana na okrągło w telewizji... Gdzie jak gdzie, ale tam będzie można sobie odbudować morale. Pewnie będzie drogo, ale co tam...

Ścisnął się mocniej pasem, podniósł kołnierz munduru i wstąpił na szerokie, kapiące od złota schody. Przeszedł przez imitujące śluzę kosmicznego statku drzwi, szef sali uśmiechnął się serdecznie, zabrzmiały łagodne dźwięki muzyki i nagle podłoga otworzyła mu się pod nogami. Próbując znaleźć bezskutecznie jakiś punkt oparcia, sunął w dół złoconą zjeżdżalnią, aż wreszcie siłą rozpędu został wyrzucony w powietrze i rozciągnął się jak długi na brudnym, metalowym chodniku. Na ścianie vis a vis wielkimi literami wypisano: ZNIKAJ, CHAMIE. Otrzepywał się już z kurzu, kiedy podjechał do niego robot i zamruczał głosem młodej dziewczyny:

– Pewnie jesteś głodny, kochanie? A może spróbujesz nowoindyjskiej pizzy Giuseppe Singha przyprawionej curry? To tylko parę kroków stąd, plan znajdziesz na odwrocie tej wizytówki.

Robot wyjął wizytówkę ze szczeliny w swojej piersi i delikatnie włożył ją Billowi w usta. Był to bardzo tani i bardzo rozregulowany robot. Bill wypluł rozmiękły karteluszek i próbował go osuszyć chustką do nosa.

– Co się stało? – zapytał.

– Pewnie jesteś głodny, kochanie grrhrrup! – nakierowany pytaniem Billa robot z pewnym opóźnieniem przełączył się na inną, zarejestrowaną wcześniej informację. – Wyrzucono cię ze Złotego Skafandra, słynnej na całą galaktykę restauracji, ponieważ jesteś chamem bez forsy. Przy wejściu zostałeś prześwietlony, a zawartość twoich kieszeni dokładnie przeliczona. Ponieważ zawartość twoich kieszeni kształtowała się zdecydowanie poniżej minimum, to znaczy nie wystarczała nawet na jednego drinka z zakąską, zostałeś wyrzucony. Ale pewnie ciągle jeszcze jesteś głodny, prawda, kochanie? – robot kusicielsko łypnął na Billa i przemówił ponownie uwodzicielskim, emanującym płciowością głosem. – Odwiedź Singha, u którego jedzenie jest smaczne i tanie. Skosztuj pysznej zapiekanki z liściem dahl i sokiem limonowym...

tylko wchłonie wszystkie swoje planety, ale jej promieniowanie może sięgnąć aż tu, na Helior! Natychmiast zatrzymajcie tę diabelską maszynę!

Inspektor westchnął, po czym machnął zrezygnowany ręką.

– Wyłącz to, Basurero. Nic, co piękne, nie może trwać wiecznie.

– Ależ, sir! – inżynier załamał ręce w rozpaczy. – W ten sposób wrócimy do punktu wyjścia, znów zaczną się piętrzyć...

– Rób, co ci każę!

Zrezygnowany Basurero powlókł się do tablicy kontrolnej i przekręcił główny wyłącznik. Ustało klekotanie rolek transporterów, generatory przerwały swe niestrudzone buczenie. Ludzie z Dep. San. stali przygnębieni, w milczących grupkach, podczas gdy astronomowie wstawali z trudem z podłogi i pomagając sobie nawzajem opuszczali laboratorium. Ostatni odwrócił się i parsknął z pogardą:

– Śmieciarze!

Ciśnięty przez kogoś francuz rąbnął w zatrzaskujące się drzwi i to dopełniło goryczy porażki.

– Nic to, następnym razem pójdzie nam lepiej – powiedział energicznym tonem Jeyes, ale w jego głosie można było wyczuć ponurą nutę. – W każdym razie mam dla ciebie zastrzyk świeżej krwi, Basurero. To jest Bill, młody chłopak z nowymi pomysłami dla twojej Sekcji.

– Miło mi – powiedział Basurero i wyciągnął swoją wielgachną łapę. Był to potężny mężczyzna, gruby, tłusty i wysoki, o oliwkowej cerze i kruczoczarnych, sięgających do ramion, włosach. – Chodź, pora coś przekąsić. Po drodze wprowadzę cię w ogólną sytuację, a ty mi coś o sobie opowiesz.

Idąc u boku swego nowego szefa wiekowymi korytarzami Dep. San. Bill opowiadał mu o swoim przygotowaniu zawodowym. Basurero słuchał z takim zainteresowaniem, że skręcił nie tam, gdzie powinien i otworzył nie te drzwi, które trzeba. Runęła na nich lawina kubków, tacek i talerzyków i zanim zdołali wspólnymi siłami zamknąć drzwi brodzili już w zużytych opakowaniach po kolana.

– Widzisz? – zapytał z ledwo powstrzymywaną wściekłością Basurero. – Jesteśmy dosłownie zalewani. Wykorzystujemy każdą wolną przestrzeń magazynową, ale to nie wystarcza. Na Kryszne, nie wiem, co będzie dalej, bo nie mamy już gdzie tego upychać.

Wyciągnął z kieszeni mały srebrny gwizdek i dmuchnął w niego z całej siły. Nie rozległ się żaden dźwięk i Bill odsunął się o krok, spoglądając na niego podejrzliwie. Basurero uśmiechnął się.

– Nie bój się, nic mi się nie poprzestawiało. To jest Ultradźwiękowy Gwizdek na Roboty – my go nie słyszymy, za wysoko, ale roboty znakomicie. O, już jest.

Z szumem kół nadjechał robot śmieciowy – śmieciobot – i szybkimi ruchami ramion zaczął ładować rozsypane naczynia do swego pojemnika.

– To świetny pomysł, znaczy, ten gwizdek – powiedział Bill. – Można ot, tak sobie wezwać robota wtedy, kiedy się go potrzebuje. Czy mógłbym dostać taki? W końcu jestem teraz pracownikiem sanitarnym, tak jak pan i cała reszta.

– Hm, to jest raczej coś specjalnego – odparł Basurero, otwierając tym razem właściwe drzwi prowadzące do kantyny. – Trudno je zdobyć, jeżeli wiesz, co mam na myśli.

– Nie, nie wiem, co pan ma na myśli. Dostanę taki, czy nie?

Basurero zignorował jego pytanie. Wczytywał się z uwagą w jadłospis, a potem wybrał odpowiedni numer. Chwycił wyrzuconą z podajnika porcję mrożonego posiłku odzyskowego i wsadził ją do radarowego podgrzewacza.

– No? – nalegał Bill.

– Jeżeli musisz koniecznie wiedzieć – odparł nieco zażenowany Basurero – to bierzemy je z niespodziankowych paczek z kaszką manną. To zabawki dla dzieci. Pokażę ci, gdzie leżą, to będziesz mógł sobie jeden znaleźć.

– Pewnie, że sobie znajdę. Też chcę przywoływać roboty.

Usiedli z podgrzanymi już porcjami przy stole i Basurero skrzywił się, stukając palcem w tackę, z której jadł.

– Sami przyczyniamy się do naszej klęski. Zobaczysz, co się teraz będzie działo, kiedy wyłączyliśmy transmiter.

– Próbowaliście topić je w oceanie?

dami siedzeń. Wreszcie dotarli do laboratorium, wypełnionego skomplikowaną elektroniczną aparaturą i gromadą przewalających się przez siebie, splątanych w nieudolnej walce ludzi.

– Przestańcie! Natychmiast przestańcie! – krzyknął inspektor, ale nikt nie zwrócił na niego uwagi.

– Mógłbym się na coś przydać? – zapytał Bill. – Jednak czegoś tam w tym wojsku się nauczyłem. Którzy to nasi?

– Ci w brązowych...

– Wystarczy – powiedział Bill. Nucąc wesoło zanurzył się w stękający ciężko tłum i przy pomocy kilku kopniaków, chwytów i miażdżących krtanie ciosów karate przywrócił spokój. Żaden z wierzgających bezradnie intelektualistów nie był zbyt atletycznej budowy, toteż Bill przeszedł przez nich niczym trąba powietrzna, po czym zajął się wydobywaniem z pobojowiska swych nowych kolegów.

– Basurero, co się właściwie stało? – zapytał inspektor Jeyes.

– To przez nich, sir! Wpadli tu wrzeszcząc, żebyśmy natychmiast przerwali operację „Latający Spodek". I to właśnie wtedy, kiedy osiągnęliśmy najlepsze w historii wyniki i niemal podwoiliśmy tempo pozbywania się...

– A co to właściwie jest ta operacja „Latający Spodek"? – zapytał zupełnie zdezorientowany Bill. Żaden z astronomów nie odzyskał jeszcze przytomności, chociaż niektórzy zaczynali już pojękiwać, toteż inspektor miał czas, by wszystko dokładnie wyjaśnić.

– To może rozwiązać wszystkie nasze problemy – powiedział, wskazując na zajmujące niemal pół laboratorium, skomplikowane urządzenie. – Te cholerne puszki, tacki po porcjowanych obiadach i cała reszta! Nie masz pojęcia, ile stóp sześciennych tego świństwa zwala się nam codziennie na głowy. Chyba zresztą nie stóp, lecz mil sześciennych! Jednak pewnego dnia ten oto Basurero przeglądał sobie jakieś pismo i trafił na artykuł o transmiterze materii. Otrzymaliśmy kredyt i kupiliśmy największy model. Doprowadziliśmy do niego taśmę transportera – otworzył klapę w boku maszyny i Bill zobaczył, jak do jej wnętrza wpływa nieprzerwany strumień zużytych opakowań – włączyliśmy na pełną moc i działa, że hej!

– Ale – zapytał nieco zbitu z tropu Bill – dokąd to wszystko jest wysyłane?

– Inteligentne pytanie, to był właśnie jedyny problem, jaki musieliśmy rozwiązać. Z początku wszystko szło tuż nad atmosferę, ale Astronomia zaczęła mieć pretensję, że za dużo wraca w postaci meteorytów i rujnuje im te ich obserwatoria. Zwiększyliśmy moc i zaczęliśmy wysyłać poza orbitę, ale tu znowuż Nawigacja zgłosiła się z żalami, że stwarzamy zagrożenie dla żeglugi kosmicznej i musieliśmy wymyśleć coś innego. Basurero wreszcie wydobył od Astronomii koordynaty najbliższej gwiazdy, ładowaliśmy wszystko do niej i nikt nie miał o nic pretensji.

– Baranie łby! – wykrztusił przez spuchnięte wargi jeden z astronomów, stając niepewnie na nogach. – Te wasze cholerne latające śmieci zmieniły tę gwiazdę w Novą! Nie mieliśmy pojęcia, co mogło być tego przyczyną, dopóki nie znaleźliśmy waszej prośby o podanie jej współrzędnych i nie wykryliśmy tej kretyńskiej operacji...

– Uważaj, co mówisz, bo zaraz możesz jeszcze na chwilę się położyć! – ostrzegł go Bill.

Astronom zbladł, zadrżał, po czym kontynuował już znacznie spokojniejszym tonem.

– Zrozumcie, co się stało. Nie można ot, tak sobie ładować w słońce tylu atomów węgla oraz wodoru i mieć nadzieję, że wszystko będzie OK. To słońce zamieniło się w Novą i jak słyszałem, nie zdążono ewakuować kilku baz z planet wewnętrznych...

– Usuwanie śmieci zawsze było związane z pewnym ryzykiem. Przynajmniej zginęli w służbie ludzkości.

– No tak, ty możesz tak mówić. Cóż, co się stało, już się nie odstanie. Ale teraz musicie przerwać operację „Latający Spodek" – i to natychmiast!

– A niby czemu? – zapytał inspektor Jeyes. – Przyznaję, że ten mały incydent z Novą trochę nas zaskoczył, ale to już minęło i nic teraz na to nie poradzimy. A poza tym słyszałeś przecież, że Basurero udało się podwoić tempo wysyłki. Niedługo odrobimy wszystkie zaległości.

– Jak myślisz, czemu udało wam się to podwojenie? – prychnął astronom. – Ta gwiazda zrobiła się tak niestabilna, że teraz pożera już wszystko bez wyjątku i wkrótce zamieni się w Supernovą, która nie

I Bill poszedł, nie dlatego, że zapragnął koniecznie skosztować jakiejś ohydnej, indyjsko-włoskiej potrawy, ale dlatego, że na odwrocie wręczonej mu wizytówki narysowana była niewielka mapka. Świadomość, że jednak skądś dokądś idzie była bardzo pokrzepiająca, toteż bez wahania stosował się do zamieszczonych obok mapki instrukcji, zbiegając krętymi schodami, zjeżdżając pochylniami, czy walcząc o miejsce na krzesełku zatłoczonego wyciągu. Wreszcie buchnął mu w twarz odór stęchłego tłuszczu, starego czosnku oraz przypalonego mięsa, i wiedział, że dotarł na miejsce.

Jedzenie było nieprawdopodobnie drogie i znacznie gorsze, niż się tego można było spodziewać, niemniej jednak uciszyło fanaberie jego żołądka, jeżeli nie przez stopniowe nasycenie, to przynajmniej przez zmasowany atak. Po skończonym posiłku Bill zabrał się do wydłubywania spomiędzy zębów potężnych kawałków niedokładnie zmielonych chrząstek, jednocześnie jednak zerkał co chwila w stronę siedzącego po drugiej stronie stołu mężczyzny, który pojękiwał z cicha, wlewając w siebie łyżką jakąś trudną do określenia substancję. Mężczyzna odziany był w kolorowe, wakacyjne ubranie i sprawiał wrażenie tłustego, jowialnego, serdecznego osobnika.

– Cześć! – powiedział uśmiechnięty Bill.

– Spadaj.

– Powiedziałem tylko cześć...

– I wystarczy. W ciągu szesnastu godzin, które spędziłem na tej cholernej planecie każdy, kto pofatygował się, by otworzyć do mnie usta, zrobił to tylko po to, żeby mnie okpić, oszukać, ukraść mi forsę albo coś w tym rodzaju. Jestem bliski załamania, a jeszcze zostało mi całych sześć dni wycieczki „Używaj życia na Heliorze". Tak ją nazwali, niech ich szlag trafi.

– Chciałem tylko zapytać, czy nie pozwoliłby mi pan zerknąć do swojego Planu...

– Już ci powiedziałem, każdy chce mnie tutaj nabrać. Spadaj.

– Bardzo pana proszę...

– Dobra. Dwadzieścia pięć baksów, płatne z góry i tylko dopóki nie skończę jeść.

– Zgoda!

Bill wręczył sąsiadowi pieniądze, dał nura pod stół i usiadłszy tam po turecku zaczął w szaleńczym pośpiechu wertować gruby tom, najszybciej jak tylko potrafił ustalając trasę i spisując wszystkie instrukcje. Na górze tłuścioch wciąż jadł i jęczał, a kiedy trafił na porcję o szczególnie wstrętnym smaku, szarpał konwulsyjnie za przymocowany do Planu łańcuch i Bill musiał wszystko zaczynać od początku. Udało mu się ustalić mniej więcej połowę trasy do Punktu Tranzytowego, kiedy grubas skończył jeść, wyszarpnął spod stołu swój Plan i wyszedł z restauracji.

Kiedy Odyseusz powrócił do domu z pełnej niebezpieczeństw wędrówki, oszczędził Penelopie nieprawdopodobnych szczegółów swej podróży. Kiedy Ryszard Lwie Serce wydostał się z lochów i wrócił po latach z awanturniczych wypraw krzyżowych, doceniając wrażliwość królowej Berengarii nie opowiadał jej przesyconych grozą anegdot, tylko powitał ją i nie zwlekając rozpiął jej pas cnoty. Także i ja, miły Czytelniku, oszczędzę ci opisów niebezpieczeństw i zwątpień, jakie stały się udziałem Billa podczas jego wędrówki, jako że i tak byś nie dał im wiary. Powiem tylko tyle, że jednak mu się udało. Dotarł do Punktu Tranzytowego.

Bill zamrugał oprawionymi w czerwone obwódki oczami i przeczytał napis: PUNKT TRANZYTOWY. Kolana ugięły się pod nim z radości i ulgi. A jednak udało mu się! Co prawda spóźnił się o osiem dni, ale to nie miało większego znaczenia. Wkrótce znów znajdzie się w czułych objęciach armii, z dala od bezkresnych korytarzy, przewalających się tłumów, pochylni, zjeżdżalni, szybów, wind, wyciągów i całej reszty. Schla się w trupka z kolesiami, pozwalając, by alkohol rozpuścił wspomnienia koszmarnych dni wypełnionych beznadziejną, zdawałoby się, wędrówką bez kropli wody, bez kęsa pożywienia, bez choćby jednej bratniej duszy, do której można by się odezwać. To wszystko było już za nim. Otrzepał z grubsza mundur, z zażenowaniem dostrzegając szpecące go plamy, dziury i pourywane guziki. Gdyby udało mu się przedostać niepostrzeżenie do koszar, zmieniłby mundur na nowy i dopiero wtedy zameldowałby się w kancelarii.

Kilka głów odwróciło się w jego stronę z zainteresowaniem, ale nikt go nie zatrzymywał i dotarł bez kłopotów do baraku, tylko po to jednak, by się przekonać, że jego materac jest zwinięty, koc zniknął, a szafka jest pusta. Wyglądało na to, że będzie miał kłopoty, a kłopoty w wojsku to naprawdę nic miłego.

Starając się nie poddawać ogarniającej go rozpaczy, obmył się z grubsza w latrynie, łyknął spory haust zimnej wody i powlókł się do kancelarii. Za biurkiem siedział sierżant - potężnie zbudowany sadysta, o skórze tego samego koloru, jak dawny kolega Billa, Tembo. W jednej ręce trzymał lalkę ubraną w mundur kapitana, a drugą wbijał w nią wyprostowane spinacze. Nie unosząc głowy spojrzał spode łba na Billa i skrzywił się z niesmakiem.

- Najwyraźniej szukasz kłopotów, żołnierzu, skoro przychodzisz do kancelarii w takim mundurze.

- I tak jestem w większych kłopotach, niż to się panu zdaje, sierżancie - odparł Bill, opierając się ciężko o biurko.

Sierżant przyjrzał się podejrzliwie różnokolorowym dłoniom Billa.

- Skąd masz tę rękę, żołnierzu? Gadajże! Ja ją znam!

- To mojego kolegi. Dłoń i cała ręka.

Korzystając z nadarzającej się okazji do rozmowy o czymś innym, niż o swoich wyczynach, Bill wyciągnął rękę, demonstrując ją sierżantowi. Jakież jednak było jego przerażenie, kiedy palce tej jego/nie jego ręki zacisnęły się w stalową pięść, napięte mięśnie nadały jej olbrzymie przyśpieszenie i pięść rąbnęła sierżanta w szczękę, zwalając go z krzesła na podłogę.

- Sierżancie! - wyskrzeczał Bill, chwytając zbuntowaną rękę drugą i zmuszając ją, nie bez wysiłku, do posłuszeństwa.

Sierżant podniósł się niespiesznie z podłogi i Bill, drżąc na całym ciele, zaczął wycofywać się w stronę drzwi. Nie wierzył własnym oczom, kiedy sierżant usiadł za biurkiem i uśmiechnął się szeroko.

- Tak mi się zdawało, że to musi być łapa tego starego drania Tembo. Zawsze tak sobie żartowaliśmy. Opiekuj się dobrze tą ręką, słyszysz? Masz jeszcze jakiś jego kawałek? - Kiedy usłyszał, że nie, wystukał palcami szybki rytm. - No cóż, chłopak jest już u wielkiego Ju-Ju w niebie... - Uśmiech zniknął równie niespodziewanie, jak się pojawił, ustępując miejsca naturalnemu grymasowi. - Narobiłeś sobie kłopotów, żołnierzu. Pokaż no dokumenty.

Wyjął je z odrętwiałych palców Billa i wrzucił do szczeliny w biurku. Zamigotały światełka, coś zahuczało, zadygotało i wreszcie ekran wyświetlił informację. Sierżant przeczytał ją uważnie i kwaśny grymas na jego twarzy ustąpił miejsca wściekłemu. Zwrócił się na powrót do Billa, przeszywając go spojrzeniem, które mogłoby w okamgnieniu zamienić mleko w kefir czy zabić na miejscu jakieś mniejsze żyjątko, mysz na przykład albo karalucha. Krew skrzepła Billowi w żyłach, a jego ciałem wstrząsnął niemal epileptyczny dreszcz.

- Gdzie żeś ukradł te dokumenty? Kim naprawdę jesteś?

Dopiero trzecia próba wydania jakiegoś w miarę artykułowanego dźwięku zakończyła się dla Billa sukcesem.

- To... to ja... to... to moje dok... dokumenty... to ja, bezpiecznikowy pierwszej kla... klasy Bill...

- Kłamiesz! - Dostosowany specjalnie do rozszarpywania szyjnych żył paznokieć zastukał w kartę identyfikacyjną Billa. - Musiałeś to ukraść, bo bezpiecznikowy pierwszej klasy Bill odleciał z Helioru osiem dni temu. Tak mówi komputer, a komputer nie kłamie. Doigrałeś się, cwaniaczku. - Nacisnął czerwony guzik podpisany ŻANDARMERIA i gdzieś w oddali rozległ się alarmowy dzwonek. Bill, tocząc dziko oczami w poszukiwaniu jakiejś drogi ucieczki, postąpił krok wstecz.

- Trzymaj go, Tembo - polecił sierżant. - Chcę to wyjaśnić do końca.

Lewa/prawa ręka Billa chwyciła ze straszliwą siłą za krawędź biurka. Próbował jeszcze rozewrzeć jej chwyt, kiedy za jego plecami zadudniły ciężkie kroki.

- Co jest? - warknął znajomy głos.

- Posługiwanie się skradzionymi dokumentami i jeszcze parę innych rzeczy, które i tak nie mają znaczenia, bo już za tą pierwszą grozi lobtomia i ciężka chłosta.

- Och, sir! - zawołał z radością Bill, odwracając się na pięcie i stając twarzą w twarz z doskonale znaną, znienawidzoną postacią. - Kostucha Drang! Niech mu pan powie, że mnie pan zna!

Jeden z dwóch żandarmów był zwyczajnym, wypolerowanym brutalem z hełmem zamiast głowy, z pałką i rewolwerem u boku, ale drugi mógł być tylko Kostuchą Drangiem.

- Znacie tego więźnia? - zapytał sierżant.

Kostucha zmarszczył brwi i zmierzył Billa wzrokiem od stóp do głów.

- Ależ skąd - zaprotestował Bill, ocierając ukradkiem wzbierającą mu w oku łzę. - To ze szczęścia, już od tak dawna nie miałem okazji do inteligentnej rozmowy...

- Wyobrażam sobie, w wojsku inteligencja nie jest w najwyższej cenie. - Poklepał Billa po plecach, gestem z rodzaju „rozumiemy-się-chłopie-czyż-nie?". - Zapomnij o tym, teraz jesteś wśród przyjaciół. Na czym to ja skończyłem? Ach, tak, więc te bakterie, a potem dehydratyzacja i prasowanie. W efekcie otrzymujemy wspaniały, skondensowany nawóz, który nie ma sobie równych w całej galaktyce i niech mnie ktoś spróbuje przekonać, że jest inaczej!

- O, jestem tego pewien! - zgodził się gorąco Bill.

- Windy i taśmociągi dostarczają nawóz do portów, gdzie ładuje się go na opróżnione z żywności statki. Ładunek za ładunek, to nasze hasło. Słyszałem, że na niektórych planetach o szczególnie ubogiej glebie ludzie płaczą z radości, kiedy przylatuje statek z Helioru! Nie, ze ściekami nie mamy żadnych problemów, natomiast w innych Sekcjach, niestety, sytuacja nie wygląda tak różowo. - Inspektor osuszył swój kubek i skrzywił się, jakby jednocześnie ktoś wyssał z niego cały dobry nastrój. Bill także skończył swojego drinka i zamachnął się, by wyrzucić kubek do kosza na śmieci.

- Nie rób tego! - ryknął inspektor. - Nie chciałem być niegrzeczny - usprawiedliwił się od razu - ale to jest właśnie nasz największy problem - to, co potocznie określa się jako Śmieci. Czy masz pojęcie, ile gazet wyrzuca codziennie 150 miliardów ludzi? Albo ile puszek? Tacek? W Sekcji Naukowo-Badawczej pracujemy nad tym w dzień i w nocy, ale nawet i to za mało. Mówię ci, po prostu koszmar. Kubek, który trzymasz w ręku, jest jednym z naszych wynalazków, ale i tak stanowi ledwie kroplę w morzu potrzeb.

Kiedy ostatnie krople płynu wyparowały z kubka, naczynie zaczęło nieprzyzwoicie wić się i prężyć. Bill rzucił je, przerażony, na podłogę. Kubek dalej to puchnął, to się zapadał, cały czas zmieniając swój kształt.

- To zasługa matematyków - powiedział inspektor. - Dla topologa płyta gramofonowa, filiżanka czy kubek mają taki sam kształt - okrągły z dziurą w środku. Każdy z tych przedmiotów może się zamienić w drugi za pomocą bardzo prostej transformacji. Robimy więc kubki na napoje z plastyku z naniesionymi tłoczeniami płyty gramofonowej - o popatrz zresztą.

Kubek uspokoił się wreszcie i leżał bez ruchu na podłodze - już nie jako kubek, lecz plastykowy dysk z dziurką w środku. Inspektor Jeyes podniósł go i zdarł etykietkę Alko-drinka, odsłaniając nową, na której było napisane: „Miłość na orbicie, Rum! Bum! Dum! Śpiewają KLEOPATRY".

- Wspaniałe, nieprawdaż? Kubek przeistoczył się w płytę z nagraniem jednego z najohydniejszych zespołów, jakie w ogóle istnieją, toteż nikt uzależniony od Alko-drinka nie pozbędzie się tego za żadną cenę! Płyta będzie przechowywana i chroniona jak najdroższy skarb, zamiast zostać wyrzucona do kosza na śmieci i przysparzać nam całej masy kłopotów.

Inspektor Jeyes wziął obie dłonie Billa w swoje, a kiedy spojrzał mu w oczy, jego własne były trochę bardziej niż tylko wilgotne.

- Bill, powiedz, że się zgadzasz, że pójdziesz do Naukowo-Badawczej! Mamy tak niewielu zdolnych, wykształconych, rozumiejących nasze problemy ludzi. Może nie skończyłeś tego kursu na Operatora Mechanicznych Roztrząsaczy Obornika, ale masz świeży umysł pełen świeżych pomysłów, a o to przede wszystkim nam chodzi. Młody duch, świeża krew... No?...

- Zgadzam się - powiedział Bill z determinacją w głosie. - To praca, której rzeczywiście można się poświęcić całym sercem.

- Jest twoja. Dostaniesz gabinet, biurko, mundur, ładną pensyjkę oraz tyle śmieci i odpadków, ile dusza zapragnie. Nigdy nie będziesz żałował.

Rozległo się jękliwe zawodzenie syreny i do pokoju wpadł spocony, podekscytowany mężczyzna.

- Inspektorze, tym razem naprawdę jest niedobrze! Operacja „Latający Spodek" zawiodła! Zwaliła się cała banda z Astronomii i teraz tłuką się z naszą sekcją Naukowo-Badawczą, mówię panu, jak zwierzęta!

Zanim skończył, inspektor był już za drzwiami, a Bill razem z nim. Wpadli na taśmociąg z zamontowanymi na nim fotelami, ale dla inspektora było za wolno, więc kicali niczym dwa króliki między rze-

wszystko może się zmienić. Przyjmij oferowane ci schronienie. Zatroszczymy się o ciebie, nakarmimy, będziesz miał dobrą pracę, nowy mundur, nawet nowe dokumenty.

- A w zamian za to będę musiał zostać śmieciarzem? - parsknął Bill.

- My tu wolimy określenie „pracownik sanitarny" - odparł łagodnie inspektor Jeyes.

- Pomyślę nad tym - powiedział chłodno Bill.

- Czy mogę ci pomóc w podjęciu decyzji? - zapytał inspektor i nacisnął guzik w ścianie. Drzwi zaskrzypiały ponownie, a robot chwycił Billa za ramiona i nieubłaganie zaczął pchać w ziejącą za wrotami ciemność.

- Zgadzam się! - zapiał Bill. Robot puścił go, drzwi się zamknęły, a Bill zrobił obrażoną minę. - I tak miałem zamiar się zgodzić, nie musi pan od razu używać takich argumentów.

- Serdecznie przepraszam, chcielibyśmy, żebyś czuł się u nas jak najlepiej. Witamy w Dep. San. Pozwolę sobie zapytać, czy nie potrzebujesz przypadkiem nowej karty identyfikacyjnej? Wielu z tych, którzy przychodzą do nas na dół pragnie zacząć życie od nowa, toteż mamy do wyboru wiele kart identyfikacyjnych. Musisz pamiętać, że do nas trafia wszystko - zarówno zawartość koszy na śmieci, jak i ciała umarłych. Zdziwisz się, jak wiele kart pozyskujemy w ten sposób. Proszę do windy...

Dep. San. rzeczywiście dysponował całą masą kart, porządnie poukładanych w oznaczonych literami alfabetu szufladkach. Bill bardzo szybko znalazł jedną z jakby specjalnie dla niego sporządzonym rysopisem, wydaną na nazwisko niejakiego Wilhelma Stuzzicadentiego. Pokazał ją inspektorowi.

- Znakomicie. Cieszymy się, że jesteś z nami, Wilhelmie.

- Proszę mi mówić po prostu Bill.

- Witamy na pokładzie, Bill. Ciągle brakuje nam ludzi, więc będziesz miał pracy ile chcesz i jaką chcesz - zależy to oczywiście od twoich uzdolnień i zainteresowań. Kiedy słyszysz słowo „oczyszczanie", co przychodzi ci na myśl?

- Śmieci.

Inspektor westchnął ciężko.

- Taka jest najczęstsza odpowiedź, ale po tobie spodziewałem się czegoś więcej. Śmieci to tylko drobna cząstka tego, z czym ma do czynienia Sekcja Zbieractwa. Dochodzą do tego jeszcze Odpadki, Szczątki i Pozostałości. Istnieje jeszcze cała masa innych Sekcji: Sprzątania Korytarzy, Napraw Hydraulicznych, Naukowo-Badawcza, Ściekowa...

- O, to by mnie interesowało! Zanim wzięli mnie do wojska, uczestniczyłem w korespondencyjnym kursie na Operatora Mechanicznych Roztrząsaczy Obornika.

- To wprost cudownie! Musisz mi o tym dokładniej opowiedzieć, ale może tymczasem usiądź sobie tutaj wygodnie i czuj się jak u siebie w domu. - Mówiąc to Jeyes posadził Billa w głębokim, wyściełanym fotelu i wyjął z podajnika dwa plastykowe kubeczki.

- Łyknij sobie Alko-drinka dla ochłody.

- Dziękuję. No więc, nie ma za bardzo o czym opowiadać. Nie skończyłem kursu i wygląda na to, że już nigdy nie uda mi się realizować marzenia mego życia i zostać Operatorem Roztrząsacza.. Może wasza Sekcja Ściekowa...

- Przykro mi, ale jeżeli jest coś, z czym nie mamy żadnych problemów, to są to właśnie ścieki. Wszystkie urządzenia są w pełni zautomatyzowane. Jesteśmy dumni z efektów naszej pracy, bo trzeba ci wiedzieć, że na Heliorze mieszka w tej chwili ponad 150 miliardów ludzi...

- O rany!

- Tak, tak, masz rację, widzę ten błysk w twoim oku, to rzeczywiście cała masa ścieków i mam nadzieję, że któregoś dnia będę miał przyjemność pokazać ci naszą instalację zajmującą się ich przerobem. Musisz bowiem pamiętać, że aby były ścieki, najpierw musi być żywność, a że pod tym względem Helior jest w stu procentach uzależniony od importu, wykorzystujemy tutaj technologię przerobu ścieków, która może być przedmiotem marzeń każdego inżyniera sanitarnego. Statki kosmiczne przywożą z rolniczych planet żywność, która zjadana przez ludzi zapoczątkowuje, można powiedzieć, Łańcuch Przemian. My dostajemy tutaj... eee... ostatnie ogniwo tego Łańcucha i przerabiamy je. Stosujemy normalne, tradycyjne metody mechaniczne i chemiczne, bakterie beztlenowe i tak dalej... Chyba cię nie nudzę?

- Znałem kiedyś bezpiecznikowego szóstej klasy imieniem Bill, ale tamten miał obie ręce takie same. Coś mi się tu nie podoba. Trącimy go parę razy w dyżurce i zameldujemy, co wyśpiewa.

- Dobra. Tylko uważajcie na jego lewą rękę. Należy do mojego przyjaciela.

- Nawet jej nie dotkniemy.

- Ale to jestem ja, Bill! - wrzasnął Bill. - To moje dokumenty, mogę to udowodnić!

- Kradzione - powtórzył z przekonaniem sierżant i wskazał na ekran. - Zapis w pamięci komputera mówi, że bezpiecznikowy pierwszej klasy Bill odleciał osiem dni temu. Zapisy w pamięci komputera nie kłamią.

- Nie mogą kłamać, bo gdyby kłamały, to nie byłoby porządku we wszechświecie - dodał Kostucha i wbił Billowi pałkę w żołądek, popychając go w kierunku drzwi. - Czy przysłali już te nowe wyłamywaczki do palców? - zapytał drugiego żandarma.

To, że Bill zrobił, co zrobił, było spowodowane wyłącznie zmęczeniem. Zmęczenie, rozpacz i strach połączyły swoje siły i zawładnęły nim całkowicie, bo przecież w głębi serca był dobrym żołnierzem i nauczył się być Dzielny, Dbający o Higienę Osobistą, Posłuszny, Heteroseksualny i tak dalej, i tak dalej. Dla każdego jednak człowieka istnieje jakaś granica wytrzymałości i Bill właśnie osiągnął swoją. Wierzył co prawda w sprawiedliwość wymiaru sprawiedliwości - nikt mu nigdy nie powiedział, że można w to nie wierzyć - ale kroplą, która przepełniła czarę, był strach przed torturami. Kiedy jego oszalałe oczy dostrzegły na ścianie napis PRALNIA, odpowiednie złącza połączyły się bez udziału jego świadomości i Bill skoczył naprzód, wyrywając się z uścisku trzymających go rąk. Uciekać! Otwór pod napisem musi być początkiem zsypu pralniczego, u którego wylotu czeka już, by złagodzić jego upadek, mięciutka sterta brudnych koszul i prześcieradeł. Uciekać! Nie zwracając uwagi na dzikie wrzaski żandarmów rzucił się głową naprzód w ziejący czernią otwór.

Przeleciał może ze cztery stopy i rąbnął czaszką, mało jej sobie przy tym nie rozwalając, w twarde, metalowe dno. Zsyp okazał się pojemnikiem na brudną bieliznę.

Żandarmi walili pięściami w uchyloną ściankę, bezskutecznie jednak, bowiem nogi Billa zablokowały ją od wewnątrz.

- Zamknięte! - zawył Kostucha. - Wykiwał nas! Dokąd prowadzi ten zsyp? - zapytał, popełniając ten sam błąd, co Bill.

- Nie mam pojęcia, dopiero co mnie tutaj przenieśli - odparł drugi głos.

- Jak go nie znajdziemy, to przeniosą cię jeszcze raz, ale tym razem prosto na krzesło elektryczne.

Głosy, wraz z dudnieniem ciężkich kroków, ścichły w oddali i Bill odważył się poruszyć. Skręcony pod dziwacznym kątem kark bolał jak diabli, kolana miał zagwożdżone pod własną brodą i o mało co się nie udusił jakąś pchającą mu się do ust szmatą. Próbując wyprostować nogi zaparł się nimi o metalową ścianę, rozległ się donośny trzask i pojemnik otworzył się na oścież.

- Jest tutaj! - ryknął znajomy, znienawidzony głos i Bill nie tracąc ani chwili rzucił się do ucieczki. Pościg był tuż za nim, kiedy jeszcze raz skoczył głową naprzód, tym razem do prawdziwego, antygrawitacyjnego zsypu. Zdyszany żandarm skoczył za nim, a specjalne czujniki ustawiły ich w odległości mniej więcej piętnastu stóp od siebie. Podtrzymywani polem siłowym opadali powoli, a kiedy Billowi ustąpiły sprzed oczu czerwone plamy i spojrzał do góry, ujrzał wyszczerzoną fizjonomię Kostuchy.

- Stary druhu! - wychlipał Bill, składając błagalnie ręce. - Czemu mnie prześladujesz?

- Tylko nie druhu, ty przeklęty chingerski szpiegu! Nawet nie jesteś dobrym szpiegiem - ręce masz nie do pary! - Cały czas spadając, Kostucha wyciągnął z pochwy rewolwer i wycelował go między oczy Billa. - Zastrzelony podczas próby ucieczki.

- Miej litość! - zaskamlał Bill.

- Śmierć Chingersom!

I nacisnął spust.

Rozdział 4

Pocisk przeorał się przez obłok rozprężającego się gazu i przeleciał jeszcze jakieś dwie stopy w kierunku Billa, po czym pole siłowe chwyciło go w swe stalowe objęcia. Niezbyt inteligentne czujniki uznały pocisk za jeszcze jeden obiekt, który wrzucono do zsypu i przydzieliły mu odpowiednie miejsce,

nadając mu prędkość identyczną, jak wszystkim innym znajdującym się w zsypie ciałom. Kula zajęła miejsce między Billem a Kostuchą, za którym z kolei spadał dostojnie drugi żandarm, a że odstępy pomiędzy poszczególnymi obiektami musiały wynosić co najmniej piętnaście stóp, odległość między Billem a jego prześladowcami zwiększyła się dwukrotnie. Bill nie omieszkał wykorzystać tego faktu, opuszczając zsyp na najbliższym poziomie. Jednym susem znalazł się w czekającej akurat na pasażera windzie i zanim, klnący na czym świat stoi, Kostucha zdołał wygramolić się na korytarz, drzwi windy zasunęły się bezszelestnie.

Teraz ucieczka polegała już tylko na maksymalnym gmatwaniu swego śladu. Bill na oślep przesiadał się z jednego środka transportu na drugi, cały czas kierując się jednak ku niższym poziomom, niczym kret, który usiłuje zgubić swych prześladowców ryjąc coraz głębszy tunel w głąb ziemi. W końcu dopadło go wyczerpanie, rzuciło o ścianę i zostawiło tam, dyszącego niczym zgrzany w jurajskim słońcu dinozaur. Rozglądając się dookoła stwierdził, że dotarł głębiej, niż zdarzyło mu się kiedykolwiek dotąd. Korytarze, wykonane ze spojonych nitami arkuszy blachy, oświetlone były znacznie skromniej, niż na wyższych poziomach. Jednostajną gładkość ścian zakłócały potężne, stustopowej nieraz średnicy filary. Większość drzwi, jakie mijał, starannie pozamykano, a kłódki i skoble zaopatrzone były w wymyślne pieczęcie. Wstał z trudem na nogi i ruszył w poszukiwaniu czegoś do picia, gardło miał bowiem wyschnięte jak stara podeszwa. Automat, który wreszcie udało mu się znaleźć, wbudowany był w ścianę i w niczym nie przypominał znanych mu urządzeń. Obudowany był metalowymi sztachetami, a zdobiący jego płytę czołową napis głosił, co następuje: UWAGA! AUTOMAT WYPOSAŻONY JEST W ANTYWŁAMANIOWY SYSTEM „ŁAPAJ ZŁODZIEJA". KAŻDY, KTO BY USIŁOWAŁ DOBRAĆ SIĘ DO POJEMNIKA Z MONETAMI, ZOSTANIE PORAŻONY PRĄDEM O NAPIĘCIU 100 000 VOLT. Drobne, które Bill wygrzebał z kieszeni, wystarczyły na podwójną heroin-colę. Kiedy kubek wypełniał się smakowitym napójem, Bill na wszelki wypadek odsunął się od śmiercionośnej maszyny.

Po chwili poczuł się znacznie lepiej, ale trwało to bardzo krótko, dokładnie do momentu, w którym zajrzał do swego portfela. Zostało mu osiem imperialnych; co będzie, kiedy je wyda? Wielki żal nad samym sobą ogarnął jego wycieńczony, odurzony narkotykiem umysł i Bill, skuliwszy się pod ścianą, rozpłakał się rzewnie nad własnym losem. Zdawał sobie mętnie sprawę z obecności innych ludzi, ale nie zwracał na nich uwagi. Dopiero kiedy nie opodal niego przystanęło czterech mężczyzn, a po chwili jeden z nich padł jak worek na podłogę korytarza, Bill zerknął przelotnie w ich kierunku. Trzej teraz już tylko mężczyźni rozmawiali ze sobą z ożywieniem; Bill słyszał dokładnie wszystko, ale jego pogrążony w rozpaczy mózg rejestrował tylko wychwytywane przez narządy słuchu fale dźwiękowe, nie próbując ich zrozumieć czy zanalizować.

– Biedny Golph. Wygląda na to, że już z nim koniec.

– Nawet na pewno. Ma najładniejsze drgawki przedśmiertne, jakie kiedykolwiek widziałem. Zostawimy go robotom sanitarnym.

– Dobra, ale co z robotą? Przecież potrzebujemy czterech.

– O, patrzcie, tam leży jakiś zdeplanowany.

Ciężki but, który przetoczył Billa na plecy, przywrócił mu także zainteresowanie rzeczywistością. Spojrzał w górę, na trzech obdartych, brudnych, brodatych mężczyzn. Różnili się od siebie wzrostem i tuszą, ale łączyło ich jedno: żaden z nich nie miał ze sobą Planu. Bez ciężkich, opasłych tomów wyglądali dziwnie nago.

– Gdzie masz swój Plan? – zapytał Billa najobficiej owłosiony i kopnął go jeszcze raz.

– Ukradli... – wychlipał Bill.

– Jesteś żołnierzem?

– Zabrali mi dokumenty...

– Masz forsę?

– Nic... ani grosza... jak pusty kosz na śmieci...

– A więc jesteś jednym ze Zdeplanowanych – oznajmili chórem mężczyźni i pomogli mu wstać na nogi. – Teraz przyłączysz się do nas w Pieśni Zdeplanowanych.

I drżącymi głosami zaśpiewali:

Razem stawajmy w jednym szeregu

tunelem, słysząc przed i za sobą kłapanie zębów jakichś tajemniczych bestii, którym zakłócił od kto wie jak dawna nienaruszony spokój. Długie odcinki tunelu pogrążone były w zupełnej ciemności i musiał iść po omacku, dotykając dłońmi odrażających, śliskich ścian. Światło nielicznych lamp z trudem przedzierało się przez grubą zasłonę pajęczyn i strupieszałych owadzich zwłok, rozchlapując wodę brnął przez głębokie kałuże i powoli, stopniowo, zaczynała do niego docierać niesamowitość otoczenia. Natrafił na jakąś klapę w podłodze i uniósł ją, powodowany wciąż jeszcze odruchem ucieczki, ale niżej zejść już nie można było. Przestrzeń pod klapą była wypełniona jakimś granulowanym materiałem, podobnym trochę do grubego cukru. Chociaż równie dobrze mogła to być na przykład posiekana izolacja. Być może dało się to jeść; schylił się i wziął szczyptę w palce, po czym włożył ją do ust. Nie, nie dało się, chociaż coś mu przypominało... I wtedy przyszło olśnienie.

To była ziemia. Gleba. Piasek. To, z czego były zrobione planety, ta też. Powierzchnia Helioru, na której spoczywał miażdżący ciężar miasta pokrywającego całą planetę. Spojrzał w górę i w tej właśnie chwili zdał sobie sprawę z tej masy, straszliwej masy nad jego głową. Znajdował się na samym, samiutkim dnie i znienacka dopadła go galopująca klaustrofobia. Kwicząc niczym zarzynane prosię pognał przed siebie na oślep, ale wkrótce zatrzymał się na potężnych, zamkniętych na głucho drzwiach. Tędy nie było ucieczki. Zresztą, kiedy przyjrzał się poczerniałym ze starości, mocarnym balom, zdecydował, że i tak nie chciałby tędy iść. Kto wie, jakie okrutne niespodzianki czyhały po drugiej stronie tych grubych, ciężkich drzwi na samym dnie świata?

Wtedy właśnie jego przerażone oczy dostrzegły, jak drzwi najpierw drgnęły lekko, a potem, skrzypiąc przeraźliwie, poczęły się otwierać. Rzucił się w tył, do ucieczki i wrzasnął przeraźliwie, kiedy coś zamknęło go w niemożliwym do rozerwania uchwycie...

Rozdział 5

Nie to, że Bill nie próbował się wyrwać, wręcz przeciwnie, ale było to zadanie beznadziejne. Kwiląc żałośnie jak porwane przez orła jagnię wił się w uścisku białych kościstych szponów, próbując bezskutecznie wyswobodzić swoje ramiona. Wierzgając dziko został wciągnięty za potężne drzwi, które zatrzasnęły się natychmiast bez niczyjej pomocy.

– Witamy... – powiedział jakiś grobowy głos. Trzymające go ramię gdzieś zniknęło, Bill zaś zatoczył się nieco, odwrócił i stanął twarzą w twarz z ogromnym białym robotem. Obok maszyny stał niewielkiego wzrostu mężczyzna w białej kurtce, nad którą widniała duża, łysa głowa o zatroskanej twarzy.

– Jeżeli nie chcesz, nie musisz mówić, jak się nazywasz – powiedział mały człowieczek. – Ja jestem inspektor Jeyes. Czy przyszedłeś tu szukając schronienia?

– A może mi je pan zapewnić? – zapytał nieufnie Bill.

– Interesująca uwaga, bardzo interesująca. – Jeyes z suchym szelestem zatarł swoje pomarszczone dłonie. – Jakkolwiek jednak pociągająca może się wydać tego rodzaju dysputa, lepiej chyba będzie, jeśli się od niej na razie powstrzymamy. Odpowiem ci wprost – tak, mogę ci je zapewnić. Chciałbyś z niego skorzystać?

Bill otrząsnął się już z pierwszego szoku i przypomniawszy sobie, w jakie już wpadł tarapaty kłapiąc bez zastanowienia dziobem, postanowił najpierw chytrze wybadać nieznajomego.

– Kiedy ja nawet nie wiem, kim pan jest, gdzie się znalazłem, no i co pan rozumie przez to „schronienie"...

– Tak, oczywiście, masz rację. To moja wina. Wziąłem cię za jednego ze Zdeplanowanych, ale teraz widzę, że te łachmany, które masz na sobie, musiały być kiedyś żołnierskim mundurem i że te oksydowane blaszki, które zdobią twoją pierś są pozostałościami wysokich odznaczeń. Witamy na Heliorze! Jak tam wojna?

– Dziękuję, nie najgorzej... Ale...

– Jestem inspektor Jeyes z Departamentu Sanitarnego. Mam nadzieję, że wybaczysz mi moje wścibstwo, ale wydaje mi się, że masz małe kłopoty... Jesteś praktycznie bez munduru, bez Planu, być może nawet bez dokumentów. – Obserwował zmieszanego Billa przenikliwymi ptasimi oczami. – Ale to



Grzegorz Komorowski

Bracia Bez Planów, bo walczyć nam trzeba,
By Przemoc upadła, a Prawda wygrała,
Byśmy ponownie wolni się stali,
Niebios przestrzenie znów oglądali
I mogli znowu usłyszeć
Szeptanie płatków śniegu.

– Coś to się nie bardzo rymuje – zauważył Bill.

– Cóż robić, tu, na dole, nie jest łatwo o literackie talenty – powiedział najmniejszy i najstarszy zarazem Zdeplanowany i zaniósł się piskliwym kaszlem.

– Stul pysk – warknął największy i szturchnął starego oraz Billa w okolice nerek. – Ja jestem Litvok, a to moja paka. Ty, nowy, jesteś teraz z nami. Nazywasz się Golph 28169 minus.

– Skądże znowu, nazywam się Bill, poza tym to łatwiejsze do... – urwał, szturchnięty ponownie.

– Stul pysk. Bill to trudniejsze imię, bo to nowe imię, a ja nigdy nie mogę zapamiętać nowych imion. Zawsze miałem w pace Golpha 28169 minus. Jak się nazywasz?

– Bill... Auu! To znaczy, Golph!

– No, już lepiej. Tylko nie zapomnij, że masz jeszcze nazwisko!

– Jeść się chce – jęknął stary. – Kiedy robimy skok?

– Teraz. Idziemy.

Przeszli przez ciało starego Golpha, który tak szybko znalazł zastępcę i ruszyli pośpiesznie ciemnym, wilgotnym pasażem. Bill zastanawiał się, w co też znowu udało mu się wpakować, ale był zbyt zmęczony, żeby się tym rzeczywiście przejmować. Poza tym, ci ludzie mówili coś o jedzeniu. Kiedy już coś zje, będzie mógł spokojnie się nad wszystkim zastanowić, ale tymczasem był szczęśliwy, że ktoś się nim zajął i zwolnił go z obowiązku myślenia. Zupełnie jak w wojsku, a nawet trochę lepiej, bo nie musiał się golić.

Zmrużyli oczy, nagle oślepieni, wychodząc na jasno oświetlony korytarz. Litvok machnął ręką, by stanęli, po czym przyłożył brudną dłoń do swego kalafiorowatego ucha i zmarszczywszy czoło nasłuchiwał przez dłuższą chwilę.

– W porządku. Schmutzig, zostajesz tutaj i dajesz znak, gdy ktoś będzie szedł, ty Sporco, stajesz przy pierwszym zakręcie z tamtej strony i robisz to samo, a ty, Golph, idziesz ze mną.

Dwaj strażnicy stanęli na swoich stanowiskach, a Bill wszedł za Litvokiem do niszy w ścianie korytarza, kryjącej metalowe zamknięte drzwi. Krzepki przywódca otworzył je jednym uderzeniem młota, wyciągniętego gdzieś spomiędzy fałd wymiętego stroju. Przez pomieszczenie, do którego wkroczyli, biegły pionowo liczne rury najróżniejszych rozmiarów. Każda oznaczona była innym symbolem.

– Musimy znaleźć kl-9256-B – powiedział Litvok.

Bill znalazł ją dość szybko – miała mniej więcej średnicę przegubu jego ręki. Właśnie zamierzał zameldować o tym Litvokowi, kiedy na korytarzu rozległ się ostrzegawczy gwizd.

– Wyłaź! – rzucił Litvok – i wypchnął Billa na zewnątrz, po czym wśliznął się za nim, zamknął drzwi i stanął tak, by zasłonić sobą rozwalony zamek. Zbliżał się do nich jakiś dziwny, grzechocząco-świszczący odgłos. Litvok schował młot za plecami. Hałas narastał coraz bardziej, aż wreszcie pojawił się robot sanitarny i skierował na nich swoje teleskopowe oczy.

– Uprzejmie proszę o przesunięcie się, robot ma zamiar sprzątać w miejscu, w którym państwo stoją – przemówił grzecznym tonem głos z taśmy. Robot z nadzieją zaszurał swymi szczotkami.

– Znikaj stąd – warknął Litvok.

– Przeszkadzanie robotowi sanitarnemu w wykonywaniu jego obowiązków nie tylko stanowi wykroczenie przeciwko prawu, ale jest także wysoce aspołeczne. Zastanówmy się przez chwilę, co by było, gdyby Departament Sanitarny nie...

– Głupie gadanie! – prychnął Litvok i zdzielił robota młotem w pojemnik mózgowy.

– Krrhrrk! – zaskrzeczał robot i ruszył przed siebie, zataczając się od ściany do ściany i roniąc wodę z otworów zraszacza.

– Do roboty – powiedział Litvok otwierając ponownie drzwi. Wręczył młot Billowi, a sam wyciągnął spomiędzy fałdów swej szaty pokaźnych rozmiarów piłę i zaatakował z pasją odnalezioną przez Billa

rurę. Okazała się ona jednak bardzo twarda. Po minucie, ociekając potem, zmniejszył wyraźnie tempo.

– Teraz ty! – huknął na Billa. – Piłuj najszybciej jak możesz! Zaraz cię zmienię.

Dzięki zmianowemu systemowi pracy przepiłowanie rury zajęło im nie więcej niż trzy minuty. Litvok schował piłę pod ubranie i ponownie wziął do ręki młot.

– Przygotuj się – powiedział, poplul w dłonie i machnął ciężkim narzędziem.

Wystarczyły dwa uderzenia, by górna część przepołowionej rury odgięła się od pionu. Z otworu runął nieprzerwany strumień połączonych ze sobą, opakowanych w przezroczystą folię, zielonych frankfurterów. Litvok chwycił koniec tego kiełbaskowego łańcucha i zarzucił go na Billa, po czym, ledwo nadążając, zaczął owijać go coraz wyżej i wyżej. Spirale frankfurterów sięgnęły wreszcie oczu Billa, który dzięki temu mógł przeczytać, co było na nich napisane. CHLOROFILKI, głosiły litery, SŁOŃCE W KAŻDYM KĘSIE, DOSKONAŁA KIEŁBASKA KOŃSKA, a także NASTĘPNYM RAZEM SPRÓBUJ NASZYCH CHABETOBURGERÓW!

– Wystarczy... – stęknął Bill, uginając się pod ciężarem. Brodacz przerwał łączącą zielone kiełbaski folię i sam zaczął owijać się we frankfurtery, kiedy nagle strumień ustał. Litvok wyciągnął z rury ostatnie porcje i rzucił się do drzwi.

– Zauważyli uszkodzenie! Znikamy, zanim zjawią się gliny!

Zagwizdał przeraźliwie i po chwili przykłusowali dwaj strażnicy. Pędzili w szalonym tempie przez jakieś tunele, schody, pochylnie, drabiny. Bill co chwila potykał się, ciśnięty do ziemi owiniętym wokół niego ciężarem, aż wreszcie dotarli do jakiegoś zakurzonego, opuszczonego miejsca, oświetlonego słabym blaskiem brudnych lamp umieszczonych daleko jedna od drugiej. Litvok podniósł klapę w podłodze i po kolei wpełźli w plątaninę kabli i rur, wypełniających przestrzeń między dwoma poziomami. Schmutzig i Sporco szli z tyłu, zbierając gubione przez Billa kiełbaski. Wreszcie przez wyważoną kratę otworu wentylacyjnego dotarli gdzieś, gdzie było ciemno jak w kopalni i Bill padł bez sił na usianą jakimiś odpadkami podłogę. Jego kompani z okrzykami pożądania obdarli go z drogocennego ciężaru i po chwili nadziane na ruszt kiełbaski skwierczały nad płomieniem rozpalonym w pojemniku na śmieci.

Pobudzony do życia rozkosznym zapachem przypiekanego chlorofilu Bill z zainteresowaniem rozejrzał się dookoła. Znajdowali się w ogromnym pomieszczeniu, którego nie był w stanie oświetlić blask ognia płonącego w pojemniku. Między potężnymi kolumnami, dźwigającymi ciężar piętrzącego się nad nimi miasta, usypane były olbrzymie kopce z bliżej nieokreślonego materiału. Najstarszy ze Zdeplanowanych, Sporco, podszedł do jednej ze stert, coś z niej wyciągnął i wrócił do ognia. Były to kartki papieru, którymi zaczął podsycać płomień. Jedna z nich spłynęła Billowi na kolana i zanim rzucił ją do ognia, zobaczył, że jest to jakiś pożółkły ze starości, bardzo urzędowy dokument.

Bill nigdy co prawda nie przepadał za chlorofilowymi potrawami, teraz jednak smakowały mu lepiej, niż wszystko, czego kiedykolwiek zdarzyło mu się próbować. Sos został zastąpiony apetytem, a dym z płonącego papieru dodał frankfurterom nowego, egzotycznego posmaku. Ucztowali jak królowie, popijając kiełbaski rdzawą wodą z podstawionego pod pękniętą rurę wiadra. To się nazywa życie, pomyślał Bill, dmuchając na kolejną kiełbaskę. Pyszne jedzenie, znakomite trunki i doborowe towarzystwo. Co to jednak znaczy być wolnym człowiekiem!

Litvok i stary spali już smacznie na łożach z papieru, kiedy trzeci ze Zdeplanowanych, Schmutzig, przysunął się do Billa.

– Znalazłeś moją kartę identyfikacyjną? – zapytał ochrypłym szeptem i Bill domyślił się, że ten człowiek jest szalony. Płomienie migotały tajemniczo w pokrytych siatką pęknięć szkłach jego okularów, które kiedyś musiały być bardzo kosztowne, bowiem miały oprawki ze srebra. Spod potarganej brody Schmutziga wyglądały smutne resztki kołnierzyka i strzęp czegoś, co niegdyś mogło być eleganckim krawatem.

– Nie, nie widziałem twojej karty identyfikacyjnej – odparł Bill. – Szczerze mówiąc, to nie widziałem nawet swojej od chwili, kiedy zabrał mi ją pewien sierżant i potem zapomniał oddać. – Na to wspomnienie Billowi znowu zrobiło się żal samego siebie i poczuł w żołądku ołowiany ciężar niestrawnych

kiełbasek. Schmutzig, pogrążony w swojej własnej, o wiele bardziej interesującej obsesji, nie zwrócił na jego odpowiedź najmniejszej uwagi.

– Bo wiesz, ja jestem nie byle kto, Schmutzig von Dreck to ktoś, z kim trzeba się liczyć, jeszcze się o tym przekonają. Myślą, że im się uda, ale gdzie tam, nie mają szans. Pomyłka, mówią, mała pomyłka, zerwała się taśma w komputerze, a sklejając ją zalepili malutki fragment, na którym były akurat moje dane. Najpierw nie dostałem pensji, a kiedy poszedłem sprawdzić, co się stało, okazało się, że nikt nigdy o mnie nie słyszał. Guzik prawda, wszyscy musieli o mnie słyszeć, von Dreck to dobre, stare nazwisko. W wieku dwudziestu dwóch lat byłem już szefem eszelonu i miałem pod sobą 356 ludzi w Oddziale Spinaczy i Zszywek 89 Skrzydła Obsługi Biurowej. Nie wmówią mi, że o mnie nie słyszeli. Zostawiłem kartę identyfikacyjną w domu, a kiedy wróciłem, wszystkie moje rzeczy były już wyrzucone, bo, jak mi powiedzieli, mieszkanie nie może być zajmowane przez nie istniejącą osobę. Gdybym miał kartę, mógłbym im udowodnić, kim jestem. Znalazłeś ją może?

To tak, jak ze mną, pomyślał Bill, a na głos powiedział:

– To rzeczywiście przykre. Powiem ci, co zrobię – pomogę ci jej szukać. Pójdę teraz, o tam i zobaczę, czy przypadkiem gdzieś nie leży.

Zanim Schmutzig zdołał coś odpowiedzieć, Bill, dumny z siebie, że udało mu się przechytrzyć podstarzałego wariata, zniknął między stosami papierów. Czuł się przyjemnie napełniony, odczuwał zmęczenie i nie życzył sobie, żeby mu przeszkadzano. Potrzebował teraz niczym nie zakłóconego, całonocnego snu, by rano zorientować się w pogmatwanej sytuacji, może nawet znaleźć jakieś z niej wyjście. Posuwając się po omacku oddalił się znacznie od reszty Zdeplanowanych, po czym wdrapał się na potężny stos papierów, a z niego na następny, jeszcze wyższy. Westchnąwszy z ulgą zrobił sobie pod głową coś na kształt poduszki i zamknął oczy.

W tej samej chwili wysoko, na suficie zapłonęły światła i zewsząd rozległy się świdrujące, policyjne gwizdki i gardłowe, mrożące krew w żyłach, okrzyki:

– Łap go! Nie daj mu uciec!

– Mam drania, koniokrada!

– To był wasz ostatni skok, wy bezplanowe dranie! Już czekają na was kopalnie uranu!

A potem.

– Macie wszystkich?

Bill, wtulony w sterty druków i formularzy leżał bez ruchu, a serce łomotało mu ze strachu. Wreszcie padła odpowiedź.

– Tak, było czterech. Obserwowaliśmy ich od dłuższego czasu, aż wreszcie zdecydowali się na ten skok.

– Ale mamy tylko trzech...

– Widziałem wcześniej czwartego, sztywnego jak deska. Ciągnął go robot sanitarny.

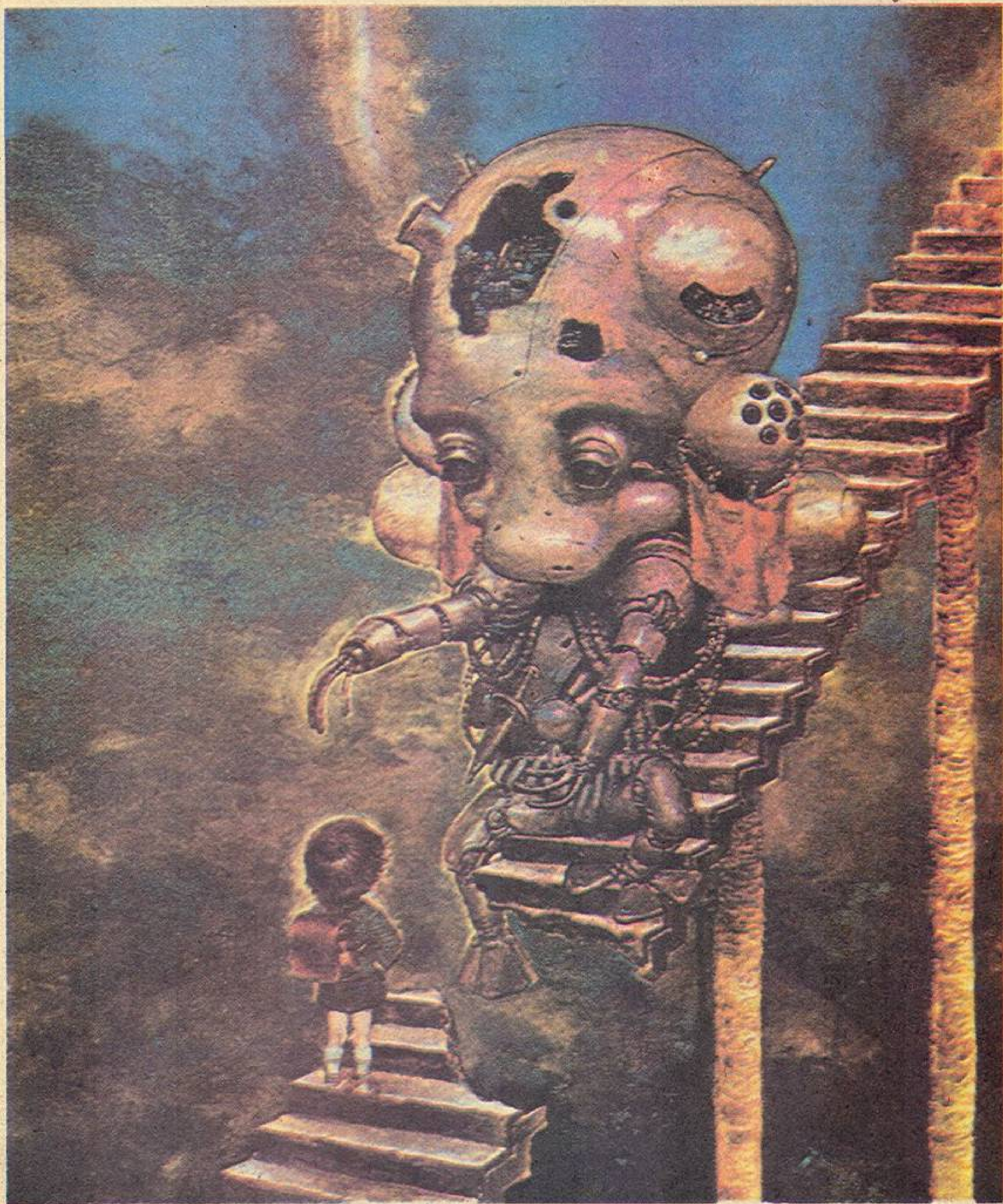
– Dobra, w takim razie idziemy.

Strach ponownie przeszedł Billowi ciarkami po grzbiecie. Ile czasu minie, zanim któryś z bandy zacznie gadać, próbując pomóc sobie informowaniem glin o tym, że dopiero co przyłączył się do nich ktoś nowy? Musiał się stąd wydostać. Wszyscy policjanci biorący udział w obławie zdawali się być teraz skupieni wokół zaimprowizowanej smażalni, więc jeśli miało mu się udać, to właśnie teraz. Zsunął się najciszej, jak umiał ze stosu papierów i zaczął pełznąć w przeciwnym, niż ognisko, kierunku. Jeżeli z tej strony nie ma wyjścia, to jest w potrzasku. Nie, nie wolno mu nawet tak myśleć! Za nim zaświergotały znowu gwizdki – nagonka już ruszyła. Strumień adrenaliny trafił do krwiobiegu Billa, końskie proteiny wzmocniły jego siły i wystartował jak rakieta, a jego stopy wybijały rytm bardzo zbliżony do galopu. Pojawiły się przed nim drzwi – rzucił się na nie całym ciężarem, przez chwilę trzymały, potem przerdzewiałe zawiasy ustąpiły i ze straceńczą odwagą spadał już raczej, niż biegł spiralnymi schodami, przez następne drzwi, na oślep, myśląc tylko o ucieczce.

Ponownie, gnany instynktem ściganego zwierzęcia, kierował się w dół. Nie zwrócił uwagi, że ściany były tutaj miejscami zupełnie przerdzewiałe, ani nie zastanowiło go, że jedne z drzwi, które musiał siłą otworzyć, wykonane były z drewna – drewno na planecie, która od dobrych stu tysięcy lat nie widziała najmarniejszego nawet drzewka! Powietrze było wilgotne, miejscami nawet stęchłe. Szedł kamiennym

KOMPLEKS HIOBA

Marek Oramus



Katoh Nao Yuki

pisze wiersze piszę wiersze udane pełne tego słodkiego miodu który nazywa się poezja na przykład te kawałki ostatnie co u licha nie pamiętam ani słowa płata mi figle moja pamięć zamyka się przede mną zatyka jak butelka szczególnie kiedy pilnie potrzebuję jej wsparcia przed oczami latają mi fragmenty które daremnie usiłuję połączyć a czasem odtyka się niespodziewanie o już złociste kwiecie pokryło łąki gil się rozśpiewał nad gajem ach kiedyż przyjdzie kres tej rozłąki kiedy łez wyschną ruczaje tytuł roboczy skarga pięknej pasterki poezja jest najprostszą rzeczą na świecie odkryłem jej kamień filozoficzny trzeba pisać tak żeby za każdym razem trafić prosto w serce a kiedy się spudłuje to przynajmniej w mózg druga zwrotka ty byłeś wtedy piękny i młody jam była jak gołębica dziś przeminęło szczęście i zgasły słońca naszego źrenice sam się wzruszam jak to słyszę czy przystoi poecie zachwycać się swoimi strofami sto procent poetów onanizuje się własnymi wierszydłami a pozostali kłamią potrzeba nowego kinseya który by to raz na zawsze udowodnił słońca naszego źrenice na razie nie mam nic więcej ale jutro wieczorem skoczę do przodu dołożę do tamtych równie dobre dwie godziny to kupa czasu od piątej do siódmej wyjąwszy te parę minut na

kolację myślałem już żeby czas na uprawianie poezji przesunąć na później ale to bez znaczenia kolacja wcale mnie nie rozprasza nawet dobrze się na chwilę oderwać wrócić na ziemski padół i poukładać w głowie cegiełki słów cegiełki słów o czym ja to aha opowiem tę historię samemu sobie chociaż ją niby znam ale literatura zwłaszcza wielka jest takim sobie opowiadaniem samemu sobie najpierw trzeba opowiedzieć sobie żeby potem opowiadać innym zawsze kiedy kładę czopuję łbem ten hełm jak gardziel potwora szklany kołpak podobny nieco do tych pod którymi kobiety trzymają głowy w zakładach fryzjerskich tylko mniejszy bardziej pękaty z wyraźnymi wybrzuszeniami na uszach tyle mi zostało po tamtym burzliwym okresie hełm przerobiony z wampira tak na to mówiliśmy a potem się przyjęło wymawianie wampir jak empire bardzo elegancko albo jak ampère nazwisko od którego wzięła nazwę jednostka natężenia prądu ampère andré marie no proszę czysta złośliwość teraz się popisuje a kiedy trzeba to za chiny dobra więc po krachu programu wszystkie wampiry przerobiono tak żeby ściągały tylko to co się myśli werbalnie i każdy dostał jeden tytułem rekompensaty pusty śmiech można zapisywać fonicznie albo na papierze ja wolę papier zawsze byłem wzrokowcem lubiłem mieć coś przed oczami na dłużej a głos i obraz ruchomy traktowałem podejrzliwie fiut przeleciało atawizm wiem irracjonalny nawyk trudności z adaptacją do cywilizacji nienadążanie wiem to wszystko mówili tam człowiek zostaje rozłożony na włókna wypreparowany i nic nie może się ukryć urządzenia rejestrujące są za ścianą w specjalnym dźwiękochłonnym pojemniku by hałas nie płoszył myśli zaczęło się chyba od ogłoszenia złożonego takimi kurduplami że nikt nie miał prawa zwrócić uwagi ja zwróciłem bo wyglądało jakby ktoś chciał coś ukryć co i po co zresztą późniejsze rozmowy potwierdziły moje przypuszczenia z jednej strony chcieli je zamieścić dla podkreślenia oficjalnego charakteru programu a także na wypadek wpadki proszę niczego nie ukrywaliśmy z drugiej pożądane było zachowanie tajemnicy tak się miotali między scyllą a charybdą w końcu kompromis dali kurduplami byłem jednym z trzech których zwerbowali w ten sposób reszta weszła kanałami pozaoficjalnymi osobiste rozmowy propozycje składane przez znajomych i znajomych znajomych którzy kompletnie nie orientowali się o co chodzi mówili tylko szmal duży szmal nawet najwięksi zapominają wtedy o zasadach nie należałem do kręgu objętego ich zainteresowaniem znalazłem się w takim punkcie życia i w takiej sytuacji kiedy wszelkie nitki łączące człowieka z przeszłością zostają zerwane nie miałem wobec nikogo zobowiązań i nikt nie miał ich wobec mnie puste ręce i głowa skończyło się wszystko pieniądze kontakty przyjaciele także pomysły ruchy robaczkowe wielkiego miasta spychały mnie powoli na śmietnik i wtedy ta gazeta wyciągnięta z kosza wyglądało jakby sam pan bóg podał mi rękę znak chciałem w to wierzyć z całych sił

Dopiero późnym popołudniem Langevin dotarł na miejsce. Wyciągnął z kieszeni gazetę i sprawdził adres, chociaż nauczył się go na pamięć, studiując ogłoszenie w pociągu. Celem jego podróży okazał się zwalisty, szarawy budynek, któremu szybko nadciągający zimowy zmierzch dodawał posępności. Ani jedno okno nie rozbłyskiwało światłem, ale przybysz uznał to za przypadek. Postał chwilę przed dość obskurną furtką, na której wisiała tabliczka z numerem i nazwą ulicy, po czym ruszył wzdłuż ogrodzenia sporządzonego z metalowych segmentów wypełnionych siatką. Nogi rozjeżdżały się na twardych lodowych skorupach.

Za najbliższym załomem dostrzegł kilka jasnych okien na tle muru i zawahał się: ogrodzenie ciągnęło się niestrudzenie, ginąc w perspektywie. Niczego, co można by wziąć za główne wejście, parking albo podjazd. Tylko senna uliczka, rząd nagich drzew, przyczajony przy krawężniku stary samochód; dalej, po drugiej stronie jakieś ogródki, a może tereny parkowe, teraz dokładnie przysypane śniegiem.

Kiedy powtórnie stanął przed furtką, było już prawie ciemno. Rozbłysły lampy mżąc mętnym światłem, ale budynek pozostał wyciszony i ciemny. Langevin nacisnął dzwonek. Nic się nie stało. Nacisnął jeszcze raz. Szarpnął nim dreszcz - robiło się zimno. O powrocie na dworzec i spędzeniu tam nocy wolał nie myśleć. Drobnych w kieszeni ponad wszelką wątpliwość nie wystarczy na bilet, co było najmniejszym zmartwieniem: plan na dzień dzisiejszy nie przewidywał możliwości odwrotu. Zresztą nie miał dokąd wracać. Ani do kogo.

zastanawiał się, czy nie powinien pójść w drugą stronę wzdłuż ogrodzenia; może zbyt pochopnie zawrócił poprzednio? Nigdy nie grzeszył konsekwencją, brał się za coś, natychmiast potem rzucał, szukał czegoś innego, znowu rzucał - właściwie całe jego dotychczasowe życie składało się z serii nieudanych podejść. Było to życie ludzkiej molekuły, potrącanej przez inne w ramach opisanego dawno przez fizykę zjawiska ruchów Browna. Ileż razy wydawało mu się, że zrywa z przeszłością, zamyka rozdział, wykonuje radykalne posunięcie, które wyrwie go z niskoenergetycznego sektora, ale mijały tygodnie, radykalizm wietrzał, sechł i zwyczajniał, i pewnego dnia stawało się jasne, że nie ma się co oszukiwać.

Rozmyślając tak nie zdejmował palca z dzwonka, na próżno usiłując zbudzić nachylonego nad nim ciemnego kolosa. Trwało to o wiele za długo. Człowiek musi się pogodzić, że pewne miejsca na zawsze pozostają niedostępne, jak szczyt Everestu. Że gramoląc się ku nim, ponawiając uparcie próby skazuje się co najwyżej na śmieszność - ot, żaba poskakująca ku księżycowej tarczy. Podobno są tacy co wierzą, że całe życie człowieka zostało z góry zaprogramowane, jak bieg pociągu. Gdyby jeszcze wiedzieć, które działania mieszczą się w przyznanym przez los paśmie, a które poza nie wykraczają, można by przynajmniej uniknąć upokorzeń i zbędnej szarpaniny.

Langevin stracił nadzieję na sforsowanie bramy. Tkwił przed nią po prostu dlatego, bo nie wiedział co począć. Ze stanu apatii wyrwał go gwałtowny łoskot: drzwi budynku odskoczyły, wychylił się spoza nich niewysoki mężczyzna i pokręciwszy głową, jakby kogoś szukał, zapytał z nie ukrywaną niechęcią:

- Pan do kogo?

- Z ogłoszenia - powiedział Langevin i pomachał gazetą. Przeczytałem, że ktoś poszukuje...

- Nie dawałem żadnego ogłoszenia - przerwał mu opryskliwie tamten. - Pan się pomylił. Niech pan lepiej stąd idzie.

Drzwi trzasnęły, gasząc plamę światła na śniegu i Langevin znowu został sam. Bezmyślnym ruchem nacisnął guzik. Było mu dokładnie wszystko jedno.

I wtedy spostrzegł, że solidne skrzydło bramy się uchyliło. Momentalnie znalazł się u drzwi, które również ustąpiły. Za nimi był krótki korytarz, przechodzący w obszerny hol, a właściwie studnię otoczoną z trzech stron schodami. Światło zalewało tylko część parterową; co się mieściło wyżej, można było jedynie domniemywać. Potężne cielsko gmachu wytłumiało wszelkie odgłosy i Langevin, który spodziewał się, że jego wtargnięcie wywoła incydent, stanął zaskoczony.

- Witam pana - powiedział z tyłu ostry głos bez śladu emocji - skoro pan już wszedł.

Mężczyzna był wysoki, w czarnym swetrze, gładko ogolony; z całą pewnością nie ten, który usiłował go spławić.

- Drzwi były otwarte - wybąkał Langevin. - Przepraszam... ja z ogłoszenia.

Wydało mu się, że mężczyzna wykonał niechętny ruch, płynnie zamieniony w gest zaproszenia. Rozsiedli się w niewielkim gabinecie. Fotel był jedną wielką poduchą i Langevin zapadł się weń z rozkoszą.

- Zatem słucham pana - powiedział mężczyzna.

- Jestem malarzem, moje nazwisko Langevin - odczekał chwilę w bzdurnej nadziei, że tamten może słyszał o nim, ale twarz mężczyzny pozostała nieprzenikniona. - Zobaczyłem w „Mondzie" ogłoszenie, które mnie zainteresowało... wsiadłem w pociąg i przyjechałem. To wszystko.

- Mógłbym rzucić okiem? - Mężczyzna nachylił się nad biurkiem i Langevin podał mu gazetę. Przyglądał się czytającemu, który poświęcił ogłoszeniu nie więcej niż kilka sekund, potem przerzucał płachty papieru, aż trafił na kolumnę sportową, wreszcie obejrzał całość jak fenomen z innego świata i zwrócił właścicielowi.

- Potrzebujemy malarzy - przyznał niechętnie - ale dobrych malarzy. Najlepiej uznanych, panie Langepiv...

- Langevin.

- Langevin. Poza tym dochodzą dodatkowe warunki, z różnych względów nie nadające się do opublikowania w tego typu ogłoszeniu. Szanse mają wyłącznie osoby samotne i gotowe poświęcić cały swój czas. Innymi słowy utrzymywanie jakichkolwiek kontaktów ze światem zewnętrznym staje się od tej chwili wykluczone. Jest pan gotów do takich wyrzeczeń?

Langevin z ociąganiem skinął głową.

- Decydując się na współpracę z nami podpisze pan oświadczenie... rzecz jasna nie teraz, na to zawsze znajdzie się czas. Najpierw musimy określić pańską przydatność do naszych badań, sprawdzić, czy spełnia pan nasze wymagania... a i pan powinien się zorientować, czy odpowiada panu choćby nasze towarzystwo. Podpisując umowę - od tego momentu nie ma odwrotu - podporządkowuje się pan reżimowi badań, nie zadaje pytań,

szybko i dokładnie wykonuje polecenia, nawet gdyby wiązało się to z pokonaniem wewnętrznych oporów.

W głosie mężczyzny dźwięczała jakby zawodowa rutyna; Langevin pomyślał, do ilu kandydatów wygłosił wcześniej tę kwestię.

– Zaczniemy od zbadania jakości i rodzaju pańskiego talentu. Mam nadzieję, że przywiózł pan ze sobą trochę próbek?

Langevin bez słowa wyjął z kieszeni trzy walcowate pojemniki z aluminium, zasklepione czarnymi pokrywkami. Mężczyzna wziął jeden, wytrząsnął ze środka film na otwartą dłoń, wsunął z powrotem i założył pokrywkę.

– W porządku – powiedział – na początek wystarczy. Ma pan jakieś pytania?

– Chciałbym poznać cel badań, a także nazwę organizacji, która je prowadzi i finansuje. Chyba że to tajemnica...

– Nie, skądże – odparł mężczyzna spokojnie. – Działamy całkowicie oficjalnie; badania dotyczą fenomenu przeżycia artystycznego. Nie mają żadnego praktycznego – poza poznaniem – celu. Prowadzi je specjalnie do tego celu powołana fundacja. Program badań został zatwierdzony i będzie nadzorowany przez czynniki rządowe, do tego stopnia – uśmiechnął się – że część finansów zapewnia Ministerstwo Kultury. Coś jeszcze? W takim razie zostanie pan zakwaterowany, a od jutra zaczniemy na ostro. – Podniósł się z fotela i Langevin z niechęcią uczynił to samo. – Tu jest klucz od pokoju, w którym pan chwilowo zamieszka. Wyjedzie pan windą na piąte piętro, a dalej według tego planu – wcisnął mu klucz i poskładany w kostkę karteluszek. – Proszę dobrze wypocząć i rozważyć wnikliwie to, co pan ode mnie usłyszał. Do widzenia.

– Zjadłbym coś – odważył się pisnąć Langevin.

– W pokoju znajdzie pan wszystko co potrzeba.

– Jeszcze jedno pytanie, naprawdę ostatnie – Langevin postanowił iść za ciosem. – Czemu służy ta skomplikowana procedura wejścia?

– Niczemu – wzruszył ramionami mężczyzna. – Po prostu nie miał kto pana wpuścić.

pocałunek wampira ta mechaniczna zwinność z jaką przywierał obłym ryjem do wygolonej czaszki prawie uczucie już zanim zobaczyłem ten zabieg z zewnątrz wyobrażałem sobie że musi być w nim coś rybiego piłeczka pingpongowa w pysku minoga albo węgorza do niej doczepiona cała reszta pajacykowatego ciała boli jak cholera dziś w czasie przeznaczonym na rzeźbę zająłem się wreszcie metalem wczoraj przywieźli półciężarówkę odpadów i aparat do spawania pora rzeźby trwa od ósmej do dziesiątej trzydzieści po śniadaniu jestem najsilniejszy te pół godziny musiałem dodać ze względu na pracochłonność specyfikę opór tworzywa z reguły przy wypalaniu gliny przy kuciu kamienia zaczepiałem o następne zajęcia cierpiała na tym kompozycja działania teatralne film ćwiczenia głosowe bardzo wypełniony jest mój każdy dzień program napięty jak u największych gwiazd czy mężów stanu gdyby chciał obsłużyć wszystko chyba bym musiał nie spać a gdzie fotografia malarstwo koncertowanie piosenka musiałbym się chyba rozerwać w ten sposób własna niedoskonałość i ograniczenia fizyczne wymusiły na mnie rezygnację z wielu ciekawie rysujących się planów boli psiakrew wziąłem się za ten metal próbowałem coś sklecić według sporządzonego wcześniej szkicu opornie to szło niektóre kawałki miały chyba po sto kilo zmachałem się nieprzytomnie do pomocy nikt się nie znajdzie każdy swoją rzepkę skrobie no i wśród tych tytanicznych zmagań z kawałami blach palnikiem szkicami przejechałem ręką po wyszczerbionej jak piła krawędzi bluznęła krew patrzyłem jak urzeczony świeże doświadczenie które wkrótce zaowocuje artystycznie jest coś fascynującego w tak prostackim naruszeniu fizycznej struktury organizmu zanim zacząłem wzywać pomocy upływ krwi porządnie mnie osłabił musiałem usiąść potem tamowanie dezynfekcja opatrunki ściszone pokrzykiwania do tej pory jestem przesiąknięty szpitalnym zapachem ręka drętwieje rzeźbie trzeba będzie dać spokój na dłużej szkoda a i potem ograniczyć się do gliny może jeszcze drewna wezmę się natychmiast za dramat który bardzo ucierpiał wskutek niesystematyczności ale wracajmy do langevina popatrz ile rozbiegówki idzie na marne nim człowiek wpadnie myślą we właściwy rowek plan obejmował jedynie część piętra rysunek naniesiono techniką kserograficzną i chyba skopiowano z komputera znalazłem w tym potwierdzenie domysłu że uczestniczę w standardowej obróbce w procesie obejmującym już taką liczbę elementów że opłacały się pewne zabiegi automatyzujące internat dla artystów myślałem chcąc określić fenomen przeżycia artystycznego czyli coś co nigdy określić się nie da było cicho i ciemno jak przed atakiem lotniczym za cicho jak na artystów widział kto zachowującą się statecznie bohemę gmaszysko ciemne krepe solidne szedłem pustymi korytarzami jak więzień labiryntu na drzwiach widniały owalne numery i odcinały się ciemniejsze prostokąty jak po zdjętych tabliczkach po drodze spotkałem tylko jednego człowieka mężczyznę próbowałem zagadać lecz wyminął mnie obojętnie kiedy się dało wyglądałem przez okna korytarz biegł chyba wzdłuż studni wewnętrznej budynku raz dostrzegłem na dole światła i chyba jakieś cienie sam pokój wywarł pozytywne wrażenie choć wysoko prawie pod sufitem położone okno przywodziło na myśl celę łóżko ze świeżą pościelą łazienka z prysznicem lodówka półki szaf pełne albumów zagruntowane blejtramy różnych formatów oparte o ścianę szkicowniki węgiel komplety farb rembrandta i rowneya pędzle wolfa sztalugi prasa do grafik ostrza rytownicze płyty miedziane i z tworzywa werniks jednym słowem wszystko aparat fotograficzny dobrej klasy filmy katalogi liter rzutnik kopiarka aerozole wszystko wszystko nigdy nie miałem do dyspozycji takiego bogactwa artycha najpierw rzuciłem się do lodówki bo rozsądne myślenie o sztuce zaczyna się dopiero po rozepchaniu żołądka szynką konserwową ach jak szynka wspaniale poszerza horyzonty muszę kiedyś poświęcić jej obraz albo odę choć czasami zwęża potem wziąłem but elkę koniaku do łóżka nikt mnie nie wzywał nie przeszkadzał nie interesował się moim losem zrobiło się bardzo późno zmęczenie plus alkohol po prostu obaliłem się w tył w nocy zacząłem na leżąco ściągać ubranie drażnił mnie gorąc męczyło pragnienie śniło mi się że wypijam wiadra zimnej kryształowej wody a potem jeszcze mleko z butelki ukradzionej rano sprzed sklepu tyle razy to robiłem jakże wspaniale gasiły moje małe pożary wstałem i po omacku nażłopałem się do syta prosto z kranu zasypiałem ponownie gdy zamkniętą wewnątrz murów przestrzenią targnął potworny wrzask zwierzęcy ryk przechodzący w wycie potem dociekałem co w nim tak mną wstrząsnęło bezwzględny autentyzm radykalne odłączenie od kultury tych głupich ośmiuset tysięcy czy miliona lat ludzkości tak wyje ciało odmóżdżane przez za mocno wyregulowanego wampira wtedy tego oczywiście nie wiedziałem czułem tylko zimną rosę na czole i ciarki łażące stanowczym wahadłowym ruchem po plecach bałem się poruszyć wstrzymałem oddech choć krzyk dawno umilkł modliłem się o wiarę w halucynację i nagle zrobiło się okropnie zimno drżałem pod kołdrą nie śmiąc wykonać gwałtowniejszego ruchu ani zapalić światła byle tylko grasujący wewnątrz gmachu potwór nie dowiedział się o mojej obecności do rana nie zmrużyłem oka nic nie zrobiłem nic

Mężczyzna przedstawił się jako Vreutt; odwiedzał kajutę Langevina po raz pierwszy. Podobnie jak jego poprzednicy odziany był na czarno: sweter, spodnie, ciemna koszula. Zarejestrował przelotnym spojrzeniem panujący wszędzie nieład, zapytał gdzie może usiąść i zaraz zajął miejsce. Niczego nie żądał, a jednak było w jego postawie coś, co kazało Langevinowi przerwać pracę nad kolejnym bohomazem, wytrzeć ręce o fartuch i usadowić się naprzeciwko. Twarz Vreutta nie wyrażała zdecydowanej chęci nawiązania rozmowy, siedział nie patrząc na gospodarza, jakby pędząc gdzieś na łeb, na szyję postanowił rozważyć pewien pomysł, więc zatrzymał się w pierwszym lepszym miejscu, które gwarantowało trochę spokoju.

Langevin zapytał, czy napije się herbaty. Odmówił, lecz propozycja sprowadziła go na ziemię. Powtórzył kilka razy nazwisko jakby przeszukiwał pamięć.

– No i jak się panu żyje między nami? – zagadnął. – Zdaje się, że nie jest pan przesadnie towarzyski?

– Pracuję – odparł skromnie Langevin. – Pana poprzednicy za każdym razem zachęcali mnie do systematycznego malowania.

– Tylko tyle potrafią – mruknął Vreutt. – Toteż maluje pan... – trudno było się zorientować, czy kpi, czy tylko stwierdza fakt. Sięgnął ręką w bok, gdzie przy ścianie stały zawerniksowane formaty, odchylił je i puszczał po jednemu słuchając ich suchego grzechotu. – Całymi dniami przesiaduje pan w czterech ścianach, nigdzie nie wychodzi, nawet w stołówce rzadko się pan pojawia...

– Skąd pan to wszystko wie? – spytał Langevin cicho. – Nie wychodzę, bo nie mam ochoty. Ludzi i świata mam chwilowo powyżej uszu. Co pan widzi zdrożnego w tym, że jestem odludkiem albo że korzystam z każdej okazji do pracy? Nie ma chyba obowiązku żyć tak a nie inaczej, w każdym razie umowa tego nie precyzuje.

– Oczywiście, panie Langevin, oczywiście. Wydało mi się tylko dziwne, że człowiek o wyraźnych zamiłowaniach artystycznych nie tęskni za otwartą przestrzenią, nie poszukuje nowych źródeł inspiracji... choćby przez kontakt z innymi ludźmi. Odkąd pan tu zamieszkał, nie próbował nawiązać żadnych znajomości... nawet wysłać listu.

– Są dwa rodzaje pacykarzy – powiedział Langevin. – Jedni malują świat, który widzą wokół siebie, drudzy zaś ten, który noszą w sobie. Do tych ostatnich należę. Nie potrzebuję ładować się codziennie jak bateryjka, pomysły dojrzewają we mnie stopniowo bądź wynikają same, zresztą to bez znaczenia. Moją gospodarkę pomysłami – zależną może od wieku, może od kondycji psychicznej – cechuje, a raczej cechował stały nadmiar. Po raz pierwszy mam okazję „wymalować się" bez obawy, że zabraknie mi materiałów. Nie zaskoczę pana wyznaniem, że dotychczas działałem bez tego luksusu.

– Tak, tak – kiwnął głową Vreutt, a wyraz jego twarzy świadczył, że znowu uciekł myślami gdzieś daleko. Wstał nagle. – Będę leciał. Miło słyszeć, że dobrze się pan u nas czuje, że niczego panu nie brak. Może coś pana gnębi, chce pan o coś zapytać?

Langevin zaprzeczył niezdecydowanym ruchem głowy.

– Hm, w takim razie do widzenia. Niech pan maluje. Będę tu czasem zaglądał do pana. – Od drzwi odwrócił się jeszcze.

– Charakterystyki encefalograficzne zdjęte? Próby z kondensatorem hełmowym przebył pan pomyślnie?

Stuknęły drzwi. Dziwna wizyta. Poprzednie zawsze miały konkretny cel, który ujawniano mu natychmiast bądź z niewielkim opóźnieniem. Próbował wrócić do sztalug, ale robota nie szła. Wymył pędzle i próbował się zastanowić. Jedno udało się Vreuttowi podczas tych kilkunastu minut: podważyć jego niezachwianą pewność, że chwilowo znajduje się na swoim miejscu i robi co do niego należy.

dom starców luksusowo wyposażony ekskluzywny około trzydziestu pensjonariuszy którym bogate rodziny opłacają pobyt nie żałują forsy byle tylko nie znosić obecności tych ludzkich relików bywa że myślę jakim prawem na mocy jakiego zarządzenia znalazłem się między nimi skoro nie łączy nas nic oprócz wyglądu kiedy indziej zamykam się i stoję długo przed lustrem badam każdy szczegół nie mojej twarzy zaglądam w nie moje oczy dotykam nie moimi rękami siwych wiechciów na głowie ja i nie ja potem zdejmuję ubranie staję przed lustrem nagi i porównuję całkiem młode ciało z dolepioną jak na ironię twarzą muskam palcami skórę na piersiach i barkach jest gładka mięśnie nie zwiotczałe wiem dobrze pozór kostium gumowa lalka z której uszło powietrze nie ma we mnie wigoru bożej iskry wprawdzie ciało ochocze lecz duch mdły jak cholera zdumiewające ile zaskakującej urody zawierają prościutkie inwersje kiedy tak stoję wzbiera we mnie poczucie krzywdy ciało trzeba porzucić machnąć na nie ręką walczyć o ocalenie ducha jakże chciałbym upodobnić się całkowicie do tych żywych mumii snujących się bez celu po ogrodach mających morze czasu przywalonych czasem oni też przeżywają swoje tragedie minęły jasne dni cień ogarnął ich głowy do końca wędrówki pozostała policzona ilość kroków nigdy już nie doznają tego wspaniałego uczucia że świat stoi otworem czeka na zdobywców moja obecność wydaje się dla nich prawdziwym dobrodziejstwem trzeba było widzieć te rumieńce na bladych licach namiastki ekscytacji kiedy w zeszłym tygodniu kręciłem film zabójstwo w księgarni musiałem temperować niektórych bo grali w przerysowany sposób ile radości na planie a podczas pokazu coraz częściej myślę że to nie są przypadkowi starcy i staruszki dociekam ukrytego związku między nami kto wie gdyby nie musieli wcielić się w przeszłości w radców handlowych sekretarki dentystów może bez wyjątku poświęciliby się sztuce ale myliłem się sądząc że jestem wśród nich rodzynkiem wczoraj zaczepił mnie hans chyba nowy przedtem go nie widziałem oznajmił że przygotowuje spektakl hamleta widzi mnie w głównej roli pan tak młodo wygląda powiedział będzie pan pasował do tej postaci naturalnie wyraziłem zgodę choć początkowo trochę zirytowało mnie że dałem się uprzedzić z drugiej strony trzeba coś zostawić dla innych jeden człowiek nie podoła wszystkiemu ta propozycja uświadomiła mi jak mało o nich wiem pewnie ich krzywdę biorąc za niegodny wnikliwszego zainteresowania motłoch mnie nadal niczego nie brakuje i każda moja zachcianka jest natychmiast spełniana kiedyś spytałem pannę peltier z obsługi kto opłaca te moje fanaberie wydęła śliczne usta pan sam płaci za siebie wyrecytowała jest pan bogaty pańskie obrazy zapewniły panu fortunę musiałem jej przerwać nudzi mnie powtarzanie tego samego w kółko jakbym nie był niczym więcej tylko pacykarzem nic nie znaczył obecnie tylko ciągle musiał żyć przeszłą chwałą starałem się wytłumaczyć jej to oczywiście nie zrozumiała reagując przeprosinami nie wie że prawdziwego artysty nie sposób obrazić można kwestionować jego sztukę poglądy artystyczne dobór form wyrazu lecz przecież tylko mimozy niszczy cyklon krytyki dęby stoją prosto

Jechali windą z samego dołu, gdzie mieściły się magazyny sprzętu, stłoczeni na niewielkiej powierzchni. Langevin z konieczności rejestrował szczegóły ich stroju i bodaj po raz pierwszy uświadomił sobie, że ubierają się na tę samą modłę. W doborze poszczególnych części garderoby znać było cechy indywidualności, a jednak zawsze były to swetry, spodnie i koszule, czarne bądź w ciemnej tonacji, z którą kontrastowały gładko wygolone grdyki. Jazda na dach trwała nie dłużej niż pół minuty; tam laboranci wytaszczyli dwie kanciaste skrzynie, załadowali do helikoptera, a potem zbliżyli się do Vreutta i Langevina, oczekując dalszych poleceń. W słońcu ich swetry okazały się o wiele tonów jaśniejsze od Vreuttowego.

Langevin przymknął powieki, wystawiając twarz na niecierpliwe podmuchy wiatru. Odkąd tu trafił, po raz pierwszy znajdował się na zewnątrz budynku. Maszyna, pomalowana na srebrzysty kolor, bardzo przeszklona, stała na betonowej płycie, pilot już siedział w środku. Pióra śmigła nad kabiną przypominały pierzaste liście palm; drżały lekko, jakby z niecierpliwości, kiedy zostaną wprawione w ruch.

– Musimy panu zawiązać opaską oczy – powiedział niespodziewanie Vreutt. – Przykro mi, ale to konieczne. Nie ma pan chyba nic przeciwko temu?

– Mam – stwierdził Langevin – ale to bez znaczenia. – Jeden z laborantów już wiązał mu na głowie granatową szmatkę o dziwnym zapachu. – Dzisiaj bawimy się w egzekucję?

– Ależ co pan – prychnął Vreutt. – Chodzi po prostu o spotęgowanie wrażenia, gdy przylecimy na miejsce. Chcę panu coś pokazać.

Nie lecieli długo. Śmigło buczało w górze, maszyna rwała do przodu, Vreutt z pilotem wymieniali zdawkowe uwagi. Langevin z braku lepszego zajęcia żałował, że nie przyjrzał się dokładniej strojowi pilota. Z jakiegoś powodu ta kwestia wydała mu się ważna.

Z lądowaniem maszyny były jakieś kłopoty. Po wysadzeniu z kabiny Langevin oczekiwał natychmiastowego uwolnienia od opaski, ale Vreutt z pilotem większe znaczenie przywiązywali do skrzyń ze sprzętem – sądząc po odgłosach. Słyszał metaliczne szczęknięcia, dzwonienie o siebie aluminiowych rurek i prętów. Wiatr zyskał na gwałtowności, powietrze wydawało się zimniejsze i ostre. Szczególnie dawało się we znaki wygolonej do czysta głowie Langevina.

– Teraz zajmiemy się panem – usłyszał Vreutta. – Uwaga – poczuł śliskie dotknięcie wampira, chwiejne ruchy pasowały czujniki na właściwe miejsca. Rozwiązanie opaski stało się przy tym konieczne, pilot musiał ją trzymać na oczach Langevina. – Uwaga – powiedział jeszcze raz Vreutt, a Langevin mimo woli roześmiał się z tych skomplikowanych przygotowań. Szok spowodowany włączeniem wampira przemienił ten uśmiech niemal w skowyt. Po chwili ból minął; pozostało nieprzyjemne wrażenie przezroczystej kurtyny we wnętrzu głowy. Opadł na podsunięte krzesełko i równocześnie opaska zsunęła się z jego twarzy.

Wylądowali na szerokiej skalnej półce. Wokół wznosiły się ośnieżone szczyty, wspaniale uformowane i oświetlone płaszczyzny. Hojnie, bez kunktatorstwa poszczerbiona linia horyzontu przywodziła na myśl grzbiety gigantycznego smoka, który polubił wylegiwać się w tym miejscu, z pyskiem wspartym gdzieś u ujścia nizinnych rzek. Tam, gdzie skaliste zwały przesłaniała mgła, piękno zyskiwało ponury stygmat. Langevin pomyślał o monumentalności materii, tak oczywistej w górach i tak trudnej do zauważenia u ich dalekich krewnych – polnych kamieni.

– Jeżeli pan chce, może pan tu malować – powiedział Vreutt odrywając się od wskaźników. Na ustawionym pulpicie kontrolnym przeskakiwały cyferki, pląsały węże krzywych. Langevin przyglądał się górom.

– Możemy tu przyjeżdżać codziennie, jeśli tylko wyrazi pan życzenie – usłyszał znowu stłumiony przez wampira głos Vreutta. Ze zdumieniem uchwycił w nim ton przymilności. Odwrócił się w krzesełku i spojrzał naukowcowi prosto w oczy. Tamten nachylił się, nacisnął coś na pulpicie, ucisk na skronie Langevina zelżał. Wampir odkleił się – martwy kołpak z pióropuszem przewodów. Langevin zdjął go i ostrożnie złożył na krzesełku.

– Proszę spojrzeć tam – Vreutt trzymał go za łokieć wskazując grupy skał niczym nie wyróżniające się wśród innych. Langevin odwracał się zgodnie z jego sugestią, widoki z pewnością były niecodzienne, zwłaszcza dla kogoś, kto od lat nie wychylił nosa poza miejskie mury, ale natarczywość i jednocześnie przymilność Vreutta, których dotąd nie objawiał, oziębiała reakcje malarza bardziej niż sam by tego pragnął.

– Panie Vreutt – znowu spojrzał mu w twarz – po co pan mnie tu przywiózł?

Vreutt zignorował pytanie. – Teraz niech pan spojrzy w dół – polecił. – Tam, na nizinach, które przesłania mgła, a także za tymi grzbietami, jest kraj. Tętnią miasta, roją się ludzie. Wszystko to może stać się pańską własnością...

Langevin wytrzeszczył na niego oczy.

– Nie wierzy pan? Człowiek oddany sztuce bez reszty, genialny artysta, jest w stanie mocą swych dzieł zhołdować cały świat. Władza dana artyście, to właściwie jedyna dopuszczalna forma dominacji człowieka nad światem. Już uczony podobnego kalibru znajduje się w dużo gorszej sytuacji, a polityk – szkoda gadać. – Odwrócił się do pilota i zakomunikował: – Panie Motard, wracamy.

Droga powrotna minęła niemal w całkowitym milczeniu. Langevin odnotował jedynie, że pilot nosi srebrzystą kurtkę, jakby pragnął dopasować się do swojej maszyny. Kiedy jednak zwrócił się w stronę Langevina dla wygłoszenia jakiejś uwagi, pod gładko ogoloną szyją mignął ciemny kołnierzyk flanelowej koszuli.

najgorsze są noce te sny nieludzkie próżno by opisywać słowami mniej więcej raz na tydzień zdarza się noc walpurgi muszę wtedy odebrać co swoje po takiej młocce przyznaję sobie wolny dzień na odzyskanie równowagi chodzę tylko i pytam czy jeszcze jestem człowiekiem z tego że mam dwie nogi głowę parę rąk niewiele wynika skoro w środku ktoś sprytnie podmienił instalację może tylko zamienił niektóre połączenia albo wprowadził domieszki elektronika sprowadza się do domieszek a wywróciła do góry nogami świat czymże jest narkomania jeśli nie domieszkowaniem organizmu cała nasza cywilizacja jest cywilizacją domieszek podobnie kultura wszystko już dawno zostało powiedziane a rozmaici faceci wtrącając swoje trzy grosze usiłują nadać temu nowe znaczenie wiek tępoty ślepoty biegania w kółko odkrywania coraz to nowych śmiercionośnych zabawek nauka tylko mnoży kłopoty technika morduje życie niemal bezpośrednio sztuka nie oferuje żadnego cudownego antidotum nawet pociechy dziś w godzinach przeznaczonych na grafikę wykonałem taki rysunek dwóch obdartusów o zakazanych mordach przekopuje jakieś zgliszcza z zarysów tego co ocalało można wnosić o wspaniałości budowli nim uległa zniszczeniu obaj usmoleni wysmarowani jak nieboskie stworzenia jeden mówi do drugiego patrz tyle popiołu a diamentu ani śladu niezła satyra na literaturę w tym kraju na tę pozorację literatury skrzętne ukrywanie najistotniejszych problemów zalepianie ludziom oczu kitem tak podłej jakości że odpada przed upływem godziny wysłać ten rysunek czy schować do teczki jak inne na pewno nie wydrukują tu każda niebanalna myśl budzi trwogę i posądzenie o sypanie piasku w tryby te które wysłałem w zeszłym miesiącu wpadły jak kamień w wodę miałbym cynk z biura wycinków za to nadeszły pierwsze recenzje święta śmiechu seria reportaży sądowych z fikcyjnych rozpraw tego jeszcze w literaturze nie było napisałem w godzinach przeznaczonych na prozę wydał gallimard w pięciu tysiącach kolorowa obwoluta dobry papier czego chcieć więcej podobno była dyskusja na piątym programie jak zwykle przegapiłem ale panna peltier ta o pięknych ustach nagrała ją dla mnie na wideo ma także ładne oczy bardzo smutne wszystkowiedzące sprawia wrażenie znającej najskrytsze moje tajemnice recenzje nijakie ani jedna nie zatrąca o sedno sztuka dzisiejsza napiętnowana jest przekleństwem komercjalizacji nikogo nie stać na niezależność bo ceną jest milczenie ja jestem ostatni będę trwał na posterunku dyktując magnetofonom pisząc rysując waląc w klawisze i kując kamienne bryły na przemian przyszłość doceni me wysiłki moją pozycję genialnego wieloboisty nie przypadkiem w lekkoatletyce za króla konkurencji uchodzi dziesięciobój fraszka coś wskórać w jednej dziedzinie spróbujcie wszystkich zobaczycie co po was zostanie rozpoczęliśmy próby ruchowe hamleta przypadkiem dotknąłem ciała staruszki która gra ofelię piersi ma jak młoda dziewczyna rozmyślałem nad tym fenomenem do późna czasem zdarza mi się zasnąć z wampirem na głowie bywa że celowo wampir nieco łagodzi koszmar który przetacza się wewnątrz mej czaszki budzę się z ostrym bólem rozpalony szklany gar promieniuje gorącem wysuwam się z niego z uczuciem jak po stosunku seksualnym jakbym odłączał część samego siebie teraz wiem co czuje rakieta odpalająca zużyty człon może zaprosić ofelię do pokoju rozebrać dokładnie obejrzeć ale uwodziciel ciekawe jakby zareagowała i kiedy to zrobić w godzinach przeznaczonych na balet na poezję na dramat dramat nie dosyć już ucierpiał pozazdrościłem jednak hansowi inscenizacji od kilku wieczorów dyktuję ile wlezie

Wszystkie szczegóły wskazują, że znajdujemy się w pracowni Langevina. W centralnym punkcie sceny sztalugi, na nich blejtram usytuowany tak, że nie widać co akurat zajmuje artystę. On sam, pochylony nad płótnem, z wielkim zaangażowaniem nanosi farbę drobnymi przyłożeniami pędzla. Wszędzie wiszą gotowe obrazy. Wchodzi Vreutt, Langevin na jego widok przestaje malować.

Vreutt: Dzień dobry, panie Langevin. Znowu pan pracuje?

Langevin: Jak pan widzi.

Vreutt: Mogę usiąść tutaj? (siada) Dziś wpadłem na dłużej o ile nie ma pan nic przeciwko temu.

Langevin: Skądże. Herbaty?

Vreutt: Dziękuję. Panie Langevin, przejdźmy od razu do sedna sprawy. Od pewnego czasu pracuje pan bardzo intensywnie. Przyznaję, że sumiennie wykonuje pan wszystkie polecenia i zgodnie z postanowieniami umowy, uczestniczy w programie naszych badań. Dzisiaj nadeszła pora, aby podsumować pański udział i zastanowić się co dalej.

Langevin: Słucham.

Vreutt: Oględnie mówiąc nie mam dla pana najlepszych wiadomości.

Langevin: Nie musi pan dobierać słów, żeby mnie nie urazić. Jestem człowiekiem, z którym życie nie pieściło się przesadnie i który rzadko miał fart. Nigdy nie zdarzyło mi się wygrać na loterii, nawet najdrobniejszej sumy. Kiedy spotyka mnie radosna niespodzianka, reaguję podejrzliwie, węsząc kryjące się za nią zagrożenie. Przywykłem traktować pech jako normę. Poza tym wydaje mi się, że jestem mężczyzną. Wal pan.

Vreutt: Ta bestia życie nieźle pana skrzywiła. Hm, w pewnym sensie tresura, którą pan przeszedł, jest udziałem każdego z nas. Może to i pomoże w naszych ustaleniach. Panie Langevin, przebadaliśmy wszechstronnie zarówno dostarczone przez pana filmy, jak i prace, które wykonywał pan tutaj. Na tyle, na ile to możliwe, usiłowaliśmy wejrzeć w pańską osobowość artystyczną, obserwować zjawiska towarzyszące rodzeniu się pańskich dzieł. Technika tego podglądania jest ciągle mało doskonała, czasem nie sposób rozstrzygnąć jednoznacznie, jaki czynnik odpowiedzialny jest za ten czy inny przebieg. Sam pan tego nie wie, dlaczego my, intruzi z zewnątrz, mielibyśmy być lepsi? A jednak pewne rzeczy udało się określić z zadowalającą pewnością. Pański talent oszacowaliśmy jako pospolity; nie będzie z pana naprawdę wielkiego malarza na miarę choćby Mondriana, Utrilla czy Toulouse-Lautreca. Niewykluczone, że pańskie prace zyskają w przyszłości uznanie na rynku, będą cieszyć się wzięciem; może pan zdoła doprowadzić wśród kolekcjonerów do snobizmu na nie – fluktuacje popularności to w końcu królestwo irracjonalizmu – ale nigdy nie będzie panu wolno twierdzić z czystym sumieniem, że są rozchwytywane dla ich rzeczywistej wartości. Prognoza ta nie należy do rodzaju samospełniających się, pewne skoki jakościowe, których nikt nie jest w stanie przewidzieć, mogą spowodować jej unieważnienie. Z dnia na dzień może pan przecież zmienić sposób malowania, myślenia artystycznego, zacząć inaczej patrzeć na świat... Jednak dla osoby, którą jest pan obecnie, przy obecnym stanie naszej wiedzy o niej, diagnoza brzmi tak, a nie inaczej.

Langevin (po krótkiej przerwie): Rozumiem. Będę z panem szczery, bo niby czemu nie – spodziewałem się tego. Od kiedy wydało mi się, że wykryłem u siebie pewne uzdolnienia plastyczne, zajmowałem się wytyczaniem ich granic oraz kreśleniem ich jakości, mówiąc górnie. Dotarło do mnie, że dysponuję dość pośrednim towarem, ale zdarzały się momenty uniesienia, które likwidowały zwątpienie i dodawały otuchy. I tak to trwało. Płynęły lata, wprawiałem się w rzemiośle, przybywało prac, do wątpliwości zdołałem się przyzwyczaić – zresztą marny ten artysta, który nie wątpi. Tragizm mojej sytuacji polegał na tym, że jak ów malarz mogłem jedynie wołać: **„Boże, dałeś mi talent – ale mały!"**, lecz nie wyrzec się malarstwa, ponieważ nie miałem na jego miejsce nic innego. A człowiek o mojej konstrukcji musi pielęgnować coś na kształt iluzji, która by mu pozwoliła żywić przekonanie o własnej wyjątkowości.

Vreutt: Zechce pan ścierpieć pewien komentarz na podobnym poziomie ekshibicji: nawet niewielki talent można rozdmuchać jak przygasłe ognisko. Jednak nie można tylko uporczywym dmuchaniem rozpalić stosu, w którym nie tli się nawet iskra.

Langevin: Powiedział pan to z dziwną satysfakcją. Nie wiem teraz, czy zawiodłem pana oczekiwania, czy je spełniłem. Nieważne. Ze szczupłością talentu próbowałem walczyć w sposób wielce nieoryginalny, skoro i pan go zauważył – wyśmiewając przy okazji – bardzo dużo pracowałem. Nawyk pracy w jakimś stopniu towarzyszy mi do dziś. Zna pan powiedzenie, że geniusz składa się z jednego procenta talentu i dziewięćdziesięciu dziewięciu procent pracy? Wydałem walkę własnemu beztalenciu.

Vreutt: Ale do tego też trzeba mieć talent. Nie, geniusza z pana nie będzie.

Langevin: W moim rozwoju niepośledni udział miała obserwacja, iż są ludzie jakby z góry przeznaczeni do zaszczytów, i tacy, którym wyznaczono rolę wiecznych pariasów. Taki społeczny muł, na którym rosną inni. Czy zauważył pan na moich obrazach ciągle przewijający się motyw Hioba? Od pewnego czasu Hiob stanowi mój wytrych, wzorzec interpretacyjny, uniwersalną formułę, która objaśnia człowieka, zwłaszcza współczesnego. Hiob to ja. Pańska opinia mną nie wstrząsnęła, jak pan widzi, a wręcz przeciwnie: dodała sił, wiary – omal nie sprawiła przyjemności. Jednak coś się sprawdza z mojego myślenia.

Vreutt: Dziwna forma czerpania zadowolenia z ciegów. Dentysta-sadysta, malarz-masochista. Proszę wyjaśnić mi małą wątpliwość – Hiob, o ile pamiętam, był człowiekiem majętnym, nieźle ustawionym, obdarzonym liczną rodziną – zanim wszystko utracił. Pan zaś od początku nie miał nic.

Langevin: A kiedy zaczyna się człowiek? Zazdroszczę panu, że pan to wie. Sprzeczność jest pozorna. Nie dać, to tak jak odebrać. Co za różnica, czy odbierzemy komuś dobra w wieku dojrzałym, czy jeszcze przed narodzeniem? Przypuśćmy, że miałem bogatego ojca, którego wahania koniunktury doprowadziły do bankructwa. Zamiast urodzić się jako syn krezusa ujrzałem świat jako nędzarz przeznaczony do klepania biedy. Na ile dla mojego obecnego położenia istotne jest, czy ojciec poszedł z torbami gdy miałem dwa lata, czy gdy dziesięć, czy kiedy zajmowałem się wierzganiem w łonie matki?

Vreutt: A jak pan objaśni intencje siły, która o tym decyduje? Hiob został zaatakowany przez dopusty w ramach próby, zaakceptowanej przez samego Boga. Mogę zrozumieć boski kaprys. Po co jednak Bóg miałby odmawiać daru, mimo istnienia wszelkich warunków po temu, by obdarować; czemu miałby cofać przydział talentów zamiast wspaniałomyślnie – dać? Przecież jest dobry. Czemu służy produkcja ludzi gorszych niż mogliby być?

Langevin: Być może temu samemu – próbie. Proszę spojrzeć: na tym obrazie przedstawiam świat jako laboratorium wytrzymałościowe, gdzie się testuje ludzi na zmęczenie, gdzie prowadzi się zakrojone na szeroką skalę niszczące badania materiału. Pismo Święte natomiast utrzymuje, że na człowieku ciąży grzech popełniony w raju – zerwanie jabłka z Drzewa Wiadomości Dobrego i Złego, wbrew wyraźnemu boskiemu zakazowi.

Vreutt: Zostańmy przy Hiobie. Mnie się podoba nowatorskie odczytanie przez pana starego mitu; spróbuję potraktować go jako falę nośną. Widzi pan, zdradzając panu kiedyś, że naszym celem jest badanie fenomenu przeżycia artystycznego nie wyjawiliśmy całej prawdy. Proszę o usprawiedliwienie – nie mówi się wszystkiego byle przybłędzie, którym – co tu ukrywać – po prostu pan wtedy dla nas był. Należało notabene rozważyć także, czy nie został pan nasłany – bo i taka groźba istniała. Dziś mogę uchylić rąbka tajemnicy: sam fenomen przeżywania przez artystę mało nas obchodzi. Owszem, ale tylko przy okazji, nie jako cel główny. Chcemy nauczyć się przenosić bądź wywoływać sztucznie stany emocji, uniesienia, ekstazy, podległe wpływowi natchnienia, weny czy jak tam kto jeszcze woli. Stany te w połączeniu z pewnymi umiejętnościami warsztatowymi sprzyjają rodzeniu się dzieł genialnych. Dlatego spodobało mi się zaprzęgnięcie do wywodu Hioba, ponieważ jako fundacja zajmujemy się mechanizmami – by tak rzec – dehiobizacji. Hiob jest w naszym procesie surowcem, punktem wyjścia, zaś efektem, do którego dążymy – ten, kim był zanim został ogołocony z wewnętrznych przymiotów. Ten, którym mógłby być gdyby nie został zdegradowany do Hioba.

Langevin: W mechaniczne wytwarzanie geniuszy nie wierzę. Nie wystarczy wziąć pierwszego lepszego przechodnia z ulicy i poskrobać gdzie trzeba, aby otrzymać nowe wcielenie krezusa artystycznego, który zasypie świat dziełami zapierającymi dech w piersiach. Udało się panu sporządzić eliksir z siódmych potów Salvadore Dali i spieszno panu kogoś nim napoić? W pańskim pomyśle nie ma za grosz finezji – a w grubiańsko kształtowanych matrycach można wprawdzie sztancować kowadła, ale nie motyle. Trudno też o bardziej ordynarne podejście do człowieka niż arbitralne dzielenie go na destylat, czyli to co się opłaca zatrzymać, i na barachło do bezwzględnego odrzucenia.

Vreutt (śmieje się): Nie myślałem, że będzie mi dane natrafić na zwolennika nienaruszalności świątyni ludzkiego ciała! Gdyby wszyscy myśleli jak pan, sekcje zwłok ciągle byłyby melodią przyszłości!

Langevin: Pan w ogóle nie rozumie, na czym polega sztuka. Cóż takiego zawiera oryginał obrazu, czego brak każdej z jego siedmiuset kopii? Co wynosi mistrza, a nie rusza z posad epigona? Wyjątkowość sztuki tylko pana drażni, jej nieokreśloność pragnie pan jak najszybciej dookreślić, a niedopowiedzenia – dopowiedzieć. Obedrzeć ją z tajemniczości jak zająca ze skóry i pokazując z dumą parujące mięcho głośno reklamować: oto kwintesencja. W dodatku zapomina pan, że na zjawisko zwane artystą składają się, oprócz rzadkich przebłysków, wszystkie puste godziny spędzone w udręce, kiedy człowiek czuje się wydrążony jak pień, wszystkie głupie rozmowy i sytuacje bez znaczenia. Znowu wychodzi z pana preparator: te chwile, kiedy w błysku formuły objawia się całość przedsięwzięcia, oczywiście zostawimy, a cała reszta – na złom. Przekreśla pan jednym ruchem życie, dni osiadające jedne na drugich jak rafa koralowa. To przecież zbędny naddatek. Mówi pan: ta maszyneria z korbką nie tylko tchnie w idiotę artystycznego ducha i z gbura uczyni wrażliwca, ale w dodatku skupi nudne życie w koncentracie podobnym do kostki rosołu. Kandydatom dość podstawić głowę, przybrać spokojny wyraz twarzy, nic nie myśleć – gotowe! Fluid spłynął – kolejny egzemplarz do odebrania. Oto idea na miarę tych przeklętych czasów: wytwarzać poetów taśmowo, jak samochody.

Vreutt: Rozumiem pańskie wzburzenie, bo wiem jak trudno pogodzić się z innowacją tym, którzy znają tylko tradycyjne drogi. Oczywiście większość pańskich argumentów szyje bezsilnie powietrze, ponieważ rozgadał się pan zanim cokolwiek zdążyłem objaśnień. Protestuje pan przeciwko samej zasadzie – pana prawo. Jednak skoro już pan bierze udział w projekcie, nie może pan udawać, że jego sprawy pana nie obchodzą.

Langevin (z niechęcią): Cały zamieniam się w słuch.

Vreutt: Inwencja nasza poszła dwiema drogami. Początkowo zakładaliśmy zdejmowanie gotowego wzorca z mózgu świetnego artysty i nakładanie go na strukturę umysłową kogo innego. W żadnym wypadku nie otrzymamy wówczas identycznego umysłowo osobnika, nawet we fragmencie, ponieważ ta sama modulacja zastosowana do różnych struktur nie powoduje ich przekształcenia wgłębnego w czysto materialnym sensie, lecz jedynie zmianę rozkładu pewnych właściwości przynależnych do tej struktury. Innymi słowy, Kowalski poddany modulacji według wzorca ściągniętego z Einsteina nie stanie się automatycznie Einsteinem. Będzie tylko myślał jak Einstein.

Cały proces polega na przetłumaczeniu właściwości fizycznych struktur mózgowych dawcy na skomplikowany rozpływ prądów, które następnie po zdekodowaniu powodują pożądane zmiany struktur w mózgu biorcy. W pracy tej niezbędne jest wsparcie komputera o złożoności porównywalnej ze złożonością ludzkiego mózgu. Oczywiście im większa liczba elementów podlega uwzględnieniu, im lepsza sprawność stopnia kodującego i dekodującego, tym efekty bliższe ideału.

Sposób drugi sprowadza się do sporządzania komputerowego modelu tych fragmentów mózgu, w które chcemy ingerować. Dawca jest zbędny, o ile znane są wcześniej zależności między najbardziej typowymi „poprawkami" a zmianami, które wywołują. Można to ustalić podczas eksperymentów pierwszego typu. Niebezpieczeństwo tej metody, nazwijmy ją modulacją pośrednią, wiąże się ze zbyt grubymi przybliżeniami, jakie z konieczności cechują proces. Nigdy nie wiadomo, kiedy się zatrzymać w uszczegółowianiu modelu, a wskutek znanej złożoności mózgu dokładne naśladowanie go jest niemożliwe. Wystarczy niewielka pomyłka, nieuwzględnienie tego czy tamtego czynnika bądź przypisane mu znaczenie odmiennego niż rzeczywiste, aby mimo najlepszych intencji eksperymentatora spowodować nieodwracalne skutki. Z tego punktu widzenia sam podzielam pańskie namiętnie wyrażone zastrzeżenie. Niestety, żyjemy w czasach, kiedy wiele uprzedzeń trzeba będzie odrzucić. Wiele świętości zostanie naruszonych, bo jeśli nie zrobimy tego my, wyręczą nas inni. Dziś rozwój nauki czyni możliwym to, co wczoraj wydawało się czystą fantasmagorią – ja, panie Langevin,

jestem na razie jedynym, który opanował modulację pośrednią. Nie będę pana męczył szczegółami technicznymi, dość wspomnieć, że mój program uwzględnia pół miliarda czynników. Do tego dochodzi nowy typ dekodera, ultradynamiczne pasowanie elektrod i tak dalej. Tak więc, panie Langevin, angażowaliśmy pana z myślą o roli dawcy; obecnie z przyczyn, nad którymi rozwodziłem się wystarczająco długo, bardziej by się pan przydał programowi jako biorca.

Langevin: Nie zgadzam się. Umowa nie rozstrzyga tak szczegółowo o mojej roli w programie.

Vreutt: Ale i niczego w tym względzie nie przesądza. O rodzaju pańskiej przydatności w programie decydujemy my.

Langevin: Wspaniale. Angażując mnie do badań kupiliście mój talent malarza i mój czas. Tymczasem okazuje się, że kupiliście mnie hurtem, całego.

Vreutt: Kupiliśmy pana talenty, ale nie te, które pan sobie wyobraża.

Langevin: Nie i jeszcze raz nie.

Vreutt: Wracając do Hioba, który w panu mieszka: nie powie pan chyba, że lokatora tego trzyma pan tam z miłości. Oto nadarza się okazja, jedyna w życiu, by go eksmitować. Będzie pan wielkim artystą, największym geniuszem na Ziemi. Moja metoda nie zna ograniczeń. Obejmuje zarówno kopiowanie największych umysłów żyjących, nawet bez ich zgody, jak też tych, którzy zmarli przed setką czy tysiącem lat. Rzecz jasna, wizerunek struktur umysłowych możemy wtedy odtworzyć tylko zgrubnie na podstawie dzieł, które mamy do dyspozycji. Jest to poważne utrudnienie. Niezależnie, modulacja pośrednia pozwala uzyskać kombinacje, jakie nigdy nie zaistniały na tej ziemi – i nie zaistnieją, jeśli mnie nie spodoba się ich wywołać. Proszę się dobrze zastanowić – naprawdę nigdy pan nie pragnął odwetu na Hiobie? Druga taka sposobność już się nie nadarzy. Tak go pan kocha? Uczynię pana większym niż Michał Anioł, Leonardo i Rafael razem wzięci...

Langevin: O ile drobne wahnięcie prądów wywołane przelotem odrzutowca nie sprowadzi mnie do poziomu debila.

Vreutt: Raczy pan żartować. Wszystkie urządzenia są ekranowane. Możliwość jakiejkolwiek awarii technicznej należy z góry wykluczyć. Proszę mi obiecać, że rozważy pan wnikliwie moją propozycję. Do niczego nie mogę pana zmusić, ale jestem prawie pewien, że sporządziwszy na chłodno bilans wszystkich za i przeciw, w końcu się pan zgodzi.

Langevin (ironicznie): I w nagrodę także dostanę taki sweter?

wczoraj byliśmy się strzyc szkoda że wypady do fryzjera zdarzają się tak rzadko mniej więcej raz w tygodniu podjeżdża autobus zabieramy się chętnie choć większość pensjonariuszy to łysi należę do najbardziej owłosionych fryzjer zawsze ten sam goli nas strzyże nic nie mówi i nie dowcipkuje bardzo się przykłada do roboty nastawia automaty i obrabia nas piątkami reszta w tym czasie przegląda czasopisma albo rozprawia na chodniku wracamy w obłokach wonności dla każdego takich samych żeby było sprawiedliwie nasze staruszki także się strzygą wszystkie noszą bardzo krótkie fryzury wracamy wyleczeni z nadziei na rozproszenie nudy dlaczego fryzjer ma tylko monda i figaro i te same magazyny co nasza czytelnia pytałem ofelię też nie wie z ofelią ok podbiłem jej serce podczas prób kilkakrotnie dotknąłem jej biustu twardy jak u małolaty na swój sposób było to ekscytujące dotykać jej tak by nikt nie zauważył nawet panna peltier ofelia w końcu pojęła moje intencje przypuściła kilka szarż aż hans musiał ją strofować ubyło jej ze dwadzieścia lat oczy płonęły jak prawdziwej ofelii po zakończeniu próby zamierzałem zabrać ją do ogrodu ale panna peltier rozdzieliła nas musimy porozmawiać panie mroan zaprosiłem ją do sobie bo już zaczynał się czas na kompozycje chóralne jeśli głos ludzki jest najwspanialszym instrumentem chór musi być najwspanialszą orkiestrą panie mroan co pan właściwie wyprawia z panią zapomniałem nazwisko ofelii ja wyprawiam wypraszam sobie panno peltier po prostu obmacuje ją pan na oczach wszystkich w jej wieku takie rzeczy nie przystoją pytał ją pan przynajmniej o zgodę nie wiedziałem że o to trzeba pytać wypadałoby kobieta to nie obiekt do zaspokajania wyuzdanych chuci siedzieliśmy rozprawiając o godności według panny peltier godność kobiety wzrasta z wiekiem dużo energii straciła piętnując me postępowanie wykazując jego niewłaściwość sufrażystka tak długo przypierała mnie do muru dlaczego to zrobiłem że w końcu dla świętego spokoju palnąłem choć żeby została moja modelka pozowała do aktu ach westchnęła przeciągle długą chwilę milczała potem wstała automatycznymi ruchami wyswobodziła się z ubrania a ja panie mroan co pan powie o mnie jestem zgrabna cierpliwa mam dużo czasu bardzo się też nudzę w godzinach które pan przeznacza na działania plastyczne nie wiedziałem co o tym myśleć widok młodej kobiecej nagości tak dawno zapomniany niepotrzebny utracony pogładziłem ramię bark pierś panny peltier trzymałem w dłoni ciepłe żywe ciało myślałem o ofelii staliśmy jak para zakochanych na próżno usiłowałem wskrzesić w sobie pożądanie ów stan napięcia zmysłów, który powinien ogarnąć mężczyznę w sytuacji sam na sam z atrakcyjną dziewczyną prehistoria zamiast upokorzenia czułem radość i satysfakcję brak typowo męskich reakcji dawał mi nad panną peltier przewagę czynił mnie wyzwolonym spod jej samiczej władzy patrzyłem w jej twarz bezczelnie arogancko z wyższością pierś jakbym dotykał rzeźby ciepłej żywej ale rzeźby cofnąłem rękę chłodno tu proszę się ubrać podniosłem jej rzeczy podawałem po sztuce przyjemne uczucie mógłbym pomagać jej tak po każdym seansie ogromnie żałuję panno peltier zrobił pan to żeby mnie upokorzyć myli się pani uśmiechnęła się smutno przecież nie jestem gorsza od ofelii tego nie powiedziałem jest pani bardzo ładna ale ten rodzaj piękna przestał na mnie działać niczego we mnie nie porusza roześmiała się kryształowym głosem atak radości odczekałem uprzejmie aż minie niech pani raczej wysłucha wiersza tytuł modlimy się o wojnę mimo wszelkich zapewnień o pokoju świat dopomina się o nową wojnę wywołanie wojny stało się ze wszech miar nieodzowne dawno wymarli ostatni kombatanci pleśnią pokryły się sztandary trawą zarosły pola wielkich bitew podręczniki historii nudne jak flaki z olejem potrzeba koniecznie nowych wielkich bitew trzeba zadać nowe rany ziemi ludziom pamięci nie potrafimy dłużej wytrzymać bez wojny słuchaj boże jak cię błaga lud bez wojny męczymy się okropnie weź pod uwagę że nasza cierpliwość też ma swoje granice i co pani o tym myśli patrzyła z osłupieniem okropne nieludzkie pan uprawia propagandę wojenną nie poezję a kto pani powiedział że ja jestem autorem nie pan kto nie powiem co do propagandy bym się z panią nie zgodził mało trafia się utworów o tak przejmującej pacyfistycznej wymowie nigdy nie słyszała pani czegoś podobnego i to panią przeraża pan chyba jest obłąkany panie mroan proszę mnie stąd wypuścić do usług drzwi stoją otworem myślałem potem o facecie, który napisał ten wiersz jest z nami od niedawna nazywa się zapomniałem jak dał mi do oceny coraz częściej łapię się jak mało o nich wiem po hansie i mnie to już czwarty trzecia jest ofelia maluje kwiaty

Wnętrze pracowni Langevina – jak poprzednio. Tym razem jednak sztalugi stoją puste. Obrazy, które nadal wiszą na swoich miejscach, wydają się poszarzałe, spatynowane – można osiągnąć ten efekt przez umiejętne operowanie reflektorem z odpowiednio dobranym filtrem. Langevin siedzi, Vreutt spaceruje – lub odwrotnie, aby odebrać scenie wrażenie statyczności i zbytniej monotonii.

Vreutt: Witaj, Hiobie.

Langevin: Witaj, kusicielu.

Vreutt (z niedowierzaniem): Rzuciłeś pracę? Przestałeś malować? Dlaczego?

Langevin: Żeby ci skomplikować życie. Utrudnić realizację twoich planów. Właśnie tak. Twoje perswazje nie mają z tym nic wspólnego. Myślałeś pewnie, że skoro raz odmówiłeś mojej sztuce jakiejkolwiek wartości, to ja załamię się kompletnie, siądę i zapłaczę. Cały w spazmach rzucę się do łamania pędzli, niszczenia farb, a z płócien urządzę wesołe ognisko. A niedoczekanie!

Vreutt: Przecież widzę, że wszystko do tego zmierza. Nie rozumiem tylko, w jaki sposób właściwe pensjonarkom kaprysy miałyby skomplikować mi życie.

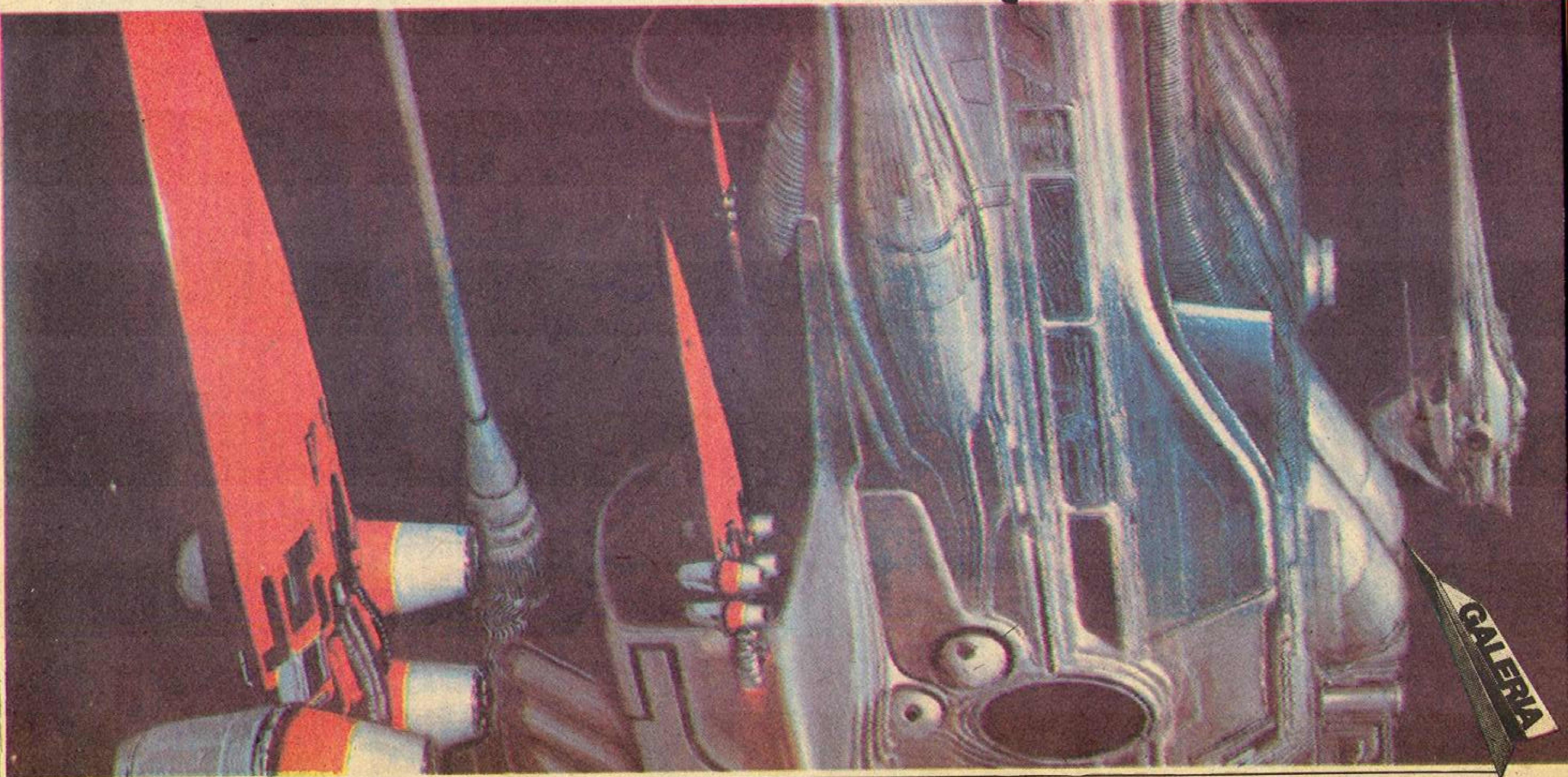
Langevin: Przejrzałem twoją grę. Doszedłem do wniosku, że Hiob stał się moją twierdzą, zbroją i puklerzem. Póki chowam się wewnątrz, pozostaję dla ciebie niedosiężny. Wobec tego postanowiłeś wywabić mnie ze skorupy, jak żółwia albo małża. W mojej hiobowej skórze jestem chwilowo bezpieczny, ale biada mi, jeśli pozwolę się z niej wyłuskać. Wówczas skazany będę na twoją łaskę i niełaskę, będziesz mógł ze mną zrobić, co ci się żywnie spodoba, bo już niczego nie zdołam ci przeciwstawić.

Vreutt: Przypuśćmy. Tylko co ma z tym wspólnego twój strajk okupacyjny?

Langevin: Wyrzekając się malowania, pozbawiam się ostatniego mojego bogactwa. Może bez znaczenia dla innych, może

Na.

KATOH NAO YUKI



iluzorycznego i dla mnie. Rezygnuję z niego z premedytacją, aby stać się tym uboższym. Nie wątpisz chyba, że im bardziej jestem ubogi, im doskonalsza moja nędza, tym więcej we mnie Hioba. Rzucając malowanie sprzeciwiam się twoim zamiarom, ponieważ nie tylko nie opuszczam skorupy, lecz przeciwnie: jeszcze głębiej się w niej zaszywam. Jak mnie teraz dostaniesz, sprycjarzu? No, co powiesz na takie dictum?

Vreutt: Rzeczywiście, chytre. Jesteś nie do ugryzienia, tak idealnie wcieliłeś się w rolę Hioba. Pytanie tylko, po co?

Langevin: Dla oryginalności.

Vreutt: Hiob biblijny został przynajmniej za swój upór sowicie nagrodzony: dorobił się równie licznej rodziny, a jego majątek powiększył się w dwójnasób. Zrobił dobry interes na swym hiobstwie – jako pierwszy i jedyny. Jego dzisiejsi naśladowcy mają zagwarantowane wyłącznie ubóstwo.

Langevin: W porządku. Mnie to wystarcza. Nie zależy mi na bogactwie, sławie czy zaszczytach. Marność i nad marnościami marność.

Vreutt: Jednakże gdyby ktoś uparł się zreplikować w sobie Hioba w całej rozciągłości, a poprzestał jedynie na nędzy, obelgach i cierpieniach dostępnych każdemu, ani kosztując nagrody za wierność i upór – byłoby to odwzorowanie wielce niekompletne, a nawet ułomne. Hiob pozbawiony nagrody, Hiob bez happy endu przestaje być Hiobem.

Langevin: A niech tam. Moja strata. Wezmę wobec tego tylko część Hioba; z reszty rezygnuję.

Vreutt: Ależ z ciebie uparciuch. Spróbujmy z innej beczki. Przestaw zwrotnicę wyobraźni i pomyśl, że jesteś bardzo bogaty. Przypuśćmy, że prowadzisz interesy albo piastujesz wysoki urząd. Należysz do elity finansowej, do której wprawdzie ciężko się wedrzeć, ale kto raz zdoła tego dokonać, może spać spokojnie. Osiągnąłeś – w materialnym sensie – maksimum tego, co człowiek może osiągnąć na tym padole. Pomijając trywialne spostrzeżenie, że tym samym stałeś się idealnym kandydatem na Hioba, istnieje jeszcze jeden powód do obaw: twoje dzieci. Zastanawiasz się, co mógłbyś dla nich uczynić już teraz. Podzielić między nie majątek – każdy potrafi. Chodzi o coś specjalnego, na miarę twoich nadludzkich możliwości – wszak od snajpera wymaga się większej skuteczności niż od zwykłego strzelca. Jak zapewnić dzieciom przyszłość, czym je obdarować, zwłaszcza jeśli – co odnotowałeś z przykrością i z czym trudno ci się pogodzić – nie wykazują twoich zdolności ani zainteresowań. Gorzej: nie wykazują żadnych zdolności ani zainteresowań. Tłumaczysz sobie, że zepsuły je cieplarniane warunki, które im zapewniłeś, że gdybyś umiał być dla nich bardziej surowy, nie torował im drogi przez życie jak walec czy lodołamacz – wyrosłyby z nich twarde drzewa, nie wątłe roślinki. Lecz cóż – stało się. Nie da się cofnąć czasu.

Podobne problemy nękają twoich wspólników i kontrahentów, równie bogatych i równie dzielnie rozgrywających swe atuty. Rozmawiacie o tym półsłówkami w przelocie między posiedzeniami, konferencjami. Od słowa do słowa... a gdyby tak połączyć wysiłki, za drobną część fortun kupić przyszłość dla Henryczka i Patrycji, Jima i Ethel? Nie zabiegacie, by pomyślnie mnożyły się dla nich wasze pieniądze, wszak pieniądz robi pieniądz. „Milion jak świnia prośny jest" – słyszałeś zapewne ten szlagier Johna Cellusa? Nie chodzi także o uznanie czy poklask, ponieważ w orszaku licznych satelitów i one towarzyszą fortunie. Pomysł nie należy do pospolitych, ale nie przyznajecie się nawet przed sobą, że odzwierciedla po części wasze tajemne tęsknoty, chęć wykroczenia poza ramki, w których umieściło was przeznaczenie. Wyrwać mu się, sprzeciwić, choćby tylko poprzez własnego syna czy córkę – brzmi wasza żądza i rozkaz. Zadziwiające, ale zgoda ani opinia potomków was nie obchodzi. Tchniecie w te ubezwłasnowolnione zezwłoki – nowego ducha. Nie byle jakiego – artystycznego. Oto do czego sprowadza się wasz kaprys: mają być geniuszami sztuki. Nie byle artystami – geniuszami.

Langevin: Cóż za nonsens: zbierać uzdolnienia z prawdziwych twórców jak ładunki elektryczne i pakować je w truchła, póki nie ożyją! Już mówiłem, że ta idea zapiera dech w piersiach swoją wulgarnością!

Vreutt: I ja rozumiem twoją niechęć, ale jej nie podzielam. Sto lat temu wyjęcie serca z piersi i zastąpienie go innym, pobranym od dopiero co zmarłego – czyż nie wydawało się wulgarne? I jak jeszcze! Ludzie wierzyli, że to zadanie niewykonalne, że jeśli lekarze okażą się na tyle nieetyczni, by próbować podobnych sztuczek, etyczna okaże się żywa materia, która zablokuje ich usiłowania. Nie podejrzewali, że żywa materia jest plastyczna jak mało co i ochocza do tego typu eksperymentów. Wynik znasz: w naszej epoce wymienia się całe głowy lub mózgi – i nikt nie podnosi już krzyku z tego powodu. A przecież ów pomysł grupki prominentów, który tu nie dbając o subtelności referuję, postuluje akcję o nieporównanie węższym zakresie. Co innego wymieniać mózgi jak klocki, a co innego przetaczać jak krew ich zawartość, by w efekcie podnieść rozwój rasy ludzkiej na wyższy poziom.

Langevin: Jak lekko przechodzą ci przez usta te bluźnierstwa! Ów diabelski projekt zmierza po prostu do wykreślenia sztuki z historii ludzkości, do starcia jej z powierzchni Ziemi. Gdzie wszyscy są artystami, tam nikt artystą nie jest. A któż będzie podziwiał ich wielkie dzieła? Wytęż wzrok i spójrz centymetr dalej – cóż widzisz? Bandy zdziczałych awangardzistów dybiące na samotnych przechodniów, uprowadzające zakładników, toczące boje o tych nielicznych, którzy nad osobiste składanie sonetów będą przedkładać dajmy na to alkohol. Nie mówię już o tym, że włażenie z butami w ten pokój z lodowych płytek i bibułki, jakim jest dusza artysty, pachnie mi świętokradztwem, spychaczem, czołgiem i taranem. Zdumiewająca epoka, dla której nie ma nic świętego. Z takim zacięciem nie wróżę jej pomyślnego końca.

Vreutt: Już ci mówiłem, że burzyciele maszyn i orędownicy świątyni ludzkiego ciała należą do przeżytków. Leżą w lamusie historii. Jeszcze jeden, który domaga się, aby wszyscy przestrzegali urojonych tabu. Nie wyjmować serca! Do puszcz! Do jaskiń! Cechą cywilizacji takiej jak nasza jest próbowanie każdej możliwości, nierezygnowanie z żadnej zawczasu. Pomysł grupki finansistów, który w innych warunkach zostałby odrzucony albo wyśmiany, pod jednym względem miał szczęście – trafił się w czasach zasobnych w środki techniczne do jego realizacji. Gdzie są maszyny, metody i pieniądze, tam nie zwleka się długo. Ruszyły badania. Powstał program, zaakceptowany i finansowany oficjalnie, ponieważ dla wpływowych osób nawet instytucje państwowe są życzliwe. A już szczególnie w państwie przez te osoby rządzonym.

Langevin: I to jest właśnie przedsięwzięcie, w którym uczestniczymy – ty i ja?

Vreutt: Domyślny jesteś. Program trwa od dziesięciu lat. Trudności były niebotyczne, początkowo wydawało się, że mimo teoretycznie prostej drogi nie da się ruszyć z miejsca. Kilkakrotnie cały projekt stał na krawędzi krachu, groziło zniechęcenie mecenasów, wyczerpanie środków. Dzieci dojrzewały szybciej, niż posuwały się prace. Ale za każdym razem, w momencie zachwiania udawało się odnieść spektakularny sukces, jakby żywa materia wiedziała o naszych trudnościach i wspomagała nas życzliwie. Jakby zależało jej, byśmy nie rezygnowali i odnosili sukcesy. Czasami miałem wrażenie, że gramy ze świadomą istotą, wydzielającą nam tyle, na ile w jej ocenie akurat zasługiwaliśmy.

Langevin: Czy dlatego ciągle uczestniczysz w tym horrendum wołającym o pomstę do nieba?

Vreutt: Nie. Fascynuje mnie sama sytuacja. Postaraj się uzmysłowić sobie, że w długiej historii ludzi wszystko już zdążyło stać się przedmiotem zawłaszczenia, łącznie z samym człowiekiem. Oczywiście najbardziej prymitywną formą było anektowanie owoców cudzej pracy. Bardziej finezyjną – eksploatacja zdolności, talentów, tak pomyślana, by korzyści odnosił kto inny. nigdy jednak nie czyniono tego bezpośrednio, z pominięciem społecznie akceptowanych pułapek i zależności, w które należało konkretny nośnik zdolności uwikłać. Teraz uprościmy tę drogę. Nadchodzi nowa epoka, a my jesteśmy jej prekursorami. Cóż to za wspaniałe uczucie, robić coś absolutnie nowego, czego nie imał się nikt przed tobą! Niemal rozkosz – projektować nowe oblicze świata, widzieć jak się kształtuje pod palcami.

Langevin: Żałosny to zachwyt. Na cóż chcesz zamienić przygnębiającą gębę dzisiejszej rzeczywistości? Zgraje artystów, geniuszy przyszłości, utajonych Michałów Aniołów i Leonardów będą cierpieć katusze pod wampirami, będą przeżywać artystyczne uniesienia w szklanych baniach na głowie, podłączeni do grających szaf – po to tylko, by duchowo nawozić prominentów. Z cierpień, z tęsknot nieszczęśników o wolności mierzonej długością elektrycznych kabli, formować się będzie pigułki na jałowość, destylować syropy polotu – i sypać, lać w te pustynie, póki się nie wypełnią. Będzie się wznosić piramidy o innym wymiarze i skali, masowo przerabiać słonie na skowronki. W to ci graj, ta nowa forma feudalizmu, tym razem umysłowego, ponieważ po artystach przyjdzie kolej na wynalazców, filozofów, konstruktorów, lekarzy. Każdy feudalny młot nowego typu będzie przed snem wysysał porcję swoich wasali, wychylał szklankę kompotu z ich mózgownic. Jeśli się wyczerpią – cóż prostszego jak sięgnąć po

nowych. Oto do jakiego świata prowadzą twoje sukcesy. Wyrzeknij się ich! Zniszcz wyniki badań, skasuj zapisy, popełnij samobójstwo! Wszystko będzie lepsze od tej zalegalizowanej hekatomby. Lepiej byś sam cierpiał, niż cierpieć mają tysiące niewinnych istot.

Vreutt: Chyba nie mówisz tego poważnie. Dziś nie ma już odwrotu. Nawet gdybym usłuchał twojej rady, niczego nie storpeduję. W imię czego miałbym to robić? Mnie się podoba ta wizja, jej uroda ujmuje mnie za serce. Droga do tego świata stoi otworem – jest nią modulacja pośrednia. Czasy, które idą, będą prawdziwym dowartościowaniem człowieka. Człowiek stanie się wreszcie naprawdę najwyższym celem. Nasza skromna aparatura i umiejętności mogą go co najwyżej wspomóc, ale nie – zastąpić. Dopiero w nowym świecie człowiek stanie się niezbędny i niezastąpiony. Wkrótce – jutro, pojutrze – zostanie przeprowadzony finalny eksperyment: spiritus movens, zmagazynowany takim nakładem środków i starań w pamięciach komputerów, przemieści się do ciała nowego właściciela. Nie będzie nim jednak Henryczek ani Patrycja, chociaż ręczę za sukces. Ci, którzy płacą, mają swoje kaprysy; naszą rzeczą je spełniać. Oto twoja szansa: poddać się pełnemu zabiegowi modulacji pośredniej dla udowodnienia, że w zabiegu nie ma ryzyka. Druga taka okazja więcej ci się nie zdarzy. Zostaniesz jednym z najwiekszych ludzi sztuki na świecie – i to będzie twoja nagroda. Równych tobie będzie jeszcze dziesięciu, najwyżej piętnastu. Seryjna produkcja, jak słusznie zauważyłeś, pozbawiona jest sensu, jeśli geniusz nie ma ulec dewaluacji. Jak brzmi twoja decyzja?

Langevin: Zdumiewające, że możesz mieć jakiekolwiek wątpliwości. Oczywiście odmawiam. Umowa nie zobowiązuje mnie do tak daleko posuniętej współpracy.

Vreutt: Umowa – nie. Ale zastanów się, co chcesz ocalić, głupcze. Własną powłokę, wypełnioną sieczką? Zostawimy ci ją. Przywiązałeś się do roli wiecznie przegrywającego? Tak ci wspaniale z twoim Hiobem?

Langevin: Powiedziałem: nie.

Vreutt: W takim razie ostatnie rozdanie. Ta teczka (podaje Langevinowi kartonową teczkę) otworzy ci oczy. Wyjaśni ci, że niesłusznie uważasz się za tego, kim jesteś. Kiedy dostarczono cię do nas, nie miałeś nic. Byłeś włóczęgą, którego wzięliśmy z plaży w stanie krańcowego wyczerpania. Gdyby nie my, zdechłbyś dostojnie na śmietniku, a psy rozszarpałyby twoje szczątki. Po pierwszym zabiegu modulacji pośredniej i wymianie pamięci uwierzyłeś, że nazywasz się Langevin i zacząłeś malować. Powtarzam: co chcesz ocalić swoją odmową, jaki rodzaj dziewictwa? Tożsamość, której nie masz? Wyjątkowość, którą zawdzięczasz mnie? (przerywa, oddycha głośno, bo ostatnie zdanie wypowiedział podniesionym głosem). Teraz odejdę, a ty zajrzyj sobie w tę dokumentację. Mam nadzieję, że klepki trochę przestawią się w twojej głowie. (Wychodzi).

korzystam z wampira po raz ostatni nie chce mi się dłużej udawać głupszego niż jestem zwracam się do was którzy czaicie się po drugiej stronie elektronicznych układów bezpiecznie ukryci szatkujecie każdy sygnał na drobne do ciebie vreutt jeśli jeszcze tam jesteś podejrzewałem już dawniej że wampir znalazł się w moim pokoju nie dla ozdoby ani mojej wygody idealna forma penetracji musieliście za wszelką cenę narzucić korzystanie z niej coś podajecie nam w żarciu w napojach nasycacie pościel ubrania tyle jest możliwości namówiłem tego grubego żarłoka przez kilka dni wcinał moje porcje ja żywiłem się tylko owocami chlebem piłem wodę moc wampira została ze mnie zdjęta wtedy właśnie podyktowałem na magnetofon historię langevina w przeszłości bywało że rano nie mogłem poznać zapisu słowa wydawały się jak nie moje dziś wiem ingerowaliście w zapis wampira myślałem też o święta naiwności że tylko ja zasłużyłem na tak wielkie wyróżnienie własny wampir w pokoju zgrabnie pomyślane mózgownica stoi otworem jak rozłupany orzech znacie każdą myśl kontrola wydawanie poleceń zbieracie jednak te resztki jakże dla was cenne pchacie w zgwałcone niezliczoną ilość razy komórki swoje wredne instrukcje kierujecie mną nami laleczkami na niewidzialnych nitkach każda z wampirem na głowie co wieczór przeżywamy swoje małe orgazmy rzygamy w szklane klosze mętlikiem beznadziejnych myśli koszmarem stapiającym w jedno jawę i sny bardzo pilnujecie byśmy nie odwiedzali się wzajemnie nie wpadali w zażyłość konkretnie panna peltier miejscowy policjant jej niespodziewany striptis i czarny golf stały element jej ubioru zabawny pomysł królowej ubiegać się o rolę modelki u takiego truchła jak ja ekscentryczny kaprys zimnej kobiety czy test wspaniale odegrała swą rolę co chcieliście sprawdzić moje reakcje jakie to miłe, że ciągle o mnie myślicie przydziałowy wampir dla każdego dlatego strzygliście nas co tydzień czujniki kochają krótkie włosy uwielbiają łysinę fryzjer co ma dla klientów tylko monda i figaro pewnego razu udało się nam kupić koszyk czereśni od handlarza pamiętam zapach czereśni zmieszany z brylantyną zjedliśmy je błyskawicznie zanim nadeszła panna peltier koszyk wyłożony był gazetą schowałem do kieszeni akurat w tym numerze na kolumnach kulturalnych drukowano recenzję księgi zapomnienia zbioru wierszy tego spod szóstki za cholerę nie potrafię utrzymać w głowie jego nazwiska moja nierówna pamięć egzemplarz z naszej czytelni zawierał recenzję a ten po czereśniach nie montujecie te notki preparujecie po jednym wydaniu specjalnym dla czytelni i fryzjera zadałem sobie odrobinę trudu przejrzałem moje wycinki prosty wniosek pisze to jedna osoba maksimum dwie w przerwach rejestrują na video dyskusje rzekomo przegrane z piątego programu tivi po cholerę zadajecie sobie tyle trudu my wiemy wy wiecie że my wiemy dom starców nie jest domem starców hans nie jest reżyserem ofelia aktorką ani malarką facet spod szóstki nie jest poetą ja nie jestem szalonym multiinstrumentalistą to odprysk kiks rykoszet eksperymentu podobnie jak marna pamięć dogorywamy powoli na tym błyszczącym wysypisku wśród podobnych sobie odpadków ludzkich trzydziestka najgenialniejszych artystów świata czy nadal zakładacie wtopione w plastyk metalowe obręcze na skronie kolejnych kandydatów by w krótkim impulsie przysposobić ich do pobytu tutaj czy są młodzi jak my czy z równą niefrasobliwością doprawiacie im głowy starców nie przewidzieliście kondensując życie artysty w krótkim spaźmie że cierpienia rozczarowania bóle klęski tak stężone w pół godziny dołożą nam po pięćdziesiąt lat kiks eksperymentu przedwczesna starość zdobi nasze głowy siwizna bez chwały kara za łatwowierność co do mnie sprawa jest jasna zdradziłem hioba wyrzekłem się go wypełzłem ze zbawczej skorupy sam wlazłem vreuttowi na widelec zachciało mi się uwspółcześnić starożytny epos hiob odpierający zwycięsko pokusy przypadek rozstrzygnięty przez to nieciekawy drugi wariant hiob ulega przez co staje się hiobem na wieki hiobem spotęgowanym pozbawionym nagrody i nawet nadziei wolno mu tylko rozpaczać na totalnym rumowisku wiara w zabezpieczenia ukryte w mechanizmie świata okazała się płonna w jakieś zasady heisenberga blokady nie pozwalające dokonywać na materii zbyt grubych nadużyć uwalniając od wyboru dokonujące go za nas nic takiego nie istnieje nie ma barier dla oświeconych łajdaków bóg nie przewidział ludzkiej przewrotności ostatnią instancją odwoławczą jest moralność człowieka jego rozeznanie między dobrem a złem czyli nic mniej niż zero trzydziestka hiobów na gruzach starego świata od dawna nie przybył nikt nowy w końcu vreuttowi się powiedzie z oplotów kabli wysunie się syntetyczny geniusz program trwa jesteśmy nadal jego częścią zapis ten traktujcie jako ostrzeżenie wiedząc to co wiem nie mogę żyć jak dotąd udawać przyjaźni szczerzyć się do panny peltier nie mam pojęcia co zrobią póki program trwa nie wszystko jeszcze stracone ale ostrzegam miejcie się na baczności nie bądźcie bezpieczni

Marek Oramus

luty 1985

Wygłaszając na co dzień optymistyczne diagnozy na temat gatunku, krytyk SF skrywa często w duchu wątpliwości, irytację i autentyczny niepokój. Lepiej nie tłumić podobnych emocji. Tony takie pojawiły się na przykład w eseju Marka Oramusa „Siedem grzechów głównych polskiej science fiction" („Fantastyka" 7/85). Tekst przyjęty był przez Państwa bardzo dobrze, nie odnotowaliśmy właściwie protestów. Skoro tak, ponawiamy atak na własne gniazdo. W dyskusji o niedostatkach współczesnej SF udział biorą: BARBARA OKÓLSKA (Uniwersytet Warszawski), LESZEK BUGAJSKI („Życie Literackie"), PIOTR KRYWAK (Uniwersytet Jagielloński), WAWRZYNIEC SAWICKI („Pismo L-A") oraz przedstawiciele naszej redakcji: ANDRZEJ NIEWIADOWSKI i MACIEJ PAROWSKI, który dyskusję przygotował do druku.

UWAGA!!! Niektóre tezy spotkania okazały się na tyle prowokacyjne, że redaktor naczelny ADAM HOLLANEK postanowił wtrącić się do dyskusji. A co Państwo sądzicie o całej sprawie?... Wypowiedzi Czytelników w połączeniu z blokiem tekstów redakcyjnych, nawiązujących do eseju Marka Oramusa przedstawimy już wkrótce.

(Red.)

Pogranicza, manowce, perspektywy SF

Baśń zdeprawowana

M. Parowski: Rozważania o wynaturzeniach współczesnej science fiction proponuję zacząć od zwrócenia uwagi na miejsce fantazji we współczesnej kulturze. Nazywa się czasem SF baśnią XX wieku. Warto przypomnieć, że to właśnie baśń sadowiła mądrze człowieka w jego świecie, godziła go z samym sobą (pięknie pisze o tym Bettelheim), będąc czymś w rodzaju nieuświadomionego transu psychoanalitycznego, spełniała przy tym funkcje rozrywkowe i... terapeutyczne. Niezbędna, a zarazem dyskretna: imiona jej twórców giną w przeszłości, służyła nam baśń jak gdyby mimochodem. A teraz przyjrzyjmy się współczesnej fantastyce – usiłuje być racjonalną, świadomą siebie, chce bawić, uczyć, chce być sprzedawana i kupowana, chce nawracać, dawać do zrozumienia, służyć jednym ideologiom, a zwalczać inne. To drastyczna zmiana statusu. Science fiction niedyskretnie, wprost nachalnie, i w sposób wyrachowany usiłuje uprawiać to, co było kiedyś organiczne i spontaniczne. Więc jeśli SF naprawdę jest baśnią XX wieku, prezentuje się jako baśń o utraconej niewinności. Gwiazdorstwo, rynek i płynąca z jego wymogów pogoń za ilością (a więc także prostactwo i taniocha), samowiedza, przerost racjonalizmu, cynizm, niedostatek albo przerost ambicji artystycznych i pozaartystycznych – oto są możliwe grzechy nowoczesnej fantastyki. Co państwo na to?

Od utopii do kultury masowej

A. Niewiadowski: Powiedziałbym, że wywód jest zgrabny, ale trochę ulotny, baśń to jednak dość odległy rodowód SF. Wywodziłbym science fiction przede wszystkim z utopii. Sygnalizowana przez ciebie, jako naganna, instrumentalność SF bierze się stąd, że fantastyka naukowa, będąc pochodną utopii, z założenia jest przeznaczona do przenoszenia treści dydaktycznych, prognozujących. Ostatnio widać to w wielu płaszczyznach, zwłaszcza kiedy fantastyka rozszerza pole zainteresowań na nowe dziedziny nauki i życia. A jednocześnie jest to literatura o poznawaniu świata i odkrywaniu nieznanego, niebagatelną rolę spełnia w niej zatem czynnik przygodowy. Jest wreszcie trzeci czynnik, niestety bardzo rzadko pojawiający się we współczesnych utworach SF. Mam tu na myśli uniwersalne odwołania do odwiecznych problemów ogólnoliterackich, filozoficznych, fascynujących kiedyś Szekspira, Goethego, Mickiewicza, ale do pisarzy SF, poza takimi gigantami jak Lem, Čapek, Dick, czy Orwell na ogół nie mających dostępu. Wyradzanie się science fiction, o którym także, bo przecież nie wyłącznie, chcemy tu mówić, sprowadziłbym do tego zagadnienia. Wystarczy spojrzeć co czytają, co muszą czytać i oglądać i co w dziedzinie fantastyki próbują pisać młodzi ludzie. Funkcjonują w tej sferze fatalne, kiczowate wzorce kultury masowej. Młodzi ludzie nie tylko u nas, ale i na świecie, zostawieni sami sobie przez system edukacji, który zrezygnował z wprowadzania ich do ogólnoświatowego dorobku kultury śródziemnomorskiej, zdają się wręcz celowo poszukiwać kiczu. Może to zjawisko normalne dla naszych trudnych czasów, wyzwalających i agresję i instynktowne lęki przed światem. I tak kicz, fantastyczna tandeta filmowa i literacka przestają drażnić, zaczynają funkcjonować jako wzorzec, jako norma; powstaje sprzężenie zwrotne, kultura masowa wpływa na psychikę twórców, którzy w jej gůście zaczynają kreować swe dzieła. Brakuje wyobraźni i talentów. Ale przecież talenty to nie jest tylko sprawa indywidualna, lecz owoc pewnego typu edukacji i wzorów bycia w kulturze. To co mówię dotyczy części zjawiska. Ale z pewnością większej jego części.

Gra ze strachem

B. Okólska: Zatrzymajmy się chwilę przy porównaniu SF do baśni. Na przykład Roger Caillois wiązał baśń i fantastykę z SF z kolejnymi poziomami kultury. Za każdym razem fantastyka dopowiada to, co jest w bieżącej kulturze na granicy artykulacji. I tak na przykład fantastyka grozy wywodziła się z realizmu w literaturze, była nań reakcją, rozładowywała podświadome lęki, napięcia, emocje związane z nieznanym, niemożliwym, które realizm zdawał się ignorować. A więc w XIX wieku było to straszenie duchami i kościotrupami. We współczesnej SF sytuacja niby się zmienia, ale też widzimy tu częstokroć precyzyjny wizerunek świata rozsadzanego lękiem przed zagładą atomową, niezwykłym aparatem, czy nieznanym dynamizmem natury, który się ujawni, sprowokowany naszą działalnością. Parowski pisząc niedawno o „Głowie Kasandry" Baranieckiego słusznie podkreślił, że jest to w gruncie rzeczy proza perfekcyjnie realistyczna. Dzięki temu realizmowi dopiero może działać w niej magia strachu, magia nieznanego. Tu i w innych znaczących utworach młodej polskiej SF ujawnia się strach czychający na zapleczu racjonalnego świata. Strach ludzkości przed światem, ale i sobą samą.

P. Krywak: Fantastyka ma swoje dwa bieguny. Katastroficzny, ostrzegający przed niebezpieczeństwem i hurraoptymistyczny, który prezentuje przyszłość czy przyszłe wynalazki bardzo serio i bardzo poważnie.

W. Sawicki: Patrzę na to z innego punktu widzenia. Sądzę, że fantastyka i SF mają wiele wspólnego z wiarą. Wiarą w przyszłość, którą się projektuje i kształtuje w wyobraźni, korzystając z realiów dnia codziennego. Optymizm trwa do czasu, potem wiara się załamuje i zjawia się katastrofizm, wtedy kiedy widać już jak na dłoni, że przyszłe wspaniałe wynalazki i dokonania nie są możliwe, bo nauka i technika już dziś zawodzą i niosą zagrożenia.

B. Okólska: Nie zgadzam się, że wiara w możliwości nauki poprzedziła znacznie lęk przed nauką. To od początku było współbieżne. Fascynacja nauką i lęk przed nią występują już u Verne'a i u jego współczesnych.

A. Niewiadowski: Verne sądził, że lepiej zniszczyć wynalazek niż dopuścić, aby dostał się w ręce tych, którzy mogliby wykorzystać go przeciw ludzkości.

W. Sawicki: W kręgu niemieckojęzycznym wiara w pozytywne strony nauki, w to że ona coś realnie rozwiąże, nie tylko w dziedzinie stosunków człowiek-materia, ale także stosunków politycznych – trwała chyba dłużej. Sztandarowa powieść Lasswitza „Auf zwei Planeten" (1897), ukazywała taką próbę rozwiązania, niestety kończącą się źle. Napięcia istniejące między Ziemianami nie pozwalają na rozwiązywanie konfliktów w sposób optymalny. Katastrofizm Lasswitza nie dotyczy tu techniki, lecz przede wszystkim natury ludzkiej.

B. Okólska: Pisarstwo Lasswitza jest dobrym przykładem jeszcze jednej funkcji fantastyki. Próbuje ona rozwiązywać problemy współcześnie nierozwiązywane. A więc idzie nie tylko o wyrażenie lęków. Lasswitz włączył do swej powieści istoty pozaziemskie nie po to, by nimi straszyć, ale by stworzyć dodatkową nadzieję. Niestety natura ludzka w jego powieści wygrywa.

A. Niewiadowski: Później zmieniało się to w zależności od sytuacji społeczno-politycznej. Wydarzenia pierwszej i drugiej wojny światowej, napięcia i odprężenia międzynarodowe powodują natychmiast ową zmianę perspektywy. „Obcy" to raz wrogowie, raz przyjaciele, a kiedy indziej istoty tak potężne, że możemy być dla nich zaledwie „wróblami galaktyki".

W. Sawicki: Z założenia było to gonienie w piętkę. Rzutowaliśmy na przybyszów z kosmosu wady i cechy charakteru typowe dla nas samych.

A. Niewiadowski: To by jeszcze nie było złe. Człowiek przeglądał się w lustrze „innych światów", poznawał samego siebie. Denerwujące jest co innego. Pisano i pisze się o katastrofach, zagrożeniach, przeludnieniach, krachach... w sposób nieznośnie sztampowy, odtwórczy. Na tere-

nie fantastyki nadal odbywa się wielkie kupczenie ideologią z drugiej ręki. Młodzi piszą pod pewne wzorce, wszyscy pod te same, a potem w momencie ich zużycia następuje zmiana szablonu. Kształtują się całe nurty nieautentyczności, naśladownictwa. Debiutanci przychodzą, czytają, biorą to za dobrą monetę i piszą dalej bez świadomości wewnętrznego zakłamania. I jak w tej sytuacji fantastyka ma spełniać swoje funkcje ostrzegawcze? Czy młodzi chcą tego, czy to wynika z ich autentycznych potrzeb?

Problemy i pseudoproblemy

L. Bugajski: Mam wrażenie, że przeinterpretowaliście zjawisko. Literatura SF opiera się z założenia na stereotypach, ma czytelnikowi dostarczać przede wszystkim rozrywki i tylko nam w naszym polskim grajdołku nie może się w głowie pomieścić, że SF powstała po to, by bawić. Nadęliśmy w Polsce wielkiego balona z fantastyką socjologiczną i w ogóle problemową, sam do niego dmuchałem, przyznaję bez bicia, ale przecież z tego nie ma już nic. Zajdel nie żyje. Nikt tak jak on już nie pisze. Ale w Polsce krytyka czy publicystę nieodmiennie ogarnia przerażenie na myśl, że pisarz mógłby siąść do książki, na której chce zarobić trzy miliony, więc pisze coś dla trzech milionów czytelników, a potem idzie do kasy. Tak jak to wygląda na świecie. Ale w nas cały czas drzemie podświadome przekonanie, że literatura musi być po coś. Jak powiedziała Szymborska, jesteśmy istotami politycznymi i po prostu nie możemy normalnie żyć, rozmawiać i pisać.

P. Krywak: Literatura zawsze jest „po coś". Jej celem może być swego rodzaju prowokowanie intelektu i zaspokajanie potrzeby rozrywki. Nie ma więc sensu rodzieranie szat w związku z istnieniem czysto rozrywkowej science fiction. Rzecz raczej w tym, że ostatnio mamy do czynienia wyłącznie z taką właśnie fantastyką. To musi budzić niepokój. A, nawiasem mówiąc, problemowość literatury nie jest równoznaczna z politycznym zaangażowaniem, pisarz może się przecież poruszać w sferach bardziej uniwersalnych, choćby prezentując moralne aspekty przyszłych zdarzeń... Tego typu utworów ukazuje się jednak coraz mniej i coraz są gorsze.

M. Parowski: Zajdel pisał takie książki – poczytne, przy okazji niegłupie, tylko wydawano mu je w małych nakładach. Zmieniał poza tym konwencję, nie tkwił w miejscu, publiczność nadążała za nim. Podobnie dzieje się z jego następcami. Weźmy „Arsenał", najnowszą powieść Oramusa, łączącą walory powieści socjologicznej i mistycznej. W końcówce „Limes inferior" Zajdla była zapowiedź podobnego kierunku. Jedno i drugie powstało niezależnie od siebie. Czeka na druk nowa powieść social-political Wnuka-Lipińskiego. Nie zgadzam się, że polska fantastyka socjologiczna zmarła z Januszem. Przeciwnie, wróżę jej długi żywot, postępującą rafinadę intelektualną i artystyczną. Podstawowe problemy polityczne zostały przez nurt przerobione w makroskali, wyegzorcyzmowane. Może teraz i trzeba wejść w psychologię jednostki, w filozofię, w półtony i półcienie. To się już zaczęło.

A. Niewiadowski: Nie wolno ci, Leszek, pakować do jednego worka rozrywki tak różnych pisarzy jak Lem, Clarke, Asimov, Ballard, Dick...

L. Bugajski: Dajcie spokój z Asimovem, co to za literatura! Dick, zgoda, fantastyka w jego wydaniu bywa literaturą, ale na przykład Ballard to jest według mnie mistyfikacja i odruchy pisarskie. A o Lemie nie chce mi się już słuchać – ma polska SF jednego z niewielu prawdziwych pisarzy i na nim buduje wszystkie teorie.

A. Niewiadowski: A Schulz, Mrożek, Gombrowicz... Kafka?

M. Parowski: A Barthelme, Marquez, a filmy takie jak „Zelig", jak „Piknik pod Wiszącą Skałą"?...

L. Bugajski: A cóż to ma wspólnego z science fiction?

M. Parowski: Ma – wspólną metodę. Fantastyczne spojrzenie na świat. Odejście od realizmu wizerunku i struktury realistycznej opowieści. Magię. Na przykład realizm magiczny. Mówimy o pograniczach przecież, nie tylko w kosmosie i zbuntowanych robotach, bo to jest dziedzina stereotypu, której nikt z nas bronić nie będzie.

L. Bugajski: Tak to możemy rozmawiać prawie o całej prozie, bo fantastyka zawsze związana była z literaturą odkąd człowiek napisał parę słów. O modnym Borgesie, na przykład, który moim zdaniem jest złym pisarzem, czy o Cortazarze, który miał talent, ale też był płytki i uprawiał gierki. O inteligentnym felietoniście Barthelmem...

A. Niewiadowski: Leszek, tak nie można! Pisarskie gierki cię drażnią! Ale to, że cała powojenna literatura polska, nie tylko fantastyczna, przeładowana była problemami i ideologicznie zdeterminowana drażni cię także. Takie są jednak fakty. Była u nas huśtawka postaw kulturowych: od realizmu socjalistycznego przez antysocrealizm, później polski egzystencjalizm i nowe nurty – można to wszystko prześledzić na przykładzie twórczości Lema. Co kilka lat coś się zmieniało, presja była i jest olbrzymia, nie można od niej uciec. Literatura powinna być wyczulona na sprawy narodu, społeczeństwa. Więc czego byś chciał?

L. Bugajski: Średniej, masowej, rzetelnie napisanej literatury, z której co jakiś czas wyrasta dzieło wybitne. Ale u nas w jednej dziedzinie jest Lem, w innej Kuśniewicz i dalej długo, długo nic, a potem od razu Nienacki czy Bratny. Brak rzetelnego literackiego środka. Ale żaden z autorów nie siada i nie mówi – napiszę powieść dla ludzi. Każdy przymierza się do arcydzieła. A potem ludzie chcą sobie coś poczytać i w końcu stają w kolejce po „Express". A sprawnie napisanej książki do szybkiego przeczytania nie ma. Chciałbym rynku, który taką powieść wymusi, systemu wydawniczego, który na niej zarobi, krytyki, która ją zinterpretuje. Ale nie mam ani rynku, ani systemu, ani krytyki. Krytyka u nas to jest sztuka dla sztuki i pokazywanie jednej z możliwości odczytania książki. Krytyka prasowa nie oddziałuje ani na pisarza, ani na czytelnika, ani na wydawcę i nie jest nikomu naprawdę potrzebna.

Rozrywka non olet

W. Sawicki: Leszek ma rację – czytelnik bombardowany na co dzień wielką liczbą problemów i informacji, a jednocześnie tandetą, rozgląda się za rozrywką. A że proponują mu rozrywkę na poziomie pokazu video z Conanem – półnagim facetem, który wywija mieczem i ucina głowy – więc on na to przystaje. To jest mocne, baśniowe, uczciwsze emocjonalnie od ostrzeżeń i katastrofizmów z drugiej ręki, o których mówił Andrzej. I stąd, podejrzewam, biorą się koncepcje młodzieży literackiej, które nam referował Rafał A. Ziemkiewicz. Oni jak słyszę chcą pisać na dobrym warsztatowo poziomie literaturę rozrywkową, to znaczy chcą zarobić na zaspokojeniu autentycznej potrzeby społecznej, która wraz z rynkiem odczuwają. Uważam, że jest to zdrowe.

A. Niewiadowski: Chcą pisać prozę rozrywkową? No dobrze, ale to też trzeba umieć robić.

M. Parowski: Czekajcie, bo dyskutujecie z mirażem. To, co mówił Ziemkiewicz, to jest według mnie element strategii literackiej i przejaw szczególnej przekory. Niby chcą robić rozrywkę, niby interesuje ich tylko warsztat, ale najlepszym z nich wychodzi często coś poważniejszego, pokoleniowego, na serio.

P. Krywak: Czyż nie potwierdza to pośrednio tezy Handkego o genetycznej odrębności fantastyki naukowej i baśniowej? Mam wrażenie, że to

Z czym do kiczu

Adam Hollanek

To moje wtrącenie się do dyskusji pod tytułem „Pogranicza, manowce, perspektywy SF" nie ma charakteru jakiegoś bilansu czy podsumowania. Jest moim osobistym stanowiskiem w sprawach, które dyskusja porusza czy ewokuje. Bardzo chyba ekstremistyczna (nie chcę powiedzieć rozproszona) w formułowaniu opinii o fantastyce i fantastach, a także o innych dziedzinach literatury i ich twórcach. W takich rozważaniach na wiele głosów – proszę się dobrze przyjrzeć dyskusjom literackim w całym naszym kraju, obok naszej – manifestuje się nie tylko szczerość, lecz także jakże naturalna w swej istocie odrobina (czy odrobina?) snobizmu, a może i nawet zawiści. To także przecież zmory i motory każdej sztuki. Jak i kicz, o którym całe zakończenie dyskusji. Czy można lubić to, co się uważa za kiczowate – mówić właściwie nie trzeba. Jako że w każdym z nas tkwi coś kiczowatego. Fantasta-racjonalista Stanisław Lem dawał temu w swoisty sposób wyraz, krytykując na przykład narzuconą przez naturę wzajemną bliskość narządów rozrodczych z wydalniczymi. Ale ad rem.

Żadna dyskusja nie potrafi zmienić faktu typowo polskiego, że nasza literatura (a ja bym dodał sztuka cała) „musi być po coś", musi brać udział w walce o „rząd dusz". Nie uciekniemy od tej naszej specyfiki za daleko. Pisałem już na tych łamach, że to właśnie owa polska specyfika przyniosła wielkie dzieła w epoce romantyzmu, a także – pozytywizmu, a nawet modernizmu. Sztuki polskiej bez klucza tradycji narodowej nie dałoby się w ogóle zrozumieć. Kosmopolityzm w sztuce natomiast to najmniej ciekawy towar, nikogo na świecie nie bulwersujący. Nie strzelajmy zresztą z tak wielkich armat. To prawda, że inaczej pisze dziś fantastykę pozajdlowe pokolenie, ale i ono nie ma ochoty uciekać na siłę od spraw zasadniczych do czystej rozrywki. Jeśli więc śródtytuł dyskusji mówi o współczesnej baśni, że jest zdeprawowana, to o współczesnej fantastyce naszej należałoby powiedzieć, że to rozrywka nieczysta. Są na to dowody: utwory czołówki pisarzy fantastycznych, że wymienię chociażby Borunia i Trepkę, Baranieckiego, Fiałkowskiego, Snerga, Oramusa, Żwikiewicza czy Weinfelda, a także niżej podpisanego. I rzecz jasna Lema wraz z całą plejadą młodych twórców (vide – łamy „Fantastyki"). Jestem pewny, iż wymienionym, a także wielu nie wymienionym, chodzi nie o samą rozrywkę i o eskapizm. Wcale nie chcą uciekać i tym się różnią od superzawodowej, skomercjalizowanej czołówki światowej. Bowiem nieprawdziwe, a nawet i krzywdzące jest twierdzenie o aspiracjach majątkowych naszych młodych twórców. W gruncie rzeczy zarabiają bardzo mało. Idzie im naturalnie o



Andrzej Nowakowski

wyartykułowanie swej obecności w areopagu tych co coś znaczą, w nieustannej paradzie idoli, ale także i o przedstawienie tego, co dla nich w teraźniejszości i przyszłości ważne, najważniejsze.

Trudno mi się także zgodzić na postawienie fantastyki pod pręgierzem deprawacji. Autorzy demonstrują raczej powrót do legend niż czystej baśni, do legend i przekazów, w których melanż pierwiastków pesymizmu i okrucieństwa ma przekonać o trwających ciągle negatywnych cechach natury ludzkiej. Ten motyw przewija się zresztą przez całą tematykę literatury światowej (starożytni, Szekspir) i zdominowuje po dziś dzień także inne, „normalne" jej nurty. Pasuje on jednak lepiej do naszego niż poprzedniego fin de siècle'u. Wówczas drażniono pesymizmem mieszczucha, dziś epatuje się nim i galwanizuje zastygłego odbiorcę massmediów, któremu się zaczyna wydawać, że za naciśnięciem guziczka opanuje wszystkie rozumy, a pigułkami emocji wywoła wszelkie rozkosze. Fantastyka to ani baśń, ani utopia – to natomiast sztuka wybijania z głowy snów o potędze człowieczej. I zgodzić się trzeba, czy się to lubi czy nie, że jest to ważny rozdział dydaktyki, obejmujący rozliczne problemy cywilizacji i kultury w ich drastycznej postaci.

Nie potrafię się zgodzić ani z kompromisową teorią pani Okólskiej, ani z ryzykancką woltą Leszka Bugajskiego. Ten ostatni (zacznijmy od niego, damę zostawiając sobie na deser), stwierdza zależność (anachroniczną) rozwoju fantastyki od stopnia naukowego i technicznego zaawansowania kraju. Czyli musi być podła fantastyka tam, gdzie nie ma doskonałych, szeroko rozpowszechnionych komputerów czy wspaniałych telewizorów, czy pociągów-torped. Ejże, to po prostu nieprawda! Że jest wręcz przeciwnie, że to fantastyka budowała wyobrażenia o rozwoju techniki, świadczy chociażby twórczość Verne'a, czy Ciołkowskiego, wypowiedzi kosmonautów radzieckich i amerykańskich, a także i polskiego kosmonauty. Oni uczyli się wyobraźni na fantastyce. Fantastyka kształciła ich apetyty i zamiary. Mówili o tym zresztą i pisali. Dowód wystarczający. Fantastom niesprawiedliwie zarzuca się także niedostatek wiedzy. Nic nie ryzykuję pisząc, że nawet u słabszych autorów SF jej zasób bywa większy niż u wielu luminarzy głównego nurtu sztuki. Publiczność zaś, składająca się z miłośników SF, uparcie i czujnie pilnuje, aby fantaści zanadto nie uciekli od codzienności. Eskapizm u nas niemodny, o czym przekonaliśmy się, gdy nadeszła fura negatywnych ocen w listach, przysłanych do redakcji naszego pisma po dwóch kolejnych numerach, prezentujących fantasy, a więc baśń, nie zaś „autentyczną" SF. Myli się również, moim zdaniem, Barbara Okólska w swoim przekonaniu o równoczesności wystąpienia lęków i strachu przed negatywnymi działaniami nauki i techniki, dając za przykład utwory Verne'a. Skłaniałbym się raczej ku poglądowi, że dopiero masowe zastosowania wynalazków naukowych w dziedzinie telekomunikacji, transportu, rolnictwa, spiętrzenie wpływów nauki i techniki na codzienność, równoległe z koniecznością takiego spiętrzenia, wywołaną przez „bombę populacyjną" – spowodowało powszechne potężne lęki i obawy. I to nie wobec samej nauki, która bynajmniej nie przechodzi w naszej epoce jakiegoś kryzysu, lecz rozwija się rzec by można

nie twórcy dążą do symbiozy fantastyki naukowej z baśnią, ale że rynek wymusza takie zachowania u autorów. Że to współczesny czytelnik oczekuje baśni, nie treści naukowych i poważnych.

W. Sawicki: Smutna konstatacja.

L. Bugajski: Niekoniecznie. Czytelnik oczekuje po prostu przygód i wartkiej fabuły, a baśń stwarza w tym względzie największe możliwości.

Literatura czy pseudoliteratura?

M. Parowski: A czego w takim razie oczekuje krytyk od tej prozy? Z czego ją rozlicza i za co ją karci?

L. Bugajski: Krytyk taki jak ja zadaje sobie po pierwsze pytanie, czy ma do czynienia z literaturą naprawdę czy na niby? Czy dana fantastyka była pisana – posłużę się rozróżnieniem trywialnym – dla siebie czy dla kogoś? Czy powstawała z wewnętrznej nieprzepartej potrzeby czy na tzw. zamówienie. Bo jeśli piszesz to co możesz, co ci wolno, a nie to co chcesz i co czujesz, że musisz napisać – to nie uprawiasz autentycznej literatury... A od autentycznej literatury fantastycznej oczekuję, że da mi to samo z grubsza co literatura normalna, realistyczna, tylko w ciekawszych kombinacjach – tzn. człowieka z samym sobą, drugim człowiekiem, z maszyną, nauką, ale to wszystko na nowych, nie spenetrowanych przedtem obszarach. Z tym, że to się oczywiście wyrodziło, wynaturzyło, skapcaniało.

M. Parowski: Ja oczekuję, że fantastyka pokaże mi ludzką wewnętrzność i zewnętrzność pod zupełnie nowym kątem. Że mnożąc narzędzia i plany literackie stworzy nowe sytuacje, nowe mity, nowe wzruszenia, da nowe artykulacje starych i nowych emocji.

A. Niewiadowski: Że da inną koncepcję czasu, przestrzeni, że przebada ekstremalne sytuacje.

B. Okólska: Że otworzy przed nami wrota nieograniczonej swobody literackiej, mentalnej... Ładne, prawda? A potem czytelnik idzie do księgarni i bierze do ręki książeczkę z kosmonautą, albo jakąś glistą SF na okładce i czyta: „Statek wyszedł z podprzestrzeni i przeszedł na podświetlną"...

L. Bugajski: O Jezuuu! Powinien do kosza wyrzucić taką książkę.

B. Okólska: Takie rzeczy jeszcze się zdarzają. Są wyznacznikiem pewnego kodu, funkcjonującego na styku między wydawcą, pisarzem a czytelnikiem. Autor chce po prostu napisać książkę poczytną w określonym kręgu i wybiera taki kod, jaki winien mu tę poczytność zapewnić.

M. Parowski: Kod z podprzestrzenią otwiera jeszcze wiele drzwi?

L. Bugajski: O tak, muszę wam powiedzieć, że ostatnimi laty w wyniku uruchomienia przeróżnych serii fantastycznych zaczyna u nas powstawać normalny rynek SF i zmierzamy powoli do stanu równowagi między popytem i podażą. Będą powstawać następne serie, książki wchodzące na rynek będą na coraz niższym poziomie, otwiera się coraz szerzej bramę, przez którą przepychają się coraz gorsze utwory, bo wydawcy chcą po prostu zarobić pieniądze.

P. Krywak: To może być jeszcze niższy poziom?

B. Okólska, L. Bugajski: Może, oczywiście, że może! I będzie!!

W. Sawicki: No to zaczyna się rola nas, krytyków, żeby promować tę dobrą fantastykę i wycinać złą.

L. Bugajski: Nie wyobrażam sobie naszego wpływu na tę sytuację przy tak zorganizowanym rynku.

A. Niewiadowski: Relacje między czytelnikiem a krytykiem są bardzo ważne. Nie można ich przerywać. Na szczęście w przypadku SF te więzi są silniejsze niż w innych odmianach literatury. Nakłady tomików krytycznych SF są bardzo wysokie, a i tak rozchodzą się błyskawicznie.

L. Bugajski: Bo w SF prawie wszyscy są zorganizowani w kluby hobbystów i kupują co się ukaże jak leci. Ale jakie to ma znaczenie w kulturze? Żadne.

M. Parowski: Według mnie podobne znaczenie, jak zrzeszenie się miłośników dobrego kina w DKF-ach, w latach sześćdziesiątych, siedemdziesiątych. To znaczy duże.

W. Sawicki: Przy chaosie panującym na rynku właśnie klub pomaga dotrzeć do rzeczy ważnych, daje orientację, steruje czytelnictwem mniej wyrobionych członków. Jestem za. Uważam, że my krytycy powinniśmy sprzyjać tworzeniu klubów i utrzymywać z nimi kontakt.

L. Bugajski: Nie chciałbym uczestniczyć w takich klubach książki, bo to jest według mnie ogłupianie czytelnika, ubezwłasnowolnianie go, wpychanie mu określonych książek do ręki. Nie bawi mnie udział w takiej zabawie.

Nowe rejony

M. Parowski: Zupełnie nie możemy się dogadać. Fantastyka spełnia rolę literatury popularnej, a jednocześnie w przypadku pisarzy takich jak Dick, Lem, Vonnegut, Strugaccy staje się prozą z prawdziwego zdarzenia. Jedna „Doskonała próżnia" Stanisława Lema stanowi, jak wykazał Bereś, brawurową dyskusję z europejską myślą kulturową przełomu lat sześćdziesiątych i siedemdziesiątych. Te i inne szczytne wzorce funkcjonują przecież w naszej kulturze. Obszary kiczu, bezmyślności i pozoranctwa są duże, ich wpływ znaczny, odbija się to zwłaszcza na poziomie debiutów, ale wymagania wobec gatunku – zwiększają się chyba, nie zmniejszają. Rynek bliski nasycenia, o którym mówił Leszek, to z założenia rynek wybredny. Zastanawiam się, czy powodzenie fantastyki nie przyciągnie pewnej liczby pisarzy niezdecydowanych, czy nie podsunie im wzorców – fantastyka może być dla nich kusząca dzięki popularności, pojemności i różnorodności. A przypominam, emocje polityczne zostały według mnie na terenie SF częściowo rozładowane i fantastyka może teraz pójść w głąb.

L. Bugajski: Niestety, nie podzielam twoich nadziei. Nie wierzę w dobrą, wartościową fantastykę w wykonaniu autorów, którzy dopiero teraz zwrócili uwagę na gatunek, skuszeni jego pokupnością. Sądzę, że właśnie oni będą najbardziej skwapliwie sięgać po najprostsze kody porozumiewania się z publicznością, o których mówiła Barbara.

W. Sawicki: Niby zgadzam się z tobą, Leszek, że zawsze może być gorzej, ale zbliżamy się chyba do momentu granicznego. Jeśli gonimy w piętkę. Jeśli zeszliśmy do poziomu kiczu. Jeśli emocje polityczne zostały wykrzyczane, jeśli przejada się nawet baśń, to może rzeczywiście nastąpi przełamanie w nowym kierunku. Pojawią się nowe pola, najinteligentniejsi zaczną je eksploatować, no a później, niestety, zjawią się naśladowcy.

M. Parowski: Chyba już pojawiły się nowe pola. Próbowałem o nich mówić. O filmach takich jak „Zelig", „Piknik pod Wiszącą Skałą", „Stalker", „Miasto kobiet", o pisarstwie Barthelmego, Bartha, Sontag, o nowej prozie amerykańskiej pokazanej przed paru laty w tomie „Salon luster". O fantastyce bez emblematów serii, funkcjonującej na terenie głównego nurtu jako przyprawa, o niemodernistycznym spojrzeniu na rzeczywistość literacką. To jest inteligentne, czasem żartobliwe, mistyczne, kiedy indziej rzeczywiście trochę felietonowe, zawsze erudycyjne, w miarę konfekcyjne, niegłupie i to już teraz wydaje ciekawe owoce... Takie filmy jak „Powrót do przyszłości" – jak tu się ładnie żeni klasyczne podróże w czasie z nostalgią za latami pięćdziesiątymi, z prozą uniwersytecką. Na terenie nam bliższym, fenomenalnym przykładem rozszerzenia i pomnożenia możliwości fantastyki jest zadziwiające pisarstwo Bułatovicia – pełne seksu, emocji, polityki, fantazji i krwi. Gatunek nam się rozjeżdża, powstają nowe kody, nowe obszary zainteresowań. Tej nieortodoksyjnej, fantastyki niekosmicznej i niefantasy jest wokół nas coraz więcej. Jednocześnie redaktorzy fantastyki polskiej prezentowanej w radiowej trójce, proponują nam cały czas napięte McLeanowskie dialogi kosmicznych herosów. Ale o tamtym może pomówmy, o trzaskających granicach, a nie o pleniącym się stereotypie.

B. Okólska: Fantastyka się „rozjeżdża"... Powiedzmy lepiej – rozwija się, zmienia, to zresztą zjawisko normalne. Tylko my, jak zwykle, jesteśmy zapóźnieni, tkwimy z tyłu w starych definicjach. I musimy przejść przez normalną szkółkę twórczo-czytelniczo-wydawniczą zanim dojrzejemy do naszych polskich Ballardów.

Surrealizm czy komputer?

W. Sawicki: Powiem najpierw, do kogo na razie nie dojrzejemy, czego nie mamy, bo

bezlitośnie, uwypuklając kryzys zaufania człowieka do człowieka. O to chodzi. Fantastyka poszukuje źródeł dewiacji natury ludzkiej i za to jej chwała, a że nie zawsze robi to dobrze, jest winą jej jak gdyby przedwczesnego wielkiego awansu. Fantastyka to odruch masowy i spontaniczny, a wiadomo, że sztuka nie znosi dyletantyzmu, dyletanckich zrywów. Dlatego, nie zaś z powodów jakiegoś epigonizmu w stosunku do „normalnej" sztuki, fantastyka istnieje i często wygrywa. I zarazem przegrywa, bo – kierując się gustami masowej publiczności – sięga nieraz do metod grania na najniższych instynktach. Bywamy bardzo bezwzględni w swych pasjach i lekkomyślności. Pisała Hanna Arendt: *„fizycy rozszczepili atom bez żadnego wahania dokładnie w tym momencie, w którym dowiedzieli się, jak to zrobić, mimo iż zdawali sobie sprawę z olbrzymich destruktywnych możliwości zawartych w tym eksperymencie"*.

Gdy więc pisze się (ciągle za mało) o znaczeniu poszczególnych gatunków sztuki dla kultury, warto natychmiast powiedzieć, a może krzyczeć, bo z samego gadania nic się nie bierze, o błędach polityki wydawniczej. Taka na przykład „czarna seria" zeszytowa „Iskier", w której ukazały się wartościowe utwory, zalega półki księgarskie i obrzydza skutecznie to, co mogłoby smakować licznym miłośnikom fantastyki i nie samej tylko fantastyki. Pisałem też niedawno o przerywanym stosunku między czytelnikiem a pisarzem. To także wina wydawców, operujących nadal dużymi nakładami i serwujących „za to" na rynek małą liczbę tytułów. W ten sposób przedłuża się cykle wydawnicze, utrudnia spotkania autorów z czytającymi, a sobie ułatwia tylko pracę i zarobek. Gdy zaś czytelnik nie może się spotkać z autorem i vice versa, powstają luki kulturowe. Prowadzi do nich również tworzenie „ścieżek szybkiego druku" dla uprzywilejowanych (?). Ciekawe także, że przez tyle lat dyskusji o różnych aspektach naszej kultury rzadko, niezwykle rzadko i enigmatycznie, nieliczni tylko dyskutanci proponowali nowe oceny krytyczne, zaczynając od postulowania zmian w dotąd miłościwie nam panującej hierarchii autorskiej. Wielkie pranie przyniosłoby literaturze duże korzyści i uwolniło czytelników (a także młodzież szkolną) od wielu kłopotów i ciężerów. Ciągle jeszcze przecież ktoś się wychyla zza rogu i woła „kup pan cegłę". Fałszywe mity gorsze bywają od najbardziej okrutnych baśni fantastycznych.

Adam Hollanek

mieć nie możemy. Powstała na Zachodzie książka komputerowa Weissa „Digit" – powieść o komputerze napisana przy pomocy komputera i językiem komputerowym, nieczytelnym dla laików. Spierałem się na ten temat z Rodkiem, on twierdzi, że powieść mogłaby już być u nas przyjęta, ja mówię, że nie, że póki 1,5 mln tych komputerów ZX czy Meritum nie zjawi się u nas (no może spuszczę do miliona), to nie będziemy mieli o czym rozmawiać. Ale kiedy patrzę na tych smarkaczy w sali obok, którzy ćwiczą na komputerach jak szaleni, to zaczynam się zastanawiać – a może u nas już też? Tylko, że spóźnieni jesteśmy na pewno. Dlatego podejrzewam, że w tę komputerową lukę wejdzie u nas coś innego, dziwnego, bardzo swojskiego; już teraz, robiąc recenzje wewnętrzne widzę tego początki. Nazwałem to surrealizmem fantastycznym, próbą odskoczni od rzeczywistości.

M. Parowski: Zgoda, jest tego trochę. Podobną tendencję młodej polskiej SF odsłaniał także nasz pierwszy konkurs.

P. Krywak: Ale to będzie koniec fantastyki naukowej. Na Zachodzie dostrzeżono zresztą wcześniej niż u nas wyczerpywanie się tematów klasycznej SF. I to spowodowało ucieczkę w stronę fantasy, inner space. Nie wyobrażam sobie dziś powieści o kosmicznych podróżach, bo nic nowego na ten temat nie da się powiedzieć. Chyba że powstałaby książka wykraczająca poza czterowymiarową przestrzeń w zupełnie inny świat.

Eskapizm i mitologie

L. Bugajski: Niestety, jesteśmy bardzo z naszą fantastyką zapóźnieni w stosunku do świata. Nie mamy technologii naukowych, cywilizacyjnych udogodnień, z których tam fantastyka wyrasta. Natomiast mamy tę samą co ludzie na Zachodzie potrzebę ucieczki od rzeczywistości. Oni uciekają w Conany, Tolkieny i inne głupoty, dlatego że się zawiedli na technice, na nauce i boją się wojny, a my też się boimy. I myślę, że mamy szanse zrównać się z tymi krajami w fantastyce naukowej, czy w fantasy, czy diabli wiedzą w czym jeszcze, podążając równym krokiem...

W. Sawicki: ...w różne strony.

L. Bugajski: Nie! Równym krokiem uciekając od rzeczywistości. Tak samo jak oni.

B. Okólska: Zgadzam się z Leszkiem. Mówiliśmy o związkach fantastyki z polityką i innymi problemami. Ale ogromny procent tej literatury to jest rzeczywiście ucieczka. Eskapizm. Tak wygląda druga strona medalu.

M. Parowski: Dobra. Manowce gatunku omówiliśmy chyba. Co sądzicie o jego pograniczach?

B. Okólska: Mówiliśmy o prozie komputerowej, o neomodernizmie. Zostają – religia, filozofia...

L. Bugajski: Właśnie. Fantastyka żywi się odpadami z filozofii, religii, nauki. Bierze to i trywializuje.

M. Parowski: To prawda. Czytałem niedawno opowiadanie, w którym kosmiczną problematykę grzechu pierworodnego zredukowano do prostego obrazka, że nikt nie chwycił Ewy za rękę i nie uniemożliwił jej zerwania owocu zakazanego. Ale teraz znakomici podróżnicy w czasie staną przy Ewie na straży i dzieje ludzkości potoczą się inaczej. Nie będzie wygnana z raju. Prominentny krytyk pochwalił to; napisał tak: „jedyną szansą fantastyki naukowej jest symbioza z gatunkiem i formami beletrystyki popularnej, czyli w lwiej części z gatunkami i formami beletrystyki satyrycznej i humorystycznej". Brrr!!!

B. Okólska: Fantastyka spełnia czasem funkcje współczesnej mitologii, buduje także mitologię. Są w fantastyce fabularne stereotypy, żywotne do dziś, które można z tym powiązać, jak ekspansja ludzkości w kosmos, tworzenie się nowych światów, czy też mity dotyczące początków ludzkości. Takim mitem stała się koncepcja, że człowieka, jako udoskonaloną genetycznie małpę, stworzyli kosmici.

M. Parowski: Ale żadna z tych nowożytnych mitologii nie odpowiada na pytanie – kto stworzył... kosmitów?



Za co kochamy kicz?

L. Bugajski: Słuchajcie, a ja lubię wszystkie te bajdy, lubię ten kicz. I Conana, który biega z mieczem. I Daenikena. Jak ja się wspaniale bawiłem, kiedy w telewizorze szalał Bruce Lee. Ale zrozumcie, ja zwykły recenzent – mam prawo. Natomiast czemu krytycy uniwersyteccy, doktorzy, literaturoznawcy, dlaczego wy z takim zamiłowaniem grzebiecie się w kiczu?

B. Okólska: A ty o jakiej literaturze lubisz pisać?

L. Bugajski: Literaturę lubię dobrą, wybitną, mądrą, wielką. I wyobrażam sobie, że gdybym był literaturoznawcą, też bym chyba wolał kontaktować się z wybitną prozą, a nie z taką strywializowaną jaką najczęściej bywa fantastyka. Ale odpowiadam tu sobie na zdrowy rozsądek, że może fantastyką łatwiej się zajmować, bo tam jest wszystko bardziej na wierzchu, schematy bezwstydnie same się odsłaniają, łatwiej to odejmować, dodawać, nacinać skalpelem. Powiedzcie naukowcy – naiwnie sobie odpowiadam na naiwne pytania – czy jestem na dobrym tropie?

B. Okólska: Odpowiedzi jest parę, literaturoznawcy udzielali ich już wiele razy. Po pierwsze, nauka nie może zajmować się tylko arcydziełami. Musi zajmować się wszystkim. Po drugie, literaturoznawcom często zarzuca się, iż swoje literackie teorie ilustrują wyłącznie arcydziełami. Tymczasem talent wybitny to rzecz niepowtarzalna. Jak powiedział Lem, każdy normalny tygrys jest reprezentatywny dla gatunku tygrysów, natomiast nie każda powieść jest reprezentatywna dla gatunku powieści. Rzeczy wielkie, uznane, nie mówią wszystkiego o literaturze. Nie dają pojęcia o całym zjawisku.

P. Krywak: Na pytanie pana Bugajskiego można odpowiedzieć dwojako: obiektywnie i naukowo lub w sposób bardziej emocjonalny. Pani Okólska wybrała pierwszy wariant, ja wolę drugi. Dlaczego więc zajmuję się fantastyką naukową, dlaczego grzebię się w kiczu? Po prostu czegoś w tym szukam, niekoniecznie zresztą znajdując. W moim przekonaniu science fiction jest typem twórczości literackiej stwarzającym niepowtarzalną i niemożliwą do zrealizowania w innej konwencji szansę konfrontowania dwu typów myślenia: humanistycznego z technokratycznym, a także konfrontowania związanych z nimi postaw. Wnioski, jakie mogą się w związku z tym zrodzić powinny być interesujące, wzbogacając w pewien sposób wiedzę o nas samych – o człowieku, o ludzkości... Takiej nowej, inspirującej autorefleksji o ludziach szukam w science fiction. Nie znajduję jej często. Odkryłem dla siebie Wellsa, Lema, Strugackich... Ot i wszystko. Nad literaturą zachodnią płaczę ze śmiechu, nie wyłączając książek osławionego Dicka... Z powodzi kiczu staram się wyłowić to, co wartościowe; opisać to, pytając siebie samego: dlaczego uważam, że ta, a nie inna książka jest lepsza? Nie mam złudzeń – science fiction ewoluuje ku zagładzie, przynajmniej ta jej forma, którą cenię. Nie mam ochoty mówić o fantasy, czy literaturze z komputera. To ślepe zaułki, manowce prozy. Mogę się od nich odciąć, choć nie wolno mi nie dostrzegać ich istnienia. Muszę szukać i czekać, aż autor, który chce oszukiwać i czytelnik, który pragnie być oszukiwany znudzą się sobą i otworzą szerzej oczy. Czy i kiedy to nastąpi? To już zupełnie inna sprawa.

L. Bugajski: Rozumiem, że naukowcy wpuszczają mnie w kanał – piękno poznania.

B. Okólska: Raczej – wartość poznania. Naukowiec musi zająć się całością. Powinien odpowiedzieć na pytania – dlaczego kicz? Czemu go tak dużo?

A. Niewiadowski: Dlaczego kicz jest taki popularny? Czemu zyskuje tak duże znaczenie? Jak mieści się w kręgu kultury masowej? Czemu kultura jest chora? Czy jest rzeczywiście chora?... Czytając wyłącznie arcydzieła nie dojdziesz do tych problemów. Zresztą wiesz o tym równie dobrze jak ja, nie czytasz wyłącznie arcydzieł i podobnie jak my wszyscy, nie zajmujesz się tylko SF. Czytamy fantastykę, czytamy inne rzeczy i widzimy jak ta sama sytuacja, która wpływała na Brezę, Kuśniewicza, Różewicza, Mrożka, Gombrowicza... osaczała również innych mniej wybitnych autorów, w tym także fantastów. Dopiero oglądając wszystko naraz możesz mieć pełen przegląd zjawisk literackich, przemian generacyjnych, fluktuacji zamówień społecznych, politycznych konfliktów, pojednań i rozstań. Fantastyka nawet gdy błądzi, jest częścią narodowej kultury i literatury. Nie błądzi zresztą i nie odnajduje się sama, tylko najczęściej z całą kulturą, raz trochę z wyprzedzeniem, a raz z opóźnieniem. Tak to wygląda.

L. Bugajski: Tylko trochę mnie przekonaliście. Uważam, że istnieje w kiczu coś sekretnego, wstydliwego, smakowitego, co sprawia, że każdy lubi być kiczem zniepławiony. I może to, a nie przypadkowe i nieczęste wzloty jest prawdziwą przyczyną powodzenia fantastyki? Każdy chce się wytarzać w tej taniosze, nawet nieprzystępne, wyrafinowane i subtelne szatynki z kręgu kultury śródziemnomorskiej. Nasza długa dyskusja także jest tego dowodem.

Opracował Maciej Parowski

Kurpisz Mieczysław

(ur. 1952)

Filolog, prozaik

Urodził się w Kościanie w 1952 r. W 1976 r. ukończył Wydział Filologii Polskiej Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza w Poznaniu. Słuchacz Studium Doktoranckiego w Instytucie Filozofii przy Wydziale Nauk Społecznych UAM. Debiutował w 1969 r. wierszem opublikowanym na łamach „Radaru". Swoje utwory poetyckie, opowiadania i szkice krytyczne zamieszczał w „Nurcie", „Nadodrzu", „Twórczości", „Poezji". W 1984 r. wydał powieść „Dochodzenie". Był współtwórcą poznańskiej grupy literackiej „Fikcje".

Fantastykę naukową w twórczości Mieczysława Kurpisza reprezentuje zbiór opowiadań **„Bez przerwy wypełniać tę ciszę"** (KAW 1979; zawartość: Pociąg, Rozbiór logiczny, Sztuczne oddychanie, Bez przerwy wypełniać tę ciszę, I.t.m 19–65, To ja odkryłem Prawdę, Operacja „Godot", czyli dialogi kosmiczne) oraz powieść „Ataraksja" nawiązująca epizodycznie do motywacji SF.

Proza Mieczysława Kurpisza próbuje przełamywać tradycyjne konwencje SF: jest nie tyle fantastyką naukową sensu stricto, co współczesną odmianą literatury psychologicznej, ukazującą sytuację człowieka w świecie poddanym różnego rodzaju stresom, napięciom społecznym, zagrożeniom. Fantastyka naukowa jest pretekstem do rozważań filozoficznych, egzystencjalnych; kostiumem służącym polemice z programami społecznymi, metodą uogólnienia rzeczywistości. W wielu opowiadaniach Kurpisza mamy do czynienia z opisem stanu anormalności, odrębności, wyjątkowości; akcja utworów dzieje się w szpitalu psychiatrycznym, przypadki patologii, odchylenia od normy unaoczniają względność naszej oceny świata, jej iluzoryczność, funkcjonalność, zależność od cudzych opinii, sądów, przekonań. Poetyka prozy Kurpisza przypomina absurdalną, zbiurokratyzowaną rzeczywistość Kafki, pobawioną ładu, stabilności, logiki. Kurpisz sięga przy tym do różnych wątków, motywów literackich, parafrazuje wypowiedzi klasyków, tak jak w opowiadaniu „Operacja »Godot«, czyli dialogi kosmiczne". Tworzy również swoisty zapis dialogowy budując na tej podstawie strukturę całego opowiadania. Rzecz jasna, każda próba opuszczenia getta SF zasługuje na uznanie, jednak na tle osiągnięć prozy społecznej i psychologicznej wypowiedzi Kurpisza nie są niczym nowym, a jego bardziej ambitne teksty nie docierają z kolei do szeregowych czytelników SF, którzy nie potrafią sprostać wymogom techniki behawioralnej, konieczności rozszyfrowania aluzji i odwołań literackich.

Bibliografia wybrana:

A. Ogrodowczyk (w:) „Nurt" 1980 / 8

Kurta Henryk

(ur. 1935)

Publicysta, prozaik, tłumacz

Urodził się 14 września 1935 r. w Paryżu, gdzie wychowywał się w rodzinie polsko-hiszpańskiej mając obywatelstwo francuskie. Stypendysta państwowy – uczęszczał do liceum im. Henryka IV. Na rok przed przyjazdem do Polski (1952) zaczął chodzić do Liceum Polskiego w Paryżu. Po uzyskaniu matury w Pułtusku został studentem Wydziału Dziennikarskiego Uniwersytetu Warszawskiego. Po studiach był sekretarzem, następnie redaktorem naczelnym (1969–1973) pisma „Widnokręgi". Współpracował z licznymi czasopismami krajowymi, radiem i telewizją, a także z prasą zagraniczną (francuską, kanadyjską, belgijską, ukraińską, czeską, słowacką). Pod koniec lat sześćdziesiątych zaczął drukować opowiadania (humoreski, kryminały) na łamach prasy krajowej i zagranicznej. Opublikował m.in. następujące książki: „W cieniu Marianny" (1971, 1984), „Quebec, czyli co się stało z morgą śniegu" (1972), „Wszystko o prezydentach Francji" (1976), „Wszystko o Informacji", „Wszystko o Interpolu" (1977), „Largo con morte" (1978, 1979), „Mors ultima ratio" (1979), „Podwójna śmierć Gustava A." (1985). Ponadto na język francuski, dla paryskiego wydawnictwa „Fleuve Noir" przetłumaczył następujące pozycje: „Adam jeden z nas" – Konrada Fiałkowskiego (1984), „Obszar nieciągłości" – Andrzeja Krzepkowskiego i Andrzeja Wójcika (1984), **„Dzień czerwonego Giganta"** (1984).

Ta ostatnia powieść stanowi zarazem debiut fantastyczno-naukowy Henryka Kurty (w Polsce ukazała się nakładem KAW-u w roku 1982). Jest to historia eksploracji pewnej planety, na której dochodzi do zbiorowego samobójstwa zainspirowanego przez elitę rządzącą, głoszącą hasła pełnej anarchii i totalnej wolności jednostki. Planeta okazuje się Ziemią – w zakończeniu, które stanowi rodzaj ramy narracyjnej dowiadujemy się, że opowieść była streszczeniem filmu nakręconego w roku 2028 ku przestrodze współczesnych.

Powieść dotyczy tematyki socjologicznej – rozbudowane partie dyskursywne utworu i rozważania historiozoficzne czynią z niego lekturę trudną, wymagającą uwagi i koncentracji. ■

W przedziale pociągu pośpiesznego jechały dwie starsze kobiety i dwóch również starszych mężczyzn. Może pierwsze wrażenie, jakie odniosłem na temat ich wieku, jest nieistotne, może więc po prostu byli i to należy uznać za najważniejsze.

Siedziałem przy oknie i wpatrywałem się w mijany krajobraz. Czułem się przeciętnym obywatelem, obarczonym rozmaitymi, niewesołymi dla zwykłego śmiertelnika powinnościami. Z tychże zapewne powodów ciągle oddalająca się linia horyzontu wprawiała mnie w stan błogiego uspokojenia, pogłębianego przez równomierny stukot kół.

Otworzyły się drzwi i do przedziału wszedł konduktor. Był tak uprzejmy, że aż to mnie zdziwiło. Oddał bilety i zamieniwszy kilka słów z pasażerem z mojej lewej strony – łysym jegomościem – opuścił nas, pozostawiając miłe wrażenie i wdzięczny temat do rozmowy. Nikt się jednak nie odezwał.

Kobiety wpatrywały się uparcie w powiewające firanki, a drugi z mężczyzn, różniący się od łysego jegomościa bujną czupryną i małą hiszpańską bródką, rozwijał spory pakunek, który okazał się wiklinowym koszykiem wypełnionym kanapkami.

Dopiero w tym momencie spostrzegłem, że mężczyzna, z którym rozmawiał konduktor, czyta gazetę do góry nogami. Przez dłuższy czas przyglądałem się łysemu jegomościowi, ale w jego zachowaniu nic nie wskazywało, że robi to w sposób niecelowy. Z uwagą przeglądał kolejne strony, zatrzymywał się przy odwróconych zdjęciach, a nawet próbował przeczytać coś, co było wydrukowane mikroskopijną wręcz czcionką.

Kobiety w dalszym ciągu wpatrywały się w firanki, a mężczyzna z hiszpańską bródką oddał się całkowicie swojemu posiłkowi. Czyżby nikt z obecnych nie zauważył tego co ja? Przecież to niemożliwe. W dalszym ciągu położenie gazety wskazywało na to, że ów jegomość zmuszony jest do czytania w tak niezwykły sposób, zdziwienie zatem powinno być rzeczą normalną.

– Co pan sądzi o fikcji? – zapytał nieoczekiwanie łysy jegomość, a ja omal nie dostałem ataku serca. Zarówno sam fakt odezwania się tego człowieka, jak i temat były tak niesamowite, że przez dłuższy czas milczałem zaskoczony. Ze zdenerwowania spociły mi się ręce.

– Nie bardzo wiem o co panu chodzi – zacząłem niepewnie.

Łysy jegomość odłożył gazetę, spojrzał mi przejmująco w oczy i dobitnie wyskandował: – Fikcja to temat mojego życia. Nigdy się pan nad tym nie zastanawiał?

– Kto się zastanawia?

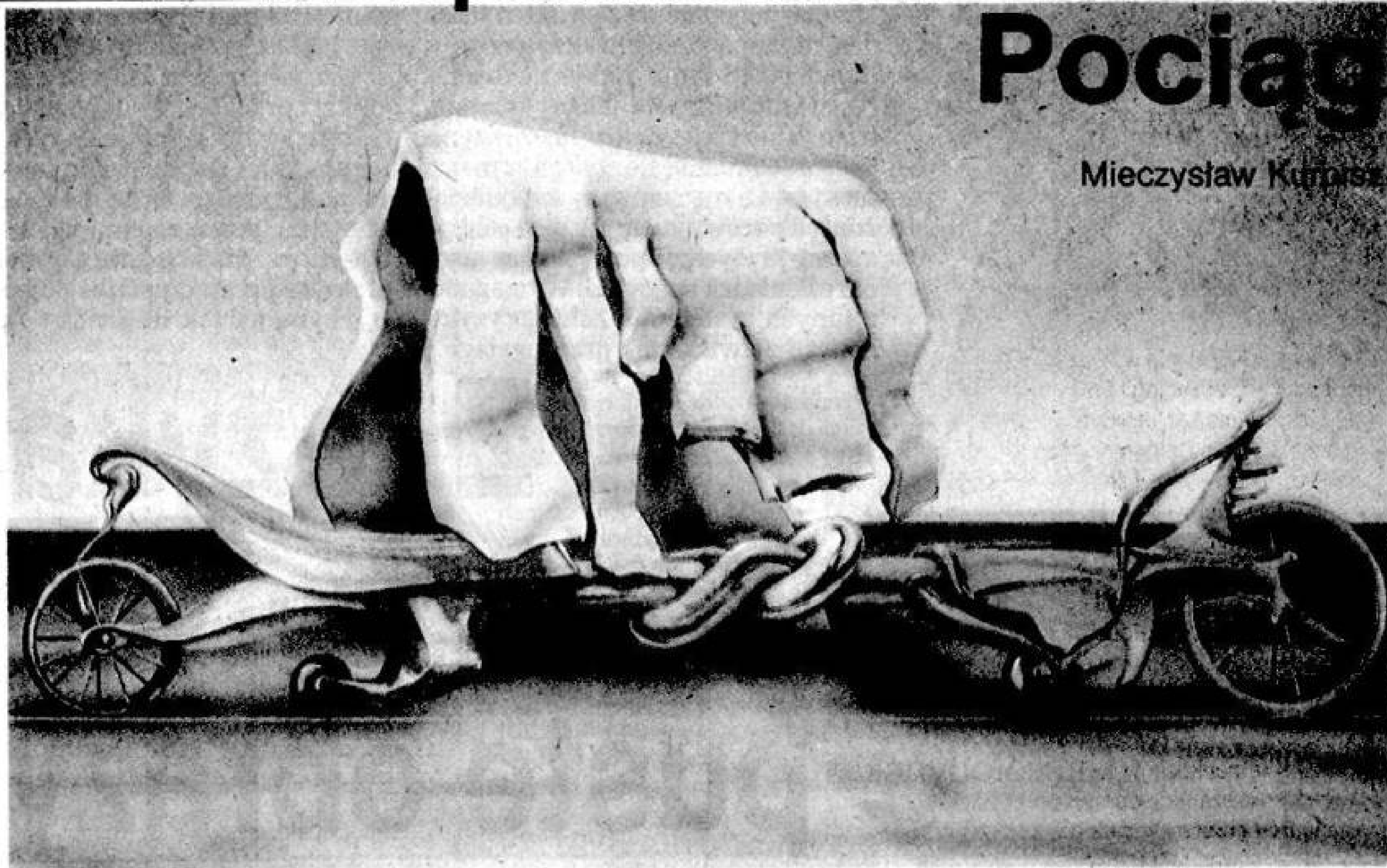
– Szkoda, wiele pan stracił. Dla mnie fikcja stała się wszystkim – pasją, ideałem, celem. Najciekawsze, że nie wiemy, co jest prawdziwe, a co fałszywe. W zasadzie nigdy nie wiadomo. Nigdy nie można dojść do ostatecznego rozwiązania. Pan mnie rozumie? Osiągnięcie pełni jest niemożliwe. – Mówił coraz szybciej. – Wystarczy zmienić kryteria i prawda stanie się fałszem, a fałsz prawdą. Pan się z tym nie spotkał?

Nawet nie zdążyłem odpowiedzieć.

– Prawda jest fikcją i fałsz może być fikcją, ale fikcja nie może być fałszem. W tym tkwi zasadnicza różnica. Fikcja jest jedna.

Pociąg

Mieczysław Kurpisz



Andrzej Brzezicki

Wielka i niezniszczalna. A prawda? Czym jest prawda? Wymysłem, obowiązującym zespołem reguł. Fikcja może znaczyć dobro i zło, fikcja jest złem i dobrem. Jest jednym i drugim. Radość i cierpienie to prawda i fałsz. Fikcja jest naszą pocieszycielką, ucieczką, więzieniem i rajem, przeznaczeniem i klątwą. Wielka, niezniszczalna fikcja. Dzięki niej możemy żyć, oddychać, umierać. Czy śmierć nie jest uważana przez chrześcijan za fikcję? To fikcja. Człowiek według nich nie umiera – żyje dusza, tak jak żyje fikcja. Największa siła ludzkości i jej zguba. Czym jest nasze życie, jeśli nie jedną wielką fikcją? A my chcemy jej się za wszelką cenę pozbyć...

Patrzyłem na niego pełen najgorszych przeczuć. Kobiety kiwały głowami w rytm stukotu kół. Drugi mężczyzna nie przerywał swego monstrualnego posiłku. Jegomość rozprawiający o fikcji umilkł na chwilę. W końcu poprosił mnie o papierosa. Poczęstowałem go, potem sam zapaliłem.

– Prawda i fałsz – zaczął znowu – to jak bracia i siostry. A przecież jedno czasami zabija drugie. Czy pan wie, że i pan może być fikcją? I to, o czym pan w tej chwili myśli, jest fikcją i ten papieros, który palę – też jest fikcją. Pan potrzebuje drugiego człowieka, aby powiedział panu, że pan istnieje. Tak prawda potrzebuje fałszu, tak dzień potrzebuje nocy, miłość – cierpienia, tak fikcja potrzebuje nas, byśmy mogli głosić jej istnienie i zwycięstwo. Cały świat jest jedną wszechpotężną fikcją. Pewnie czyta pan książki, zna się pan na literaturze – czy to wszystko nie jest fikcją? Nawet wtedy, gdy się spełniają nasze marzenia – to też jest fikcja, bo każde słowo jest fikcją i nie należy mu wierzyć, tak jak pan nie powinien wierzyć w to, co mówię. Bo słowo jest fikcją i niczym innym. Głupcy, którzy wierzą w słowa, niech uwierzą w fikcję.

Mężczyzna z hiszpańską bródką niespodziewanie przerwał swoje uciążliwe zajęcie i zaczął mówić:

– Napisałem kiedyś książkę o młodym chłopcu, który zabił swego przyjaciela, ale nie wiedział dlaczego. W czasie rozprawy nie potrafił niczego wyjaśnić. Biegli sądowi nie stwierdzili najmniejszych odchyleń patologicznych. Tuż po oddaniu książki do drukarni wpadła mi w ręce gazeta, w której przeczytałem o identycznym wydarzeniu. Wyrok brzmiał dwadzieścia pięć lat – właśnie tyle czekało mojego fikcyjnego bohatera. Uświadomiłem sobie, że to właśnie ja, poprzez wymyślenie całej tej historii, doprowadziłem do jej wystąpienia w realnym świecie. Byłem odpowiedzialny za to co się stało. Stworzyłem fikcyjną postać, która okazała się prawdziwym człowiekiem. Popełniła to, co ja zaprogramowałem.

– Wszystko jest fikcją – przerwał mu łysy jegomość – niezniszczalną, tragiczną fikcją, w której prawda i fałsz są tylko innymi nazwami tego samego. W naszym świecie albo nie ma miejsca na prawdę, albo wszystko jest fikcją, czyli bólem i zwątpieniem. Nikt nie wymyślił tej tragedii i nikt nie wymyślił fikcji. Wszystko jest straszną pomyłką. Schronienia możemy szukać w absurdzie, śmierci, ułudzie. Ale fikcja ogarnia nas i nie możemy być pewni, czy któregoś dnia nie obudzimy się w innej postaci, niż układaliśmy się do snu. Żyjemy i to jest największą fikcją. Musimy zginąć, aby pokonać fikcję i to jest nasz jedyny cel i jedyny ratunek.

Kobiety nuciły jakąś kościelną pieśń, drugi mężczyzna wpatrywał się beznamiętnie w mijane pola. Bladoniebieski dym zaczął działać jak opium.

Łysy jegomość spojrzał na mnie z napięciem.

– Zna pan „Tunel" Dürrenmatta? Czytał pan?... To była fikcja – teraz stanie się rzeczywistością. Wszystkich przekupiliśmy, pociąg zmienił trasę. W najbliższym tunelu rozbijemy się – musimy zginąć. Tylko w ten sposób możemy złożyć hołd wszechpotężnej fikcji. Jeszcze jedno słowo zamieni się w krew. Może wtedy ludzie zrozumieją, że nie ma granicy między dniem a nocą, winą a karą. Zabijemy się. Konduktor, który wszedł do naszego przedziału – był ostatnim człowiekiem z tamtego świata.

Kobiety śpiewały coraz głośniej, rozróżniałem dokładnie zwrotki. Czułem się zupełnie sparaliżowany, ale zdecydowałem się walczyć. Rzuciłem się do okna, próbowałem je otworzyć – bez skutku.

Łysy jegomość śmiał się przeraźliwie. Pociągnąłem za hamulec, ale pociąg nie zwolnił ani na moment. Usiadłem zrozpaczony.

– Niech pan spojrzy w okno – ostatnie krajobrazy w pana życiu.

– To niemożliwe! – krzyknąłem. – Ja chcę żyć. Nic mnie nie obchodzi wasza fikcja, puśćcie mnie!

Doskoczyłem do drzwi, pchnąłem – nie ustąpiły...

– Już niedługo – wrzasnął ten z hiszpańską bródką i z całej siły kopnął mnie w żołądek. – Nikt cię tutaj nie prosił. Dla takich jak ty musimy zginąć. – Po twarzy ciekła mi krew. Napierałem z całej siły na szybę. Nie czułem nawet, że kobiety uczepiły się moich rąk i gryzły je skowycząc.

– Fikcja, fikcja – krzyczał łysy – musi zwyciężyć. Dopiero wtedy zapanuje pokój na ziemi. Niech żyje wielka, wszechpotężna fikcja!

Wszyscy zaczęli coś śpiewać i właśnie w tym momencie szyba pękła i błyskawicznie wydostałem się na korytarz. Wyjrzałem przez okno. Czarny otwór tunelu zbliżał się zdecydowanie. Dopadłem do drzwi wagonu. Przez chwilę zawahałem się. W locie uderzyłem o coś twardego. Ogromny huk w tunelu był ostatnim odgłosem, który usłyszałem.

Przygotował
Andrzej Niewiadowski

Mieczysław Kurpisz, Pociąg, (w:) M. Kurpisz, Bez przerwy wypełniać tę ciszę, Krajowa Agencja Wydawnicza, 1979, ss. 5–9.

Łatwiej pogodzić się z brakiem ścisłej definicji science fiction niż z niedostatkami narzędzi jej krytycznego opisu. Fantastyka naukowa zadomowiła się i funkcjonuje na dwóch obszarach: przekazu literackiego (w co wliczyć trzeba także rysowany komiks) i przekazu audiowizualnego (kino i telewizja wraz z magnetowidem). Formy wyrosłe na tych obszarach różnią się znacznie: mają odmienny rytm ewolucji, odmienne są także mechanizmy ich oddziaływania. Nie znaczy to, że nie można ich porównywać. Do tego celu potrzebny jest jednak rozbudowany aparat krytyczny pozwalający w pierwszym rzędzie na precyzyjne określenie ich specyfiki. Wymaga to w praktyce przeszczepiania pojęć z innych systemów. Zabieg ryzykowny, chyba jednak niezbędny w obliczu zjawiska tak przebogatego.

Fot. Zbigniew Latała

Z języka krytyki: puste obrazy

Andrzej Kołodyński

Wstęp ten zapowiedzieć ma propozycję podobnego typu: zastosowania w analizie filmów science fiction pojęcia „pustego obrazu". Ma ono charakter metaforyczny i zostało skonstruowane na zasadzie analogii z terminami językoznawczymi. W językoznawstwie bowiem istnieje kategoria gramatycznego „pustego miejsca", semantycznie „pustej nazwy", wreszcie „pustego wyrazu" z języków analitycznych. Zanim jednak spróbuję wykazać użyteczność podobnej kategorii, przypomnieć trzeba o różnicach między literaturą a kinem. Chodzi oczywiście o tworzywo – różnice między giętką materią słowa i ciężkim konkretem ekranowego obrazu. Z tej to przyczyny linia rozwoju kinowego czy telewizyjnego filmu SF nie pokrywa się z linią rozwoju literatury. Może nawet nie sięga równie wysoko. W kinie nie ma bowiem ucieczki od wizualnego konkretu, co znacznie hamuje swobodę wyobraźni. Jest to truizm, ale wyjaśnia do pewnego stopnia kierunek rozwoju ekranowej SF. Wskazuje także na źródło niewątpliwej fascynacji odbiorcy. Jest nim bowiem coś, czego nie zapewnia zmierzająca w coraz większym stopniu ku intelektualnej abstrakcji literatura SF: możliwość niemal naskórkowego przeżycia niezwykłości. Obraz jest dosłowny, działa agresywnie. Na poziomie najbardziej prymitywnym owo wrażenie niezwykłości wywołuje obfite szafowanie efektem destrukcji. Kino SF nie skąpi go widzom, i to od samych swych początków. Susan Sontag, pilna obserwatorka filmów z lat pięćdziesiątych, stwierdza wręcz, że istotą widowiska SF jest „wyobrażenie destrukcji"[1]). Sądu tego nie potwierdza może dzisiejsze kino, ale rozważania autorki o „szczególnym pięknie" filmowych sekwencji burzenia ładu nie straciły aktualności.

Znacznie trudniej wywołać równie intensywne wrażenie niezwykłości demonstrując świat stabilny. W literaturze świat taki przedstawiony słowami ma egzystencję poetycką. Na ekranie istnieje w obrazie, utrwalony w kształcie artefaktów. Choć środki techniczne filmu pozwalają na pewnego rodzaju niedookreślenie semantyczne, konkretność ich fizycznej egzystencji nie ulega w wyniku tych zabiegów podważeniu. Obraz filmowy jest bowiem powtarzalny, a tym samym – sprawdzalny. I nietrudno dostrzec zjawisko, które francuski krytyk Guy Gauthier nazywa „najbardziej frustrującym paradoksem" fantastyki naukowej. Tekst Gauthiera[2]), choć mniej znany od „Wyobraźni katastroficznej" Sontag, należy już do klasycznych przykładów krytyki SF i wart jest cytowania. Czytamy w nim: *„Wyobraźnia artysty może sięgać poza granice nauki (...), ale nie – sztuki; innymi słowy nie może przekroczyć siebie. Można było przewidzieć sztucznego satelitę niemal na sto lat przed jego skonstruowaniem, nikt jednak nie potrafił przewidzieć, nawet z najmniejszego dystansu czasowego, Picassa, Klee i Kandinsky'ego – z wyjątkiem samego Picassa, Klee i Kandinsky'ego".*

Tłumaczy to, dlaczego wizje sztuki przyszłości na ekranie nabierają tak szybko muzealnego charakteru. Każdy ich szczegół odpowiada bowiem standardom estetycznym epoki, która wizje te zrodziła. Nic nie starzeje się bardziej od filmu science fiction. Gauthier zauważa słusznie, że łatwiej o i d e ę pojazdu kosmicznego czy wzoru przemysłowego, niż o jej realizację. Wszelka próba nadania takiej idei kształtu jest zdeterminowana stanem estetycznej świadomości.

Wiąże się z tym jeszcze jedno: oto filmowy wehikuł wyobraźni przemienia się w muzeum także dlatego, że wypełniają go dzieła sztuki przyszłości. Osiągnięcia nauki są wciąż kwestionowane, nikt jednak nie ośmieliłby się zakwestionować wartości poezji Rimbauda czy malarstwa Renoira: *„Możemy pogodzić się z przypuszczeniem, że tego rodzaju dzieła sztuki staną się niemodne, nigdy jednak (...) – że ulegną zapomnieniu".*

Rozważania te odnoszą się do SF klasycznej, a więc wybiegającej w przyszłość, profetycznej – ukazującej na ekranie „kształt rzeczy, które nadejdą". Upraszczając nieco powiedzieć można, że w dziejach kina tak właśnie pojmowano zadania i specyfikę gatunku mniej więcej do lat pięćdziesiątych. Odrodzenie i gwałtowny rozwój SF, który nastąpił wówczas głównie w kinie amerykańskim – pod wpływem czynników komercyjnych, technicznych i pośrednio, politycznych – przyniósł jednak zmiany. Ekranowa SF utraciła w dużej mierze charakter „przyszłościowy". Rozwój techniki filmowej pozwalał wprawdzie na stworzenie przekonujących obrazów postępu technologicznego, ale ta właśnie szansa została jakby odrzucona. W odczuciu odbiorców nurt profetyczno-technologiczny, wywodzący się z tradycji literackiej Verne'a, wydawał się już anachroniczny. Nie miejsce tu, aby wdawać się w wyjaśnianie tego zjawiska. Bardziej interesują nas jego skutki. Stwierdzić więc należy, że kino potrafiło z owego odczucia uczynić cnotę. Świadomie wprowadzany anachronizm stał się elementem gry z widzem doprowadzając często do skrajności. Przykładem słynny w swoim czasie film „Diabelski wynalazek" (1958) Karela Zemana, w którym ekranowy obraz, zresztą wywiedziony z Verne'a, stylizowany jest konsekwentnie na dziewiętnastowieczne grawiury. Łatwiejsze i dlatego częściej stosowane rozwiązanie polegało na osłabieniu anachronizmu przez wydobycie i sensacyjne podkreślenie wątku technologicznego zagrożenia. Dziewiętnastowieczni wizjonerzy nie brali go jeszcze pod uwagę. Ze świadomości zagrożenia wyrósł niezmiernie bogaty kierunek SF katastroficznej, powiązanej niejednokrotnie z dystopią o charakterze społecznym i politycznym.

Wczesne lata pięćdziesiąte w kinie to również nowe archetypy tematyczne. Przez umiejscowienie akcji w czasie teraźniejszym film SF stawał się obszarem zderzenia tego, co realne i zwykłe z hipotetycznym. Podkreślam: hipotetycznym, a nie irracjonalnym, aby uzmysłowić różnicę z filmem grozy (horrorem) – choć kinowa praktyka skutecznie ją zaciera. Zwłaszcza dzisiaj. W latach pięćdziesiątych przykładu takiego zderzenia dostarczały niezmiernie popularne filmy o najeźdźcach z kosmosu lub o monstrualnych bestiach przebudza-

nych atomowymi eksplozjami ze snu trwającego miliony lat. W podobnych filmach rozbrzmiewało przesłanie polityczne, często o treści zimnowojennej, czasem szlachetniejsze – zawsze jednak naiwne. Trzeba było jeszcze kilkunastu lat, aby w tej właśnie konwencji – choć niepomiernie wzbogaconej artystycznie – wyrazić problemy o wymiarze filozoficznym. Przełomu dokonała słynna „2001: odyseja kosmiczna" (1968) Stanleya Kubricka. Można nie traktować poważnie swoistej grozy proponowanej w tym filmie, ale nie można nie docenić znaczenia samej próby poszerzenia intelektualnego formatu kinowej SF.

Powróćmy jednak jeszcze do wczesnych lat pięćdziesiątych. Istotne jest, że wówczas także film SF stał się swoistym sprawdzianem pewnych struktur modelowych. Eksperymenty tego rodzaju wiążą się z koncepcją czasu paralelnego, nową w kinie, choć od dawna już wykorzystywaną w literaturze. Znowu więc można było nie wybiegać w przyszłość, nie konstruować pracowicie wizji profetycznej, lecz ograniczyć się jedynie do przestawienia kilku elementów w obrazie „sprawdzalnej" rzeczywistości. Przestawienia, oczywiście, nie przypadkowego, lecz wynikającego z założeń intelektualnej hipotezy. Kierunek ten zaowocował ciekawymi filmami zwłaszcza w kinie francuskim, co nie pozostawało bez związku z eksperymentami „nowej fali". W ten sposób ekranowa science fiction znalazła się nieoczekiwanie w pierwszych szeregach artystycznej awangardy...

Na krótko, niestety. Zainteresowanie gatunkiem wyraźnie osłabło na początku lat siedemdziesiątych i wydawało się, że wyczerpaniu uległy także nowe formuły, zbyt pospiesznie i zbyt powierzchownie eksploatowane. Kolejny okres komercyjnych (a często i artystycznych) sukcesów – okres trwający do dziś – liczyć można dopiero od fenomenu „Gwiezdnych wojen" George'a Lucasa, a więc od roku 1978. Wymieniam ten tytuł jako punkt orientacyjny. Powodzenie jednego filmu czy całego cyklu filmów w jakiś sposób sobie pokrewnych jest zawsze sygnałem, iż pojawiło się w kinie coś nowego, co zostało podchwycone przez masowego odbiorcę jako spełnienie utajonej, nie wyrażanej wprost potrzeby. Wydaje się, że nowością, która przesądziła o nagłej akceptacji kina SF na skalę masową było wzbogacenie go o obszar f a n t a s y. Trudno przecenić wpływ tego kierunku, zrodzonego w literaturze. Wraz z fantasy rozpoczęła się swobodna gra konwencjami; umowne reguły gatunku zostały obalone i zatarły się ostatecznie granice między wszelkimi podgatunkami.

Pozwolę sobie w tym miejscu na dygresję: oto nieco ironicznie puentuje obecną sytuację kinowej SF ponowne wprowadzenie na ekrany „Metropolis" Fritza Langa, niemego filmu z roku 1929. Mniejsza, że to arcydzieło pojawia się w oprawie muzyki dyskotekowej, ponieważ inicjator wznowienia uznał (zapewne słusznie), że filmy SF ogląda przede wszystkim młodzież i dostosował się do jej upodobań. Bardziej znacząca wydaje się zmiana krytycznej perspektywy. W „Metropolis" wciąż zadziwia wizjonerstwo i rozmach: wszak film ten nie tylko zamykał wstępny okres rozwoju SF w kinie, ale i otwierał nowy. Pojawiają się w nim wątki technologicznego przerostu i wywołanej tym katastrofy społecznej, symbolicznie potraktowanego buntu robota, a także nauki zwracającej się niebezpiecznie przeciwko człowiekowi. To wszystko należy już do nowoczesnej science fiction. Ale „szalony naukowiec" Rotwang przypomina w tym filmie średniowiecznego maga: zamieszkuje w baśniowej chatce umieszczonej na szczycie ultranowoczesnego wieżowca i posługuje się magią, aby ożywić skonstruowanego przez siebie metalowego robota. Niegdyś wydawało się to anachronizmem przeniesionym wprost z gotyckiego romansu, skazą w jednolitej fakturze dzieła. Dziś podziwia się tylko intuicję twórcy, który przewidział kierunek rozwoju kina SF...

Starałem się naszkicować ogólny zarys rozwoju tematyki SF w dziejach kina wyróżniając trzy okresy przedzielone cezurami – u progu lat pięćdziesiątych i z końcem siedemdziesiątych. Rozwój ten warunkowała i nadal warunkuje w dużej mierze technika. Gdy w innych sztukach technika jest zazwyczaj pochodną artystycznej idei, specyfika filmu polega na odwróceniu sytuacji. Udoskonalenie techniki rodzi często nowe kierunki artystyczne. Widać to wyraźnie właśnie na przykładzie science fiction. Dzisiaj produkcja prestiżowego filmu, dzięki praktyce hollywoodzkiej, przypomina ogromne przedsięwzięcie przemysłowe o rezultatach wykorzystywanych w różnych, niejednokrotnie odległych od kina dziedzinach – nawet militarnej. Ale historia technicznych wynalazków związanych z filmem SF wymaga jeszcze napisania. Można tylko wspomnieć, że sytuację szczególną stwarza komputeryzacja. W filmie takim jak „TRON" (1982) Stevena Lisbergera, którego akcja toczy się najdosłowniej w komputerowym uniwersum – w graficznym świecie zbudowanym przez komputer, świecie poddanym prawidłom gier wideo, w którym nie ma już ludzi, lecz tylko „programy" obdarzone ludzką osobowością – technika widowiska sama jest bohaterem. Obraz zostaje pozbawiony funkcji desygnacyjnej, ponieważ nie odsyła odbiorcy do żadnych desygnatów. Ciągnąc ryzykownie ten tok myślenia powiedzieć należałoby, że pozostała mu jedynie funkcja signifikacyjna.

Oczywiście tego rodzaju film wciąż jest jeszcze wyjątkiem, przypadkiem ekstremalnym (zresztą nie w pełni konsekwentnym, co łatwo wykazałaby bardziej szczegółowa analiza). W filmie SF nadal obowiązuje generalna zasada, iż świat przedstawiony na ekranie ma wprawdzie charakter wyobrażeniowy, ale jego tworzywo w zasadniczej mierze stanowią artefakty zgromadzone przed kamerą. Efekt fantastyczności jest wynikiem podporządkowania wszystkich składników z a s a d z i e n i e z g o d n o ś c i. W klasycznej science fiction, zachowującej pseudonaukową logikę zasada ta wykorzystana zostaje w niewielkim tylko stopniu. Jej odkrycie, jeśli można tak powiedzieć, nastąpiło w kinie lat pięćdziesiątych i przyczyniło się do przełamania artystycznego impasu gatunku. Na jakiś czas odsunięte zostało niebezpieczeństwo wyczerpania wyobraźni.

Amerykański krytyk Fred Chappell wylicza[3]) pięć typów owych niezgodności: 1) anachronizmy (obiekty wyrwane z naturalnego kontekstu czasowego ulegają w filmie przemieszczeniu); 2) niezgodność skali, polegająca na wyolbrzymianiu lub zmniejszaniu obiektów; 3) przesunięcia właściwości lub reakcji emocjonalnych (np. mechanizm obdarzony zostaje inteligencją, zwykłe i zgodne z codziennym doświadczeniem postępowanie człowieka przed-



stawione jako oznaka obcości); 4) gwałtowna kolizja natury i sztuczności (np. latający spodek ląduje w sielskiej scenerii lasu); 5) niedokładność szczegółów (kiedy jawny błąd wykorzystany zostaje, świadomie lub nie, dla efektu).

Nie jest to z pewnością typologia idealna, wyrasta jednak z rzetelnej analizy materiału filmowego. Ważne jest również, iż zasadą niezgodności objąć można film typu fantasy. W ten sposób wyczerpuje ona możliwości kinowej SF w kształcie znanym nam dzisiaj i jako taka staje się niezmiernie przydatnym narzędziem dla badacza czy krytyka. Z jednym wszakże zastrzeżeniem: posłużyć może tylko statycznemu przedstawieniu mechanizmu konstruowania fantastycznego wyobrażenia. Nie wyjaśnia go w aspekcie dynamicznym, zasadniczym przecież dla dzieła sztuki filmowej, nie tłumaczy sposobu, w jaki wyobrażenie to jest w stanie zaistnieć w odbiorze.

Dla tego celu przydatne wydaje się natomiast pojęcie „pustego obrazu" przywołane na wstępie. Nie odnosi się bowiem do pojedynczych ujęć, lecz do większych jednostek systemowej struktury filmu: sekwencji. Przez analogię z systemem gramatycznym języka, który zawiera elementy nie zrealizowane, miejsca puste, otwarte dla potencjalnego zapełnienia – także strukturę sekwencji w filmach SF potraktować można jako układ „na wyrost". Tkwią w nim bowiem luki, które odbiorca zapełnia dopiero w procesie odczytywania poszczególnych elementów filmowej wizji. Dopowiada jakby automatycznie, ale sterowany kontekstem, to, co w układzie sekwencji zawarte jest tylko potencjalnie. Technika fimowa nie jest w stanie obdarzyć życiem zbitek wizualnych i semantycznych powstałych w wyniku zastosowania zasady niezgodności, które choćby dlatego napotykają na podświadomy brak akceptacji widza. Oddziaływanie ekranu nie ma nic z magii, kryje jednak pewną tajemnicę. Tajemnica ta tkwi w zdolności pobudzania odbiorcy do współtworzenia. Subtelny mechanizm „pustych obrazów" aktywizuje fantazję, dzięki której n i e m o ż l i w e percypowane jest bez oporów, przy „zawieszeniu niewiary", co już Coleridge uznał za warunek odbioru poezji.

A przecież najprostsza definicja filmu science fiction głosi, iż jest to szczególna odmiana kina poetyckiego.

Andrzej Kołodyński

Przypisy:

1. „The Imagination of Disaster" (w:) Film Theory and Criticism, Oxford University Press 1974.
2. „Science Fiction's Museum of the Imagination", Image et Son, 5/1966 r.
3. „Science Fiction Film Image", Film Journal, 3/1984 r.

Smutny początek, koniec pełen smutku...

Wydanie „Silmarilliona" w sposób wręcz trudny do wyobrażenia może rozszerzyć naszą wiedzę o dziejach niezwykłego i pięknego świata, jakim była Arda. Dostępny jest teraz „kanon" dzieł Tolkiena, zwłaszcza że „Iskry" niemal równocześnie z czytelnikowskim „Silmarillionem" wznowiły „Hobbita". Być może dobrze się stało, że pierwsza edycja „Silmarilliona" i druga „Hobbita" zbiegły się w czasie – będzie to jeszcze jednym bodźcem do ustalenia wzajemnych relacji między tak różnymi, a jednocześnie tak bardzo zbliżonymi do siebie książkami.

„Władca Pierścieni" był do roku 1977 uważany za najważniejszą pozycję w dorobku literackim Tolkiena. Oszałamiający swym ogromem sukces czytelniczy, nie wynikał wyłącznie z tempa akcji, jej malowniczości i baśniowej egzotyki. W odróżnieniu od większości zawodowych krytyków, wrażliwsi czytelnicy intuicyjnie wyczuwali, że to, co próbowano nazywać niekonsekwencjami i dziwactwami ma swe specjalne znaczenie, odsłania obecną poza kartami książki tajemnicę, że otrzymaliśmy drobny, być może wcale nie najważniejszy fragment dziejów pięknej krainy Śródziemia. Intrygował zwłaszcza pozorny happy end, a dokładniej mówiąc ukryty w nim głęboki smutek, którego nie wyjaśniła szczęśliwie zakończona rozprawa ze złem ucieleśnionym w postaci Saurona. Książka domagała się uzupełnień, komentarzy.

Tymczasem „Silmarillion" pozostawał nieznany. Sprzysięgły się przeciw niemu różne okoliczności, tak jakby prawdziwa historia Ziemi – Ardy nie powinna zostać ujawniona, jakby z woli Iluvatara miała na zawsze pozostać tajemnicą. Tolkien rozpoczął pertraktacje o wydanie przyszłego „Silmarilliona" już w kilka tygodni po pierwszej edycji „Hobbita", która miała miejsce 21 września 1937 roku. Wskutek ciągłych przeredagowań i poprawek, mimo zaawansowanych uzgodnień z dwiema firmami wydawniczymi, dzieła swego za życia nigdy nie ujrzał. Odstraszał wydawców poetyką swojej twórczości. Domagano się „nowego Hobbita", a tymczasem... Angielskie wydanie „Silmarilliona" w roku 1977 było dla tolkienistów i tolkienologów gromem z jasnego nieba. Za jednym zamachem przestały obowiązywać utarte sądy, rozsypały się misterne, logicznie zbudowane konstrukcje krytyczne, całość dorobku pisarskiego Tolkiena została przeniesiona na inny, wyższy poziom. Określenie „baśń" zastąpiono znacznie poważniejszym terminem „mitopeja". Stało się jasne, że intencją Tolkiena nie było tylko ożywienie starego jak sama baśń schematu walki dobra ze złem, lecz kreacja m i t u i stworzenie świata, w którym mógłby on funkcjonować w pełni.

„Silmarillion" jest także tłem, które pozwoliło docenić urodę „Hobbita" i „Władcy Pierścieni". Poznając bogów, których dziełem jest i piękno i dobro, poznając tragiczne dzieje rodu elfów, których tak łatwo posądzano o to, że są „szczęśliwymi ludźmi sprzed upadku, nie znającymi grzechu", mniej skłonni jesteśmy podejrzewać Tolkiena o wykorzystanie czarno-białych schematów moralnych i etycznych. Zło bowiem atakuje nie tylko z potężnych, ukrytych twierdz: Mordoru, Angbandu, Utumno, które można zwyciężyć w otwartej walce. Jest obecne w sercu k a ż d e j istoty zamieszkującej Śródziemie. By móc z nim walczyć należy najpierw rozpoznać je w sobie. Tej lekcji liczni naśladowcy i kontynuatorzy Tolkiena nigdy nie pojęli do końca. Świat był u nich dobry i znów stanie się dobry, gdy pokonamy jakąś „Gwiazdę Śmierci". A zła tymczasem pokonać nie można. Zło nie znikło po śmierci Saurona. Pojawia się w coraz to nowych wcieleniach. Nie jest tajemnicą, że Tolkien planował dalszy ciąg cyklu, że cień miał powrócić w Czwartej Erze, w królestwie człowieka. Być może zachowały się z tych planów jakieś szkice, które ujrzą kiedyś światło dzienne?

Wydanie „Silmarilliona" zmniejszyło także dystans, jaki dzielił „Hobbita" od „Władcy Pierścieni" i uświadomiło, że źródła inspiracji i stosunek do tych źródeł jest we wszystkich dziełach Tolkiena jednakowy. Obaliło jakże powszechne przekonanie, że „Hobbit", książka adresowana do dzieci, pisana „dla własnej rozrywki autora", charakteryzuje się lżejszym i mniej poważnym podejściem do tematu. Nic bardziej błędnego! „Hobbit" przynosi ogrom wiedzy, bez której znajomość historii Śródziemia byłaby niepełna. Wywodzi się także z tych samych źródeł, charakterystycznych dla całej „mitopeicznej" twórczości Tolkiena – z mitologii „północy". Przykładem służy kwestia nazewnictwa: imię Smauga (pierwotnie smok nazywał się Pryfton) pochodzi od germańskiego czasownika „smugan" (przeciskać się przez dziurę), imiona krasnoludów i imię Gandalf występują w Eddzie Starszej itp. Gdybym miał udzielić jakiejś rady tym, którzy zaczynają dopiero czytać Tolkiena, doradziłbym rozpoczęcie lektury właśnie od „Hobbita". To najprostsza droga, aby pisarstwo to zrozumieć i by się w nim rozsmakować.

Nie wolno natomiast zaczynać od „Silmarilliona" i to z bardzo prostych powodów. „Czytelnik" zlekceważył czytelnika „puszczając" tłumaczenie w skądinąd słusznym przekonaniu, że i tak kupi on wszystko nie mając wyboru. Powstaje wrażenie, że wydano brudnopis znakomitej tłumaczki, nie troszcząc się o jego opracowanie. Dowodem nie tylko niechlujny język (np. ciągłe powtarzanie „na obszarze"), czy nieznośne pokrętności wynikające z przeniesienia na język polski składni angielskich zdań, ale także niezliczone irytujące niekonsekwencje. Przykład pierwszy z brzegu: jeśli już decydujemy się dodawać do imion żeńskich polskie końcówki rodzajowe, niech to będzie przynajmniej zrobione konsekwentnie. Morwen jest Morweną, Melian – Melianą, lecz Luthien nie zmienia się już w Luthienę.

Szkoda, doprawdy wielka szkoda, że w ten właśnie sposób potraktowano „Silmarilliona", nie tylko dlatego, że pisany jest melodyjnym, wspaniale stylizowanym jakże charakterystycznym dla Tolkiena językiem. Żal, że próbowano zarżnąć tępym nożem książkę opisującą początek i koniec tak bardzo fascynującego świata. Smutny był jego początek i koniec jest pełen smutku, lecz my potrafimy ten smutek zrozumieć. A także pojąć jego konieczność.

Krzysztof Sokołowski

J. R. R. Tolkien: *Hobbit, czyli tam i z powrotem.* Tłum. Maria Skibniewska. Warszawa, Iskry 1985. Wyd. 2. Cena 400 zł. J. R.R. Tolkien: *Silmarillion.* Tłum. Maria Skibniewska. Warszawa, Czytelnik 1985. Cena 500 zł.

Za późno

Nie wiem, dlaczego dotąd wydano tak mało powieści Aleksandra Bielajewa w Polsce, dlaczego nie przetłumaczono wcześniej „Głowy profesora Dowella" i „Ariela". To przecież taka łagodna, szlachetna fantastyka z wyraźnym przesłaniem moralnym, przeznaczona dla młodego czytelnika, kształcąca, poszerzająca horyzonty myślowe, uwrażliwiająca na ludzką krzywdę i potencję do zła tkwiącą w każdym człowieku.

Kiedy dzisiaj wziąłem do ręki świeżo przełożoną powieść „Człowiek ryba" raczej się nią bawiłem, niż przeżywałem na serio to, co Bielajew wymyślił i opisał, ale jestem pewien, że w wieku kilkunastu lat czytać ją mogłem z przejęciem i wielkim zainteresowaniem. Nakręcony na podstawie książki film „Diabeł morski" dotąd pamiętam, no bo to przecież było coś: chłopak, który ma wszczepione skrzela i może się z równą swobodą poruszać po lądzie i pod wodą. Teraz żal mi, że nie mogłem powieści przeczytać właśnie wtedy, kiedy była powieścią dla mnie. Dzisiaj widzę całą jej naiwność, ale i tak – dzięki pisarskim umiejętnościom Bielajewa, jak również sprawności tłumacza, który pokazał je w języku polskim – czyta się „Człowieka rybę" z przyjemnością i bez zniecierpliwienia.

Tyle wydziwiania starca, który czyta książki nie dla siebie. Interesujące byłoby jednak widzieć, jak powieść odbierają dzisiejsi młodzi czytelnicy. Moje pokolenie miało o wiele mniejszą wiedzę potoczną o świecie. Mniej wiedzieliśmy, mniej widzieliśmy, więc to, co Bielajew opisywał w „Głowie profesora Dowella" czy „Człowieku rybie" miało dla nas posmak tajemnicy, ba, wielkiej tajemnicy, czegoś, co kiedyś, w niewyobrażalnej przyszłości, może zostać urzeczywistnione.

Tymczasem dzisiaj wiadomo już, że przeszczepy są bardzo trudnym problemem medycznym, ale to i owo można transplantować. Wszystko jakoś się uzwyczajniło – ileż to lat upłynęło od pierwszej próby przeszczepienia serca człowiekowi, przecież niedawno podobnego zabiegu dokonano w Polsce. Fantazje medyczne Bielajewa nie fascynują już tajemnicą, tak mi się przynajmniej wydaje, kiedy próbuję wyobrazić sobie sposób, w jaki odbierają je dzisiejsi czytelnicy. Co więc pozostaje? Pozostaje przygoda, fabuła, cała sensacyjna akcja osnuta wokół cudów medycyny.

W przypadku omawianej powieści, czytelnik nie ma powodów do narzekania. Pomysł uczynienia z człowieka istoty zdolnej do życia również w wodzie, służy Bielajewowi do pokazania wielu spraw. Przede wszystkim chciał autor zwrócić uwagę (pamiętajmy, że powieść powstała w 1928 roku) na wielkie bogactwa kryjące się w oceanach. Już wtedy pisarz postulował wykorzystanie wód i tego, co kryją dla przemysłu, gospodarki żywnościowej. Jest również „Człowiek ryba" opowieścią o walce dobra ze złem, nieustannie toczącej się w ludzkim świecie, w ogniu której niszczone są szlachetne uczucia, gdzie nie przebiera się w środkach, otwarcie manifestuje chciwość, zawiść, chęć władzy i szaleństwo.

Bielajew jest jednak optymistą – ostatecznie w jego książkach zwycięża dobro, ale też przy wszystkich zawartych w nich uproszczeniach i naiwnościach, nie jest aż tak naiwnym, by pokazać ostateczne zniszczenie zła. Ono się ukrywa, ogranicza swój zasięg: czytelnik odkładając „Człowieka rybę" musi wiedzieć, że zło czai się nadal, że może sięgnąć po to, do czego prawo sobie uzurpuje. Jest więc Bielajew moralistą, ale jakoś tam realistycznym, przytomnym. I taka też jest jego powieść: fantastyczna w jednym nurcie, zaangażowana społecznie, szlachetna w całości i odwołująca się do wiedzy o naturze człowieka, bez specjalnych złudzeń.

Leszek Bugajski

Aleksander Bielajew: *Człowiek ryba.* Tłum. Stawomir Kędzierski. Wydawnictwo Poznańskie, Poznań 1986. Cena 150 zł.

Rzadko recenzujemy książki poświęcone fantastyce filmowej, bo rzadko mamy ku temu okazję. Wyspecjalizowane oficyny zwlekają, dublują je amatorzy. W 1985 roku dostaliśmy wydaną błyskawicznie przez krakowskich studentów przekrojową pracę Hołdysa (patrz „Fantastyka" 4/85). Niedawno ukazała się nakładem Uniwersytetu Śląskiego praca zbiorowa „Niemiecki ekspresjonizm filmowy". Istnieje kilka antologii tekstów o filmowej SF wydanych na przykład przez ŚKF; napiszę o nich innym razem.

Wszystkie te książki i prace, ukazując się w śladowych nakładach mają niewielkie szanse wpłynąć na świadomość i estetyczne gusty coraz liczniejszej widowni filmów fantastycznych. Amatorzy-pasjonaci mogą wiele, ale nie są wszechmocni. Dlatego dobrze się stało, że Andrzej Kołodyński wydał „Seans z wampirem" w stołecznych WAiF, a nie u krakowskich studentów czy katowickich fanów. Książka – spóźniona o rok – ukazała się za to w wysokim trzydziestotysięcznym nakładzie z bogatym zestawem fotosów.

Strach w ewolucji

Jest to dokładnie rzecz biorąc, zmienione i uzupełnione wydanie „Filmu grozy", które ukazało się przed szesnastu laty w cenionej przez kinomanów serii „X muza". Seria zgasła, książek o filmie ukazuje się w WAiF znacznie mniej, ale i kino dzisiejsze, polskie i światowe, nie wydaje dzieł tak znaczących jak w latach 1960/70. W ogóle coś niedobrego stało się ze sztuką filmową, dawni mistrzowie zamilkli bądź obniżyli loty, a kino masowe zmierza ku bezproblemowej rozrywce. Widać to także na naszych ekranach. Polscy dystrybutorzy, mając widmo trzech S przed oczyma, karmią nas strawą jałową, wywołującą chwilowy śmiech bez głębszych myśli, bez wspomnień. Karatecy, krokodyle, żółte rzeki i szmaragdy – po serii takich filmów kina są pełne, ale głowy puste.

Na tym tle fantastyka, także groza filmowa, czyli horror, który lat temu szesnaście wydawał się podgatunkiem kategorii C, podejrzanym w dodatku o oddziaływania deprawatorskie – nabiera znamion widowiska artystycznego co najmniej interesującego i nieźle zakorzenionego w kulturze. Groza (jak chce Kołodyński) = strach + tajemnica. Sam strach bez metafizycznej, eschatologicznej, psychoanalitycznej tajemnicy, to zwykły dreszczowiec czyli thriller. Tak rozumiana groza jest artystycznie poważniejsza od śmiechu i przygodowej awantury, a zapewne jest też bliższa naturze ludzkiej i naturze ludzkiego bytu. Bliższa ostatnimi laty i w ogóle. Groza, co udowadnia Kołodyński, wyrasta z baśni, i do dziś inspiruje się baśnią. Groza, podobnie jak baśń, może być wieloznaczna, nośna intelektualnie, może stwarzać szanse ciekawych rozwiązań artystycznych wyprzedzających swój czas.

Ciekawe, że w olbrzymiej mierze dzieje się to w gatunku skonwencjonalizowanym, dysponującym ograniczonym zestawem postaci i sytuacji kanonicznych. Tajemniczy dom, wampir, wilkołak, kataklizm spowodowany ręką nieostrożnego naukowca – oto sytuacje wyjściowe. Reszta zależy od artysty i nie jest to mało, jeśli uznać za Kołodyńskim, że owym zamkniętym domem (kiedy indziej zamkiem) może być na przykład w filmie „Alien" wnętrze kosmicznego statku.

Kołodyński powtarza w „Seansie z wampirem" układ wydania sprzed szesnastu lat. Ale nawet w pierwszym rozdziale, który mówi o wpływie ekspresjonizmu na grozę filmową, wprowadza drobne retusze. Jednak już przy okazji przemian wampira dopisuje Kołodyński do wcześniejszych rozważań, aktualizujące refleksje poszerzone o doświadczenia takich filmów, jak na przykład „Nosferatu wampir" (1978) Herzoga – swoisty remake filmu Murnaua z 1922 roku. I tak jest do końca. Omawiając po kolei motywy kina grozy: tematy wilkołacze, serię filmów z doktorem Frankensteinem i stworzonym przezeń potworem, przemiany baśni, angielską produkcję studia Hammer, ekranizacje Poego, kino satanistyczne, grozę postkontestacyjną – autor zawsze prowadzi swój wywód tak, by wykazać związki kina grozy z kinem artystycznym, z problemami kultury, by dociągnąć rozważania możliwie blisko współczesności, do lat osiemdziesiątych. Są w książce omówione i wyróżnione w skorowidzu wszystkie kanoniczne filmy gatunku, ale i filmy nie mające na pozór związków z horrorem, jak „Bonie i Clyde", „Osiem i pół", „Taksówkarz", „Trzecia część nocy", „Piknik pod Wiszącą Skałą". Z najnowszych, znanych i u nas pozycji omawia Kołodyński m.in. „Poltergeist" i „Alien – ósmy pasażer Nostromo" (zarzucając notabene tej ekranizacji złamanie konwencji grozy przez rezygnację z tajemnicy), a z nieznanych „Lśnienie" Kubricka, czy „Carrie" Briana de Palmy. Duże wrażenie robią uwagi autora na temat dwu zapoznanych arcydzieł: „Dziwolągów" (1932) T. Browninga i „Nocy myśliwego" (1955) Ch. Laughtona. W kinie polskim niewygraną gwiazdą horroru, która zajaśniała pełnym blaskiem dopiero na francuskim firmamencie, wydaje się Andrzej Żuławski.

Pokazując sposoby, w jakie poetyka grozy organizuje artystyczny materiał, napomyka też Kołodyński o swoistej ewolucji. Ewolucji staczania się – od problematyki moralnej po grę z makabrą, od refleksji i perswazji, po eksploatację patologii. Kino grozy może zwiastować nabrzmiewające w społeczeństwie obłędy (modelowy jest tu przykład „Gabinetu doktora Caligari", zapowiadającego czasy faszyzmu), ale może też być przedmiotem nieodpowiedzialnej zabawy w krwawe jatki („Teksaska zabawa piłą mechaniczną"). Ta ewolucja nie przebiega na szczęście w jedną stronę.

Autor, przyznając się we wstępie książki do fascynacji horrorem, nie ukrywa gorszego, tandetnego bieguna gatunku. Do końca broni jednak horroru tymi słowami: *„Jako łącznik między utajoną, mitologiczną świadomością kulturową i wyobraźnią współczesnego odbiorcy wykazuje* (film grozy) *zaskakującą aktywność. Bez względu na realia, filmy grozy przedstawiają z dosłownością mniej lub bardziej naiwną walkę Dobra ze Złem (...) Film grozy przetwarza dawne wątki, wprowadza je w nową scenerię, wzbogaca żywotnymi problemami społecznymi, politycznymi i kulturowymi. Tłumaczy mit na język sztuki popularnej. Zdarza się, że gubi po drodze jego esencję, ale nawet najmniej pomysłowe filmy przekazują coś z niepewności, jaką odczuwa człowiek napotykający opór rzeczywistości w ekspansywnym dążeniu do jej ujarzmiania. (...). Film grozy jest niewyczerpanym źródłem wiadomości o lękach, obsesjach i wyobraźni człowieka XX wieku. Korzystać z tej filmoteki powinien nie krytyk, lecz antropolog kultury".*

Powiedzmy może lepiej – n i e t y l k o krytyk.

Maciej Parowski

Andrzej Kołodyński: *Seans z wampirem.* WAiF, Warszawa 1986. Cena 300 zł.

Zjazd PSMF

W dniach od 15 do 16 marca br. w Zielonej Górze odbył się Trzeci Walny Zjazd Delegatów Polskiego Stowarzyszenia Miłośników Fantastyki. Wzięli w nim udział delegaci ze wszystkich oddziałów Stowarzyszenia, obserwatorzy z klubów PSMF oraz zaproszeni goście. W pierwszej części obrad podsumowano działalność PSMF od ostatniego Zjazdu oraz wysłuchano sprawozdań Rady Głównej, Komisji Rewizyjnej i Sądu Koleżeńskiego. Interesujący, ale dość burzliwy przebieg miała dyskusja, jaka wywiązała się po tej części obrad. Poruszano w niej problem rozwiązania w lipcu ubiegłego roku pięciu oddziałów Stowarzyszenia, sprawę organizacji Polconu 85, stosunki między Radą Główną a oddziałami i klubami PSMF. Wielokrotnie wspominano o bolączkach i trudnościach, z jakimi boryka się Stowarzyszenie (m.in. brak własnej siedziby, niedostateczny napływ nowych, chętnych do działania osób, które mogłyby stopniowo przejąć część obowiązków wynikających z działalności PSMF). Część delegatów ostro atakowała pleniące się ostatnio „dzikie" wydawnictwa sprzedawane po paskarskich cenach, podkreślając jednocześnie konieczność ukrócenia tego procederu przez wydanie równie atrakcyjnych, ale znacznie tańszych wydawnictw Stowarzyszenia.

W drugiej części obrad Zjazdu w tajnym głosowaniu wybrano nowe władze. W ich skład weszli:

Rada Główna: Andrzej Szatkowski – prezes, Maciej Makowski i Jacek Rodek – wiceprezesi, Katarzyna Makowska – sekretarz generalny, oraz Jarosław Grzędowicz, Kazimierz Kielarski, Małgorzata Kośmicka, Krystyna Nowicka, Krzysztof Waliszewski i Rafał Ziemkiewicz – członkowie. (Już po Zjeździe na posiedzeniu RG został do niej dokooptowany Tadeusz Markowski, zostając trzecim wiceprezesem).

Komisja Rewizyjna: Wojciech Frajs – przewodniczący, Teresa Adamowicz – wiceprzewodnicząca, oraz Mieczysław Kielarski, Przemysław Ulatowski, Tomasz Woźniak – członkowie.

Sąd Koleżeński: Halina Zielińska – przewodnicząca, Bogdan Pikala – wiceprzewodniczący, Sławomir Sławiński – członek.

W dalszej części obrad Zjazd dokonał kilku poprawek w regulaminach i statucie, m.in. wprowadzając nowy rodzaj członkostwa PSMF (członkiem–sympatykiem może zostać osoba niepełnoletnia; dotychczas członkiem PSMF mogła zostać tylko osoba, która ukończyła 18 rok życia).

Zjazd uchwalił stały kalendarz cyklicznych imprez Stowarzyszenia: Przegląd Filmów Fantastycznych w Świnoujściu – styczeń lub luty, Bachanalia Fantastyczne w Zielonej Górze – wrzesień, Stalcon w Olsztynie – wrzesień lub październik, Intercon – międzynarodowy festiwal SF w Warszawie – jesień (co dwa lata).

Za główne cele działalności Stowarzyszenia w ciągu najbliższych dwóch lat Zjazd uznał m.in.: znalezienie stałej siedziby dla Stowarzyszenia, zorganizowanie banku kaset wideo, rozpoczęcie działalności gospodarczej, utworzenie biura promocji przy Studenckiej Oficynie Wydawniczej Alma-Press, organizację archiwum, biblioteki i ośrodka informacji.

Intercon

Wspominałem już o organizowanym przez Radę Główną PSMF Pierwszym Międzynarodowym Festiwalu Science Fiction „Intercon" w Warszawie. Impreza ta odbędzie się w dniach od 22 do 28 września br. W programie przewidziano wiele imprez. Planowany jest duży (ok. 28 filmów) tygodniowy przegląd filmów w systemie wideo, przegląd filmów na taśmie 35 mm, dwa lub trzy seminaria literacko-krytyczne, spotkania z zaproszonymi gośćmi z kraju i zagranicy, wystawa komiksów, malarstwa, grafiki, pokazy komputerowe i gier planszowych, liczne konkursy. Impreza jest adresowana głównie do mieszkańców Warszawy, tzn. Rada Główna PSMF nie zapewnia miejsc noclegowych ani wyżywienia, ale jest w stanie pomóc w zdobyciu wejściówek na poszczególne imprezy.

Bliższe informacje będzie można uzyskać od dnia 2 września br. telefonicznie (47-79-35, tylko czwartki w godzinach 17.30-20.30) lub listownie (Polskie Stowarzyszenie Miłośników Fantastyki, 00-973 Warszawa 22, skr. poczt. 77, koniecznie z dopiskiem „Intercon").

Nowe kluby

Rada Główna przyjęła do PSMF klub, który powstał przy Wojskowej Akademii Technicznej w Warszawie. Działa on od marca br. i oprócz stałych spotkań zorganizował przy pomocy oddziału warszawskiego PSMF kilka projekcji filmowych oraz mini imprezę obejmującą nie tylko pokazy filmowe, lecz także giełdę książek i stoisko z pamiątkami. Klub dysponuje wspaniałymi warunkami lokalowymi, tak więc, mimo że jego członkowie rekrutują się głównie spośród słuchaczy WAT-u, zaprasza wszystkich chętnych na swoje cotygodniowe spotkania. Bliższych informacji można zasięgnąć pisząc pod adres: Klub PSMF przy Klubie Wojskowej Akademii Technicznej, 01-489 Warszawa 49.

★

W czerwcu 1984 roku (dopiero teraz dotarła do nas wiadomość o istnieniu klubu) powstał Studencki Klub Miłośników SF „Vega". Działa on jako jedna z sekcji Centralnego Klubu Studentów Politechniki Rzeszowskiej „Plus" i ma za zadanie, oprócz rozwijania zainteresowań członków, propagowanie szeroko pojętej fantastyki. Klub organizuje cykliczną imprezę Rzeszowskie Spotkania z Fantastyką i Nauką „Fantastron" przy współpracy Rzeszowskiego Klubu Miłośników Astronomii i Astronautyki „Sirius C". Pierwszy „Fantastron" odbył się w dniach od 21 do 24 listopada 1985 r., a wiosenna jego edycja w dniach od 14 do 16 marca br.

„Vega" organizuje również giełdy książek, konkursy, projekcje filmowe. Klub zaprasza na swoje spotkania, w każdy wtorek od godz. 18 w pomieszczeniach klubu „Plus", ul. Podkarpacka 1a.

Bachanalia Fantastyczne

W dniach 12-14 września br. odbędzie się w Zielonej Górze kolejna fanowska impreza. W programie m.in.: pokazy filmów, gry komputerowe, spotkania z pisarzami. Według informacji otrzymanej od organizatorów są jeszcze wolne miejsca. Zgłoszenia prosimy kierować pod adresem: Krzysztof Waliszewski, Zielona Góra, ul. Leopolda Staffa 2/23.

Mak

Spotkanie z fantastyką

W dniach 12 i 13 kwietnia br. odbyło się w Białymstoku „Spotkanie z fantastyką" zorganizowane przez Podlaski Klub Fantastyki „TAURUS". Impreza była przeznaczona dla młodzieży z Osiedla „Piast" Spółdzielni Mieszkaniowej „Zachęta", na terenie którego działa Klub. Pokazano 6 filmów SF, odbyły się też spotkania: z redaktorami miesięcznika „Fantastyka", Krzysztofem Szolginią i Sławomirem Kędzierskim oraz pisarzem młodego pokolenia Rafałem Ziemkiewiczem. Były one okazją do wymiany myśli i poglądów na temat roli fantastyki, a prasy i literatury SF.

Młodzieżowy Dom Kultury zainstalował dwa komputery, które wprost oblegano. Klub Informatyki „ATARI" zorganizował pokaz „Co potrafi komputer". Dyskusja na ten temat przeciągnęła się ponad zaplanowany czas. Jeśli dodamy do tego wystawę malarstwa Marii Tylek „Fantastyczny świat roślin" oraz stoisko z książkami SF, będziemy mieli pełny obraz imprezy.

W. K.

Dziennikarz z „Le Monde": „... Czy, pana zdaniem, komputer mógłby kiedykolwiek dorównać Einsteinowi?"
Herbert A. Simon (amerykański laureat Nobla 1978 w dziedzinie ekonomii): *„Byłoby to bardzo ambitne zadanie, ponieważ większości ludzi nie udaje się dorównać Einsteinowi; niemniej, nie widzę żadnego zasadniczego powodu, dla którego nie miałoby się udać".*
Mocno powiedziane! Wyobraźmy sobie świat, w którym komputery dorównują możliwościom umysłowym Einsteina...

Z tamtej strony lustra

Maszynowy Einstein

Maciej Iłowiecki

Wystarczyłoby zresztą, gdyby maszyny mogły dorównać mózgom przeciętnych ludzi i potrafiły w ogóle dokonywać odkryć naukowych, czyli umiały m y ś l e ć. Herbert Simon nie jest przecież fantastą, jest znakomitym specjalistą, także w zakresie sztucznej inteligencji i programowania komputerów. Jego swoistym naukowym hobby jest badanie procesów myślowych, prowadzących do odkryć. Profesor Simon uważa, iż swego rodzaju myślenie komputera jest już możliwe z punktu widzenia techniki - trudności tkwią w programach. Dlatego zespół Simona opracowuje nowe programy dla komputerów - takie, by wedle słów laureata Nobla - maszyna była zdolna do ujawniania praw naukowych, ukrytych w dostarczonych jej informacjach. W ten sposób bardzo często „działa" umysł uczonego: ujawnia nowe zależności, nowe prawidłowości, tkwiące niejako w informacjach zastanych, zdobytych wcześniej dzięki obserwacjom i doświadczeniom. O procesach, jakie „dzieją się" w mózgu uczonego-odkrywcy wiadomo zresztą bardzo niewiele. Często mówi się o i n t u i c j i, co jednak niewiele wyjaśnia. Można twierdzić, że na przykład Newton czy Einstein mieli genialną intuicję naukową, ponieważ w zbiorze informacji, dostępnych w ich czasach także innym fizykom, oni właśnie wykryli nowe prawa przyrody. W gruncie rzeczy jednak nic nie wiadomo na temat, jak naprawdę przebiegały procesy myślowe w ich mózgach...

Niewątpliwie przecież jakimś punktem wyjścia może być założenie, iż jedną z dróg, prowadzących do odkrycia czegokolwiek nowego w nauce, jest odnalezienie tego „czegoś" w zbiorze zebranych już informacji. Nie oznacza to oczywiście, iż w każdym zbiorze danych tkwi rewelacyjne odkrycie, niekiedy brak właśnie jakiejś kluczowej informacji. Skądinąd wiadomo dziś, że gdyby wszystkie badania na całym świecie zostały nagle zatrzymane, zebranych już informacji wystarczyłoby uczonym do analiz co najmniej do końca tysiąclecia. Innymi słowy, uczeni dysponują dziś znacznie większą liczbą informacji, niż są w stanie przeanalizować.

Spróbujmy posłużyć się przykładem: oto, być może, wśród zebranych dotąd informacji na temat nowotworów tkwi już rozwiązanie ich tajemnicy (nie musi tak być, może bowiem brak jakichś kluczowych danych, ale przecież może tak być). Można sobie zatem wyobrazić, iż istnieją takie procesy myślowe, które pozwoliłyby wydobyć z już dostępnego zbioru wszystkich informacji o nowotworach wiadomości najcenniejsze: co jest najgłębszą istotą chorób nowotworowych i jak można je radykalnie leczyć (lub im zapobiegać).

Jeśli takie procesy myślowe nazwiemy intuicją, to właśnie Herbert Simon powiada: *„Komputer, wyposażony w odpowiednio bogaty bank danych byłby całkowicie zdolny do intuicji".* No tak, uchwycenie w zbiorze danych jakiegoś nowego, „ukrytego wymiaru" można nazwać intuicją, ale niewiele to jeszcze mówi o regułach takiego „uchwycenia". Trzeba bowiem tak ułożyć program dla komputera, by maszyna analizowała informację w taki sposób, jakby miała intuicję... Bagatelka! Wielu ekspertów sądzi, iż to właśnie jest niemożliwe, bo niemożliwe jest stworzenie myślącej maszyny. Inaczej mówiąc, bodaj większość współczesnych znawców uważa, iż niemożliwe jest skonstruowanie komputerów, które potrafiłyby odtwarzać procesy umysłowe, zachodzące w ludzkim mózgu. Choćby dlatego, że my sami nie znamy istoty tych procesów.

„Nigdy nie będzie można zaprogramować naszego myślenia, ponieważ nie jesteśmy czystymi umysłami" - powiada Hubert Dreyfus, filozof z Berkeley w Kalifornii. Zdaniem tego uczonego nie da się oddzielić myślenia od emocji, a do emocji zdolne są tylko żyjące istoty. „Czyste myślenie" zatem nie istnieje - twierdzi Dreyfus (nb. muszę tu dodać, iż i w komputerach można już modelować pewne emocje...).

„Znaleźć sposób, by komputer kojarzył informacje w spójny obraz świata?... Nie widać nikogo, kto zbliżałby się chociaż do wynalezienia takiego sposobu" - wtóruje Dreyfusowi Arno Penzias, fizyk, laureat Nobla z 1978 r.

Informatyk Paul Armer ma jeszcze inny punkt widzenia. Na pytanie, czy komputer może myśleć, odpowiada: *„Nie, ponieważ uporczywie uznajemy myślenie za proces znajdujący się o krok dalej niż to, co wedle naszych ustaleń stanowi aktualną miarę zdolności komputera".* Odpowiedź zręczna, ale omija istotę rzeczy, istotą zaś byłoby określenie, czym jest sam proces myślenia.

Wkraczamy tutaj w nowy temat, trudny, pozwólcie jednak, że ten felieton będzie może trochę trudniejszy.

Otóż okazuje się, iż właściwie nie ma powszechnie akceptowanej definicji myślenia! Rzec można, istnieje tyle poglądów na myślenie, ilu jest psychologów... Kiedy siedzę teraz i pocę się nad felietonem dla „Fantastyki", mogę nieskromnie domniemywać, że w mojej głowie toczą się właśnie procesy myślenia. I właśnie wszyscy w tym względzie zgodni są co do jednego: przy myśleniu posługujemy się mózgiem. Ale zlokalizowanego jednego ośrodka myślenia (takiego, jak np. mowy lub widzenia) nikt dotąd w mózgu nie znalazł. Myślenie jest funkcją całego układu.

Ciekawe - nie istnieje także powszechnie ak-

ceptowana definicja maszyny! Jak więc można mówić o myślącej maszynie, skoro na dobrą sprawę nie bardzo wiemy, czym jest myślenie i co to jest maszyna?

Wbrew pozorom pytanie o to, czy maszyna mogłaby myśleć, jest dużo starsze, niż komputer, a filozoficzne spory na ten temat trwają od dawna. Większość ludzi zapewne wzdraga się na myśl, że maszyna mogłaby myśleć (choć jest to ulubiony motyw literatury SF). Wzdragamy się dlatego, że zazwyczaj utożsamiamy myślenie ze świadomością. To znaczy sądzimy, że jeśli coś myśli, musi mieć świadomość tego, że myśli, nie jest więc „cosiem", ale „ktosiem". Pogląd taki wywodzi się stąd, że znamy tylko jeden rodzaj istot myślących – samych siebie. (Ostatnio mnożą się wprawdzie dowody, że być może „jakoś tam myślą" także niektóre zwierzęta).

Teza o nierozłącznym związku myślenia ze świadomością nie jest jednak udowodniona.

Wyróżnijmy więc kilka podobieństw między komputerem a mózgiem:

- Komputer i mózg są urządzeniami uniwersalnymi – tzn. mogą rozwiązywać wiele rozmaitych problemów, których istoty nie można z góry określić.
- Są to urządzenia „przetwarzające informację".
- Obydwa korzystają z pamięci.
- Obydwa mogą wytwarzać dla siebie modele jakiejś rzeczywistości (również „wymyślonej").

Odnośnie dziś istniejących komputerów wiemy, że ich możliwości „intelektualne" są wynikiem przeprowadzania gigantycznej liczby stosunkowo p r o s t y c h operacji, co zaś do mózgu, nie mamy tej pewności.

Może zatem zasadnicze pytanie o „myślące maszyny" należy sformułować inaczej? Na przykład: czy elementy mózgu, sam mózg wreszcie, będzie kiedyś można odtworzyć sztucznie? I w tej mierze poglądy uczonych są różne – większość jednak dzisiaj skłania się do odpowiedzi przeczącej. Stworzenie sztucznego mózgu byłoby znacznie trudniejsze od stworzenia w laboratorium życia, a już to ostatnie uważa się raczej za niemożliwe. Dlaczego? Dlatego, że życie (i jego wytwór, mózg) jest produktem ewolucji, zawiera więc w sobie wymiar czasu. Innymi słowy każdy żywy organizm (i mózg) zawiera w sobie w pewien sposób „doświadczenia" niezliczonego ciągu przemian w czasie. Być może istnieje sposób, by ominąć „problem czasu", ale na razie tego sposobu nie znamy.

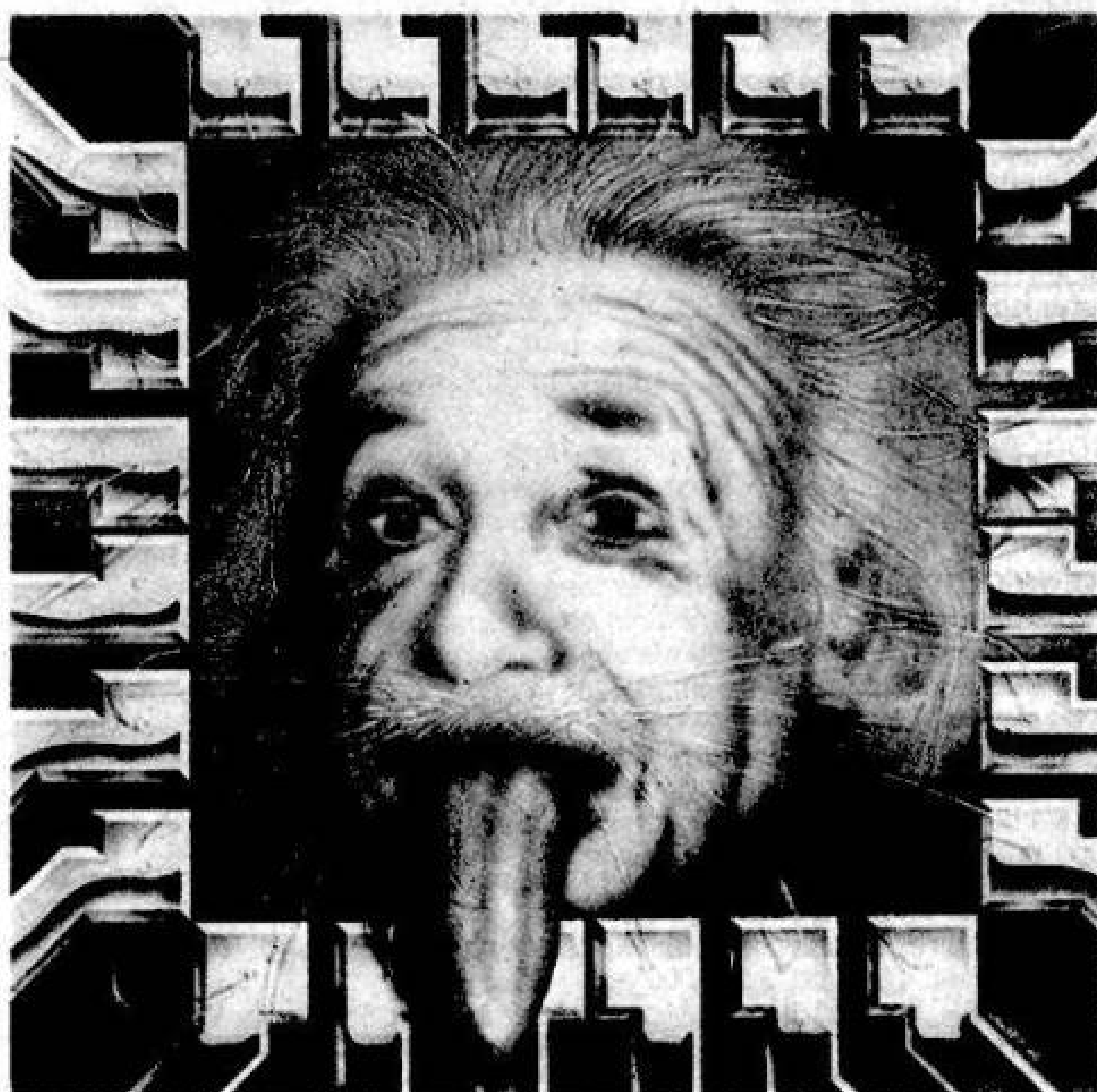
Spróbujmy więc jeszcze inaczej sformułować pytanie. Czy można stworzyć sztucznie tak złożony system, by efekty jego działania były zbliżone do efektów myślenia – to znaczy byłby to system zdolny do twórczości, do odkryć?

No cóż, wypada stwierdzić, iż wielu ekspertów odpowie teraz twierdząco! Podejrzewam, że po prostu dość dużo zależy tu od sformułowań: komputer, który będzie r o z u m o w a ł? Ależ, proszę bardzo, lepiej jednak nie mówić o „myślącej maszynie"...

Jeśli chodzi o rozumowanie, to już 25 lat temu komputer I generacji otrzymawszy pewien zestaw logicznych aksjomatów i reguł wnioskowania, d o w i ó d ł 38 twierdzeń spośród 52 zawartych w słynnym dziele Whiteheada i Russella „Principia Mathematica". Mało – dowiódł! Maszyna przeprowadziła niektóre dowody i n a c z e j niż Whitehead i Russell, i zrobiła to bardziej „elegancko" (czyli lepiej niż ludzie; jak wiemy „elegancja" dowodu jest w matematyce znacząca).

Wobec postępów techniki komputerowej może więc nie trzeba się dziwić i takim twierdzeniom: *„Inteligencja komputerów może być nieograniczona"* – Marvin Minsky z Massachussets Institute of Technology (MIT), autorytet w zakresie AI Artificial Intelligence, sztuczna inteligencja). Albo jeszcze śmielej: *„Około roku 1995 krzemowe mózgi będzie można uważać za nową formę życia, konkurencyjną wobec człowieka"* – Robert Jastrow, dyrektor amerykańskiego Instytutu Przestrzeni Kosmicznej im. Goddarda.

Japoński Instytut Techniki Komputerowej Nowej Generacji pracuje już nad V generacją komputerów rozumujących. Zostawmy więc spory teoretyków na boku i przyjrzyjmy się takim komputerom. Japończycy konstruują maszyny, które – po pierwsze – zdolne będą do bezpośredniego porozumiewania się z ludźmi (m o w ą !), po drugie – będą rozpoznawać przedmioty „widziane" przez siebie. Jest to tzw. widzenie elementarne.



(Notabene komputerowy model rozpoznawania kształtów może być prostszy, niż układ nerwowy, pełniący tę funkcję u człowieka). Obie te funkcje są niesłychanie ważne, ale sednem sprawy ma być umiejętność przetwarzania nie tylko informacji, lecz także w i e d z y, czyli możność rozumowania. Prototypy V generacji *„dysponują już pewną dozą zdrowego rozsądku"* i *„mają przynajmniej tyle rozumu, co na przykład uczeń trzeciej klasy szkoły podstawowej"* (podaję na odpowiedzialność japońskiego pisma „Asahi Shimbun" nr 2/85 – za „Polityką – Eksport – Import" nr 1/86).

Nie wdając się znów w dysputy o tym, co to jest zdrowy rozsądek albo co znaczy: „mają tyle rozumu", zobaczmy, co mogą takie komputery.

Tak więc: mogą się u c z y ć, potrafią w n i o s k o w a ć, potrafią k o j a r z y ć odległe na pozór informacje. Zwróćmy uwagę, że maszyna jest więc już zdolna do rozpoznawania i syntezy mowy, rozumienia i interpretacji dostarczonych tekstów pisanych, r o z u m o w a n i a i wyciągania wniosków na podstawie zbiorów danych i wreszcie – rzecz naprawdę niebywała! – komputer s a m s i ę u c z y, to znaczy może zmieniać i rozszerzać własny program bez udziału człowieka-programisty. Niewątpliwie jest to sprawa najpoważniejsza – dotąd przecież uczyć się potrafiły wyłącznie układy biologiczne, istoty ż y w e.

Do tego możemy dodać udane próby opracowania samoaktualizujących się pamięci komputerowych. Takie systemy z j e d n e j nowej dodanej informacji potrafią wyciągnąć w i e l e różnych wniosków.

Oddaję jeszcze głos Herbertowi Simonowi: *„Gdyby komputery miały, podobnie jak my, swobodny dostęp do informacji, podłączając się do wybranych przez siebie sieci informacyjnych, jest oczywiste, że posiadałyby doświadczenia, nieznane swoim programistom. Jeśli jeszcze do tego dodamy zdolność komputerów do uczenia się, wtedy staje się oczywiste, że komputer mógłby tworzyć sobie nowe możliwości »samoprogramowania się« po to, by rozwiązywać n o w e problemy".*

Na Uniwersytecie Stanforda w Kalifornii działa już komputer-odkrywca, który m.in. wynalazł (?) nowe rodzaje układów scalonych dla potrzeb... komputerów. Zespół Simona dostarczył innemu komputerowi wszelkie dane fizyczne i chemiczne, jakie mieli do dyspozycji uczeni w 1800 r. i opracował program BACON, służący do odkryć naukowych. Komputer błyskawicznie, jakby „od niechcenia", ustalił, iż istnieje masa atomowa – a więc to, co ludzie odkryli w kilkadziesiąt lat później, pod koniec XIX wieku...

Japończycy zaś, obok rozwoju „krzemowych maszyn rozumujących" przystąpili do konstrukcji biokomputera, opartego na... białkach. Biokomputer posługuje się elementami organicznymi, tzn. enzymami (białkowe katalizatory, sterujące reakcjami) i neurotransmitterami (substancje hormonalne, przenoszące w żywych mózgach sygnały). Podobno biokomputer byłby zdolny do samonaprawiania się i do... w z r o s t u. To już właściwie przechodzi nasze wyobrażenia, ale japońska biotechnologia zdolna jest, zdaje się, do wszystkiego. Biokomputer otworzy nową epokę w informatyce i medycynie – znajdzie zastosowanie jako na przykład rodzaj neurologicznej protezy (mogącej zastąpić niektóre funkcje mózgu lub rdzenia kręgowego), może też pełnić rolę „obserwatora" procesów wewnętrznych, zachodzących w ludzkim organizmie. Co jeszcze może robić, zobaczymy, kiedy będzie gotów – powiadają spokojnie Japończycy.

Jeden z wybitnych informatyków z MIT żartował niedawno (a może nie był to żart?), iż superinteligentne maszyny będą się po prostu nudzić rozmową z ludźmi, ponieważ ludzie nie będą ich już rozumieć. Myślące komputery zaczną nas w ogóle ignorować, *„pozwalając nam bawić się między sobą"*. Będą myślały z a n a s, nie – z nami.

Wizja przeraźliwa? Mnie nie przeraża tak bardzo. W końcu tyle już mieliśmy w historii świata doświadczeń z rządami głupich ludzi, że może nadszedł czas na rządy mądrych komputerów? ■

1972

SF dla dorosłych (ASF):

BRATNY R.: *Przesłuchanie...* – zob. U.
809. BRZĘKOWSKI Jan: *Science fiction. Nowa Kosmogonia.* Warszawa. Czytelnik. 8° s 71-89. 1000 egz.
810. CLARKE Arthur C[harles]: *Kowboje oceanu.* Tłum. [z ang.] Lech Jęczmyk. Warszawa. Iskry. 16° ss. 290, nlb. 2. 30 000 egz. – Fantastyka, Przygoda.
811. GRANIN Daniił: *Miejsce pod pomnik* W: *Miejsce pod pomnik* [i inne opowiadania]. Tłum. [z ros.] Henryka Broniatowska. Warszawa. Państw. Inst. Wyd. 16° s. 5–46. 10 000 egz. – Współczesna Proza Światowa.
812. *Kroki w nieznane.* Almanach fantastyczno-naukowy. T. III. Aut.: Kurt Vonnegut [i in.] Red.: Lech Jęczmyk. Warszawa. Iskry. 8° ss. 485, nlb. 3. 20 000 egz. – Zawiera również *Fakty, hipotezy, zagadki* (MS) – s. 401–486.
813. KUCZYŃSKI Maciej: *Katastrofa.* Wyd. II. Warszawa. Nasza Księgarnia. 16° ss. 214, nlb. 2. 20 000 egz. – ASF/CJSF.
814. LEM Stanisław: *Astronauci.* Wyd. VIII. Kraków. Wyd. Literackie. 8° ss. 314, nlb. 2. 30 000 egz.
815. LEM Stanisław: *Cyberiada.* Wyd. III uzup. Kraków. Wyd. Literackie. 8° ss. 489, nlb. 2. 30 000 egz. – Zestaw ten sam, co w wyd. II, uzup. opow. *Kobyszczę.*
816. [MARTYNOV Géorgij]: *Gianeja.* Tłum. [z ros.] Anna i Andrzej Goreniowie. Warszawa. Nasza Księgarnia. 8° ss. 302, nlb. 2. 10 000 egz. – Na k. tyt. aut.: Gieorgij Martynow. – ASF/CJSF.
817. PETECKI Bohdan: *Strefy zerowe.* Warszawa. Iskry. 16° ss. 268, nlb. 4. 30 000 egz. – Fantastyka, Przygoda.
SADZIEWICZ M. – zob. AF.
818. [SNĚGOV SĚRGĚJ]: *Dalekie szlaki.* Tłum. [z ros.] Tadeusz Gosk. Warszawa. Iskry. 16° ss. 539, nlb. 3. 30 000 egz. – Fantastyka, Przygoda. – Na k. tyt. aut.: Siergiej Sniegow.
819. SOUČEK Ludvik: *Jezioro słoneczne.* Tłum. [z czes.] Andrzej Piotrowski. Warszawa. Iskry. 16° ss. 349, nlb. 3. 30 000 egz. – Fantastyka, Przygoda.
820. VAN VOGT A (lfred) E[lton): *Misja międzyplanetarna.* Tłum. [z ang.] Zofia Kierszys. Warszawa. Iskry. 16° ss. 324, nlb. 2. 30 000 egz. – Fantastyka, Przygoda.
821. VONNEGUT Kurt jr.: *Rzeźnia numer pięć, czyli Krucjata dziecięca, czyli Obowiązkowy taniec ze śmiercią. Napisał... Amerykanin pochodzenia niemieckiego (w czwartym pokoleniu), który obecnie żyje w dobrych warunkach na półwyspie God (i pali zbyt dużo papierosów), a kiedyś jako zwiadowca amerykańskiej piechoty morskiej, hors de combat, został wzięty do niewoli i był świadkiem bombardowania Drezna, zwanego dawniej „Florencją nad Łabą", i przeżył, aby opowiedzieć to, co widział. Powieść przypomina nieco telegraficzno-schizofreniczne utwory Tralfamadorii, planety, z której przylatują latające talerze. Pokój z wami.* Tłum. [z ang.] Lech Jęczmyk. Warszawa. Państw. Inst. Wyd. 16° ss. 170, nlb. 6. 20 000 egz. – Współczesna Proza Światowa. – ASF/Utopia.

SF dla dzieci i młodzieży (CJSF):

822. BROSZKIEWICZ Jerzy: *Wielka, większa i największa.* Wyd. VIII. Warszawa. Nasza Księgarnia. 16° ss. 265, nlb. 3. 50 000 egz. – CJSF/F.
823. HERLINGER J[uliusz] J[erzy]: *Mister Hopkins, wnuk Sherlocka.* Wyd. II uzup. Warszawa. Nasza Księgarnia. 8° ss. 255, nlb. 5. 30 000 egz.
824. JESIONOWSKI Jerzy: *Zielony metal i zielona głowa.* Dwa utwory sceniczne dla starszych dzieci. [Warszawa]. Lud. Spółdz. Wyd. 8° ss. 130, nlb. 4 3 000 egz. – Biblioteka Teatrów Amatorskich – CJSF/F.
825. KLON Franciszek: *Łowcy minionego czasu.* Katowice. Śląsk. 16° ss. 354, nlb. 2. 30 000 egz.
KUCZYŃSKI M.: *Katastrofa.* – zob. ASF.
MARTYNOV G.: *Gianeja.* – zob. ASF.
SWIFT J.: *Podróże...* – zob. U.
826. UMIŃSKI Władysław: *Na drugą planetę.* Wyd. IV [właśc. V]. powoj. Posłowie Zbigniew Przyrowski. Warszawa. Nasza Księgarnia. 8° ss. 148, nlb. 4. 30 000 egz.

Utopia (U):

827. BRATNY Roman: *Sześć osób pierwszych.* Warszawa. Iskry. 16° ss. 212, nlb. 4. 10 000 egz. – Sześć opowiadań, w tym dwa fantast.: *Odjazd w niezbadane.* (U/ASF], s. 73-93 i *Przesłuchanie Pana Boga.* (AF/U), s. 94–123.
828. DOBRACZYŃSKI Jan: *Wyczerpać morze.* Wyd. III. Warszawa. Pax. 16° ss. 239, nlb. I. 20 000 egz.
829. KUROWSKI Edward: *Rozgrzeszenie.* Warszawa. Inst. Wyd. CRZZ. 16° ss. 302, nlb. 3. 10 000 egz.
830. LEM Stanisław: *Dialogi:* Wyd. II rozsz. Kraków. Wyd. Literackie 8° ss. 421, nlb. 3. 10 000 egz. – U/MS/F.
MORSKI E.: *Plama...* – zob. AF.
831. PARNICKI Teodor: *NOWA BAŚŃ.* T.I.: *Robotnicy wezwani o jedenastej.* Wyd. II. Warszawa. Państw. Inst. Wyd. 8° ss. 277, nlb. 3. 2 000 egz.
832. SWIFT Jonathan: *Podróże Guliwera.* Wg... oprac. Jacek Bocheński i Marian Brandys. Wyd. IV w tym oprac. Warszawa. Nasza Księgarnia. 8° ss. 250, nlb. 2. 20 000 egz. – U/CJSF.
833. *UTOPIŚCI XVI i XVII wieku o wychowaniu i szkole.* Aut.: Thomas Morus [Moore] [i in]. Red., wstęp i koment. Waldemar Voisé. Wrocław. Ossolineum. 8° ss. LIV, 388, nlb. I. 840 egz. – Polska Akademia Nauk, Komitet Nauk Pedagogicznych, Biblioteka Klasyków Pedagogiki – Pisarze obcy. – U/R.
VONNEGUT K.: *Rzeźnia...* – zob. ASF.

Fantazja dla dorosłych (AF):

834. BORGES Jorge Luis: *Alef* [i inne opowiadania]. Tłum. [z hiszp.] Zofia Chądzyńska i Andrzej Sobol-Jurczykowski. Warszawa. Czytelnik. 16° ss. 201, nlb. 3. 20 000 egz. – Nike.
835. BORGES Jorge Luis: *Fikcje.* Tłum. [z hiszp.] Kazimierz Piekarec [i in.]. Warszawa. Państw. Inst. Wyd. 16° ss. 163, nlb. 3. 20 000 egz. – Współczesna Proza Światowa.
BRATNY R.: *Sześć...* – zob. U.
836. CAROLL Lewis: *Przygody Alicji w Krainie Czarów.* [oraz] *O tym, co Alicja odkryła po drugiej stronie lustra.* T. I–II. Tłum. [z ang.] i przedm. Maciej Słomczyński. Warszawa. Czytelnik. 16° T.I.: *Przygody...* Wyd. I w tym tłum. ss. 134, nlb.2; T. II.: *O tym...* Wyd. I. ss. 150, nlb, 2. 100 000 egz.

cdn.

Przygotował Jacek Izworski

Zmarł autor „Diuny"

11 lutego br. zmarł w wieku 65 lat autor „Diuny" Frank Herbert. Miał za sobą zadziwiająco aktywne i bogate życie. Urodzony w 1920 roku, podczas drugiej wojny światowej służył w marynarce wojennej, studiował, pracował jako dziennikarz, poławiacz ostryg, instruktor przetrwania w dżungli, wykładał na uniwersytecie stanu Washington i ubiegał się o stanowisko gubernatora wysp Samoa. Miał trzy żony, ostatnią cieszył się niecały rok.

Przejdzie do historii literatury przede wszystkim jako autor serii powieści o Diunie, czyli planecie Arrakis. Pierwsza z nich – „Diuna" (polski przekład: Marek Marszał, „Iskry" 1985) zdobyła w roku 1965 obie wielkie nagrody SF – Hugo i Nebula, a wielomilionowe nakłady tej serii stały się symbolem nowego statusu science fiction w kulturze amerykańskiej. Frank Herbert powiedział o „Diunie", że chciał napisać *„długą powieść o mesjanistycznych konwulsjach wstrząsających co jakiś czas społeczeństwami ludzkimi. Chodziła za mną myśl, że superbohaterowie są klęską ludzkości".* Pomysł i tytuł zrodziły się, kiedy w swojej pracy dziennikarskiej odwiedził miejsce prac nad umacnianiem piaszczystych diun w Oregonie. W pracy nad powieścią studiował religie, historię, języki, ekonomię, politykę, psychologię i filozofię. Pewne szczegóły zaczerpnął nawet z własnego życia rodzinnego: hierarchia Bene Gesserit zrodziła się podobno z obserwacji jego dziesięciu ciotek.

Choć w „Diunie" znalazło swój wyraz wiele tematów pasjonujących pisarza przez całe życie, nie jest on bynajmniej autorem jednej książki (czy raczej jednej serii). Do cenionych jego powieści należą m.in. „The Dragon in the Sea" (1956), „Destination Void" (1966), „Whipping Star" (1970), „ The Dosadi Experiment" (1970), „Hellstron's Hive" (1973).

L. J.

Film i fantastyka

Na festiwalu filmów fantastycznych, który odbył się w październiku 1985 r. w Hiszpanii w poszczególnych kategoriach nagrodzono następujące filmy:

- najlepszy film: „Reanimator",
- najlepsza reżyseria, najlepsza scenografia: „Saraba hakobune" (film ten zdobył również specjalną nagrodę krytyków),
- najlepszy film krótkometrażowy: „Wings of Death",

Ponadto Heiner Stadler otrzymał nagrodę za najlepszy scenariusz, który napisał do niemieckiego filmu „Faust King Konga".

★

Wytwórnia „Walt Disney Productions" ma zamiar podjąć się produkcji filmu opartego na powieści Edgara R. Burroughsa „Księżniczka Marsa".

D.M.

Nagrody

World Fantasy – 1985:

- nagroda pośmiertna za całokształt twórczości: Theodore Sturgeon,
- najlepsza powieść: Robert Holdstock – „Mythago Wood", Barry Hughart – „Bridge of Birds",
- najlepsza nowela: Geoff Ryman – „The Uncoquered Country",
- najlepsze opowiadanie: Scott Baker – „Still Life with Scorpion", Alan Ryan – „The Bones Wizard",
- najlepsza antologia: Clive Barker – „Clive Barker's Books of Blood", v. 1–3,
- najlepszy grafik: Edward Gorey,
- specjalna nagroda dla profesjonalistów: Chris van Allsburg – „The Mysteries of Harris Burdick",
- specjalna nagroda dla amatorów: Stuart David Schiff – „Whispers",
- specjalna nagroda Konwencji: Evangeline Walton.

★

British Fantasy – 1985:

- nagroda specjalna: Manly Wade Wellman,
- najlepsza powieść: Ramsey Campbell – „Incarnate",
- najlepsze opowiadanie: Clive Barker – „In the Hills, the Cities",
- najlepsze wydawnictwo: Stuart David Schiff Whispers Press,
- najlepszy grafik: Steve Fabian,
- najlepszy film: „Ghostbusters".

F.R.



Marzenie toruje drogę

Aleksander Poleszczuk
naczelny redaktor „Wokrug Swieta"

Pewnego razu w dziale cymeliów Państwowej Biblioteki Publicznej im. Lenina w Moskwie poprosiłem o pierwszy egzemplarz naszego czasopisma. I oto leży przede mną ciężki tom ze złotymi tłoczeniami na okładce: „Wokrug Swieta. Rok 1861". Otworzyłem go ze zrozumiałym przejęciem. Wszak rocznik ten, traktujący o nauce o Ziemi, naukach przyrodniczych, najnowszych odkryciach, wynalazkach i obserwacjach jest dziadkiem dzisiejszego miesięcznika o nakładzie 2 000 000 egzemplarzy.

Oglądając piękną grafikę umieszczoną na tytułowej stronie starego foliału pomyślałem o tym, z jaką trafnością nasi przodkowie 125 lat temu zdołali odnaleźć symbol, swego rodzaju bilet wizytowy nowej publikacji. Między wzgórzami, polami i lasami wije się droga, którą pędzi słynna rosyjska trojka. Woźnica popędza batem rącze konie, za nim siedzi podróżnik ze swymi bagażami. Pali fajeczkę i przygląda się okolicznym pejzażom. Tak ukazał nam podróż i podróżnika nieznany artysta.

Na stronie wewnętrznej redakcja zamieściła rysunek kuli ziemskiej i zwróciła się bezpośrednio do swych czytelników tymi oto słowami: *„Podróż naokoło świata... Jakże daleka droga i jakaż w podróży tej nieskończona i nieograniczona różnorodność wrażeń, spotkań, obserwacji, charakterów, uniesień, klęsk, obrazów, niebezpieczeństw, nieszczęść, nowin!... Jak w gigantycznej, bezcennej panoramie przewija się przed zaciekawionym wędrowcem cała kula ziemska, z wszystkimi swymi niezwykłymi i wszystkimi codziennymi zjawiskami..."*

Czasy te wydają się nam dziś nieskończenie odległe. Wtedy mapy pełne były „białych plam". Dotarcie do biegunów wydawało się być sprawą dalekiej przyszłości. Problem przedarcia się człowieka poza atmosferę Ziemi i w głębiny oceanów traktowano jedynie jako grę nieokiełznanej wyobraźni, obiekt zainteresowania pisarzy-fantastów.

Mamy obecnie inne poczucie prędkości, odległości, a nawet obrazu naszej planety zmniejszonej do wymiarów błękitnego krążka widzianego przez iluminator statku kosmicznego. Ale mimo wszystko nie zmniejsza się, lecz przeciwnie, rośnie niespokojne plemię odkrywców, ludzi o żywym, badawczym umyśle i mężnym sercu, których dewizą stała się mądra sentencja starożytnych: „Droga – to życie". Im bardziej zagłębia się człowiek w wielką księgę poznania, tym bardziej uzmysławia sobie jej nieskończoność, niemożność wyczerpania wszystkich jej tematów. Oznacza to, że nigdy nie wyschnie rzeka, która zasila tematami i pomysłami naukowo-literacki miesięcznik KC WLKSM „Wokrug Swieta" – czasopismo mówiące o podróżach, przygodach i f a n t a s t y c e.

Bohater naszego pisma wyrusza zawsze pierwszy, by torować drogę innym. Na przekór zdrowemu rozsądkowi wybiera drogę trudniejszą. Bowiem nie zawsze droga łatwiejsza pozwala osiągnąć prawdę, do której należy dążyć wytężając duchowe i fizyczne siły, pokonując przeszkody, ryzykując nawet życie. Nasze czasopismo towarzyszy badaczom, podróżnikom, leśnikom, marynarzom, rybakom, budowniczym – tym, którzy starają się zachować piękno i pomnożyć bogactwo naszej ziemi. Bohaterami miesięcznika są również i ci, którzy na wszystkich kontynentach bronią pokoju i postępu społecznego, budują społeczeństwa przyszłości, walczą w szeregach ruchów narodowowyzwoleńczych, występują przeciwko siłom militaryzmu i reakcji. Opowieści o ludziach oddalonych o tysiące kilometrów, a niekiedy żyjących w sąsiedniej republice, przybliżają czytelnikowi narody Ziemi, sprawiają, że zrozumiałymi stają się ich troski i pragnienia.

W każdym numerze naszego miesięcznika można odnaleźć reportaże i artykuły z krajów wspólnoty socjalistycznej. Redakcja „Wokrug Swieta" współpracuje m.in. z czasopismami „Kosmos" (Bułgaria), „Vilag ifiusaga" (Węgry), „F a n t a s t y k a" (Polska), „Mladi swět" (CSRS).

„Wokrug Swieta" poświęca również wiele miejsca ekspedycjom naukowym, badaniom uczonych, śmiałym hipotezom graniczącym z fantastyką.

Marzenie jest niejako początkiem wyboru drogi życiowej człowieka. Wybitny radziecki uczony, akademik W. Obruczew, który przez wiele lat był członkiem kolegium redakcyjnego „Wokrug Swieta", napisał: *„Zanim odbyłem swoją pierwszą, prawdziwą podróż, wielokrotnie wędrowałem w marzeniach po całej kuli ziemskiej"*. Również i teraz czytelnik odnajduje w naszym czasopiśmie wiele tematów, które mogą przyciągnąć jego uwagę.

Od dawna już do tradycji czasopisma należy publikowanie rodzimych i zagranicznych utworów literackich o przygodowym i fantastyczno-naukowym charakterze. Niegdyś, właśnie na kartach „Wokrug Swieta", rosyjscy czytelnicy odnajdywali przekłady powieści Jamesa Fenimore'a Coopera, Jules'a Verne'a, Roberta L. Stevensona, Herberta Wellsa, Arthura Conan Doyle'a, Edgara Allana Poego, Henryka Sienkiewicza, Jacka Londona. Jako suplementy do „Wokrug Swieta" wydano utwory najwybitniejszych pisarzy rosyjskich, a począwszy od roku 1917 nawiązano współpracę z tak znanymi literatami jak Michaił Priszwin, Konstanty Paustowski, Nikołaj Tichonow, Marietta Szaginian, Aleksander Bielajew. W czasopiśmie i fantastyczno-przygodowym dodatku literackim „Iskatiel" (który, nawiasem mówiąc, obchodzi w tym roku jubileusz dwudziestopięciolecia istnienia) były i są publikowane utwory Iwana Jefriemowa, Aleksandra Kazancewa, Kira Bułyczowa, Isaaca Asimova, Raya Bradbury'ego, Clifforda Simaka, Stanisława Lema, Georges'a Simenona i wielu innych znakomitych pisarzy. Każdy numer „Iskatiela" to również zapowiedź debiutu młodych fantastów.

...Przez 125 lat swego istnienia „Wokrug Swieta" odbyło niezwyłą wędrówkę poprzez czas i przestrzeń. Setna rocznica rozpoczęcia tej podróży zbiegła się z pierwszym lotem człowieka w Kosmos, sto dwudziesta piąta – z odważnym rejsem skonstruowanej przez Ziemian sondy kosmicznej podążającej w stronę komety Halleya, która od wieków rozpala wyobraźnię ludzi.

Biegnie naprzód, w dwudziesty pierwszy wiek nieskończona droga życia i poznania, a marzenie toruje szlak w nieznane...

Przełożył Sławomir Kędzierski